

JULIA  
QUINN

*Magia  
pocatunku*

*Stewowi Axelrodzie, z bardzo wielu rozmaitych powodów.  
(Ale specjalnie z racji kawioru!)  
A także Paulowi, choć niesłusznie uważa mnie za osobę,  
która lubi dzielić się kawiozem.*

## *Prolog*

*Rok 1815. Dziesięć lat wcześniej, zanim opowieść rozpocznie się na dobre...*

Istniały cztery podstawowe zasady określające kontakty Garetha St. Claira z ojcem. Gareth, pragnąc zachować dobry humor i zdrowy rozsądek, ściśle ich przestrzegał.

Po pierwsze: nie wdawać się w konwersację, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

Po drugie: jeśli jednak zajdzie taka konieczność, rozmawiać jak najkrócej.

Po trzecie: z wyjątkiem najbardziej zdawkowych powitań czy pożegnań, rozmawiać zawsze przy świadkach.

I wreszcie po czwarte: by jak najlepiej wypełniać powyższe zasady, zadbać o jak największą liczbę zaproszeń i spędzać każdą wolną chwilę w towarzystwie szkolnych kolegów.

Innymi słowy, nie w domu rodzinnym.

Wyrażając się jeszcze ściślej: z dala od ojca.

Ogólnie rzecz biorąc, myślał Gareth - o ile miał czas i ochotę zastanawiać się nad tym, a ostatnio rzadko mu się zdarzały takie chwile, doprowadził bowiem do perfekcji taktykę unikania ojca - stosowanie się do tych zasad wychodzi na dobre.

Było także korzystne dla ojca, ponieważ Richardowi St. Clairowi równie mało przyjemności sprawiało towarzystwo młodszego syna, jak synowi kontakty z nim. I właśnie dlatego Gareth zdumiał się tak bardzo, gdy nieoczekiwanie wezwano go ze szkoły do domu.

A w dodatku pilnie.

Wiadomość od ojca nie pozostawiała żadnych wątpliwości: Gareth miał się niezwłocznie stawić w Clair Hall.

Diabło irytujące! Do ukończenia Eton pozostały mu zaledwie dwa miesiące. Życie szkolne, pełne i satysfakcjonujące, stanowiło upajającą mieszaninę zajęć akademickich i sportowych, okraszona od czasu do czasu wypadami wieczorową porą do pobliskiej oberży; nie stronił wówczas od trunków ani od damskiego towarzystwa.

Prowadził więc życie, o jakim mógłby marzyć każdy osiemnastoletni młodzieniec. Gareth miał nadzieję, że - jak długo będzie schodził ojcu z oczu - następne lata okażą się równie szczęśliwe. W jesieni, w gronie najbliższych przyjaciół, zamierzał rozpocząć studia w Cambridge i pragnął szczerze oddawać się tam z równym zapałem studiom i życiu towarzyskiemu.

Teraz, stojąc w przedsionku Clair Hall, westchnął głęboko; był zdenerwowany. Czegóż, u licha, życzył sobie baron - tak najczęściej określał w myśli ojca. Przecież już dawno temu powiedział wprost, że umywa ręce, jeśli chodzi o młodszego syna! I że ponosi koszty jego wykształcenia tylko dlatego, że jest to ogólnie przyjęty obowiązek rodzicielski.

To znaczyło, oczywiście, że sąsiedzi i znajomi spoglądaliby na St. Claira krzywym okiem, gdyby nie posyłał Garetha do „właściwych” szkół. Kiedy ścieżki barona i młodszego syna krzyżowały się od czasu do czasu, lord St. Clair skarżył się zazwyczaj, jakim rozczarowaniem jest dla niego ten chłopak.

A to mobilizowało Garetha do robienia ojcu na przekór. Jeśli już ma taką fatalną opinię, nie może przecież zawieść jak najgorszych oczekiwani!

Teraz postukiwał niecierpliwie nogą, czekając aż majordomus powiadomi ojca o jego przybyciu. W domu rodzinnym czuł się jak niepożądany gość. Przez ostatnie dziewięć lat nieczęsto tu zaglądał. Clair Hall było dla Garetha jedynie kupą kamieni; własnością ojca, która z czasem przejdzie w posiadanie pierworodnego syna, George'a. Żadna rzecz z tego domu, ani nic z majątku St. Clairów,

nie miało nigdy należeć do Garetha. Dobrze wiedział, że musi samodzielnie torować sobie drogę w świecie. Prawdopodobnie po ukończeniu Cambridge wstąpi do armii. W jego sytuacji oprócz kariery wojskowej miał otwartą drogę jedynie do stanu duchownego... a od takiej przyszłości, Boże broń!

Zachował niewiele wspomnień o matce, która zginęła w wypadku, gdy miał pięć lat. Pamiętał jednak, jak pieszczotliwie mierzwiła mu włosy i jak bawiło ją to, że dla młodszego synka wszystko było okazją do żartów.

- Mój mały diabełku - mówiła do niego, dodając szeptem: - Nie trać tej cechy. Cokolwiek by się stało, nie zmieniaj się pod tym względem!

Gareth nie zmienił się istotnie. Toteż bardzo wątpił, by duchowieństwo anglikańskie życzyło sobie kogoś takiego jak on w swoim szacownym gronie.

- Paniczu Gareth!

Podniósł wzrok, słysząc głos majordoma. Jak zwykle, wypowiedź Guilfoyle'a była stwierdzeniem faktu. Żadnych wątpliwości, żadnych pytań.

- Jego lordowska mość przyjmie teraz panicza - oznajmił z namaszczeniem. - Czekaj w swoim gabinecie.

Gareth skinął głową i skierował się w stronę gabinetu barona. To pomieszczenie było mu szczególnie niemiłe. Tu właśnie zawsze wysłuchiwał kazań ojca, który mówił wprost, że nigdy nic z niego, Garetha, nie będzie. I tu stwierdził lodowatym tonem, iż byłoby lepiej, gdyby młodszy syn w ogóle się nie narodził. Naraża tylko rodzinę na niepotrzebne wydatki i plami jej honor.

Zapukał do drzwi.

- Wejść!

Pchnął ciężkie dębowe drzwi i wszedł do środka. Ojciec siedział za biurkiem i coś pisał. Świetnie się trzyma, pomyślał mimo woli Gareth. Baron zawsze dobrze się prezentował. Może łatwiej byłoby się z nim dogadać, gdyby z czasem przekształcił się we własną karykaturę... Ale lord St. Clair w wieku pięćdziesięciu kilku lat pozostał krzepki i sprawiał wrażenie młodszego o dwadzieścia lat.

Wyglądał na kogoś, kto w sercu osiemnastoletniego chłopaka powinien budzić miłość i szacunek. I właśnie dlatego ból odrzucenia Gareth odczuwał jeszcze bardziej dotkliwie.

Czekał cierpliwie, aż ojciec podniesie wzrok. Gdy tego nie uczynił, on kaszlnął cicho.

Żadnej reakcji.

Zakasłał głośniejsze.

Nic.

Chłopak zacisnął zęby. To był stały zwyczaj ojca! Ignorował go, dając ostentacyjnie do zrozumienia, jak bardzo syn jest niegodny jego uwagi.

Gareth miał już powiedzieć: „sir...” albo „milordzie?” Przemknęło mu nawet przez głowę: „ojcze” W końcu jednak oparł się tylko o framugę drzwi i zaczął pogwizdywać.

Ojciec natychmiast spojrzał na niego.

- Przestań! - warknął.

Gareth uniósł brew i przerwał gwizdanie.

- I wyprostuj się! - rzucił karcącym tonem baron. - Dobry Boże! Ile razy mam ci powtarzać, że pogwizdywanie jest w złym tonie?

- Czy powinienem na to odpowiedzieć, czy było to pytanie retoryczne?

Twarz ojca poczerwieniała.

Gareth z trudem przełknął ślinę. Nie powinien był tak się odzywać. Dobrze wiedział, że kpiący ton rozwścieczy barona... ale czasami nie mógł utrzymać języka za zębami. Przez całe lata usiłował zdobyć przychylność ojca... w końcu jednak uznał swoją porażkę i zrezygnował.

Jeśli więc jedyną satysfakcją mógł osiągnąć, zatruwając życie staremu, tak jak ojciec zatruwał jemu... Cóż, niech i tak będzie. Trzeba się zadowolić tym, co osiągalne.

- Jestem doprawdy zaskoczony, widząc cię tutaj - stwierdził ojciec.

Gareth aż zamrugał oczyma.

- Przecież sam mnie wezwałeś.

Żałosna prawda wyglądała tak, że nigdy dotąd nie sprzeciwił się rozkazom ojca. Nie stanął okoniem w żadnej istotnej sprawie. Draż-

nił barona, prowokował go, odzywał się i zachowywał bezczelnie, ale ani razu nie pozwolił sobie na jawne nieposłuszeństwo.

Przebrzydły tchórz.

Tylko w wyobraźni stawał z nim do otwartej walki; mówił ojcu bez ogródek, co o nim myśli. W rzeczywistości jednak jego sprzeciw ograniczał się do pogwizdywania i nadąsanych min.

- Istotnie, wezwałem cię - odparł ojciec, odchylając się nieco do tyłu. - Niemniej jednak, wydając ci polecenie, nigdy nie mogę liczyć na to, że zareagujesz właściwie. Bardzo rzadko ci się to zdarza.

Gareth nic nie odpowiedział.

Baron podniósł się z fotela i podszedł do stolika, na którym znajdowała się karafka koniaku. Napełnił kieliszek.

- Zastanawiasz się pewnie, o co chodzi? - zagadnął.

Gareth skinął głową, ale ojciec nawet nie rzucił na niego okiem, więc dodał:

- Tak jest, sir.

Baron delektował się bursztynowym trunkiem, każąc synowi czekać na wyjaśnienie. W końcu odezwał się, obrzucając go chłodnym, taksującym spojrzeniem.

- Odkryłem wreszcie sposób, w jaki możesz stać się użyteczny dla rodziny.

Zdumiewające, pomyślał Gareth.

- Doprawdy, sir?

Ojciec przełknął kolejny łyk koniaku i odstawił kieliszek.

- Tak jest. - Odwrócił się do syna i po raz pierwszy spojrzał mu prosto w oczy. - Ożenisz się.

- Ja, sir? - wykrztusił Gareth.

- Jeszcze tego lata - uściślił ojciec.

Chłopak uchwycił się oparcia masywnego krzesła, żeby nie upaść. Miał przecież zaledwie osiemnaście lat, na łośność boską! I co z Cambridge? Czy może studiować, założywszy rodzinę? I co wówczas będzie z żoną? A przede wszystkim, z kim ojciec chce go ożenić?!

- To bardzo korzystne małżeństwo - kontynuował baron. - Posag twojej żony ocali nas od ruiny.

- Od ruiny, sir? - Gareth zrobił wielkie oczy.

Lord St. Clair nie spuszczał z niego wzroku.

- Na naszym majątku ciąży mnóstwo długów hipotecznych - powiedział ostrym tonem. - Jeszcze rok, a nie zostanie nam nic prócz tego, czego nie da się sprzedać, gdyż objęte jest majoratem.

- Ale skąd... Jak do tego doszło?

- Studia w Eton do tanich nie należą - rzucił baron.

Bez wątpienia... ale to jeszcze nie powód, żeby cała rodzina poszła z torbami, pomyślał Gareth z rozpaczą. Niemożliwe, żeby znowu on był wszystkiemu winien!

- Zawiodłeś pokładane w tobie nadzieje - mówił dalej ojciec. - Ja nie zaniedbałem jednak swoich obowiązków wobec ciebie. Otrzymałeś edukację godną dżentelmena. Nie brakło ci nigdy koni, odpowiedniej garderoby ani dachu nad głową. I oto nadeszła chwila, byś się odwdzieczył za to i postąpił jak mężczyzna.

- Z kim? - szepnął Gareth.

- Słucham?

- Z kim mam się ożenić? - spytał nieco głośniej.

- Z Mary Winthrop - odparł ojciec rzeczowym tonem.

Garethowi krew odpłynęła z twarzy.

- Z Mary...?

- Z córką Wrothama - dodał całkiem bez potrzeby baron.

Jakby Gareth tego nie wiedział!

- Przecież Mary...

- Okaże się doskonałą żoną - dokończył za niego ojciec. - Potulna dziewczyna. Będziesz mógł pozostawić ją na wsi, a samemu rozbijać się po mieście w gronie kolegów.

- Ależ ojczy, Mary...

- Już wyraziłem w twoim imieniu zgodę na to małżeństwo - oświadczył baron. - Sprawa załatwiona. Podpisaliśmy z jej ojcem intercyzę.

Gareth z trudem chwycił powietrze. To nie mogła być prawda. Ojciec nie może zmusić go do małżeństwa! W dzisiejszych czasach?!

- Wrotham życzy sobie, żeby ślub się odbył w lipcu. Odpowiedziałem, że nie mamy nic przeciwko temu.



- Ależ Mary. Nie mogę się przecież ożenić z Mary! - wydusił Gareth.

Ojciec zmarszczył krzaczaste brwi.

- Właśnie że możesz! I zrobisz to.

- Ależ, ojcie! Ona... ona jest...

- Przygłupia? - dokończył ojciec i roześmiał się. - Jakież to ma znaczenie w łóżku?! A poza tym nie musisz sobie zawracać nią głowy. - Podszedł do syna niepokojąco blisko. - Żądam od ciebie tylko jednego: masz się zjawić w kościele! Zrozumiano?

Gareth milczał, żadnej reakcji. Oddychał ciężko.

Znali się z Mary Winthrop przez całe życie. Była od niego o rok starsza, a posiadłości rodzin graniczyły ze sobą od ponad stu lat. W dzieciństwie bawili się razem; wkrótce jednak stało się jasne, że Mary jest upośledzona psychicznie. Ilekroć Gareth przebywał w ojcowskim majątku, zawsze bronił Mary. Poturbował niejednego z małych i większych drani, którzy obrzucali wyzwiskami upośledzoną dziewczynkę lub usiłowali wykorzystać jej dobroć i naiwność.

Ale ożenić się z nią? Nigdy! Mary jest jak... jak dziecko. To byłby grzech. A nawet jeśli nie, Gareth nie mógłby się do tego zmusić. Jak miałby wyjaśnić takiemu prostodusznemu stworzonku, na czym polegają obowiązki żony?

Nigdy nie poszedłby z nią do łóżka. Za nic!

Wpatrywał się więc tylko w ojca, całkiem oniemiały. Po raz pierwszy w życiu zabrakło mu ciętej odpowiedzi czy gładkiej wymówki.

Żadne słowo nie byłoby stosowne w takiej chwili.

- Widzę, że się porozumieliśmy - stwierdził baron z uśmiechem, gdy syn nadal milczał.

- Nie! - wybuchnął Gareth. - Udało mu się rozpaczliwie wykszusić tę jedną jedyną sylabę. - Nie! Nie!

Baron zmrużył oczy

- Zrobisz to, choćbym miał cię zmusić siłą!

- Nie! - Gareth czuł, że się dusi. Udało mu się jednak wykrztusić następne słowa. - Mary przez całe życie będzie tylko nierozgarniętym dzieckiem. Wiesz o tym, ojcze. Nie mogę się z nią ożenić! To byłoby niegodziwe!

Baron roześmiał się; napięcie nieco opadło. Odsunął się czym prędzej od syna.

- Czyżbyś usiłował mnie przekonać, że ty, właśnie ty, masz skrupuły moralne?

- Nie, ale...

- Nie ma o czym dyskutować - uciął ojciec. - Wrotham wspinała ją wyposażył. Trudno się zresztą dziwić; któż bez odpowiedniej zachęty obarczyłby się tą idiotką?

- Nie mów tak o niej - powiedział cicho Gareth.

Nie zamierzał poślubić Mary Winthrop, ale ona nie zasługiwała na takie zniewagi.

- Będzie to najrozsądniejszy postępek w całym twoim życiu. - Lord St. Clair pokiwał głową. - Wrotham jest wyjątkowo hojny, a ja zadbam o to, byś miała stałą pensję i mógł żyć na odpowiednim poziomie.

- Pensję? - powtórzył Gareth bezdźwięcznym głosem.

Ojciec znów się roześmiał.

- Nie łudzisz się chyba, że pozwolę ci samodzielnie dysponować całym posagiem?

Gareth z trudem przełknął ślinę.

- A moje studia?

- Możesz sobie studiować - przyzwolił łaskawie baron. - Prawdę mówiąc, tylko dzięki pieniądzom twojej żony będzie to możliwe. Bez jej posagu nie stać by mnie było na takie zbytki!

Gareth stał bez ruchu, starając się oddychać normalnie. Ojciec doskonale wiedział, ile dla niego znaczyły studia w Cambridge. To była jedyna rzecz, co do której się zgadzali: dżentelmenowi jest niezbędne należyte wykształcenie. Nieważne, że Garethowi zależało na samych studiach, jako takich, no i ze względów towarzyskich, podczas gdy baron dbał przede wszystkim o zachowanie pozorów. W każdym razie zostało ustalone przed laty, że Gareth będzie studiować i uzyskać tytuł naukowy.

Teraz jednak wyglądało na to, że lord St. Clair dobrze wiedział, iż nie stać go na dalsze kształcenie syna. Kiedy zamierzał mu o tym powiedzieć? Gdy Gareth będzie już gotów do wyjazdu?

- To małżeństwo jest konieczne - oświadczył ojciec ostrym tonem. - I właśnie ty musisz je zawrzeć. George jest jedynym moim spadkobiercą, dziedzicem tytułu. Nie mogę pozwolić, by skaził czystość rodowej krwi. A zresztą - dodał sznurując usta - nie będę go narażał na coś równie niemiłego!

- Ale mnie tak?

Czemu baron tak bardzo go nienawidził? Czemu tak nim gardził? Spojrzał prosto w twarz ojcu.

- Czemu tak mnie nienawidzisz? - usłyszał własny głos, przypominający skargę zranionego zwierzęcia; brzmiał żałośnie i bezradnie. - Czemu? - powtórzył.

Ojciec milczał. Stał, zaciskając ręce na krawędzi stołu tak mocno, że knykcie mu zbieleły. Gareth skupił spojrzenie na jego zaciśniętych palcach.

- Jestem przecież twoim synem - mówił szeptem, nie podnosząc wzroku. - Jak możesz zmuszać rodzzonego syna do czegoś takiego?

I wówczas ojciec, który był mistrzem lodowatych przycinków, bardziej raniących niż wybuch gniewu, nie wytrzymał. Oderwał ręce od stołu i nie panując już nad sobą, wykrzykiwał z furją:

- Do kata! Że też do tej pory nie zdołałeś się tego domyślić! Nie jesteś moim synem! Nigdy nim nie byłeś! Ty bezużyteczny przyłódku, skundlony bękarcie! Diabli wiedzą, z kim spłodziła cię twoja matka pod moją nieobecność!

Wściekłość aż z niego buchała - zajadła, desperacka, tym straszliwsza, że dotąd tłumiona i ukrywana. Uderzyła w Garetha niczym spieniona fala, pozbawiając go tchu.

- Niemożliwe! - Kręcił głową z rozpaczliwą determinacją. To wszystko wydawało się absurdalne, przerażające i nieprawdopodobne. Było między nimi rodzinne podobieństwo; mieli nawet takie same nosy. A poza tym...

- Karmiłem cię i odziewałem. - Histeryczny ton głosu barona przeszedł w cichy i twardy. - Uznałem cię za swojego syna. Ktoś inny wyrzuciłby cię na ulicę. Najwyższy czas, żebyś mi się odwdzieczył.

- To niemożliwe - powtórzył Gareth. - To nieprawda. Jestem do ciebie podobny!

Lord St. Clair zamilkł na sekundę. Potem rzucił z goryczą:

- Zwykły zbieg okoliczności, zapewniam cię.

- Ależ...

- Mogłem cię nie przyjąć, gdyś tylko się urodził! - przerwał mu baron. - I wyrzucić z domu twoją matkę, żebyście oboje zdechli w rynsztoku. Nie zrobiłem tego. - Podeszedł znów do Garetha i stali bardzo blisko, twarzą w twarz. - Uznałem cię, jesteś więc legalnym potomkiem, musisz mi się odwdzięczyć! - zakończył wściekłym szeptem.

- Nie - odpowiedział Gareth z niezwykłą u niego stanowczością, która odtąd miała go już zawsze cechować. - Nie zrobię tego!

- Wyklnę cię! - ostrzegł baron. - Nie dostaniesz już ode mnie ani grosza. Możesz zapomnieć o Cambridge, o swoich...

- Nic! - powtórzył Gareth dobitnie, przerywając mu, ale teraz zabrzmiało to inaczej.

On sam poczuł się jak odmieniony. W tym momencie skończyło się jego dzieciństwo. A teraz się zaczęło...

Bóg jeden wie, czego to miał być początek.

- Skończyłem z tobą! - wycedził ojciec. Nie, nie ojciec! - Raz na zawsze.

- A niech tam! - rzucił Gareth.

I odszedł.

# 1

*Minęło dziesięć fat... Młoda dama Hiacynta Bridgerton nie należy do nieśmiałych i słodkich kwiatuszków. Znajdujemy się w salonie rodziny Smythe- Smithów, którzy rok w rok organizują wieczór muzyczny. Mniej więcej za dziesięć minut wielki Mozart przewróci się w grobie.*

Czemu same się skazujemy na podobne katusze? - zastanawiała się głośno Hiacynta Bridgerton.

- Ponieważ należymy do osób życzliwych i wyrozumiałych - odparła jej bratowa, siadając, Boże, zlituj się! w pierwszym rzędzie.

- Można by pomyśleć - obstawała przy swoim Hiacynta, spoglądając na wolne krzesło obok Penelopy tak, jakby zaproponowano jej, by usiadła na jeżu - że dostałyśmy wystarczającą nauczkę w zeszłym roku. Albo w poprzednim. A może nawet jeszcze dawniej!

- Hiacynta! - przerwała jej Penelopa.

Ta zerknęła na nią, unosząc pytająco brew.

- Siadajże wreszcie!

Szwagierka westchnęła. Ale usiadła.

Wieczór muzyczny u Smythe-Smithów! Na szczęście odbywał się tylko raz do roku. Jej uszy potrzebowały pełnych dwunastu miesięcy, żeby dojść do siebie po tym wydarzeniu.

Westchnęła jeszcze głośniej.

- Wcale nie jestem pewna, czy się zaliczam do „życzliwych i wyrozumiałych”!

- Ja również mam co do tego wątpliwości, ale postanowiłam nie tracić wiary w ciebie - odparła Penelopa.

- Bardzo to ładnie z twojej strony- odburknęła Hiacynta.
- Też tak uważam.

Hiacynta zerknęła na bratową spode łba.

- No cóż... nie miałaś, rzecz jasna, innego wyjścia.

Penelopa obróciła się na krześle i przymrużyła oczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Colin stanowczo odmówił pójścia z tobą na tę imprezę, nie-  
prawdaż?

Colin i Penelopa pobrali się przed rokiem.

Usta bratowej zacisnęły się w twardą linię.

- Bardzo lubię mieć rację - stwierdziła z triumfem Hiacynta.
- I na szczęście przeważnie ją miewam.

Penelopa ledwie na nią spojrzała.

- Jesteś doprawdy nieznośna.

- Ma się rozumieć! - Pochyliła się ku bratowej z diabolicznym  
uśmieszkiem. - Ale i tak mnie kochasz. Musisz to przyznać.

- Nie przyznam, póki się ten wieczór nie skończy.

- Kiedy obie ogłuchniemy na dobre?

- Kiedy się przekonam, że potrafisz być grzeczna.

Hiacynta roześmiała się.

- Należysz już do naszej rodziny, więc musisz mnie kochać. To  
twój święty obowiązek!

- Jakoś sobie nie przypominam takiego punktu przysięgi mał-  
żeńskiej.

- To dziwne - odparowała szwagierka - bo ja pamiętam go do-  
skonale!

Penelopa roześmiała się.

- Nie mam pojęcia, jak ty to robisz. - Irytujesz mnie okrop-  
nie... ale potrafisz być przy tym naprawdę urocza!

- To moja główna zaleta - odparła skromnie Hiacynta.

- No cóż... zyskałaś nieco w moich oczach, kiedy się zgodziłaś  
dotrzymywać mi towarzystwa na tym wieczorku - przyznała Pene-  
lopa, klepiąc szwagierkę po ramieniu.

- No widzisz. Mimo nieznośnego zachowania jestem uosobie-  
niem dobroci i uprzejmości!

Sytuacja mnie do tego zmusza, dodała w duchu, obserwując scenę rozgrywającą się na niewielkim, skleconym naprędcie podwyższeniu. Kolejny rok, kolejny występ muzyczny Smythe-Smithów. Kolejna okazja do przekonania się, na jak wiele różnych sposobów można kaleczyć arcydzieła muzyczne. Co roku Hiacynta przysięgała sobie, że noga jej nigdy już nie postanie na tej imprezie... i za każdym razem zjawiała się na następnym wieczorku, dodając uśmiechem odwagi czwórce dziewcząt na podium.

- W ubiegłym roku mogłam przynajmniej siedzieć z tyłu. - Westchnęła.

- Pamiętam - odparła Penelopa, spoglądając na nią podejrzliwie. - Jak ci się to udało? Felicity, Eloise i ja siedziałyśmy wszystkie w pierwszym rzędzie.

Hiacynta wzruszyła ramionami.

- W stosownej chwili udałam się do damskiej toalety. Prawdę mówiąc...

- Nie waż się powtórzyć tej sztuczki dziś wieczorem! Jeśli zostawisz mnie tu samą...

- Bez obawy! - wtrąciła Hiacynta. - Jestem tu i pozostanę. Ale... - dodała wymachując wskazującym palcem, co matka z pewnością uznałaby za gest, który nie przystoi dobrze wychowanej pannie - mam nadzieję, że nie zapomnisz o tym dowodzie mojej przyjaźni.

- Ciekawe, czemu - rozważała Penelopa - nasuwa mi się podejrzenie, że zamierzasz to wykorzystać i ni stąd, ni zowąd rzucisz się na mnie, domagając się rewanzu?

Hiacynta spojrzała na nią niewinnym wzrokiem i zamrugała oczami.

- Dlaczego miałabym ni stąd, ni zowąd rzucać się na ciebie?

- Popatrz, kto tu idzie. - Penelopa zmieniła temat, spojrzawszy przedtem na szwagierkę jak na wariatkę. - Lady Danbury!

- A, pani Bridgerton - odezwała się, a raczej wymruczała stara hrabina. - I panna Bridgerton!

- Dobry wieczór, milady - powiedziała Penelopa. - Zarezerwowałyśmy dla pani miejsce w pierwszym rzędzie.

Lady D. zmrużyła oczy i stuknęła ją lekko łaską w kostkę.

- Zawsze myślisz o innych, co?  
- Oczywiście! - odparła skromnie Penelopa. - Jakżebym mogła...

- Ha! - Lady Danbury skinęła głową.

Powtarzała to z upodobaniem, jak zauważyła Hiacynta, podobnie jak mrukliwe „hmm”.

- Posuń się, Hiacynto — zarządziła stara dama. - Usiądę pomiędzy wami.

Hiacynta posłusznie przesiadła się na wolne krzesło stojące z lewej strony.

- Zastanawialiśmy się właśnie, co nas skłoniło do przyjscia na ten wieczorek - odezwała się, gdy lady Danbury usadowiła się na krześle. - W każdym razie ja nie mam pojęcia, co mnie tu przywiodło!

- Nie mogę się wypowiadać w twoim imieniu - odpowiedziała lady D. - Ale ona... - energicznym skinieniem głowy wskazała Penelopę - .. znalazła się tu z tego samego powodu co ja!

- Z miłości do muzyki? - spytała Hiacynta z nieco przesadną układnością.

Lady Danbury zwróciła ku niej twarz wykrzywioną czymś w rodzaju uśmiechu.

- Zawsze cię lubiłam, Hiacynto Bridgerton!

- Ja panią również! - odwzajemniła się Hiacynta.

- Pewnie dlatego zjawiasz się od czasu do czasu, żeby mi poczytać - stwierdziła stara dama.

- Co tydzień! - przypomniała jej Hiacynta.

- Od czasu do czasu czy raz na tydzień. Co za różnica? - Lady Danbury machnęła ręką. - Co innego, gdyby chodziło o codzienne odwiedziny!

Hiacynta uznała, że lepiej się nie odzywać. Lady D. z pewnością zdołałaby jakimś pokrętnym sposobem skłonić ją do przyrzeczenia codziennych odwiedzin!

- I muszę dodać - zauważyła hrabina z wyraźną pretensją w głosie - że postąpiłaś bardzo nieładnie w ostatnim tygodniu, przerywając czytanie w momencie, gdy nieszczęsna Priscilla chwije się na skraju przepaści!



- A co panie czytają? - zainteresowała się Penelopa.
- Powieść *Panna Butterworth i szalony baron* - odparła Hiacynta.
- A nieszczęsnej Priscilli nic się nie stanie, bez obawy!
- Czyżbyś podejrziała zakończenie? - Lady D. była oburzona.
- Skądże znowu! - zaprotestowała Hiacynta i wywróciła oczami.
- Nietrudno się tego domyślić. Panna Butterworth omal już nie wypadła z okna na piętrze. A na drzewie gałąź się pod nią załamała...
- I mimo to nadal żyje? - zdumiała się Penelopa.
- Złego diabli nie wezmą - mruknęła pod nosem Hiacynta.
- A szkoda!

- Tak czy owak - wtrąciła lady Danbury - nieładnie, że zostawiłaś mnie w takiej niepewności.

- W tym właśnie miejscu kończył się rozdział - odparła Hiacynta bez cienia skruchy. - Cierpliwość na pewno jest cnotą i warto ćwiczyć, nieprawdaż?

- Bzdury! - stwierdziła z naciskiem hrabina. - A jeśli naprawdę tak myślisz, to mniej w tobie kobiecości, niż sądziłam.

Nikt nie pojmował, czemu Hiacynta odwiedzała starą zrzedę w każdy wtorek i bawiła się w jej lektorkę. Jednakże popołudnia spędzone w towarzystwie tej kobiety sprawiały młodej dziewczynie prawdziwą przyjemność. Lady Danbury była dziwaczką i zawsze, bez ogródek, mówiła prawdę w oczy. Hiacynta przepadała za nią.

- We dwie mogłybyście się stać zagrożeniem dla świata - odezwała się Penelopa.

- Moją życiową ambicją - oświadczyła lady D. - jest sianie popłochu wśród tępych prostaczków, toteż uważam pani słowa za najwyższy komplement, łaskawa pani Bridgerton!

- Ciekawe, czemu - zastanawiała się na głos Penelopa - zwraca się pani do mnie tak oficjalnie, milady, kiedy chce udzielić mi reprimendy?

- Jakoś to lepiej brzmi. - Hrabina stuknęła głośno łaską o podłogę.

Hiacynta uśmiechnęła się szeroko. Pomyślała sobie, że na stare lata chciałaby się upodobnić do lady Danbury. Szczerze mówiąc, lubiła starą hrabinę bardziej niż większość swoich rówieśników. Po

trzech sezonach na matrymonialnym targowisku Hiacynta odczuwała już nudę. To, co dawniej tak ją podniecało - bale, przyjęcia, adoratorzy... Cóż... nadal było przyjemne, bez wątpienia. Nie należała z pewnością do dziewcząt, które się uskarżają na bogactwo, wygody i przywileje, mając ich w bród.

Ale to już nie było to, co dawniej! Nie zapierało jej tchu w piersi, gdy wkraczała na salę balową. A taniec z upływem lat stał się po prostu miłą rozrywką a nie czarodziejskim zawrotem głowy...

Niestety, ilekroć wspomniała o tym matce, ta doradzała jej, by po prostu znalazła sobie męża. Wówczas wszystko się zmieni, przekonowała pewna swego Violet Bridgerton.

Akurat!

Matka Hiacynty od dawna zrezygnowała z subtelnych wybiegów, jeśli chodzi o wydanie za mąż czwartej, najmłodszej córki. Matczyne starania miały w sobie siłę i wytrwałość prywatnej krucjaty.

Niech się schowa Dziewica Orleańska! Jej matce - matronie z Mayfair - żadna zaraza, klęska żywiołowa ani perfidia ludzka nie przeszkodziłaby w staraniach mających na celu zapewnienie wszystkim ośmiorgu dzieciom szczęścia małżeńskiego! Już tylko dwoje z nich pozostawało w wolnym stanie: Gregory i Hiacynta. Ale - co za ironia losu! - Gregory w wieku dwudziestu czterech lat nie musiał się spieszyć, bo uważano go raczej za zbyt młodego do żeniaczki. Natomiast Hiacynta w dwudziestej drugiej wiosnie życia... Matkę podtrzymywała na duchu jedynie świadomość, że jedna ze starszych córek, Eloise, zwlekała z zamążpójściem aż do sędziwego wieku dwudziestu ośmiu lat. W porównaniu z nią Hiacynta była niemal oseskiem!

Nikt jeszcze nie nazwałby Hiacynty starą panną, pozbawioną jakichkolwiek szans. Sama jednak musiała przyznać, że zbliża się niebezpiecznie do przepaści. Od swego debiutu towarzyskiego przed trzema laty otrzymała, rzecz jasna, kilka propozycji małżeńskich. Ale nie tak wiele, jak można się było spodziewać, biorąc pod uwagę jej aparycję i majątek. Nie uchodziła wprawdzie za najpiękniejszą dziewczynę w Londynie, ale przewyższała urodą co najmniej połowę panien na wydaniu. Posag miała może nie największy lecz na tyle duży, by zwrócić uwagę łowców posagów.

Jeśli chodzi o koneksje, to doprawdy trudno o lepsze! Najstarszy brat Hiacynty, podobnie jak przedwcześnie zmarły ojciec, nosił tytuł wicehrabiego, cała zaś rodzina Bridgertonów była ogólnie lubiana i cieszyła się poważaniem. A gdyby i to komuś nie wystarczało, najstarsza siostra Hiacynty, Daphne, została księżną Hastings, inna zaś, Francesca, hrabiną Kilmartin.

Jeśli zatem jakimś dżentelmenowi zależało na spowinowaceni się z dobrą, starą brytyjską arystokracją, to nie mógł doprawdy lepiej trafić, niż ubiegając się o rękę Hiacynty Bridgerton!

Gdyby jednak ktoś zechciał się zastanowić nad liczbą i częstotliwością otrzymywanych przez Hiacyntę propozycji małżeńskich - bo ona sama do takich rozważań nigdy by się nie przyznała - mogłby dojść do mniej optymistycznych wniosków.

Trzy propozycje małżeńskie w pierwszym sezonie.

Dwie w drugim.

Jedna w ubiegłym roku.

Ostatnimi czasy-ani jednej.

Można by domniemywać, że Hiacynta coraz bardziej traci na popularności. Ale jeśli ktoś dokonałby tak idiotycznej oceny sytuacji, Hiacynta natychmiast ostro by go zaatakowała, wbrew faktom i logice.

I zapewne wyszłaby zwycięsko z tej dysputy. Bardzo rzadko udawało się komuś przechytrzyć, przegadać i przekonać o swej słuszności Hiacyntę Bridgerton!

Jednak - w rzadkich chwilach zadumy nad sobą - musiała przyznać, że liczba składanych jej propozycji matrymonialnych malała w zastraszającym tempie.

To bez znaczenia, myślała teraz, obserwując jak dziewczęta z rodziny Smythe-Smithów tłoczą się na podium, wzniesionym w przedniej części pokoju. I tak przecież nie przyjęłaby żadnej z owych sześciu propozycji. Trzy pochodziły od łowców posagów, dwie od skończonych durniów, a ostatnia od przeraźliwego nudziarza.

Lepiej zostać starą panną, niż związać się z kimś, kto może zanużyć nas na śmierć. Nawet matka Hiacynty, niepoprawna swatka, nie kwestionowała słuszności takiego spostrzeżenia.

Jeśli chodzi o ten sezon, bez propozycji matrymonialnych... No cóż, skoro brytyjscy dżentelmeni nie potrafią docenić inteligentnej kobiety, która wie, czego chce, to wyłącznie ich strata!

Lady Danbury łupnęła laską o podłogę i omal nie uderzyła Hiacynty w prawą stopę.

- Słuchajcie no! - zagadnęła nagle. - Nie widziałyście czasem mego wnuka?

- Jakiego wnuka? - spytała Hiacynta.

- Jakiego wnuka?! - powtórzyła z irytacją lady D. - Jedyne, którego mogę znieść!

Hiacynta była skonsternowana.

- Pan St. Clair ma tu dziś być?

- Masz prawo się dziwić. - Stara dama zachichotała. - Sama ledwie mogę w to uwierzyć. Odnoszę wrażenie, że zaraz olśni mnie niebiańska światłość, jak przy prawdziwym cudzie!

Penelopa skrzywiła się.

- Nie jestem pewna, ale to bluźnierstwo.

- Żadne bluźnierstwo! - osadziła bratową Hiacynta, nie spojrzawszy nawet na nią. - A więc pojawi się tu?

Lady Danbury uśmiechnęła się leniwie. Zupełnie jak zadowolony wąż.

- Czemu to aż tak cię interesuje?

- Plotki i skandale zawsze mnie interesują - odparła z zimną krwią Hiacynta. - Wszystko jedno, kogo dotyczą. Powinna już pani o tym wiedzieć, milady.

- Niech ci będzie - rzuciła lady Danbury opryskliwie, nie lubiła bowiem, gdy ktoś jej psuł szyki. - Mój wnuk zjawi się tu, bo go zaszantażowałam!

Hiacynta i Penelopa popatrzyły na nią i uniosły w górę brwi.

- No, dobrze... - Lady D. skapitulowała. - To nie był szantaż. Odwołałam się do jego uczuć wyższych.

- Oczywiście - mruknęła Penelopa, a Hiacynta w tym samym momencie stwierdziła:

- To brzmi znacznie bardziej prawdopodobnie.

Stara dama westchnęła.

- Chyba mu napomknęłam, że nie czuję się najlepiej...

Hiacynta spojrzała na nią z niedowierzaniem:

- Napomknęła mu pani?

- No dobrze, powiedziałam mu - przyznała hrabina.

- Musiała się pani porządnie natrudzić, żeby go tu ściągnąć - uważała Hiacynta z podziwem.

Lady Danbury, mająca niewątpliwe talent dramatyczny, potrafiła znakomicie manipulować ludźmi. Hiacynta starała się rozwinąć w sobie tę pożyteczną umiejętność.

- Chyba nigdy dotąd nie spotkałam pana St. Claira na wieczorku muzycznym - odezwała się Penelopa.

- Hmm - mruknęła lady D. - Za mało tu rozwiązłych kobiet, jak na jego gust!

Uwaga byłaby szokująca, gdyby padła z jakichkolwiek innych ust. Wygłosiła ją jednak lady Danbury... a Hiacynta, podobnie jak cały wielki świat, od dawna przywykła do zaskakującego sposobu wyrażania się tej damy.

Poza tym opinia starej hrabiny nad wyraz trafnie określała osobę, której dotyczyła.

Ulubionym wnukiem lady Danbury był osławiony Gareth St. Clair. Choć zapewne nie tylko własnym występkiem zawdzięcza fatalną reputację, pomyślała w duchu Hiacynta. W Londynie nie brakowało mężczyzn, którzy, podobnie jak Gareth, nie liczyli się z żadnymi względami przyzwoitości. Znalazłoby się tam również wielu niepokojąco przystojnych dżentelmenów. Jednak tylko Gareth St. Clair łączył w sobie obie te cechy.

Opinię miał naprawdę zaszarganą!

Był w wieku jak najbardziej odpowiednim do małżeństwa, ale ani razu - nigdy! - nie złożył wizyty żadnej przyzwoitej młodej damie. Z całą pewnością! Gdyby choć raz, w najbardziej dyskretny sposób, okazał zainteresowanie jakąś panienką, plotkarskie języki zaczęłyby mleć jak szalone. Hiacynta z pewnością dowiedziałyby się o tym od lady Danbury, która przepadała za plotkami jeszcze bardziej niż jej młoda przyjaciółka.

Poza tym, oczywiście, był jeszcze ten konflikt z ojcem... Wszyscy wiedzieli, że lord St. Clair i jego syn nie utrzymują kontaktów, choć nikt nie znał przyczyny takiego stanu rzeczy. Hiacynta uważała, że dobrze to świadczy o St. Clairach, iż nie wywlekają na forum publiczne rodzinnych waśni. Poznawszy ojca Garetha, przekonała się, jaki to gbur i była prawie pewna, że syn w całej tej sprawie nie ponosi żadnej winy.

Jednak cokolwiek o tym sądzić, rodzinna waśń dodawała jeszcze tajemniczego uroku charyzmatycznemu młodzieńcowi. Zdaniem Hiacynty, Gareth St. Clair stanowił wyzwanie dla dam z wielkiego świata. Żadna nie wiedziała, *co* o nim myśleć. Z jednej strony, troskliwe mamuśki starały się usunąć mu z drogi swoje pociechy, by ich nie skaził spojrzeniem; znajomość z nim odebrałaby szansę na znalezienie dobrej partii! Z drugiej strony, starszy brat Garetha zmarł tragicznie w młodym wieku - mniej więcej przed rokiem - i jedynie Gareth mógł odziedziczyć po śmierci ojca tytuł barona. To sprawiło, że skandalizujący przystojny i utytułowany kawaler stał się obiektem jeszcze większej fascynacji. W ubiegłym miesiącu Hiacynta widziała, jak pewna panna zemdłała - albo symulowała omdlenie - kiedy Gareth raczył się zjawić na balu u Bevelstoke'ów.

Było to doprawdy żenujące widowisko!

Hiacynta usiłowała wytłumaczyć głupiej smarkuli, że Gareth St. Clair pojawił się na balu tylko dlatego, że zmusiła go babka, ojciec zaś akurat wyjechał z Londynu. A poza tym wszyscy przecież wiedzieli, że Gareth zadaje się tylko ze śpiewaczkami operowymi czy aktorkami i z pewnością nie zainteresuje się żadną z dam obecnych na balu. Nie zdołała jednak przekonać małej histeryczki, która w końcu opadła na kanapę, przybierając podejrzenie malowniczą pozę.

Hiacynta pierwsza znalazła sole trzeźwiące i podsunęła je pod nos afektowanej dziewczynie. Doprawdy, niektóre sztuczki takich podfruwajek nie powinny być tolerowane w przyzwoitym towarzystwie!

Kiedy tak stała, trzeźwiącą obrzydliwie cuchnącymi wzyiewami z flakonika, spostrzegła, że bohater wieczoru obserwuje jej zabiegi z rozbawieniem.

Z takim samym, z jakim Hiacynta obserwowała figle małych dzieci albo psie harce.

Oczywiście ten - na szczęście przelotny - dowód zainteresowania ze strony Garetha St. Claira wcale jej nie pochlebił!

- Hmm!

Odwróciła się w stronę lady Danbury, która się rozglądała, wypatrując wnuka.

- Chyba go tu jeszcze nie ma - zauważyła Hiacynta, po czym mruknęła pod nosem ledwie dosłyszalnie: - Nikt dotąd nie zemdlał!

- Hm... Co mówiłaś?

- Powiedziałam, że chyba go tu jeszcze nie ma.

Lady D. zmrużyła oczy.

- Tę część zdania usłyszałam wyraźnie.

- Nic więcej nie mówiłam - zełgała bezczelnie.

- Kłamczucha!

Ponad ramieniem starej damy Hiacynta zerknęła na Penelopę.

- Widzisz, jak lady D. mnie traktuje?

Bratowa wzruszyła ramionami.

- Ktoś wreszcie powinien dać ci szkołę.

Stara hrabina uśmiechnęła się od ucha do ucha i powiedziała do Penelopy:

- A prawda! Muszę cię spytać... -Wykręcając karkołomnie szyję, zatrzymała wzrok na kwartecie smyczkowym. - Czy ta dziewczynka z wiolonczelą występowała też w zeszłym roku?

Penelopa smętnie pokiwała głową.

- O czym wy mówicie? - Hiacynta zmarszczyła brwi.

- Jeśli sama tego nie pojmujesz - odparła wyniośle lady Danbury - to znaczy, że nie zwracasz uwagi na to, co powinnaś. Wstydź się!

Hiacynta otworzyła usta ze zdumienia.

- No, no! - mruknęła tylko.

Mogłaby z równym powodzeniem nie wyrzec ani słowa, ale to nie w jej stylu. Nie móc połapać się w sytuacji to coś bardzo nieprzyjemnego. A jeszcze gorzej się czuła, nie wiedząc, za co jest strofowana... Przyjrzała się uważnie wiolonczelistce. Nie dostrzegłszy w niej nic

szczególnego, odwróciła głowę i już miała się do swych towarzyszek odezwać, ale te, pochłonięte rozmową, kompletnie ją ignorowały. To było nie do wytrzymania!

- Hmm! - Opadła na krzesło i mruknęła raz jeszcze: - Hmm!

- Powiedziała to pani zupełnie jak moja babcia.

Hiacynta podniosła wzrok. Gareth St. Clair! Zjawił się akurat teraz, gdy jest taka skonfundowana! A w dodatku jedyne wolne miejsce znajduje się obok niej.

- Właśnie! - wtrąciła z satysfakcją lady Danbury spojrzała na wnuka i stuknęła łaską w podłogę. - Niebawem całkiem cię wyruguję z mojego serca!

- Proszę mi zdradzić, panno Bridgerton - zagadnął St. Clair, unosząc kącik ust w ironicznym półuśmiechu. - Czy moja babka usiłuje panią ukształtować na swój obraz i podobieństwo?

Hiacynta nie miała na to gotowej odpowiedzi, co ją ogromnie zirytowało.

- Przesuń się jeszcze trochę dalej, Hiacynto! - burknęła lady D. - Muszę siedzieć obok Garetha.

Hiacynta odwróciła się, chcąc coś odpowiedzieć, ale hrabina uniemożliwiła jej to, kończąc swoją myśl:

- Ktoś musi go pilnować, żeby zachowywał się przyzwoicie!

Hiacynta sapnęła głośno i przesiadła się na następne krzesło.

- Mam cię wreszcie, mój chłopcze! - Lady D. z satysfakcją poklepała wolne miejsce obok siebie. - Siadaj i baw się dobrze!

Zmierzył ją przeciągłym spojrzeniem.

- Zapłacisz mi za to, babciu!

- Ha! - odparła. - Nie zapominaj, że gdyby nie ja, nie byłoby cię na świecie!

- Trudno temu zaprzeczyć - mruknęła Hiacynta.

St. Clair obrócił się do niej - być może tylko dlatego, żeby nie patrzeć na babkę. Hiacynta uśmiechnęła się uprzejmie, bardzo zadowolona, że nie dała po sobie poznać, jakie zrobił na niej wrażenie.

Gareth St. Clair zawsze przypominał jej lwa - gwałtownego, drapieżnego, pełnego nieujarzmionej energii. I te włosy, niczym lwia



grzywa, o trudnej do określenia barwie -jasnobrązowe, czy też ciemnozłote? Były długie - wbrew obowiązującej modzie - i splecione na karku w warkoczyk. Wydawało się, że ten wysoki, przystojny mężczyzna o wyrazistych rysach twarzy ma w sobie siłę atlety.

Oczy miał niebieskie. Naprawdę niebieskie. Niepokojąco niebieskie.

Niepokojąco? Hiacynta pokręciła głową. Co za idiotyczna myśl! Ona też ma niebieskie oczy. Cóż w tym niepokojącego?!

- Co panią przywiodło na ten wieczorek, panno Bridgerton? - spytał. - Nie sądziłem, że jest pani aż taką miłośniczką muzyki.

- Gdyby nią była - odezwała się lady D. zza pleców wnuka - uciekłyby stąd, gdzie pieprz rośnie!

- Babcia nie lubi być wyłączona z rozmowy - mruknął cicho, nie odwracając się. -Au!

- Oberwał pan laską? - Hiacynta o mało nie parsknęła śmiechem.

- Ona jest niebezpieczna dla otoczenia - burknął.

Przeglądała mu się z zainteresowaniem, gdy nie odwracając nawet głowy, sięgnął ręką za siebie, pochwycił mocno laskę i wyjął ją z babcinej garści.

- Proszę - powiedział, wręczając groźny rekwizyt Hiacyntcie. - Niech się pani tym zaopiekuje, dobrze? Babcia laska nie będzie potrzebna, póki siedzi.

Hiacynta była zdumiona. Nawet ona nie ośmieliłaby się zawładnąć berłem lady Danbury.

- Widzę, że wreszcie zrobiłem na pani wrażenie - stwierdził mężczyzna, spoglądając na nią nie bez satysfakcji.

Taką minę ma ktoś bardzo z siebie zadowolony.

- O tak! - odparła Hiacynta, zanim zdążyła się zreflektować. - To znaczy... nie! Z pewnością nie zrobił pan na mnie większego wrażenia niż zwykle.

- Jestem doprawdy zaszczycony - mruknął.

- Chciałam przez to powiedzieć, że niewiele mnie obchodzi, cokolwiek by pan uczynił.

Położył dłoń na sercu.

- Czuję się zraniony - odparł lekkim tonem. -I to głęboko!

Zacisnęła zęby. Nie znosiła być obiektem żartów, ale jeszcze gorsza była niepewność: kpi sobie z niej czy nie? Niemal każdego z londyńczyków, należących do wielkiego świata, przejrzała na wskroś. Jeśli jednak chodzi o Garetha St. Claira, po prostu nie wiedziała, co o nim myśleć.

Zerknęła ponad jego ramieniem w stronę Penelopy, żeby sprawdzić, czy bratowa podsłuchuje, choć nie miało to większego znaczenia. Pen jednak starała się na wszelkie sposoby ułagodzić lady Danbury, która nada! nie mogła przeboleć utraty laski.

Hiacynta wierciła się nerwowo, ściśnięta i osaczona. Siedzący po lewej monstrualny lord Somershall nie mieścił się na swoim krześle i pchał się na nią. Była więc zmuszona przesunąć się nieco w prawo, czyli bliżej Garetha St. Claira, od którego dosłownie buchało żarem.

Dobry Boże! Czyżby ten człowiek miał pod strojem wieczorowym butelki z gorącą wodą?!

Hiacynta zaczęła się dyskretnie wachlować programem wieczoru muzycznego.

- Czy pani słabo, panno Bridgerton? - spytał Gareth, spoglądając z niepojętym rozbawieniem.

- Oczywiście że nie - odparła. - Po prostu jest tu trochę za gorąco, nie sądzi pan?

Popatrzył na nią nieco dłużej, niżby sobie tego życzyła, zanim odwrócił się do lady Danbury.

- Nie jest ci zbyt gorąco, babciu? - spytał troskliwie.

- Ani trochę! - odparła żywo.

Zwrócił się znowu do Hiacynty i lekko wzruszył ramionami.

- Chyba tylko pani odnosi takie wrażenie.

- Zapewne!-rzuciła przez zaciśnięte zęby, nie patrząc na niego. Może jeszcze zdąży wymknąć się do damskiej toalety? Penelopa będzie wściekła, że ją opuściła. Ale czy można mówić o opuszczeniu, kiedy i tak rozdzielają je dwie osoby? Zresztą z łatwością wytłumaczy swój postępek zbyt bliskim sąsiedztwem lorda Somershalla. Nawet w tej chwili wierciła się na siedzeniu i trącała ją w sposób raczej nieprzypadkowy!

Przesunęła się znów trochę w prawo, zaledwie o cal, może nawet mniej. Tylko tego by brakowało, żeby zaczęła się tulić do Garetha St. Claira. Z drugiej jednak strony, napieranie zażywnego lorda Somershalla było nie do zniesienia

- Żle się pani czuje, panno Bridgeron? - zaniepokoił się znów St. Clair.

Pokręciła głową i - gdy już miała zerwać się z miejsca - rozległy się kłaśnięcia. A więc nic z tego.

Znów kłaśnięcie. I jeszcze raz. I jeszcze.

Hiacynta omal nie jęknęła głośno. Jedna z pań Smythe-Smith sygnalizowała właśnie, że koncert zaraz się rozpocznie. W tej chwili nie mogła już się ulotnić, nie wywołując skandalu.

Jedyną pociechą w udręce było to, że nie cierpiała samotnie. Gdy tylko panny Smythe-Smith wzięły do rąk smyczki i dotknęły nimi strun, Hiacynta usłyszała cichy jęk Garetha St. Claira i jego płynące prosto z serca westchnienie:

- Boże, zmiłuj się!

## 2

*Trzydzieści minut później gdzieś w pobliżu jakiś piesak zaczął rozpaczliwie wyć, nikt go jednak nie usłyszał w tej kakofonii dźwięków.*

Tylko dla jednej osoby na świecie Gareth był w stanie znieść taką mękę, słuchanie tego, pożał się Boże, koncertu. Dla swojej babki, lady Danbury.

- Nigdy więcej! - szepnął do niej, gdy coś, co miało być rzekomo utworem Mozarta, atakowało bezlitośnie jego uszy.

Potem nastąpiła straszliwa parodia Haydna, a po niej coś, co miało być, zdaje się, dziełem Haendla.

- Siedź spokojnie! - upomniała go szeptem.

- Moglibyśmy przynajmniej usiąść z tyłu. - utyskiwał.
- Żeby nas ominęła cała frajda?

Nie pojmował, jak można określić w ten sposób wieczór muzyczny Smythe-Smithów, ale babka żywiła chorobliwe upodobanie do tej koszmarnej dorocznej imprezy.

Jak zwykle, cztery młode przedstawicielki rodziny Smythe-Smithów popisywały się na podium: dwie na skrzypcach, jedna na wiolonczeli i jedna przy fortepianie. Za harmider, jaki wspólnie czyniły, można by im przyznać mistrzostwo.

- Masz szczęście, babciu, że cię kocham - rzucił jej szeptem przez ramię.

- Ha! - dotarła do niego odpowiedź, cicha lecz zadzierzysta.  
- To ty masz szczęście, że cię kocham!

Wreszcie - Bogu dzięki! - było już po wszystkim. Wykonawczy-  
nie skłaniały główki i dygały. Trzy z nich robiły wrażenie całkiem z siebie zadowolonych, ale jedna - ta z wiolonczelą - wyglądała tak, jakby chciała rzucić się z okna.

Gareth odwrócił się, gdy usłyszał westchnienie babki. Potrząsała głową z rzadkim u niej wyrazem współczucia. „Muzykalne” panienki z klanu Smythe-Smithów słynęły w całym Londynie. Każdy ich występ był -jakimś niepojętym sposobem -jeszcze gorszy od poprzedniego. Kiedy się myślało, że nie sposób już bardziej okaleczyć Mozarta, nowy zespół Smythe-Smithówien pojawiał się na scenie, by udowodnić, że owszem, można!

Były to jednak miłe panienki, przynajmniej tak mówiono, toteż babka Garetha - powodowana niesłychaną wielkodusznością - nalegała zawsze, by ktoś z rodziny siedział z nią w pierwszym rzędzie i bił brawo, gdyż, jak to ujęła, „większość z nich nie potrafi co prawda odróżnić słonia od fortepianu, ale zawsze ta jedna będzie się skręcać ze wstydu!”

Najwidoczniej stara dama, która nie wahała się oznajmić księciu krwi, że brak mu oleju w głowie, klaskała jak szalona ze względu na jedyną dziewczuskę z całej gromady Smythe-Smithów, niecałkowicie pozbawioną słuchu.

Babka skłoniła też audytorium do owacji na stojąco; Gareth po-  
dejrzał, że postąpiła tak wyłącznie dlatego, by odzyskać łaskę, któ-  
rą Hiacynta Bridgerton zwróciła jej bez słowa protestu.

- Zdrajczyni! - syknął do niej Gareth przez ramię.

- To pańskie nogi ucierpiały, nie moje - odpaliła.

Uśmiechnął się mimo woli. Hiacynta Bridgerton i bawiła go,  
i irytowała; trudno było jednak nie podziwiać jej bystrego umysłu.

Ta młoda panna, jak zdążył się zorientować, miała w towarzy-  
stwie ustaloną renomę. Najmłodsza z licznego rodzeństwa, noszą-  
cego imiona zgodnie z porządkiem alfabety, od A do H, uchodziła  
za dobrą partię. Nigdy nie padł na nią nawet cień skandalu, a rodziny  
i koneksji można by pozazdrościć. Poza tym nie brakowało jej uro-  
dy, choć trudno ją nazwać „eteryczną” czy „egzotyczną”. Miała gęste  
kasztanowe włosy i niebieskie, zadziwiająco inteligentne oczy. A co  
też nie bez znaczenia, szeptano, że najstarszy brat, lord Bridgerton,  
w ubiegłym roku powiększył jeszcze sumę posagową siostry, gdy  
dobięł kończącej trzeci londyński sezon, i nie otrzymała ani jednej  
propozycji małżeńskiej wartej zastanowienia.

Kiedy jednak Gareth zaczął o nią rozpytywać, nie dlatego, rzecz  
jasna, że był nią zainteresowany; chciał po prostu się dowiedzieć  
czegoś więcej o pannie, która lubiła spędzać czas w towarzystwie  
jego babki - każdy z jego przyjaciół był tym zaskoczony.

- Hiacynta Bridgerton? - zdumiał się jeden. - Chyba nie zamie-  
rzasz się z nią żenić? Musiałbyś upaść na głowę!

Inny stwierdził, że to okropna dziewczyna. Nikt wprawdzie nie  
żywił do niej wrogich uczuć, gdyż Hiacynta miała wiele uroku i dała  
się lubić, ale wszyscy twierdzili zgodnie, że obcowanie z nią to przy-  
jemność, której lepiej kosztować w niewielkich dawkach.

- Mężczyźni nie lubią kobiet mądrzejszych od siebie - zauważył  
jeden z bardziej rozgarniętych przyjaciół. - A Hiacynta Bridgerton  
na pewno nie jest idiotką!

Ta dziewczyna była młodszym wydaniem jego babki! Gareth za-  
uważył to niejednokrotnie. Ale choć nikogo w świecie nie ubóstwiał  
bardziej od babci Danbury, świata, jego zdaniem, wystarczał jeden  
taki egzemplarz.

- Niejesteś rad, żeś tu przyszedł? - spytała go stara dama, przekrzykując huczne brawa.

Żadne audytorium nie klaskało tak głośno, jak słuchacze po zakończeniu wieczoru muzycznego Smythe-Smithów. Byli tacy uradowani, że to się wreszcie skończyło!

- Nigdy więcej - powtórzył z determinacją Gareth.

- Ależ oczywiście! - zapewniła go babka i tylko pobłażliwa nutka w jej głosie zdradzała, że kłamie bezczelnie.

Gareth odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- W przyszłym roku musisz sobie znaleźć kogoś innego do towarzystwa.

- Ani mi w głowie nie powstało prosić cię znowu o tę przysługę!  
- zapewniła go.

- Kłamiesz, paniusiu!

- Jak ty się zwracasz do ukochanej babuni?! - Pochyliła się ku niemu i spytała konspiracyjnym szeptem: - Jak się tego domyśliłeś?

Zerknął na laskę, która nawet nie drgnęła w jej ręku.

- Ani razu nią nie machnęłaś, odkąd wycyganiłaś ją podstępem od panny Bridgerton.

- Bzdury! - odparła stara dama. - Panna Bridgerton jest zbyt inteligentna, by można było coś od niej wycyganić. Nieprawdaż, Hiacynto?

Hiacynta pochyliła się do przodu, by dostrzec ukrytą za potężną postacią wnuka hrabinę.

- Słucham?

- Powiedz tylko „tak” - namawiała lady D. - To go zirytuje!

- W takim razie oczywiście „tak” - potwierdziła z uśmiechem.

- I musisz wiedzieć - kontynuowała babka, jakby ta groteskowa wymiana zdań w ogóle nie miała miejsca - że posługuję się moją laską niezwykle rozważnie.

Gareth spojrzał na nią wymownie.

- Prawdziwy cud, że jeszcze nie straciłem nogi.

• • ' - Prawdziwy cud, że jeszcze nie straciłeś uszu, drogi chłopcze!  
- odparła protekcjonalnym tonem.

- Uważaj, bo znów ci ją odbiorę - ostrzegł.

- Nie odbierzesz!-Pokręciła głową, śmiejąc się.-Idziemy z Penelopą napić się lemoniady. Ty dotrzymaj towarzystwa Hiacyncie.

Odprowadził je wzrokiem, po czym odwrócił się do Hiacynty, która rozglądała się po pokoju, lekko mrużąc oczy.

- Kogo pani wypatruje?

- Nikogo. Po prostu badam otoczenie.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Często bawi się pani w detektywa?

- Tylko wtedy, gdy mam na to ochotę. - Wzruszyła ramionami.

- Lubię wiedzieć, co się dzieje -wokół mnie.

- Czyżby działo tu się coś szczególnego?

- Nie sądzę. - Zmrużyła znów oczy, obserwując dwie osoby w odległym kącie, które zażarcie ze sobą dyskutowały. - Ale nigdy nic nie wiadomo.

Miał ochotę energicznie pokręcić głową. Doprawdy, osobliwa kobieta!

Obejrzał się na podium.

- Nic nam już chyba nie zagraża?

Hiacynta odwróciła się wreszcie. Jej niebieskie oczy spojrzały na niego z niezwykłą bezpośredniością.

- Chodzi panu o to, czy koncert ostatecznie dobiegł końca?

- Właśnie.

Zmarszczyła czoło i Gareth dopiero teraz spostrzegł kilka piegów na jej nosie.

- Chyba tak - odparła. - Nigdy dotąd nie było antraktu.

- Dzięki Bogu! - odparł z ulgą. - Po co oni w ogóle to robią?

- Ma pan na myśli Smythe-Smithów?

- Oczywiście.

Milczała przez chwilę, potem pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Można by pomyśleć...

Cokolwiek zamierzała powiedzieć, najwyraźniej zmieniła zdanie.

- Nieważne.

- Proszę powiedzieć - nalegał, zaskoczony swoją ciekawością.

- To nic istotnego. Tyle tylko, że do tej pory ktoś powinien im uświadomić... ale teraz... - Rozejrzała się po pokoju. - Ostatnimi

czasy frekwencja wyraźnie spadła. Pozostali już tylko miłośnicy samarytan.

- Siebie również pani do nich zalicza, panno Bridgerton?

Popatrzyła na niego intensywnie błękitnymi oczyma.

- Sama nigdy bym siebie tak nie określiła, ale chyba istotnie do nich należę. Pańska babka również, choć wypierałaby się tego do ostatniego tchu!

Gareth roześmiał się. Patrzył na swoją babcię, która właśnie trzepnęła laską po nodze księcia Ashburtona.

- O, bez wątpienia!

Po śmierci starszego brata, George'a, babka była jedyną osobą, którą Gareth naprawdę kochał. Kiedy ojciec wypędził go z domu, chłopak udał się do Danbury House w hrabstwie Surrey i opowiedział babce, co się stało. Pomiął milczeniem tylko sprawę swojego nieślubnego pochodzenia.

Co prawda, zawsze podejrzewał, że lady Danbury wydałaby okrzyk radości na wieść o tym, że ukochany wnuk nie ma nic wspólnego z St. Clairami. Nigdy nie lubiła swojego zięcia i nazywała go „pompatycznym osłem”. Gdyby jednak wyznał babce całą prawdę, wyszłoby na jaw, że jego matka, najmłodsza córka hrabiny Danbury, była cudzołożnicą. Gareth nie chciał zniesławić w ten sposób jej pamięci.

O dziwo, ojciec - zabawne, ale Gareth nawet teraz tak go nazywał w myśli - nigdy oficjalnie nie wyparł się młodszego syna. Z początku nie dziwiło to Garetha. Lord St. Clair był dumnym człowiekiem i z pewnością nie miał ochoty przyznawać się do tego, że przyprawiono mu rogi. A poza tym pewnie nadal łudził się, że w końcu złamie Garetha i nagnie go do swojej woli. Może nawet zmusi do poślubienia Mary Winthrop i podreperuje w ten sposób finanse St. Clairów?

Jednak George w wieku dwudziestu siedmiu lat zapadł na jakieś okropne, wyniszczające choróbko i zmarł, nie doczekawszy trzydziestki.

Nie pozostawił po sobie syna.

Skutkiem tego Gareth stał się spadkobiercą barona i znalazł się w fatalnym położeniu. Od jedenastu miesięcy żył w ciągłym napię-



ciu. Ojciec prędzej czy później ogłosi, że Gareth nie jest jego synem. Z pewnością baron, którego ulubionym zajęciem, prócz polowania i hodowli psów myśliwskich, było rozpatrywanie drzewa genealogicznego St. Clairów, który potrafił wyliczać swych przodków od czasu Plantagenetów\*, nie dopuści do tego, by tytuł i rodowe włości odziedziczył bękart niewiadomego pochodzenia!

Zdawał sobie sprawę, że jedynym sposobem, w jaki baron mógłby dopiąć swego, było poinformowanie o zaistniałej sytuacji Komitetu Przywilejów Izby Lordów i przedstawienie świadków nieprawego pochodzenia Garetha. Będzie to z pewnością odrażająca rozprawa, która jednak może nie przynieść oczekiwanego skutku. W chwili urodzenia drugiego syna matka Garetha była nadal ślubną żoną barona, a to czyniło chłopca w oczach prawa legalnym potomkiem Claira, bez względu na to, kto był ojcem biologicznym.

Wywołałoby to jednak skandal i prawdopodobnie Gareth stałby się pariasem w wielkim świecie. Nie brakowało co prawda arystokratów, którzy zawdzięczali nazwisko i swoje życie dwóm całkiem różnym dżentelmenom, ale wyższe sfery nie lubiły o tym mówić. W każdym razie nie oficjalnie.

Na razie jednak ojciec nie wyjawiał nic.

Gareth się zastanawiał, czy baron nie zwleka głównie z tego powodu, żeby go jeszcze bardziej udręczyć.

Spojrzał teraz przez cały pokój na swoją babkę, która odbierała szklankę lemoniady od Penelopy - tę potrafiła skłonić do spełnienia każdej zachcianki. Agatha, lady Danbury, uważana była za kapryśną dziwaczkę - nawet przez osoby żywiące do niej sympatię. Obracała się w kręgach towarzyskich najwyższych sfer, podobna do groźnej lwicy, nieposkromiona w słowach, gotowa kpić z wszelkich uznanych autorytetów... a niekiedy i z siebie samej. Była jednak - mimo swych cierpkich uwag - niezłomnie lojalna wobec tych, których kochała. A wśród nich Gareth zajmował bez wątpienia pierwsze miejsce.

\* Dynastia władająca Anglią od potowy XII do końca XIV wieku - (przyp. tłum.).

Kiedy zjawił się u niej i oznajmił, że ojciec wypędził go z domu, była wściekła; nigdy jednak nie próbowała zmusić lorda St. Claira, by przyjął syna pod swój dach.

- Ha! - powiedziała tylko. - Wolę sama się tobą zająć!

I tak się stało. Opłaciła studia Garetha w Cambridge, a gdy skończył uczelnię - co prawda nie z pierwszą lokatą, ale z całkiem dobrym wynikiem - powiadomiła wnuka, że matka pozostawiła mu niewielki spadek. Gareth nie miał pojęcia, że matka posiadała w ogóle jakiś majątek, którym mogłaby dysponować, ale lady Danbury skrzywiła tylko usta w uśmiechu.

- Myślisz, że dopuściłabym do tego, by ten dureń przejął całkowitą kontrolę nad jej pieniędzmi? To ja ustalałam warunki umowy małżeńskiej, rozumiesz!

Gareth uwierzył jej bez zastrzeżeń.

Spuścizna po matce dawała mu niewielki dochód, dzięki czemu stać go było na kawalerskie mieszkanko i całkiem wygodne życie.

Nie mógł pozwolić sobie na szastanie pieniędzmi, ale wystarczało, by nie czuł się darmozjadem na garnuszku u babki. Przekonał się ze zdumieniem, że poczucie własnej niezależności znaczy dla niego więcej, niż przypuszczał.

Nieoczekiwane przejęcie odpowiedzialności za własne losy mogło się okazać bardzo przydatne, gdyby odziedziczył po baronie tytuł, a wraz z nim kupę ojcowskich długów. Lord St. Clair najwyraźniej kłamał, zapewniając Garetha, że stracą wszystko, co nie zostało objęte majoratem, o ile nie poślubi Mary Winthrop, ale nie ulegało wątpliwości, że fortuna St. Clairów była niewielka, mówiąc bardzo oględnie. Co więcej, wiele wskazywało, że baron z premedytacją usiłuje do reszty zrujnować rodzinne dobra.

Gareth podejrzewał, że ojciec naprawdę nie zamierza obwieścić światu haniebnego tajemnicy jego pochodzenia. Cóż by to była za bajeczna zemsta: przywalić go lawiną własnych kolosalnych długów!

Doskonale wiedział, a co więcej, czuł niemal każdą komórką ciała, że baron nie życzy mu szczęścia.

Nie prowadził zbyt bujnego życia towarzyskiego, ale londyński wielki świat nie był wcale wielki, toteż nie zawsze syn mógł uniknąć

kontaktów z ojcem. A lord St. Clair nigdy nie krył swojej wrogości wobec niego.

Garethowi też niełatwo przychodziło maskowanie swoich uczuć. W obecności ojca mimo woli powracał zawsze do dawnych nawyków i prowokował barona, doprowadzając go do wściekłości. Ot, choćby ostatnim razem, gdy się zetknęli na gruncie towarzyskim, Gareth najpierw stał się przesadnie wesoły i hałaśliwy, potem ostentacyjnie obściskał w tańcu pewną znaną z lekkich obyczajów „wesołą wdówkę”.

Lord St. Clair poczerwieniał jak burak i syknął coś w rodzaju: „Niczego dobrego nie można się po nim spodziewać!” Gareth nie był jednak pewny, do czego ojciec czyni aluzję, zwłaszcza że baron był pijany. Jedno wszakże nie ulegało wątpliwości:

Prędzej czy później bomba wybuchnie. W najmniej spodziewanym momencie, czy też w najbardziej sprzyjających temu okolicznościach. Przede wszystkim jednak groziło to wówczas, gdyby syn próbował dokonać zmiany w swoim życiu, wznieść się wyżej.

Tak, właśnie wtedy baron uderzy. Na pewno.

I cały jego świat rozpadnie się w gruzy.

- Panie St. Clair?

Gareth zamrugał oczami i spojrzał na Hiacyntę Bridgerton. Uświadomił sobie ze wstydem, że zaabsorbowany swoimi sprawami zupełnie o niej zapomniał.

- Najmocniej przepraszam! - wymamrotał, obdarzając ją swobodnym, leniwym uśmiechem, którym potrafił udobruchać każdą kobietę. - Myślałem o niebieskich migdałach.

Uśmiechnęła się, wyraźnie wbrew swojej woli, ale Gareth uznał, że i tak odniósł sukces. W dniu, gdy nie zdoła rozbroić kobiety uśmiechem, powinien dać za wygraną i zaszyć się gdzieś na końcu świata.

- W normalnych warunkach - powiedział, jako że sytuacja skłaniała do salonowej konwersacji - spytałbym, jak podobał się pani występ; teraz jednak wydaje mi się to niemądrym, okrutnym żartem.

Poprawiła się dyskretnie na krześle, co wzbudziło jego zainteresowanie. Dziewczętom od najmłodszych lat wbijano do głów, że absolutnie nie wypada się wiercić! Gareth poczuł żywszą sympatię

do swojej rozmówczyni, gdy zorientował się, że rozpiera ją energia, a może ponoszą nerwy. Podobnie on sam nie mógł się niekiedy powstrzymać od bezwiednego bębnienia palcami po stole.

Przypatrywał się uważnie Hiacyncie, czekając na jakąś odpowiedź. Ona jednak spoglądała tylko z lekkim zażenowaniem. W końcu pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- Panie St. Clair?

Gareth również pochylił się w jej stronę i pytająco uniósł brew.

- Panno Bridgerton?

- Miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy się przeszli po pokoju?

Prawie niedostrzegalnym ruchem głowy wskazała na sąsiada z lewej. Lord Somershall wiercił się na krześle, a jego potężna postać coraz to ocierała się o Hiacyntę.

- Ależ oczywiście! - oświadczył rycersko Gareth; zerwał się i podał jej ramię. - Honor nakazywał mi ratować z opresji lorda Somershalla, pani rozumie - powiedział, gdy oddalili się o kilka kroków.

Zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

- Słucham?!

- Gdybym miał zwyczaj się zakładać - odparł - tobym postawił na panią przeciwko niemu, cztery do jednego!

Przez ułamek sekundy wydawała się zdezorientowana. Potem jej twarz rozjaśnił uśmiech zadowolenia.

- Ale pan nie ma zwyczaju się zakładać?

Wybuchnął śmiechem.

- Przede wszystkim nie mam na to pieniędzy - wyznał szczerze.

- To nie powstrzymałoby od zakładów większości mężczyzn!

- Ani kobiet - dodał z lekkim skinieniem głowy.

- *Touchel* - mruknęła, rozglądając się po pokoju. - Kobiety też nęka demon hazardu, nieprawdaż?

- A pani, panno Bridgerton? Lubi się pani zakładać?

- Oczywiście! - odparła, zaskakując go otwartością. - Ale tylko wtedy, gdy jestem pewna wygranej.

Roześmiał się.

- Może to dziwne - powiedział, gdy szli w stronę stołu zastawionego napojami chłodzącymi - ale całkiem w to wierzę.

- I powinien pan! Wystarczy spytać kogokolwiek z moich znajomych.

- Znów mnie pani zraniła boleśnie - stwierdził z niezwykle ujmującym uśmiechem. - Miałem nadzieję, że i ja się do nich zaliczam.

Hiacynta zrobiła przerażoną minę, nie znajdując odpowiedzi. Gareth podał jej szklanekę lemoniady.

- Proszę to wypić. Wygląda pani na bardzo spragnioną.

Zaśmiał się cicho, gdy spiorunowała go wzrokiem znad szklanki, skutkiem czego zdwoiła wysiłki, by porazić go morderczym spojrzeniem.

Jest w tej dziewczynie coś niesłychanie frapującego, pomyślał Gareth. Bystra, niezwykle bystra, a ta minka i sposób bycia dowodzą, że zna swoją wartość. Nie brakuje jej przy tym wdzięku i, prawdę mówiąc, jest na swój sposób oryginalna, po prostu urocza! Doszedł do wniosku, że przywykła wyrażać otwarcie swoje zdanie, żeby w ogóle zostać dostrzeżona przez resztę rodziny. Była w końcu najmłodsza z ośmiorga rodzeństwa!

Tym większą jednak sprawiało Garethowi uciechę wprawianie tej pewnej siebie dziewczyny w zakłopotanie. Wspaniała zabawa! Aż dziw, że nie wpadł na to wcześniej.

Przyglądał się jej bacznie, gdy odstawiła szklanekę.

- Proszę mi powiedzieć, panie St. Clair, jak pańska babka zdołała skłonić pana do przybycia tu?

- Nie wierzy pani, że uczyniłem to z własnej woli?

Hiacynta uniosła jedną brew. Zaimponowało mu to. Nigdy jeszcze nie widział kobiety, która potrafiłaby tego dokonać.

- No, dobrze - skapitulował. - A zatem: ręce jej zaczęły drżeć, wspomniała coś o wizycie u lekarza i chyba westchnęła...

- Tylko raz?

Jego brew poszybowała do góry.

- Jestem ulepiony z twardszej gliny, niż się pani zdaje, panno Bridgerton. Złamanie mnie zajęło jej co najmniej pół godziny.

Hiacynta skinęła głową.

- Jest pan naprawdę dobry!

Pochylił się ku niej z uśmiechem.

- Pod wieloma względami - szepnął.

Splonęła rumieńcem, co bardzo mu się spodobało. Po chwili odpowiedziała:

- Ostrzegano mnie przed takimi jak pan.

- Mam nadzieję.

Roześmiała się.

- Ale nie sądzę, żeby pan był aż taki groźny, jak się panu zdaje!

Pochylił głowę na bok.

- A to dlaczego?

Przygryzła dolną wargę, starannie dobierając słowa.

- Jest pan stanowczo za dobry dla swojej babki.

- Niektórzy by powiedzieli, że to ona jest zbyt dobra dla mnie.

- O, wielu już to mówi! - odparła, wzruszając ramionami.

Zakrztusił się lemoniadą.

- Rąbie pani ludziom prawdę prosto w oczy, co?

Hiacynta spojrzała przez cały pokój na Penelopę i lady Danbury, nim odwróciła się znów do niego.

- Staram się być słodka i powściągliwa, ale jakoś mi to nie wychodzi. Pewnie dlatego do tej pory jestem niezamężna.

Uśmiechnął się.

- Z pewnością nie dlatego.

- Słowo daję - zapewniła go solennie, choć nie ulegało wątpliwości, że Gareth pokpiwa sobie z niej. - Mężczyzn trzeba chwycić w pułapkę i ciągnąć do ołtarza, nawet jeśli nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. A ja się do tego zupełnie nie nadaję.

Uśmiechnął się szeroko.

- Chce pani powiedzieć, że nie jest podstępna ani chytra?

- Ależ jestem, jestem! - przyznała. - Tylko brak mi subtelności.

- Ach tak... - mruknął, a Hiacynta jakoś nie mogła się połapać, czy irytuje ją to, że przytaknął, czy nie.

- Ale proszę mi powiedzieć - ciągnął - bo bardzo mnie to ciekawi: czemu pani uważa, że mężczyzn trzeba przemocą zmuszać do małżeństwa?

- A pan by dobrowolnie pomaszerował do ołtarza?

- No nie, ale...

- A widzi pan! Wyszło na moje.

I od razu poczuła się znacznie lepiej.

- A fe, panno Bridgerton - skarcił ją. - To nie było ładnie ani uczciwie, przerywać mi w pół słowa!

Przechyliła głowę na bok.

- Naprawdę miał pan coś interesującego do powiedzenia?

- Zazwyczaj bywam interesujący - mruknął.

- Usiłuje mnie pan wprowadzić w zakłopotanie.

Nie wiedziała, skąd się bierze w niej ta nagła zadziorność. Nie była nieśmiała, nie udawała skromności... i nigdy nie brakowało jej rozsądku. A Gareth St. Clair nie należał z pewnością do mężczyzn, których można bezkarnie drażnić! Igrała więc z ogniem, ale nie mogła się powstrzymać. Zupełnie jakby każde jego słowo stanowiło dla niej wyzwanie, a ona wytestowała wszystkie siły, by mu sprostać.

Jeśli było to coś w rodzaju pojedynku, koniecznie chciała zwyciężyć.

A jeżeli któraś z jej słabostek mogła okazać się niebezpieczna, to przede wszystkim ta.

- Panno Bridgerton, myślę, że nie zlekłaby się pani samego diabła!

Zmusiła się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- To nie miał być komplement, prawda?

Schylił się, ujął jej dłoń i musnął palce leciutkim pocałunkiem.

- Tego już pani sama musi się domyślić.

Gdyby ich teraz ktoś obserwował, uznałby Garetha za wzór dobrego wychowania, lecz Hiacynta dostrzegła błysk wyzwania w jego spojrzeniu. Nagle zabrakło jej tchu i dreszcz przebiegł po skórze. Rozchyliła wargi, ale nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa. Mogła jedynie wciągnąć w płuca powietrze, a i z tym miała kłopoty.

Potem Gareth wyprostował się, jakby nigdy nic, i powiedział:

- Chciałbym bardzo wiedzieć, do jakiego wniosku pani doszła.

Patrzyła na niego zdezorientowana.

- Chodzi o ten komplement nie komplement - wyjaśnił. - Jestem pewny, że zechce mnie pani oświecić, co naprawdę sądzę o pani?

Milczała.

- Czyżby odebrało pani mowę? Co za triumf dla mnie!

- Pan...

- Nie, nie! - zaprotestował unosząc rękę takim gestem, jakby zamierzał położyć jej palec na ustach. - Niechże pani tego nie psuje! To taka wyjątkowa chwila!

Mogła przecież coś powiedzieć. Powinna była coś powiedzieć! Ale stała tylko jak skończona idiotka. Po prostu nie poznawała samej siebie.

- A zatem do zobaczenia, panno Bridgerton - powiedział cicho. I już go nie było.

### 3

*Trzy dni później, nasz bohater się przekonuje, że od przeszłości nigdy nie można się uwolnić.*

Jakaś dama pragnie się widzieć z panem, sir.

Gareth podniósł głowę znad biurka, potężnego mahoniowego mebla, który zajmował niemal połowę niewielkiego gabinetu.

- Jakaś dama?

Nowo przyjęty lokaj skinął głową.

- Utrzymuje, że jest pańską bratową, sir.

- Caroline? Wprowadź ją tu. Natychmiast!

Wstał na powitanie bratowej. Nie widział jej od wielu miesięcy. Prawdę mówiąc, spotkali się tylko raz od pogrzebu George'a. Bóg świadkiem, że nie była to podnosząca na duchu uroczystość. Do dojmującego bólu, który trapił go po śmierci brata, dochodziło jeszcze nieustanne napięcie; przez cały czas jak mógł, unikał ojca.



Lord St. Clair zażądał od swego pierworodnego, by zerwał wszelkie kontakty z Garethem, ale George nigdy nie wyrzekł się młodszego brata. Pod każdym innym względem był posłuszny ojcu, ale nie w tej sprawie. Gareth pokochał go za to jeszcze bardziej. Baron nie życzył sobie również, by Gareth uczestniczył w pogrzebie, ale gdy mimo to zjawił się w kościele, baron nie chciał wywoływać skandalu, wyrzucając go siłą.

- Gareth?

Odwrocił wzrok od okna, w które się wpatrywał, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Witaj, Caroline - przywitała ją ciepło. - Jak się miewasz?

Wzruszyła ramionami z rezygnacją. Pobrali się z George'em z miłości. Gareth nigdy jeszcze nie widział na niczyjej twarzy takiej rozpacz, jaką dostrzegł w oczach Caroline podczas pogrzebu męża.

- Wiem, jak ci ciężko - powiedział cicho.

Jemu również brakowało George'a. Byli całkiem do siebie niepodobni: George roztropny i poważny a on dziki, nieposkromiony... Łączyły ich jednak nie tylko więzy krwi, ale i przyjaźni. Gareth lubił myśleć, że uzupełniali się nawzajem. Ostatnio doszedł do wniosku, że powinien się nieco ustatkować, i pragnął, by duch brata pokierował jego poczynaniami.

- Przeglądałam rzeczy George'a. I znalazłam coś, co należy chyba do ciebie.

Sięgnęła do torby i wyjęła niewielką książeczkę.

- Jakoś nie poznaję. Co to takiego? - spytał.

- Nic dziwnego - odparła Caroline, podając mu tomik. - To należało do matki waszego ojca.

„Do matki waszego ojca...” Gareth omal nie skrzywił się boleśnie. Caroline nie miała pojęcia, że szwagier nie jest w rzeczywistości St. Clairem. Co się tyczy George'a, to nie był pewien, czy brat doiedział się prawdy. Jeśli nawet, to nigdy o tym nie wspomniał.

Książka była niewielka, oprawna w brązową skórę. Wąski rzemyk łączył ze sobą obie okładki, broniąc dostępu do wnętrza. Gareth rozpiął skórzany guziczek i otworzył książkę ostrożnie, by nie uszkodzić pożółkłych kartek.

- Ależ to pamiętnik! - powiedział ze zdziwieniem. I mimo woli uśmiechnął się: wszystkie zapiski były po włosku.

- Nie miałam pojęcia o jego istnieniu - mówiła Caroline. - Odkryłam go kilka dni temu w biurku George'a. Nigdy nie wspominał o tej pamiętce.

Gareth spojrzął na pamiętnik, na niezrozumiałe słowa wypisane niezwykle starannie. Matka jego ojca pochodziła z arystokratycznej włoskiej rodziny. Garetha zawsze zdumiewało, że ojciec był półkrwi Włochem. Baron niezdolnie pysznił się tym, że należy do rodu St. Clairów, i chlubił się przodkami, którzy przybyli do Anglii w czasie inwazji Normanów. Nigdy nie słyszał, by ojciec wspominał o swych włoskich korzeniach.

- Znalazłam też notatkę George'a, w której polecił przekazać ci tę rodzinną pamiętkę.

Gareth spojrzął znów na książeczkę i zrobiło mu się ciężko na sercu. Jeszcze jeden dowód na to, że George nie miał pojęcia, iż byli tylko przyrodni braćmi. Garetha w istocie nie łączyło pokrewieństwo z Isabellą Marinzoli St. Clair i nie miał żadnego prawa do pamiętek po niej.

- Musisz znaleźć kogoś, kto ci to przetłumaczy. - Caroline patrzyła na niego ze smutnym uśmiechem. - Ciekawe, o czym pisała wasza babka? George zawsze wyrażał się o niej bardzo ciepło.

Gareth skinął głową. On również wspominał czule włoską babcię, choć nie spędzili razem wiele czasu. Lord St. Clair nie był w najlepszych stosunkach ze swoją matką, toteż lady Isabella nie odwiedzała ich zbyt często. Zawsze jednak okazywała wiele przywiązania swoim *due ragazzi*, jak nazywała wnuczków, i Gareth dobrze pamiętał, jak bardzo wstrząsnęła nim wiadomość o jej śmierci. Miał wówczas siedem lat. Jeśli wzajemne przywiązanie jest równie ważne jak więzy krwi, to może lepiej, że pamiętnik babki trafił właśnie do jego rąk.

- Zobaczę, co da się zrobić - powiedział do bratowej. - Nie powinno być trudności ze znalezieniem tłumacza.

- Nie powierzyłabym tego pierwszemu lepszemu - zauważyła Caroline. - To w końcu pamiętnik twojej babki. Jej najbardziej osobiste myśli.

Gareth przyznał jej rację. Musi powierzyć przetłumaczenie pamiętnika komuś godnemu zaufania. Dobrze wiedział, od czego rozpocząć poszukiwanie odpowiedniej osoby.

- Pokażę pamiętnik babci Danbury - stwierdził nieoczekiwanie, ważąc książeczkę w rękę. - Ona będzie wiedziała, co z tym począć.

Z całą pewnością, dodał w duchu. Babcia lubiła powtarzać, że zna się na wszystkim. I, co jeszcze bardziej irytujące, przeważnie miała rację.

- Powiadom mnie, gdybyś natrafił na coś ważnego - poprosiła Caroline, zmierzając do drzwi.

- Oczywiście - mruknął, choć już jej nie było.

Spojrzał na pierwszą stronę pamiętnika. *10 Settembre, 1793...*

Pokręcił głową i uśmiechnął się. Wyglądało na to, że cała jego spuścizna po St. Clairach ograniczy się do pamiętnika, którego nawet nie potrafił sam przeczytać.

Co za ironia losu!

*A tymczasem w pewnym salonie, niezbyt daleko...*

- Co takiego? - zaskrzeczała lady Danury. - Czytaj głośniej!

Hiacynta opuściła rękę z książką, którą właśnie czytała, i zamknęła ją, przytrzymując palcem stronę, na której przerwała lekturę. Lady Danbury lubiła od czasu do czasu udawać głuchą. Zdarzało się to zawsze, ilekroć dotarli do szczególnie emocjonującego fragmentu jednej z sensacyjnych powieści, za którymi stara dama przepadała.

- Czytałam właśnie - wyjaśniła Hiacynta, spoglądając lady Danbury prosto w twarz - ..że nasza czarująca heroina oddychała z trudem... Nie, nie! Zaraz sprawdzę. A właśnie: oddychała gwałtownie, pozbawiona tchu. - Podniosła oczy znad książki. - Oddychała i równocześnie była pozbawiona tchu?!

- Drobnostka!

Hrabina zbyła sprawę machnięciem ręki.

Hiacynta zerknęła na okładkę.

- Czyżby angielski nie był ojczystym językiem autorki?

- Czytaj dalej! - ponagliła ją stara dama.

- Proszę bardzo. A zatem: *Ujrawszy, że zbliża się ku niej lord Savagewood, panna Zarozumiała pomknęła jak wicher...*

Lady Danbury zmrużyła oczy.

- Jaka znowu Zarozumiała?! Ona się wcale tak nie nazywała!

- A powinna! - mruknęła Hiacynta.

- No cóż... może i masz słuszość - przytaknęła lady D. - Ale to nie my napisałyśmy tę historię, więc nic nie zmieniaj, dobrze?

Hiacynta Odkaslnęła i znów znalazła właściwy ustęp w tekście.

- *Był jednak coraz bliżej i panna Pierzchałska...*

- Hiacynta!

- Panna Butterworth - poprawiła się niechętnie lektorka - czy jak jej tam, pobiegła w kierunku nadbrzeżnych skał. Koniec rozdziału.

- Nadbrzeżnych skał? Znowu?! Czyż nie biegła tam pod koniec poprzedniego rozdziału?

- Widocznie do skał było daleko.

Lady Danbury zmrużyła znów oczy.

- Nie wierzę! Coś przekręciłaś!

Hiacynta wzruszyła ramionami.

- To prawda, że chętnie bym panią okłamała, by uwolnić się od tych szczegółowych relacji z wyjątkowo burzliwego życia Priscilli Butterworth, ale tak się akurat składa, że powiedziałam szczerą prawdę. - Nie otrzymawszy odpowiedzi, Hiacynta wyciągnęła otwartą książkę w stronę starej damy i zaproponowała: - Może pani sama sprawdzi?

- Nie, nie! - odparła lady D., ostentacyjnie machając rękoma. - Wierzę ci, bo nie mam innego wyjścia!

- Czyżby zawodził panią także wzrok, nie tylko słuch?

- Nie o to chodzi! - Lady D. westchnęła, przykładając drżącą rękę do czoła. - Ćwiczę po prostu sceny dramatyczne.

Hiacynta się roześmiała.

- To wcale nie żarty! - mówiła hrabina zwykłym, ostrym tonem. - Uważam, że warto by dokonać jakiejś zmiany w moim życiu. A na scenie poradziłabym sobie lepiej niż większość tych, pożał się Boże, profesjonalnych aktorek!

- Jaka szkoda - zauważyła Hiacynta - że w teatrze nie odczuwa się jakoś specjalnego popytu na podstarzałe hrabiny!

- Gdyby mi to powiedział ktoś inny - oświadczyła lady D., walcąc laską w podłogę, mimo że siedziała całkiem wygodnie w fotelu

- uznałabym to za zniewagę!

- Ktoś inny? A ja nie? - Hiacynta udawała rozczarowanie.

Stara dama zachichotała.

- Wiesz, czemu tak cię lubię, Hiacynto?

Dziewczyna pochyliła się ku niej.

- Umieram z ciekawości!

Pomarszczona twarz lady D. rozciągnęła się w uśmiechu.

- Ponieważ jesteśmy podobne do siebie jak dwie krople wody, moja droga!

- Gdyby powiedziała to pani komuś innemu, z pewnością przeczytałby to za zniewagę!

Szczupłe ciało lady D. trzęsło się ze śmiechu.

- Ale nie ty?

Hiacynta pokręciła głową.

- Ale nie ja.

- To doskonale! - Lady Danbury obdarzyła swą rozmówczynię niemal macierzyńskim uśmiechem, po czym spojrzała na zegar na obramowaniu kominka. - Starczy nam jeszcze czasu na następny rozdział!

- Ustaliśmy przecież: w każdy wtorek czytamy jeden rozdział.

- Hiacynta opierała się przede wszystkim z przekory.

Usta lady Danbury zacisnęły się w wojowniczą linię.

- Znakomicie! - Zerknęła chytrze na Hiacyntę. - Pogadamy, o czymś innym.

O Boże!...

- Powiedz no mi, moja droga - zaczęła stara dama, pochylając się ku niej - jak się ostatnio przedstawiają twoje widoki na przyszłość?

- Zupełnie jakbym słyszała moja matkę - zauważyła słodko Hiacynta.

- To dla mnie największy komplement - odparowała lady D.

- Czuję wielką sympatię do twojej matki... a niewiele jest osób, które naprawdę lubię!

- Nie omieszkałam jej tego powtórzyć.  
- Co tam! Twoja matka dobrze o tym wie. A ty nie wymiguj się od odpowiedzi!

- Moje widoki na przyszłość - zaczęła Hiacynta - jak to pani taktownie ujęła, są takie same jak zwykle.

- W tym sęk! Potrzebujesz męża, moja droga.

- Czy przypadkiem moja matka nie ukrywa się za kotarą i podpowiada pani zdanie po zdaniu?

- A widzisz! - odparła lady Danbury z szerokim uśmiechem.

- Doskonale bym sobie dała radę w teatrze!

Hiacynta zmierzyła ją wzrokiem.

- Ma pani kompletnego bzika, milady! Wie pani o tym?

- E tam! Jestem po prostu wystarczająco stara, by mówić, co myślę. Jeśli dożyjesz mojego wieku, przekonasz się, jaka to przyjemność!

- Już teraz dobrze ją znam.

- Racja! I pewnie dlatego jesteś nadal niezamężna.

- Gdyby znalazł się w Londynie jakiś inteligentny mężczyzna, stanu wolnego - Hiacynta westchnęła ciężko - z pewnością zagięłabym na niego parol! - Przechyliła głowę na bok i dodała sarkastycznym tonem: - Chyba pani nie chce, żebym wyszła za durnia?

- Oczywiście że nie, ale...

- I proszę nie wspominać o swoim wnuku, jakbym nie mogła się domyślić, co się za tym kryje!

- Słowa o nim nie powiedziałam!

- Ale miała pani taki zamiar!

- No cóż, to przemiły młody człowiek - mruknęła lady Danbury, nie próbując nawet zaprzeczać. - I więcej niż przystojny!

Hiacynta przygryzła dolną wargę, starając się zapomnieć, jak dziwnie się czuła podczas wieczorku muzycznego u Smythe-Smithów, kiedy Gareth St. Clair wiernie dotrzymywał jej towarzystwa. Na tym właśnie polega problem - olśniło ją nagle. Nie była sobą, gdy on znajdował się w pobliżu. I niepokoiło ją to w najwyższym stopniu.

- Widzę, że nie zgadzasz się ze mną - stwierdziła lady D.

- Co do wyglądu pani przystojnego wnuka? Oczywiście, że się zgadzam. - Rozmowa na ten temat nie miałaby sensu: uroda niektórych osób była niezaprzeczalnym faktem.

- A poza tym - kontynuowała lady Danbury z emfazą - miło mi stwierdzić, że odziedziczył inteligencję po mojej rodzinie, czego, niestety, nie da się powiedzieć o reszcie mego potomstwa.

Hiacynta wbiła wzrok w sufit i zacisnęła zęby, powstrzymując się od komentarza. Najstarszy syn lady Danbury miał, wedle zgodnej opinii wszystkich, zakuty łeb.

- Nie krępuj się i mów szczerze! Co najmniej dwoje z moich dzieci to kompletne matołki, a Bóg raczy wiedzieć, co wyrosnie z ich potomstwa. Ilekroć przybywają do Londynu, zmykam przed nimi, co sił w nogach!

- Nigdy bym nie...

- Nawet jeśli tego nie mówisz, to z całą pewnością myślisz - i wcale ci się nie dziwię. Mam za swoje. Po co wysłałam za Danbury'ego, chociaż wiedziałam, że nie ma dwóch rozsądnych myśli w głowie? Ale Gareth to prawdziwe cudo i byłabyś głupia, gdybyś...

- Pani wnuk - przerwała jej Hiacynta - nie jest absolutnie zainteresowany mną... ani żadną inną panną na wydaniu, jeśli już o tym mowa!

- No, coś w tym jest - zgodziła się lady Danbury. - Choć, na litość boską, nie mam pojęcia, czemu ten chłopak unika dziewcząt takich jak ty.

- Takich jak ja?

- Młodych, przyzwoitych, z jakimi mężczyźni się żenią, a nie tylko baraszkują na sianie!

Hiacynta poczuła, że pieką ją policzki. Zazwyczaj lubiła tego rodzaju pogawędki - dość ryzykowne, ale oczywiście w miarę. Teraz jednak zdobyła się jedynie na protest:

- Nie powinna pani dyskutować ze mną o takich sprawach!

- Też coś! - obruszyła się lady D., machając lekceważąco ręką.

- Od kiedy stałaś się taką świętoszką?

Hiacynta otwierała już usta, ale na szczęście hrabina nie czekała na odpowiedź.

- Łotrzyk z niego, to prawda - perorowała dalej - ale nie ma w tym nic, czego nie mogłabyś wypłenić, wystarczyłoby trochę nad tym popracować.

- Nie mam najmniejszego...

- Postaraj się włożyć na siebie coś z większym dekoltem, kiedy się spotkacie następnym razem! - weszła jej znów w słowo, machając niecierpliwie ręką. - Mężczyźni całkiem tracą głowę na widok dorodnego biustu. Zawójdziesz go...

- Lady Danbury!

Hiacynta skrzyżowała ręce na piersiach. Miała swoją dumę i nie zamierzała uganiać się za rozpustnikiem, który ani myśli o małżeństwie. Jeszcze jej tylko brakuje publicznego upokorzenia!

A poza tym, jej biust wcale nie był taki znów dorodny. Hiacynta wiedziała, że nie jest - Bogu dzięki - płaska jak deska, ale nie miała nic szczególnego do zaprezentowania pomiędzy szyją a talią.

- Dobrze już, dobrze! - burknęła stara dama wyjątkowo zgrzyliwym tonem. - Nie powiem już ani słowa.

, - Nigdy?

- Na razie!

- Cóż to ma znaczyć? - spytała podejrzliwie Hiacynta.

- Jeszcze nie wiem - odparła lady Danbury szorstko.

Co zapewne oznaczało: przez najbliższe pięć minut.

Hrabina się zamyśliła, sznurując usta. Był to nieomylny znak, że coś knuje. Po chwili się odezwała:

- Wiesz, co myślę?

- Przeważnie tak.

Lady D. naburmuszyła się.

- Nie bądź taka pyskata!

Hiacynta tylko się uśmiechnęła i wzięła jeszcze jednego biskopta.

- Myślę - powtórzyła stara dama, przemógłszy urazę - że powinniśmy razem napisać książkę.

Trzeba przyznać, że Hiacyncie udało się nie zakrztusić biskoptem.

- Co takiego?



- Potrzebne mi jakieś nowe, ambitne zadanie - mówiła hrabina - dla podtrzymania sprawności umysłu. Na pewno zdołamy stworzyć coś lepszego niż *Panna Butterworth i fałszywy baron!*

- Szalony baron - poprawiła ją automatycznie Hiacynta.

- No właśnie - przytaknęła stara dama. - Z pewnością stać nas na coś więcej!

- Niewątpliwie, ale po kiego licha miałybyśmy to robić?

- Żeby pokazać, co potrafimy!

Hiacynta rozważyła perspektywę współpracy twórczej z lady Danbury, spędzania niezliczonych godzin...

- Nie - oświadczyła stanowczo. - Nie ma mowy.

- A właśnie że jest! - sprzeciwiła się lady D. i walnęła łaską. Dopiero po raz drugi w trakcie tej rozmowy, co - jak na nią - było szczytem powściągliwości. - Ja będę podsuwać pomysły, a ty nadasz temu właściwą formę!

- Wcale mi to nie wygląda na sprawiedliwy podział pracy - zauważyła Hiacynta.

- A niby czemu miałyby być sprawiedliwe?

Hiacynta już chciała odpowiedzieć, ale doszła do wniosku, że szkoda zachodu.

Lady Danbury zastanawiała się przez chwilę, po czym dodała na zakończenie:

- Przemyśl sobie moją propozycję. To byłaby znakomita spółka!

- Drzę na samą myśl - rozległ się od drzwi niski głos - do czego tym razem usiłujesz zmusić biedną pannę Bridgerton!

- Gareth! - wykrzyknęła lady Danbury z nieukrywaną radością, - Jak to miło, że wreszcie postanowiłeś mnie odwiedzić!

Hiacynta również odwróciła się w jego stronę. Gareth St. Clair wszedł właśnie do pokoju, niepokojąco przystojny w eleganckim wizytowym ubraniu. W promieniach słońca, wpadających przez okno, jego włosy lśniły złotym blaskiem.

Pojawienie się Garetha zaskoczyło ją. Hiacynta już od roku odwiedzała hrabinę w każdy wtorek, a dopiero po raz drugi spotkali się tutaj. Była już skłonna przypuszczać, że celowo jej unikał.

Czemu zatem zjawił się właśnie teraz? Ich konwersacja podczas wieczoru muzycznego u Smythe-Smithów po raz pierwszy wykroczyła poza zdawkowe uprzejmości. A teraz ni stąd, ni zowąd zjawił się w salonie swojej babki w trakcie jednej z tradycyjnych wtorkowych wizyt Hiacynty!

- Wreszcie? - powtórzył z rozbawieniem wnuk. - Chyba nie zapomniałaś, że odwiedziłem cię w zeszły piątek? - Z niby to zatroskaną miną zwrócił się do Hiacynty. - Jak pani myśli, panno Bridgerton, czy babcia zaczyna tracić pamięć? Ma już co prawda... Ileż to? A, dziewięćdziesiąt...

Hrabina trzepnęła go celnie laską po nogach.

- Jeszcze mi do tego daleko, drogi chłopcze - burknęła. - A jeśli cenisz sobie swoje kończyny, nie wygaduj takich herezji, bo to grzech i obraza boska!

- Ewangelia według Agathy Danbury - mruknęła Hiacynta.

Młody St. Clair rzucił jej olśniewający uśmiech, co ją zaskoczyło. Po pierwsze - nie przypuszczała, że usłyszy jej uwagę „na stronie”, a po drugie - wyglądał przy tym tak chłopięco i niewinnie... mimo że naprawdę wcale taki nie był!

Chociaż...

Hiacynta miała ochotę potrząsnąć głową, ale się opanowała. Zawsze znajdzie się jakieś „chociaż”. A Gareth St. Clair, mimo utyskiwania lady D., bywał naprawdę często w Danbury House. Zmusiło to Hiacyntę do zastanowienia się, czy rzeczywiście był takim łotrem, za jakiego uchodził w wielkim świecie? Żaden diabeł z piekła rodem nie okazywałby takiego przywiązania swojej babce. Hiacynta powiedziała już coś w tym sensie podczas wieczorku u Smythe-Smithów, ale Gareth zręcznie zmienił temat.

Ten człowiek stanowił dla niej zagadkę. A ona nie znosiła zagadek.

No, niezupełnie... Prawdę mówiąc, przepadała za nimi.

O ile, rzecz jasna, potrafiła je rozwiązać.

Niepokojąca zagadka przeszła właśnie przez pokój, by złożyć pocałunek na policzku babki. Hiacynta przyłapała się na tym, że wlepia

wzrok w kark Garetha, w jego zawadiacki warkoczyk, sięgający brzegu butelkowozielonego surduta.

Wiedziała, że młodego St. Claira nie stać na pierwszorzędnego krawca i tym podobne zbytki; wiedziała też, że nigdy nie zwracał się do babki o pomoc. A jednak, mój Boże, surdut leżał na nim jak ulał!

- Panno Bridgerton - zagadnął Gareth, siadając na kanapie i opierając od niechcenia kostkę jednej nogi na kolanie drugiej - mamy, zdaje się, wtorek?

- Istotnie - przyznała Hiacynta.

- I cóż tam słyszać u Priscilli Butterworth?

Hiacynta uniosła brwi zdumiona, że Gareth wie, jaką książkę czytają.

- Nadal biegnie w stronę nadmorskich skał, jeśli to pana interesuje. Nawet się obawiam o jej bezpieczeństwo... a raczej obawiałabym się, gdyby nie to, że do końca powieści pozostało jeszcze jedenaście rozdziałów.

- Wielka szkoda - stwierdził St. Clair. - Książka mogłaby tylko na tym zyskać, gdyby ktoś wreszcie uśmiercił tę damę.

- Czyżby i pan czytał tę powieść? - spytała uprzejmie Hiacynta.

Przez chwilę wyglądało na to, że nie otrzyma innej odpowiedzi prócz spojrzenia, mówiącego wyraźnie: „Pani chyba żartuje?!“ Jednak Gareth powiedział:

- Babcia z zapałem opowiada mi o losach tej heroiny, kiedy przyjeżdżam w każdą środę. - Spojrzał spod ciężkich powiek na lady Danbury i dorzucił: - A także niemal we wszystkie piątki i niedziele.

- W ostatnią cię nie było!

- Poszedłem do kościoła - wyjaśnił z niewzruszoną powagą.

Hiacynta zakrztusiła się biszkoptem.

Odwrócił się w jej stronę.

- Nie zauważyła pani, jak piorun grzmotnął w kościelną wieżę?

Pokrzepiła się łykiem herbaty i uśmiechnęła słodko.

- Byłam zbyt pochłonięta słuchaniem kazania.

- W ostatnią niedzielę pastor strasznie głądził - oświadczyła lady D. - Widać się starzeje!

Gareth otworzył usta, ale nim zdążył wypowiedzieć choć jedno słowo, babcina laska, trzymana zdumiewająco pewną ręką, zakreśliła imponujący łuk.

- Nie waż się cytować przysłów - ostrzegła wnuka hrabina,  
- A zwłaszcza: „Przyganiał kocioł garnkowi...”!

- Gdzież bym śmiał? - zarzekał się Gareth.

- Wiem, co mówię! Nie byłbyś moim wnukiem, gdyby ci to do głowy nie przyszło! - Po czym zwróciła się do Hiacynty: - Zgadzasz się ze mną, prawda?

Trzeba przyznać, że Hiacynta umiała się znaleźć w tej trudnej sytuacji. Splotła ręce na podołku i oświadczyła:

- Na takie pytanie nie sposób udzielić zadowolającej odpowiedzi.

- Sprytna dziewczyna! - stwierdziła z aprobatą lady D.

- Wzoruję się na mojej mistrzyni.

Stara dama rozpromieniła się.

- Mimo bezczelności - kontynuowała z determinacją, wskazując na Garetha, jakby był interesującym okazem zoologicznym - jest wyjątkowym wnukiem. Czegóż więcej mogłabym sobie życzyć?

St. Clair obserwował z rozbawieniem Hiacyntę, która wymamrotała coś, co wyglądało na potwierdzenie, choć w rzeczywistości nim nie było.

- Oczywiście - dodała lady Danbury z lekceważącym machnięciem ręki - wydaje się taki idealny w porównaniu z resztą moich wnuków. A tamci mają do spółki najwyżej trzy przeciętne mózgownice!

Nie była to zbyt wysoka ocena, gdyż hrabina dochowała się dwaściorą wnucząt.

- Słyszałem, że niektóre zwierzęta pożerają swoje młode - rzucił półgłosem Gareth, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- Mamy dziś wtorek - odezwała się babka, ignorując całkowicie jego uwagę - cóż cię do mnie sprowadza?

Palce Garetha zacisnęły się na ukrytej w kieszeni książeczce. Był nią tak zafascynowany od chwili, gdy Caroline mu ją wręczyła, iż kompletnie zapomniał, że jest wtorek, stały dzień odwiedzin panny Bridgerton. Gdyby zachował jasność umysłu, wstrzymałby się z wizytą do późnego popołudnia, kiedy Hiacynta już wyjdzie.

Zjawił się jednak wcześniej i musiał podać jakiś powód swego przybycia. Inaczej - Boże broń! - babka gotowa dojsć do wniosku, iż przybył tu po to, by spotkać się z panną Bridgerton. Musiałby potem miesiącami wybijać jej to z głowy!

- Co się stało, mój chłopcze? - spytała lady D. - Opowiadaj!

Gareth odwrócił się do Hiacynty i poczuł pewną satysfakcję, gdy wyraźnie zmieszała się pod jego badawczym spojrzeniem.

- Dlaczego odwiedza pani moją babkę? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Bo ją lubię.

Następnie pochyliła się ku niemu i spytała:

- A pan?

- Bo to moja... - zaczął i przerwał w pół zdania. Nie odwiedzał jej dlatego, że była jego babką. Lady Danbury mogła być dla niego dopustem bożym, kłótliwą jędzą, zmorą jego życia... ale nigdy nie kojarzyła mu się z uciążliwym obowiązkiem! - Bo ja też ją lubię - odparł wolno i dobitnie, patrząc Hiacyncie prosto w oczy.

Nawet nie mrugnęła.

- To dobrze.

Jeszcze przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jakby sprawdzając, które z nich dłużej wytrzyma.

- Nie mam nic przeciw takiemu czy innemu obrotowi rozmowy - odezwała się donośnym głosem lady Danbury - ale o czym wy mówicie, do diaska?!

Hiacynta odchyliła się nieco do tyłu i obdarzyła starą damę niewinnym spojrzeniem.

- Nie mam pojęcia - odparła beztrąsko i dalej popijała herbatę. Odstawiając filiżankę na spodek, dodała: - Pani wnuk zadał mi pytanie i tyle!

Gareth przyglądał się jej z zainteresowaniem. Babka nie była osobą, z którą łatwo się zaprzyjaźnić... i jeśli Hiacynta Bridgerton bez żalu poświęcała każde wtorkowe popołudnie, żeby sprawić przyjemność starszej pani, jak najlepiej to o niej świadczyło. Nie wspominając już o tym, że lady Danbury rzadko kogoś aprobowwała, a pannę Bridgerton wychwalała przy każdej sposobności. Po

części dlatego, że starała się ich wyswatać, a nigdy nie grzeszyła taktem czy subtelnością.

Gareth zdążył zaobserwować przez te wszystkie lata, że babka jest dobrym znawcą charakterów. A zresztą, pamiętnik został napisany po włosku; choćby nawet zawierał jakieś wstydlive sekrety rodzinne, panna Bridgerton nie mogłaby ich poznać.

Podjąwszy decyzję, sięgnął do kieszeni surduta i wydobyl z niej książeczkę.

## 4

*Decydujący moment: życie Hiacynty styje się niemal równie ekscytujące jak przygody Priscilli Butterworth. Co prawda bez nadbrzeżnych skał,...*

Hiacynta z zainteresowaniem obserwowała St. Claira, który zdawał się coś rozważać. Spojrzał w jej stronę, mrużąc niemal niedostrzegalnie jasne, niebieskie oczy; udając absolutny brak zainteresowania jej osobą, odwrócił się znów do babki. Chyba się zastanawiał, czy rozmawiać o sprawach osobistych w obecności Hiacynty. Podejrzewała, że najmniejszy objaw niezdrowej ciekawości z jej strony skłoniłby go do zamknięcia się w sobie.

Widocznie jednak Hiacynta zdała pomyślnie ten egzamin, gdyż Gareth sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej niewielką książeczkę, oprawną w skórę.

- Cóż to takiego? - Lady Danbury wzięła ją do rąk.
- Pamiętnik babci St. Clair - odpowiedział Gareth. - Caroline przyniosła mi tę pamiętkę rodzinną dziś po południu. Znalazła ją w rzeczach George'a.
- Napisane po włosku - stwierdziła lady D.
- Wiem.
- Czemu przychodzisz z tym do mnie? - spytała z pewnym zniecierpliwieniem.

Wnuk posłał jej leniwy uśmiech.

- Zawsze mi powtarzasz, babciu, że znasz wszystkich i znasz się na wszystkim!

- Rzeczywiście, wspominała pani o tym dziś po południu - poparła go Hiacynta.

Zwrócił się do niej z nieco protekcyjnym „Bardzo dziękuję”, a lady Danbury w tej samej chwili spiorunowała ją wzrokiem.

Hiacynta poruszyła się niespokojnie. Nie pod morderczym spojrzeniem lady D., gdyż całkiem się już na nie uodporniła; niemile uderzyło ją lekceważenie okazane przez St. Claira.

- Mam nadzieję, babciu - zwrócił się z kolei do hrabiny - że pomożesz mi znaleźć rzetelnego tłumacza.

- Z włoskiego?

- Właśnie!

- Hmm... - Hrabina stuknęła łaską po dywanie z taką miną, z jaką ktoś mniej oryginalny bębniłby palcami po stole. - Z włoskiego? Nie jest to język tak popularny jak francuski, którym oczywiście włada prawie każdy...

- Znam włoski - odezwała się Hiacynta.

Dwie pary niebieskich oczu, niezwykle do siebie podobne, zwróciły się ku niej.

- Żartuje pani! - odezwał się St. Clair, a w ułamek sekundy później jego babka warknęła:

- Naprawdę?

- No cóż... Nawet o przyjaciółach nie wie się wszystkiego - stwierdziła z pewną wyższością Hiacynta.

Zwracała się przede wszystkim do lady Danbury, rzecz jasna, gdyż z jej wnukiem nie łączyła jej bliższa znajomość.

- No pewnie! - huknęła w odpowiedzi lady D. - Ale skąd włoski?!

- Jako mała dziewczynka miałam włoską guwernantkę - wyjaśniła Hiacynta, wzruszając ramionami. - Dla zabawy uczyła mnie swego ojczystego języka. Nie władam nim płynnie - przyznała - ale przeczytawszy kilka stron w tym języku z pewnością potrafię powiedzieć, o co chodzi.

- Mamy tego znacznie więcej niż kilka stron - zwrócił jej uwagę St. Clair, lekkim ruchem głowy wskazując pamiętnik, który trzymała babka.

- Widzę - odparła z lekką irytacją Hiacynta. - Ale za jednym zamachem zdołam przetłumaczyć zaledwie parę stron. Mam nadzieję, że ta dama nie posługiwała się wyszukany stylem starożytnych Rzymian!

- To byłaby łacina, nie włoski - sprostował z naciskiem St. Clair. Hiacynta przygryzła wargę.

- A choćby nawet! - rzuciła przez zęby.

- Na litość boską, chłopcze! - wmieszała się do rozmowy lady D. - Dajże jej tę książeczkę!

St. Clair powstrzymał się od uwagi, że to babka nie może się rozstać z pamiętnikiem, co Hiacynta uznała za przejaw zdumiewającego opanowania z jego strony. Zamiast dyskutować Gareth wstał, wyjął książeczkę babce z ręki i zwrócił się do Hiacynty. Zawahał się na tak krótką chwilę, że nawet by tego nie spostrzegła, gdyby nie patrzyła mu prosto w twarz.

Podsunał jej książkę, mówiąc półgłosem:

- Proszę, panno Bridgerton!

Wzięła pamiętnik z lekkim drżeniem rąk, jakby to było coś znacznie cenniejszego niż niepozorna książeczka.

- Zimno pani? - spytał cicho St. Clair.

Pokręciła głową, nie odrywając oczu od książki - obawiała się spojrzeć na niego.

- Stare kartki są już kruche - zauważyła, odwracając je ostrożnie.

- Ale co tam jest napisane? - dopytywał się St. Clair.

Hiacynta omal nie zgrzytnęła zębami. Popisywanie się jakąś umiejętnością to żadna przyjemność, gdy ktoś pogania. A zwłaszcza, gdy Gareth St. Clair stoi jej nad głową!

- Odsuń się, daj dziewczynie odetchnąć! - huknęła na wnuka lady D.

Odsunął się, ale nie na tyle, by Hiacynta mogła poczuć się pewnie.



- I cóż? - napierał znowu.

Poruszając lekko głową, Hiacynta biedziła się nad początkiem tekstu.

- Pańska babka wspomina o swoim zbliżającym się ślubie - przetłumaczyła. - Ma wyjść za pańskiego dziadka... - Przygryzła wargę, szukając odpowiednich słów. - Za trzy tygodnie. Wesele odbędzie się we Włoszech.

St. Clair skinął głową i znów ją ponaglił:

- I co dalej?

Hiacynta zmarszczyła nos, co robiła zawsze, gdy skupiała wszystkie władze umysłowe. Nie była to szczególnie wdzięczna mina, ale z dwojga złego lepsza niż bezmyślne gapienie się na tekst.

- O czym ona dalej pisze? - nalegała teraz hrabina.

- *Orrendo orrendo* - wymamrotała Hiacynta. - No, tak... - Podniosła na nich oczy - Pańska babka nie była zachwycona perspektywą tego małżeństwa...

- A kto by się tym zachwycił?! - wtrąciła lady D. - To był okropny gbur, bez urazy obecnego tu potomka!

St. Clair zignorował tę uwagę.

- Co jeszcze?

- Mówiłam, że nie władam biegle włoskim. - Hiacynta ledwie panowała nad nerwami. - Muszę się skupić i zastanowić, potrzebuję trochę czasu!

- Zabierz pamiętnik do domu - zaproponowała lady Danbury.  
- Spotkacie się przecież oboje jutro wieczorem.

- Naprawdę? - spytała Hiacynta i dosłownie w tym samym momencie odezwał się St. Clair:

- Czyżby?

- Masz mi przecież towarzyszyć na wieczorze poetyckim u Pleinsworthów - powiedziała lady D. - Zapomniałeś?

Hiacynta opadła na krzesło, napawając się widokiem skonsterowanego Garetha St. Claira. Usta otwierały mu się i zamykały bezgłośnie; z zaskoczenia i chyba ze strachu. Przypomina trochę rybę - pomyślała. Co prawda rybę o rysach greckiego bożka... ale zawsze rybę!

- Doprawdy? - wykrztusił wreszcie. - To znaczy... Chyba nie będę mógł.

- Z całą pewnością będziesz mógł i zjawisz się tam - oświadczyła babka. - Obiecałeś!

Spojrzał na nią surowo.

- Nie przypominam sobie...

- A nawet gdybyś nie obiecał, powinieneś był to zrobić! Więc jeśli mnie kochasz...

Hiacynta rozkaszała się, by zamaskować śmiech; Gareth rzucił jej mordercze spojrzenie.

- Kiedy umrę - oświadczył - z pewnością napiszą na moim grobie: „Tu spoczywa ofiara zbytnej miłości do babki. Miłości, do jakiej nikt inny nie byłby zdolny”.

- I cóż by w tym było niestosownego? - obruszyła się lady Danbury.

- Dobrze, będę tam. - Westchnął.

- Niech pan weźmie ze sobą watę do uszu - poradziła mu życzliwie Hiacynta.

Popatrzył na nią z przerażoną miną.

- Chyba to nie będzie gorsze niż wczorajszy wieczór muzyczny?!

- Lady Pleinsworth to nieodrodna córka Smythe- Smithów!

Z drugiego końca pokoju dobiegł radosny chichot lady Danbury.

- Pójdę już do domu - stwierdziła Hiacynta, podnosząc się z miejsca. - Postaram się przetłumaczyć pierwszy fragment pamiętnika przed naszym jutrzejszym spotkaniem, panie St. Clair. A zatem, do jutra.

- Będę niezmiernie wdzięczny, panno Bridgerton.

Hiacynta odpowiedziała skinieniem głowy i przeszła przez pokój, starając się nie zwracać uwagi na dziwne, mdlące uczucie w piersi. Przecież to tylko stary pamiętnik, na litość boską!

A Gareth St. Clair to całkiem zwyczajny mężczyzna.

Doprawdy irytująca była ta nagła chęć wywarcia na nim wrażenia. Za wszelką cenę pragnęła błyszczeć inteligencją, dowcipem, zrobić coś takiego, żeby spojrzał na nią innymi oczyma, bez tego pobłażliwego rozbawienia.

- Pani pozwoli, że ją odprowadzę - powiedział St. Clair, dogoniwszy Hiacyntę.

Odrzuciła się i niemal zaparło jej dech. Nie zdawała sobie sprawy, że podszedł aż tak blisko.

- Och!Ja...

To przez te jego oczy, pomyślała. Takie niebieskie i jasne, że zdawałoby się, iż wszystko można w nich wyczytać. Ale, prawdę mówiąc, to raczej on potrafił czytać jej w myślach.

- Słucham?-spytał cicho, podając jej ramię.

Hiacynta pokręciła głową.

- Nie, nic.

- Ależ panno Bridgerton - mówił, wprowadzając ją do holu. - Chyba jeszcze nigdy nie zabrakło pani słów. No może z wyjątkiem tego jednego wieczoru... - dodał, przechylając lekko głowę na bok.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Miałem na myśli ten wieczór muzyczny - wyjaśnił. - To było doprawdy cudowne! - Uśmiechnął się. - Nieprawdaż?

Hiacynta zacisnęła usta. Był irytujący. I ten ironiczny uśmieszek!

- Prawie się nie znamy, panie St. Clair - odezwała się lodowatym tonem.

- O, dobrze panią znam ze słyszenia.

- Ja też niejedno o panu słyszałam!

- *Touche*, panno Bridgerton! - Ale Hiacynta nie poczuła się nadzbyt zwycięsko.

Spostrzegła swoją pokojówkę czekającą przy drzwiach. Wysunęła więc rękę spod ramienia Garetha i pospieszyła do przedsionka.

- Do jutra, panie St. Clair - powiedziała na pożegnanie.

Drzwi frontowe już się za nią zamykały, ale mogłaby przysiąc, że dosłyszała jego odpowiedź:

- *Arrivedercil*

*Hiacynta wraca do domu. Matka już na nią czeka. Nie wróży to nic dobrego!*

- Charlotte Stokehurst - obwieściła Violet Bridgerton - wychodzi za mąż!

- Dziś? - spytała od niechcenia Hiacynta, zdejmując rękawiczki. Matka spiorunowała ją wzrokiem.

- Właśnie się zaręczyła. Jej matka powiadomiła mnie o tym dziś rano.

Hiacynta rozejrzała się dokoła.

- Czemu czekasz na mnie w przedsiönku, mamó?

- Wychodzi za hrabiego Rentona! - poinformowała Violet.

- Jest może herbata? - zainteresowała się Hiacynta. - Wróciłam do domu na piechotę. Pić mi się chce!

- Za Rentona! - Wyraz twarzy Violet wskazywał, że zaraz wzniesie ręce ku niebu w geście rozpaczy. - Słyszałaś?

- Za Rentona - powtórzyła grzecznie Hiacynta. - On ma strasznie grube nogi w kostkach.

- To... - Violet urwała nagle. - Dlaczego tak się przyglądałaś jego nogom?!

- Trudno ich nie zauważyć - odparła córka. Wręczyła swój woreczek, wraz z ukrytym w nim włoskim pamiętnikiem, pokojówce.

- Zanieś to do mego pokoju, dobrze?

Violet zaczekała, aż służąca się oddali.

- Herbata czeka w salonie. A nogom Rentona nic nie brakuje!

Hiacynta wzruszyła ramionami.

- Jeśli ktoś lubi opuchnięte kostki...

- Hiacynta!

Młoda panna westchnęła ze znużeniem i w ślad za matką przeszła do salonu.

- Mamó, sześcioro twoich dzieci znalazło sobie żony i mężów. Wszyscy są szczęśliwi i bardzo zadowoleni ze swego wyboru. Dlaczego koniecznie chcesz mnie zmusić do zawarcia niedobranego małżeństwa?

Violet usiadła i przygotowała herbatę dla córki.

- Nic podobnego. - Spojrzała na nią niemal prosząco. - Ale czy nie mogłabyś przynajmniej rozejrzeć się za kimś?

- Mamó, ja...

- Choćby tylko udać, że się rozglądasz. Zrób to dla mnie!

Hiacynta musiała się uśmiechnąć mimo woli.

Violet podała jej filiżankę, dosypawszy w ostatniej chwili jeszcze jedną łyżeczkę cukru. Hiacynta jedyna z całej rodziny piła herbatę z cukrem, bo lubiła bardzo słodką.

- Dziękuję. - Skosztowała herbaty.

Nie była taka gorąca, jak lubiła, ale wypiła ją i tak.

- Hiacynta - odezwała się znów matka tonem, który wywoływał zawsze w jej córce poczucie winy, choć wiedziała, że to nie ma sensu. -Wiesz, że pragnę tylko twojego szczęścia.

- Wiem.

Na tym właśnie polegał problem: mama naprawdę pragnęła tylko jej szczęścia. Gdyby popychała ją do małżeństwa dla zdobycia wyższej pozycji społecznej lub materialnego zysku, znacznie łatwiej byłoby zignorować jej starania. Ale matka kochała ją i szczerze pragnęła jej szczęścia, nie tylko godnej zazdrości partii, dlatego Hiacynta starała się znieść cierpliwie matczyne narzekania.

- Za nic bym nie chciała, żebyś się związała z kimś, z kim nie byłoby ci naprawdę dobrze - tłumaczyła Violet.

- Wiem.

- A gdybyś nigdy nie spotkała naprawdę odpowiedniego mężczyzny, będę całkowicie usatysfakcjonowana, jeśli pozostaniesz niezamężna!

Hiacynta popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- No, dobrze - poprawiła się matka. - Nie będę całkowicie usatysfakcjonowana, *ale nie zamierzam zmuszać cię do małżeństwa z kimś nieodpowiednim.*

- Wiem. - Hiacynta skinęła głową.

- Jednak nie znajdziesz nikogo, kochanie, jeśli nie zaczniesz się wreszcie rozglądać!

- Ależ rozglądałam się! - zaprotestowała. - Biorę udział w spotkaniach towarzyskich prawie co wieczór. Poszłam nawet wczoraj do Smythe-Smithów. I jakoś ciebie tam nie zauważyłam - dodała znacząco.

Violet zakasłała.

- Byłam trochę przeziębiona, niestety.

Hiacynta nic na to nie odpowiedziała, ale spojrzenie jej oczu było bardzo wymowne.

- Słyszałam, że siedziałas obok Garetha St. Claira - odezwała się Violet po chwili milczenia.

- Czy ty doprawdy wszędzie masz swoich szpiegów, mamó?

- Prawie. To ogromnie ułatwia życie.

- Być może tobie!

- I co, spodobał ci się? - chciała koniecznie wiedzieć Violet.

Czy jej się spodobał? Dziwne pytanie! Czy polubiła Garetha St. Claira? Czy nie przeszkadzało jej to, że prawie zawsze miała wrażenie, iż śmieje się z niej w duchu, nawet wówczas, gdy zgodziła się przetłumaczyć pamiętnik jego babki? Czy nie drażniło jej to, że nigdy nie wiedziała, co on naprawdę myśli? Albo to, że w jego towarzystwie czuła się niepewnie i nie była całkiem sobą?

- No i jak? - dopytywała się matka.

- Tak sobie - rzuciła lekceważąco, byleby jakoś się wykręcić.

Violet nic nie odpowiedziała, ale oczy jej zabłyśły tak, że wystraszyło to Hiacyntę nie na żarty.

- Ani się waż, mamó! - ostrzegła.

- Idealnie by do ciebie pasował!

Córka patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby Violet wyrosła druga głowa.

- Czyś ty oszalała, mamó? Dobrze wiesz, jaką ma reputację!

Violet zlekceważyła ten zarzut.

- To nie będzie miało żadnego znaczenia, kiedy się pobierzecie!

- Wcale nie, jeśli on nadal będzie się zadawał ze śpiewaczkami z opery i takimi tam...

- Nie będzie! - Violet machnęła ręką, jakby chciała odpędzić od siebie podobne wizje.

- Skąd możesz wiedzieć?!

Violet zastanowiła się przez chwilę.

- Nie wiem tego - przyznała - ale mam przeczucie.

- Och, mamó! - powiedziała Hiacynta z nieukrywaną czułością, wdychając. - Dobrze wiesz, jak cię kocham...

- Ciekawe, czemu - zastanawiała się na głos Violet - zawsze ogarniają mnie jak najgorsze przeczucia, gdy przemawiasz do mnie tym tonem?

- ...ale nie wyjdę za mąż - dokończyła Hiacynta - kierując się wyłącznie twoimi przeczuciami!

Violet popijała herbatę z dobrze udawaną nonszalancją.

- Moje przeczucia mogą się bardzo przydać, zwłaszcza że ty nie miewasz żadnych. I nie chcę się chwalić, ale zwykle się sprawdzają.  
- Na widok kwaśnej miny córki dodała: - Jeszcze nigdy mnie przeczucie nie zawiodło!

No cóż... istotnie. Hiacynta musiała to przyznać. Oczywiście tylko w duchu. Gdyby przytaknęła głośno, matka uznałaby to za wyraźne przyzwolenie - i rozpoczęłaby się bezlitosna nagonka na Garetha St. Claira.

- Mamo - odezwała się po dłuższej chwili, musiała bowiem uporządkować myśli. - Nie zamierzam uganiać się za panem St. Clairem. Nie jest to ktoś odpowiedni dla mnie.

- Bardzo wątpię, czy rozpoznałabyś tego odpowiedniego, choćby się zjawił na progu twego domu, i to na grzbiecie słonia!

- Na sam widok słonia zorientowałabym się od razu, że nie jest to ktoś odpowiedni dla mnie.

- Hiacynto!

- A poza tym - mówiła Hiacynta, myśląc o tej wyższości, z jaką pan St. Clair zwykł na nią spoglądać - nie sędzę, by czuł do mnie sympatię.

- Bzdura! - Violet nastroszyła się od razu jak matka kwoka. - Wszyscy za tobą przepadają!

- Nie - odparła po namyśle. - Wcale nie wszyscy.

- Hiacynto! Jestem twoją matką, z pewnością wiem lepiej!

- Ależ mamo! Przecież nikt ci się nie zwierzy z tego, że działam mu na nerwy!

- A jednak...

- Posłuchaj - przerwała jej Hiacynta, odstawiając stanowczym ruchem filiżankę na spodek. - To nie ma żadnego znaczenia. Wcale mi nie zależy, żeby wszyscy za mną przepadali. Gdyby to mnie obchodziło, starałabym się być zawsze dobra, czarująca, słodka i nudnie uprzejma... i nie miałabym w życiu ani trochę przyjemności!

- Mówisz jak lady Danbury! - skarciła ją Violet.

- Bardzo lubię lady Danbury.  
- Ja też, ale to wcale nie znaczy, że chciałabym mieć córkę taką jak ona.

- Mamo...

- Nie chcesz się zakręcić koło St. Claira, bo się go boisz! - stwierdziła Violet.

Hiacyncie zaparło dech.

- Nieprawda!

- Właśnie że prawda! - odparowała Violet, zadowolona z siebie.  
- Że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy! I nie chodzi tylko o St. Claira.

- O czym ty mówisz?

- Jak ci się zdaje, czemu dotąd nie wyszłaś za mąż?

Hiacynta aż zamrugała oczami ze zdumienia.

- Czemu nie wyszłaś za mąż? - powtórzyła matka. - Czy wcale ci na tym nie zależy?

- Oczywiście, że mi na tym zależy!

I tak było w istocie. Zależało jej bardziej, niż chciała się do tego przyznać, może nawet bardziej, niż dotąd sądziła. Popatrzyła na Violet i zobaczyła w niej kobietę, która kocha swoje dzieci żarliwie, aż do bólu. I w tym momencie pojęła, że i ona też pragnie kochać tak gorąco. Pragnie dzieci. Pragnie mieć własną rodzinę!

Ale to jeszcze nie oznaczało, że zgodzi się wyjść za pierwszego, który się nawinie. Hiacynta miała rozsądne podejście do życia. Z chęcią poślubiłaby kogoś, w kim nie byłaby zakochana, gdyby pasowali do siebie pod wszystkimi innymi względami. Ale, dobry Boże, czy to takie wygórowane żądanie - wymagać od przyszłego męża odrobiny inteligencji?!

- Mamo - zaczęła łagodniejszym tonem, wiedząc, że matka ma jak najlepsze intencje. - Naprawdę chcę wyjść za mąż. Słowo daję! I oczywiście rozglądam się za kimś odpowiednim.

Violet uniosła brwi.

- Naprawdę?

- Oświadczone mi się sześć razy - odparła Hiacynta z nutką dumy w głosie. - To nie moja wina, że żaden się nie nadawał.



- W tym wypadku masz oczywiście rację.

Hiacynta była zaskoczona.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Istotnie, żaden się nie nadawał. Trzech dybało tylko na twój posag, a pozostałych zdręczyłabyś w ciągu miesiąca!

- Ileż w tym czułości dla najmłodszego dziecka - mruknęła Hiacynta. - Jestem wzruszona do głębi!

Violet dyskretnie parsknęła śmiechem.

- Dajże spokój! Doskonale rozumiesz, co mam na myśli... i wiesz, że się nie mylę. Żaden z tych mężczyzn nie dorastał ci do pięć. Potrzebujesz kogoś godnego siebie.

- Właśnie to nieustannie próbuję ci wytłumaczyć!

- Wobec tego pozwól, że spytam: czemu tylko absolutnie nieodpowiedni mężczyźni ubiegali się o twoją rękę?

Hiacynta nie znalazła na to odpowiedzi.

- Twierdzisz, że chcesz znaleźć kogoś godnego siebie - ciągnęła Violet - i sądzę, że mówisz to szczerze, ale prawda wygląda tak: ilekroć spotkasz kogoś, kto mógłby ci sprostać, odstręczasz go od siebie.

- Wcale nie! - zaprotestowała Hiacynta, ale bez większego przekonania.

- No cóż. Z całą pewnością ich nie zachęcasz! Pochyliła się ku córce, patrząc na nią z troską i wyrzutem. - Wiesz, jak gorąco cię kocham, Hiacynto, ale ty musisz zawsze grać pierwsze skrzypce!

- A któż tego nie lubi? - wymamrotała córka.

- Żaden prawdziwy mężczyzna nie pozwoli nigdy, żebyś nim kierowała, jak zechcesz!

- Ależ ja wcale tego nie chcę! - broniła się Hiacynta.

Violet westchnęła. Było to jednak czułe westchnienie, pełne ciepła i miłości.

- Chyba pora opowiedzieć ci o dniu, w którym się urodziłaś.

- Naprawdę, mamie? - spytała cicho Hiacynta.

Zaskakująca zmiana tematu rozmowy! I coś mówiło Hiacyncie, że to, czego się teraz dowie od matki, będzie miało wyjątkowe znaczenie.

- Było to wkrótce po śmierci twojego ojca. A ja czułam się taka nieszczęśliwa... Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo. Taki ból wżera się w człowieka, przenika każdą komórkę. I nic nie można...  
- Violet urwała, usta jej zacisnęły się, jakby chciała powstrzymać płacz. - Po prostu nie można nic na to poradzić. Nie da się również wytłumaczyć tego nikomu, kto sam tego nie doświadczył.

Hiacynta skinęła głową, choć wiedziała, że nie jest w stanie zrozumieć tego w pełni.

- Przez cały ostatni miesiąc przed rozwiązaniem nie wiedziałam sama, co naprawdę czuję - mówiła dalej Violet, a jej głos stawał się coraz cichszy. - Nie umiałabym wówczas powiedzieć, co czuję do ciebie. Miałam już siedmioro dzieci; można by pomyśleć, że znałam się na tych sprawach, ale wszystko nagle stało się inne, nieznanne... Świadomość, że będę cię sama wychowywać, bez męża... była przerażająca. Musiałam stać się dla ciebie - i ojcem, i matką. Oczywiście to samo dotyczyło reszty twego rodzeństwa, ale to jednak było co innego! Jeśli chodzi o ciebie...

Hiacynta wpatrywała się w matkę bez słowa.

- Byłam przerażona, bałam się, że sobie nie poradzę, że zawiodę jako matka...

- Ale nie zawiodłaś - szepnęła Hiacynta.

- Wiem. Wystarczy spojrzeć, na jaką wspianiałą dziewczynę wyrosłaś!

Hiacynta czuła, jak drżą jej usta. Zaraz się rozpłacze... a może wybuchnie śmiechem?

- Ale nie w tym problem. - W oczach Violet pojawił się błysk determinacji. - Kiedy się urodziłaś i trzymałam cię w ramionach... Dziwne. Nie wiedzieć czemu byłam przekonana, że będziesz bardzo podobna do ojca! Spodziewałam się, że rozpoznam w twojej buzi jego twarz... i że to będzie znak z nieba.

Hiacyntę ścisnęła w gardle, gdy na nią patrzyła. Zastanawiała się, czemu mama nigdy dotąd nie mówiła jej o tym. I czemu ona nigdy nie pytała, jak sobie radziła po śmierci ojca.

- Ale nie byłaś do niego podobna - opowiadała Violet. - Przypominałaś raczej mnie. A potem - mój Boże, pamiętam to, jakby

to było wczoraj! - popatrzyłaś mi prosto w oczy i mrugnęłaś dwa razy.

- Dwa razy? - powtórzyła Hiacynta, zupełnie nie wiedząc, czemu ten szczegół wydaje się jej taki ważny.

- Dwa razy! - Violet spojrzała na córkę i na jej ustach pojawił się figlarny uśmiech. - Zapamiętałam to, bo miałam wrażenie, że zrobiłaś to z rozmysłem! To było niesamowite. Twoje spojrzenie mówiło wyraźnie: „Dobrze wiem, co robię!”

Zaskoczona Hiacynta roześmiała się mimo woli.

- A potem zaczęłaś wrzeszczeć! - Pokiwała głową. - Wielki Boże! Pomyślałam, że ściany popękają od tego krzyku... i uśmiechnęłam się. Po raz pierwszy od śmierci twojego ojca.

Odetchnęła głęboko i sięgnęła po filiżankę z herbatą. Hiacynta czekała, aż emocje opadną i matka przyjdzie do siebie. Koniecznie chciała usłyszeć, co było dalej, czuła jednak, że niezbędna jest chwila ciszy.

Po minucie milczenia matka odezwała się znowu, bardzo cicho:

- I od tej chwili stałaś mi się taka droga! Kocham wszystkie swoje dzieci, ale ciebie... - Podniosła wzrok i ich oczy spotkały się.  
- Ocaliłaś mnie, córeczko!

Hiacynta poczuła ucisk w piersi. Nie mogła się poruszyć, ani głębiej odetchnąć. Wpatrywała się tylko w twarz matki, wsłuchiwała w jej słowa i czuła się taka szczęśliwa, że jest jej dzieckiem!

- W pewnym sensie byłam nadopiekuńcza, jeśli chodzi o ciebie - przyznała Violet z leciutkim uśmiechem. - A poza tym chyba zbyt pobłażliwa! Tryskałaś po prostu energią, nie brakowało ci pewności siebie i tak bardzo cię interesował otaczający świat! Od urodzenia miałaś silny charakter, a ja nie chciałam podcinać ci skrzydeł.

- Dziękuję ci, mamó - wyszeptwała Hiacynta tak cicho, że wcale nie miała pewności, czy naprawdę wypowiedziała te słowa, czy tylko je pomyślała.

- Czasami jednak przychodzi mi do głowy, że skutkiem tego za mało zwracałaś uwagi na ludzi wokół siebie.

Hiacynta poczuła się okropnie.

- Nie mówię o egoizmie - zaprotestowała pośpiesznie Violet, widząc konsternację na twarzy córki. - Jesteś naprawdę dobra, kochająca i o wiele bardziej troszczysz się o innych, niż można by się spodziewać. Tylko... Mój Boże, nie wiem, jak ci to wytłumaczyć! - Odetchnęła głęboko i zmarszczyła czoło, szukając odpowiednich słów. - Przywykłaś do całkowitej swobody w mowie i w zachowaniu.

- Cóż w tym złego? - spytała Hiacynta spokojnie, bez cienia pretensji.

- Ależ nic! Dobrze by było, gdyby więcej ludzi cechowała taka naturalność. - Violet splótła ręce i pocierała kciukiem lewej ręki o prawą dłoń. Hiacynta widywała ten gest setki razy, ilekroć matka nad czymś rozmyślała. ~ Chodzi mi jednak o to, że gdy nie czujesz się tak swobodnie jak zwykle - mówiła dalej Violet - albo gdy coś zbije cię z tropu, nie umiesz sobie z tym poradzić... i wówczas uciekasz. Albo mówisz sobie, że to nie jest warte zachodu. - Spojrzała na córkę ze smutkiem. - I właśnie dlatego obawiam się, że nigdy nie znajdziesz odpowiedniego mężczyzny. A raczej - nie rozpoznasz go, kiedy się zjawi. Nie pozwolisz sobie na to!

Hiacynta wpatrywała się w nią z osłupieniem. Czuła się dziwnie mała i niewiele warta. Jak do tego doszło? Wdała się w rozmowę z mamą, spodziewając się zwykłej gadaniny o mężach i ślubach, albo o braku konkurentów... i nagle poczuła się taka pusta, jałowa i niepewna, kim naprawdę jest.

- Przemyślę to sobie - powiedziała.

- Niczego więcej nie pragnę! - odparła matka.

Hiacynta nic więcej nie mogła jej obiecać.

# 5

*Następnego wieczoru w salonie czcigodnej lady Pleinsworth.*

*Z niepojętej przyczyny do fortepianu przyczepiono zielone gałęzie.*

*A małej dziewczynce przyklejono do głowy róg.*

Ludzie gotowi pomyśleć, że pan się do mnie zaleca! - ostrzegła Hiacynta, gdy Gareth St. Clair podszedł prosto do niej, nawet się nie rozejrzawszy po pokoju.

- Bzdura! - odparł, siadając na wolnym krześle obok niej. - Wszyscy wiedzą, że nie zalecam się do przyzwoitych kobiet. A poza tym moje umizgi umocniłyby tylko pani pozycję na rynku matrymonialnym.

- No, no! Co za skromność!

Błysnął olśniewającym uśmiechem.

- Nie zamierzam pani irytować, ale nie da się ukryć: większość mężczyzn reaguje jak barany. A te biegną za przewodnikiem stada. Czyż nie przyznała pani sama, że chce wyjść za mąż?

- Nie za barana! - odparowała.

W odpowiedzi obdarzył ją tym diabelskim uśmiechem, którym z pewnością omamił już setki kobiet. Potem rozejrzał się dokoła z taką miną, jakby planował jakiegoś psikusa, i pochylił się ku niej.

Hiacynta nie mogła oprzeć się ciekawości i również pochyliła się w jego stronę.

- O co chodzi? - spytała półszepem.

- Mam wielką ochotę zameczeć głośno: beee!

Hiacynta próbowała pohamować ogarniający ją śmiech, ale okazało się to niemożliwe. Parsknęła, zachowując się bardzo nieelegancko.

- Całe szczęście, że nie piła pani akurat mleka - zauważył Gareth i wyprostował się na krześle.

Znów taki poważny, opanowany. Do diabła z nim!

Hiacynta zmierzyła go wzrokiem, ale nie była w stanie zgasić wesołych iskerek w jego oczach.

- Trysnęłoby nosem - dokończył swą myśl i wzruszył ramionami.

- Nikt jeszcze panu nie powiedział, że uwagi tego rodzaju nie robią wrażenia na kobiecie?

- Wcale nie próbuję zrobić na pani wrażenia - odparł, spoglądając na koniec pokoju. - Wielkie nieba! - wykrzyknął nagle ze zdumieniem. - Cóż to takiego?!

Hiacynta też spojrzała. Tłoczyła się tam spora gromadka nieletnich Pleinsworthów pod wodzą dziewczęcia przebranego za pasterkę.

- Cóż za szczególny zbieg okoliczności! - mruknął Gareth.

- Może istotnie pora na to „bee”! - przypomniała Hiacynta.

- Myślałem, że grożą nam tylko deklamacje!

Skrzywiła się i pokręciła głową.

- Obawiam się, że nastąpiła zmiana programu.

- Rezygnacja z pentametrów jambicznych na rzecz zabawy z dziatwą w „a kuku”? Czy nie byłoby to posunięcie zbyt radykalne?

Rzuciła mu smętne spojrzenie.

- Obawiam się, że pentametry nas nie ominą.

Oniemiał ze zdumienia.

- Pentametry jambiczne z ust tych niewiniątek?!

. Skinęła głową, biorąc do ręki program leżący na kolanach.

- To oryginalna kompozycja - oznajmiła takim tonem, jakby wyjaśniało to wszystko - Harriet Pleinsworth. Zatytułowana *Pasterka, jednoróżec i Henryk VIII*.

- Wszyscy razem?!

- Nie żartuję - zapewniła go.

- Wierzę. Nawet pani nie mogłaby czegoś podobnego wymyślić!

Postanowiła uznać to za komplement.

- Czemu nie obdarzono i mnie podobnym programem? - spytał, wyjmując arkusik z jej ręki.

- Prawdopodobnie ktoś doszedł do wniosku, że dżentelmenów lepiej pozostawić w nieświadomości - odparła Hiacynta, rozglądając się po sali. - Doprawdy, podziwiam dalekowzroczność lady Pleinsworth! Wszyscy panowie uciekliby w popłochu, dowiedziawszy się, co ich czeka, nieprawdaż?

Gareth poruszył się niespokojnie na krześle.

- Mam nadzieję, że nie zamknęli jeszcze drzwi?

- Nie, ale pańska babka właśnie się zjawiła.

Nie mogłaby przysiąc, ale miała wrażenie, że Gareth jęknął.

- Wygląda na to, że nie zmierza w naszą stronę - dodała jeszcze, obserwując lady Danbury.

Stara dama zajęła miejsce kilka rzędów za nimi, przy samym przejściu.

- Pewnie że nie! - wymamrotał Gareth.

Hiacynta zorientowała się, że jej sąsiad myśli w tej chwili to samo co ona.

Niežnośna stara swatka!

No cóż... Lady D. nie wykazała raczej specjalnej subtelności w tej sprawie.

Hiacynta już miała się odwrócić w drugą stronę, ale pochwyciła spojrzenie swojej matki, dla której zajęła miejsce obok siebie, z prawej strony. Violet udawała - bardzo nieudolnie - że jej nie dostrzega, i usadowiła się koło lady Danbury.

- A niech was! - mruknęła Hiacynta pod nosem.

Jej matka również nie grzeszyła subtelnością. Jednakże po rozmowie, którą odbyły wczoraj po południu, łudziła się, że matczyne intrygi nie będą szyte aż tak grubymi nićmi.

Mogłaby jej dać przynajmniej kilka dni na przemyślenie całej sprawy.

Hiacynta spędziła ostatnie dwa dni na rozważaniu argumentów matki. Starła się przypomnieć sobie wszystko, co dotyczyło mężczyzn, z którymi zetknęła się w ciągu ostatnich kilku lat na matrymonialnym targowisku. Przeważnie całkiem dobrze się bawiła. Mówiła co chciała, prowokując innych do śmiechu, i było jej przyjemnie, gdy podziwiano jej dowcip.

Znalazło się jednak parę osób, w których towarzystwie nie czuła się całkiem swobodnie. Nie było ich zbyt wiele, ale jednak! Podczas swego pierwszego sezonu poznała dżentelmena i nogi się pod nią ugięły, kiedy tylko ten przystojny, inteligentny młodzieniec znajdował się w pobliżu. A mniej więcej przed rokiem Gregory przedstawił jej

swojego kolegę szkolnego, który górował nad nią, musiała to przyznać, ciętym, sarkastycznym dowcipem. Wmówiła sobie, że go nie lubi, po czym napomknęła matce, że ów dżentelmen wygląda na takiego, co nie zna litości dla ludzi ani dla zwierząt. Ale prawdę mówiąc...

No cóż, w gruncie rzeczy Hiacynta nie miała pojęcia, jak wygląda prawda. Nie była wszytkowiedząca, choć starała się wmówić innym, że nią jest.

Unikała obu tych mężczyzn. Twierdziła, że ich nie lubi, ale może chodziło o coś całkiem innego? Może po prostu nie lubiła siebie samej, gdy znajdowała się w ich towarzystwie?

Podniosła głowę. St. Clair siedział nieco odchylony do tyłu, a na jego twarzy nuda łączyła się z pobłażliwym rozbawieniem. Wielu londyńskich światowców prezentowało podobne uśmiechy, ale Gareth - zdaniem Hiacynta - czynił to najbardziej przekonująco.

- Ma pani zbyt ponurą minę jak na wieczór krowich pentame-trów - zauważył.

Hiacynta ze zdumieniem obejrzała się na prowizoryczną scenę.

- Czyżby miały być i krowy?

Oddał jej program i westchnął.

- Jestem przygotowany na najgorsze.

Hiacynta uśmiechnęła się. Był naprawdę zabawny! I inteligentny. I bardzo, bardzo przystojny. Co do tego zresztą nigdy nie miała wątpliwości.

Zdała sobie nagle sprawę, że miał wszystkie zalety, w które wyposażała swój ideał mężczyzny, czyli przyszłego małżonka.

Wielki Boże!

- Dobrze się pani czuje? - spytał, siadając prosto.

- Doskonale! - wykrztusiła. - Czemu pan pyta?

- Wyglądała pani... - Odchrząknął skrepowany. - Wyglądała pani, jakby... bardzo przepraszam. Nie mówi się takich rzeczy damie.

- Nawet takiej, na której wcale nie chce pan zrobić wrażenia?

- zakpiła Hiacynta trochę wbrew sobie.

Przypatrywał się jej przez chwilę, zanim powiedział:

- Niech będzie! Wyglądała pani tak, jakby miała zaraz dostać torsji.



- Nigdy nie miewam takich przypadłości - odparła swobodnie. Gareth St. Clair nie był wcale uosobieniem zalet, które szczególnie ceniła u mężczyzny! - Mdleć też nie mam zwyczaju. Nigdy!

- W tej chwili wygląda pani na rozżłoszczoną - mruknął.

- Ale nie jestem - odparła bardzo zadowolona, że tak beztrudno to zabrzmiało.

Ma fatalną reputację, mówiła sobie. Czyżby naprawdę chciała związać się z kimś, kto utrzymywał stosunki z tyloma kobietami?! W odróżnieniu od większości niezamężnych panien Hiacynta doskonale się orientowała, na czym takie stosunki polegają. Nie z osobistego doświadczenia, rzecz jasna; udało się jej sporo dowiedzieć od starszych, zamężnych siostr. I chociaż Daphne, Eloise i Francesca zapewniały ją, że jest to bardzo przyjemne, jeśli ma się odpowiedniego męża, rozumiało się samo przez się, że ów mąż pozostawał wierny swojej żonie. Pan St. Clair natomiast obdarzał swoimi względami dziesiątki kobiet.

Zachowanie tego rodzaju nie było normalne!

A choćby nawet liczba jego przyjaciółeczek okazała się znacznie skromniejsza, jakże Hiacynta mogłaby z nimi rywalizować? Wiedziała z całą pewnością, że teraz kochanką Garetha była Maria Bartolomeo, włoska sopranistka, znana nie tylko ze swego wspaniałego głosu, ale i z urody. Nawet rodzona matka nie mogłaby utrzymywać, że Hiacynta dorównuje pięknnością słynnej diwie!

Jakież to okropne - wkroczyć w małżeńskie życie z przeświadczeniem, że nigdy się nie dorówna swojej poprzedniczce!

- Mam wrażenie, że już się zaczyna. - St. Clair westchnął.

Lokaje krążyli po sali, gasząc część świec. Zapanował półmrok.

Hiacynta obróciła się. Nad ramieniem jej sąsiada jarzył się niewygaszony kandelabr i w migotliwym świetle włosy Garetha wydawały się przetykane złotem. Tylko on ze wszystkich obecnych tu mężczyzn spletał ich końce w warkoczyk - spodobało jej się to, choć nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego.

- Czy byłby to straszny skandal - usłyszała jego szept - gdybym rzucił się ku drzwiom?

- W tej chwili? - odszepnęła, starając się opanować dreszcze, które ją przeszły, gdy pochylił się ku niej. - Okropny!

Opadł na krzesło z ciężkim westchnieniem i utkwiał wzrok w podium, zachowując wszelkie pozory dobrze wychowanego i tylko nieco znudzonego dżentelmena.

Jednakże w chwilę później usłyszała ciche, przeznaczone tylko dla jej uszu:

- Beee...
- Beeeeee...

*Dziewięćdziesiąt okropnych, ogłupiających minut później. Niestety, złe przeczucia naszego Bohatera co do krowich pentametrow sprawdziły się !*

- Lubi pani porto, panno Bridgerton? - zagadnął Gareth, nie odrywając wzroku od sceny, gdy na stojąco bili brawo potomstwu Pleinsworthów.

- Nigdy nie piłam, ale przyznam, że zawsze miałam ochotę skosztować. Czemu pan pyta?

- Ponieważ oboje zasłużyliśmy na kieliszek czegoś mocniejszego.

Hiacynta z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- No cóż. Jednorożec był naprawdę miłutki - powiedziała.

Gareth roześmiał się. Jednorożec miał nie więcej niż dziesięć lat. Wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby małego Henryka VIII nie uparł się pojeździć na nim wierzchem, nie bacząc na scenariusz.

- Aż dziw, że nie musieli wezwać chirurga! - wymamrotał Gareth.

Hiacynta wzdygnęła się.

- Biedulka, wyraźnie kulała!

- O mały włos nie zarząłem boleśnie z czystego współczucia dla niej. Dobry Boże, kto wpadł na podobny... O, lady Pleinsworth! - odezwał się całkiem innym tonem, z godną podziwu szybkością przywołując na twarz ujmujący uśmiech. - Jak miło panią widzieć!

- Witam, panie St. Clair - odparła wylewnie lady Pleinsworth. - Jestem zachwycona, że zechciał pan obejrzeć nasze przedstawienie.

- Nie przegapiłbym podobnej okazji!

- I panna Bridgerton! - Lady Pleinsworth wyraźnie wietrzyła sensację towarzyską. - Czy to pani zawdzięczam obecność pana St. Claira?

- Obawiam się, że to zasługa jego babki - odparła Hiacynta.  
- Zagroziła laską i musiał przyjść.

Lady Pleinsworth nie wiedziała, jak na to zareagować, toteż zwróciła się znów do Garetha i, odchrząknąwszy raz i drugi, spytała:

- Czy poznał już pan moje córki?

Zdołał powściągnąć grymas niechęci. Właśnie dlatego unikał spotkań towarzyskich!

- Hm... No cóż... Chyba nie miałem jeszcze przyjemności.

- Jedna z nich grała pasterkę - wyjaśniła z nadzieją w głosie lady Pleinsworth.

Gareth skinął głową.

- A jednorożec? - spytał z uśmiechem.

- Ona również grała - odparła lady Pleinsworth, skonfundowana, może nawet przestraszona. - Ale... jest trochę za młoda!

- Pewna jestem, że pan St. Clair będzie zachwycony, mogąc zawrzeć znajomość z Harriet - wtrąciła Hiacynta, po czym odwróciwszy się do Garetha wyjaśniła: - Czyli z pastereczką!

- Oczywiście - odparł. - Zachwycony!

Hiacynta zwróciła się do lady Pleinsworth z podejrzeniem niewinnym uśmiechem.

- Pan St. Clair jest prawdziwym ekspertem, jeśli chodzi o zwierzęta hodowlane!

- Że też nigdy nie mam pod ręką laski, kiedy mi potrzebna! - wymamrotała.

- Słucham? - spytała lady Pleinsworth, pochylając się ku niemu.

- Będę zaszczycony, mogąc poznać pani córkę, milady - odparł, ponieważ w tej sytuacji nie miał innego wyjścia.

- Cudownie! - wykrzyknęła lady Pleinsworth, klaszcząc w dłonie. - Harriet będzie oczarowana!

Po czym znikła, bąknąwszy coś o konieczności zamienienia kilku słów z innymi gośćmi.

- Niechże pan aż tak się tym nie przejmuje - powiedziała Hiacynta, gdy tylko zostali znów sami. - Jest pan doskonałą partią, i tyle!

Spojrzał na nią badawczo.

- Czy wypada mówić takie rzeczy prosto z mostu?

Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego nie? Przecież nie staram się zrobić na panu wrażenia!

- *Touche*, panno Bridgerton!

Westchnęła z zadowoleniem.

- Ach, jak ja lubię to słyszeć!

Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Proszę mi powiedzieć - zmienił temat - czy przystąpiła już pani do pracy nad pamiętnikiem mojej babki?

Skinęła głową.

- Byłam zdziwiona, że nie spytał pan o to wcześniej.

- Pasterka przykuła całą moją uwagę - oznajmił. - Ale proszę nie powtarzać tego jej matce. Z pewnością zrozumiałaby to opacznie.

- Z matkami przeważnie tak bywa - przytaknęła, rozglądając się po pokoju.

- Kogo pani szuka?

- Hm...Tak się tylko przypatruję.

- Czemu? - Nie dawał za wygraną.

Odrzuciła się twarzą do niego. Oczywiście miała wielkie, skupione, niewiarygodnie błękitne.

- Wszystkiemu i niczemu! Nie lubi pan wiedzieć, co się dzieje dokoła?

- Tylko wówczas, gdy mnie to osobiście dotyczy.

- Doprawdy? - Zamilkła na chwilę. - Ja lubię wiedzieć o wszystkim!

- Zdążyłem zauważyć. A jeśli o tym mowa, dowiedziała się już pani czegoś z pamiętnika?

- O tak! - odparła z ożywieniem.

Niewiarygodne, ale widział na własne oczy, jak Hiacynta Bridgerton dosłownie zapłonęła blaskiem, mogąc autorytatywnie wypowiedzieć się na konkretny temat. A co jeszcze dziwniejsze, było to naprawdę urocze!

- Przeczytałam, niestety, zaledwie dwanaście stron - relacjonowała. - Dziś po południu musiałam pomóc matce w załatwianiu korespondencji i nie miałam czasu na tłumaczenie, choć zdecydowanie wolałabym się tym zająć. Nawiasem mówiąc, nie wspomniałam mamie o zadaniu, jakiego się podjęłam, bo nie byłam pewna, czy to nie sekret.

Gareth pomyślał o swoim ojcu, który zapewne chciałby odebrać mu rodzinną pamiątkę, choćby tylko na złość.

- Tak, to sekret - powiedział. - Przynajmniej na razie.

Skinęła głową.

- Chyba rzeczywiście lepiej nic nie mówić, póki się pan nie dowie, o czym pańska babka pisała.

- I cóż pani odkryła?

- Jak by tu powiedzieć...

Zauważył, że się skrzywiła.

- O co chodzi?

Zacisnęła wargi, jakby chciała się powstrzymać od oznajmienia jakiejś niemiłej wieści.

- Obawiam się, że nie zdołam tego przekazać w... delikatny sposób.

- Wcale mnie to nie zdziwi. Znam swoją rodzinę.

- Ona... wcale się nie paliła do poślubienia pańskiego dziadka.

- Wiem. Już pani o tym wspomniała we wtorek po południu.

- Ale ona... za nic nie chciała wyjść za niego!

- Mądra niewiasta - mruknął. - Mężczyźni z naszej rodziny to tępaki i uparciuchy.

Hiacynta uśmiechnęła się lekko.

- Włącznie z panem?

Powinien był to przewidzieć!

- Nie mogła się pani oprzeć pokusie, co?

- A pan by się oparł?

- Chyba nie - przyznał. - O czym jeszcze moja babka pisała?

- Niewiele więcej zdołałam wyczytać. Była jeszcze bardzo młoda, miała zaledwie siedemnaście lat. Rodzice zmusili ją do tego

małżeństwa. Biedactwo, na trzech stronach skarży się, jak bardzo jest tym zmartwiona.

- Tylko zmartwiona?

Wzdrygnęła się.

- Bardziej niż zmartwiona, ale...

- Dajmy spokój dokładnym określeniom!

- Tak będzie lepiej - zgodziła się.

- Jak się poznali? - spytał. - Pisała o tym?

Hiacynta pokręciła głową.

- Nie. Zdaje się, że zaczęła pisać pamiętnik dopiero po zawarciu tej znajomości. Co prawda, wspomina o przyjęciu u swego wuja, więc może właśnie tam się poznali.

Gareth przytaknął z roztargnieniem.

- Mój dziadek odbył w młodości podróż po Europie. Z przyszłą żoną spotkali się i pobrali we Włoszech. To wszystko, co mi wiadomo na ten temat.

- No cóż. Nie przypuszczam, żeby ją skompromitował, jeśli o to panu chodzi - odpowiedziała Hiacynta. - O czymś takim z pewnością napisałaby w pamiętniku!

Nie mógł oprzeć się pokusie.

- A pani?

- Słucham?

- Gdyby ktoś panią skompromitował, napisałaby pani o tym w pamiętniku.

Zaczerwieniła się. Był tym oczarowany.

- Nie prowadzę pamiętnika.

Cóż za wspaniała zabawa!

- Ale gdyby pani prowadziła...

- Nie prowadzę, i tyle! - oświadczyła twardo.

- Tchórz! - szepnął oskarżycielskim tonem.

- A pan zamieszczałby w pamiętniku wszystkie swoje sekrety? - odparowała.

- Oczywiście, że nie! Gdyby ktoś dobrał się do moich zapisków, mogłoby się to źle skończyć dla różnych... osób, o których tam wspomynam.

- Dla jakich osób? - spytała z wyzwaniem w głosie.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Miałem na myśli kobiety.

Znowu zarumieniła się, ale nie tak gwałtownie. Chyba nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Twarz jej lekko poróżowiła, uwydatniły się piegi na nosku. W podobnej sytuacji większość kobiet oburzyłyby się, albo przynajmniej udawała oburzenie. Ale nie Hiacynta! Przygryzła lekko wargi; może chciała ukryć zażenowanie, a może powstrzymała się w ostatniej chwili od odpowiedzi? Gareth nie był tego pewny.

Za to doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak dobrze się bawi. Trudno było w to uwierzyć: stali przecież na wprost fortepianu, pokrytego zielskiem, Gareth zaś dobrze wiedział, że przez resztę wieczoru musi ukrywać się przed pasterką i jej ambitną mamusią... a mimo to bawił się znakomicie!

- Jest pan naprawdę taki zły, jak mówią? - spytała Hiacynta.

Spojrzał na nią zdumiony. Tego się nie spodziewał!

- Nie - przyznał - ale proszę nie zdradzić tego nikomu!

- Podejrzewałam to - powiedziała po namyśle.

Coś w tonie jej głosu zaniepokoiło go. Wcale sobie nie życzył, by Hiacynta Bridgerton zanadto się nad nim zastanawiała. Miał dziwne przeczucie, że gdyby się bardzo postarała, mogłaby przejrzeć go na wylot.

I kto wie, co by odkryła?

- Pańska babcia zmierza w naszą stronę - oznajmiła Hiacynta.

- Rzeczywiście! - odparł, rad ze zmiany tematu. - Spróbujemy jej uciec?

- Już za późno - stwierdziła z lekkim grymasem. - A w dodatku ciągnie tu moją matkę!

- Gareth! - rozległ się ostry głos starej damy.

- Dobry wieczór, babciu. - Ucałował szarmancko jej dłoń. - Zawsze miło cię widzieć.

- Jeszcze by nie! - rzuciła impertynenckim tonem.

Gareth zwrócił się do starszej, jakby nieco spłowiełej wersji Hiacynty.

- Moje uszanowanie, lady Bridgerton!
- Witam, panie St. Clair - odparła ciepło Violet. - Dawnośmy się nie widzieli.
- Rzadko oglądam takie występy - przyznał.
- Wiem - odparła szczerze. - Hrabina opowiedziała mi, jak prośbą i groźbą zmusiła pana do przyjsia.

Odwrócił się do babki i uniósł brwi.

- Uwzięłaś się, żeby mi zepsuć reputację?
- Sam już się o to postarałeś, drogi chłopcze.
- Mam wrażenie - wtrąciła Hiacynta - że pani wnuk uważa, iż wyda się światu mniej groźny i zuchwały, gdy wszyscy się dowiedzą, jaki jest uległy wobec swojej babki!

Zapadło trochę niezręczne milczenie, a Hiacynta pojęła, że wszyscy bez jej pomocy odczytali trafnie uwagę Garetha. Ten zaś odezwał się po chwili:

- Mam dziś jeszcze inne zobowiązania i obawiam się, że muszę stąd zmykać!

Lady Bridgerton uśmiechnęła się.

- Ale we wtorek wieczorem znów się spotkamy, prawda?
- We wtorek? - Uśmiech lady Bridgerton wcale nie taki spontanicznie szczerzy, jak się wydawał.
- Mój syn i jego żona wydają bal. Jestem przekonana, że otrzymał pan zaproszenie!

Gareth też tak przypuszczał, ale zwykle odrzucał zaproszenia, nawet się z nimi nie zapoznawszy.

- Zapewniam pana, że nie natknie się na żadnego jednorozca! Został schwytyany w pułapkę. I to po mistrzowsku!
- W takim razie - odparł uprzejmie - jak mógłbym odmówić?
- Znakomicie. Jestem pewna, że Hiacynta będzie zachwycona!
- Nie posiadam się ze szczęścia! - mruknęła córka.
- Hiacynta! - ofuknęła ją lady Bridgerton i znów zwróciła się do Garetha: - Ona nie mówiła tego poważnie!
- Jestem niepokieszony - powiedział do krnąbrnej panienki.
- Dlatego że nie posiadam się ze szczęścia, czy wręcz odwrotnie?
- Pani wybór.



Złożył ukłon damom.

- Do zobaczenia, drogie panie - powiedział półgłosem.
- Proszę nie zapominać o pasterce - przypomniała Hiacynta ze słodkim, przekornym uśmiechem. - Obiecał pan jej matce!

Niech to diabli! W ogóle o tym nie myślał. Rozejrzał się po pokoju. Pasterka wysunęła w jego kierunku wygięty koniec laski i Gareth miał wrażenie, że jeśli się do niej nie zbliży, sama go przyciągnie.

- Czy pani nie jest przypadkiem z nią zaprzyjaźniona? - Spojrzał badawczo na Hiacyntę.

- Ależ skąd! - odparła. - Ledwo się znamy.
- No to może chciałaby pani poznać ją bliżej? - wycodził.
- Niespecjalnie. - Uśmiechnęła się słodko. - Ale będę obserwować was z daleka!

- Zdraczyni! - wymamrotał i wyminąwszy ją, ruszył ku pasterce. Przez resztę wieczoru, nie wiedzieć czemu, prześladował go zapach perfum Hiacynty.

A może raczej jej cichy śmiech?

Albo ani jedno, ani drugie. Może chodziło po prostu o nią samą?

## 6

*Następny wtorek, sala balowa w Bridyerton House. Wszystkie świece zapalone, w powietrzu unoszą się dźwięki muzyki, noc wydaje się stworzona dla miłości. Jednak nie dla Hiacynty, która przekonuje się, że przyjaciele bywają równie irytujący jak rodzina. Niekiedy nawet bardziej!*

Wiesz, za kogo powinnaś się wydać? Moim zdaniem za Garetha St. Claira.

Hiacynta spoglądała na swą najbliższą przyjaciółkę, Felicity Albansdale, z mieszaniną zdumienia i przerażenia. Nie była - w żadnym wypadku! - skłonna przyznać, że owszem, mogłaby wyjść za

niego, i nawet się zastanawia, czy nie warto poświęcić nieco uwagi takiej ewentualności.

Czyżby jednak tak łatwo dało się odgadnąć jej myśli?

- Oszalałaś?! - zachnęła się. Nie zamierzała wyjawiać nikomu, iż ten młody człowiek ją pociąga.

Lubiła, żeby wszystko, co robi, było doskonałe, toteż z zamierającym sercem uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jak - z godnością i wdziękiem - złowić upatrzonego mężczyznę.

- Wcale nie oszalałam. - Felicity spoglądała na St. Claira przez całą szerokość sali balowej. - Pasuje do ciebie jak ulał!

- Bzdura. Prawie go nie znam!

- Nikt go nie zna - odparła Felicity. - To człowiek-zagadka.

- No, tego bym nie powiedziała - mruknęła Hiacynta.

Określenie „człowiek-zagadka” brzmiało stanowczo zbyt romantycznie, i...

- Właśnie że tak! - Przyjaciółka przerwała jej rozmyślenia. - Cóż my o nim wiemy? Nic! A więc...

- Żadne „a więc”! Nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić za niego za męża!

- Przecież musisz w końcu za kogoś wyjść - persadowała Felicity.

- Tak to bywa, kiedy ludzie się pobierają! - stwierdziła Hiacynta z niesmakiem. - Zaraz się im wydaje, że każdy powinien iść w ich ślady!

Felicity, która poślubiła Geoffreya Albansdale'a sześć miesięcy temu, wzruszyła ramionami.

- Zachęcać bliźnich do małżeństwa to szczytne posłannictwo!

Hiacynta zerknęła na Garetha, który tańczył z ładniutką, filigranową blondyneczką, Jane Hotchkiss. Zdawało się, że z zapartym tchem chłonie każde jej słowo.

- Nie zamierzam wydać się za Garetha St. Claira - powtórzyła Hiacynta z determinacją.

- „Zdaje się, że ta dama nazbyt się zarzeka!” - zacytowała figlarne przyjaciółka werset z *Hamleta*.

Hiacynta zgrzytnęła zębami.

- Powiedziałam to dwa razy, nie więcej!
- Gdybyś się lepiej zastanowiła...
- Nie mam najmniejszego zamiaru! - weszła jej w słowo.
- ....przekonałabyś się, że to idealny kandydat na męża.
- A to niby czemu?! - zdumiała się Hiacynta, choć wiedziała, że wszelkie protesty tylko zdopingują Felicity.

Przyjaciółka spojrzała jej prosto w oczy.

- To jedyny mężczyzna, moim zdaniem, którego nie zdołasz stratować w swym pochodzie!

Hiacyntę ubodła ta metafora.

- Doprawdy nie wiem, czy uznać to za komplement? - odezwała się lodowatym tonem.

- Ależ Hiacynto! - wykrzyknęła Felicity. - Dobrze wiesz, że nie zamierzałam cię obrazić! Na miłość boską, co z tobą?!

- Nic takiego - odburknęła.

Po tej wymianie zdań z przyjaciółką i niedawnej rozmowie z matką zaczęła się zastanawiać, jak wygląda w oczach innych?

Nie była już pewna, czy ten wizerunek odpowiada jej własnym wyobrażeniom o sobie.

- Wcale nie pragnę, żebyś się zmieniła - zapewniała Felicity, przyjaznym gestem ujmując rękę Hiacynty. - Skądże znowu! Potrzebujesz tylko kogoś, kto by zdołał dotrzymać ci kroku. Musisz jednak przyznać, że niewielu potrafi tego dokonać!

- Bardzo przepraszam - odparła Hiacynta, potrząsając lekko głową. - Zbyt się uniosłam. Po prostu... nie czuję się najlepiej od kilku dni.

Powiedziała szczerze. Choć nieźle to ukrywała, a przynajmniej tak się jej zdawało, lecz w jej duszy panował zamęt. Przyczynę stanowiła rozmowa z matką. Nie, rozmowa z St. Clairem!

Właściwie kryło się za tym coś więcej. Przestała być pewna, że zna siebie, i zadawała sobie pytanie, jaka naprawdę jest. Doświadczała emocji, które utrzymywały ją w ciągłym napięciu i z trudem to znosiła.

- Pewnie się przeziębiałaś - orzekła Felicity, rozglądając się znów po sali balowej. - J a kwiele osób ostatnio.

Hiacynta nie zaprzeczyła. Byłoby wspaniale, gdyby chodziło o zwykłe przeziębienie!

- Wiem, że jesteś w dobrej komitywie z St. Clairem - ciągnęła przyjaciółka. - Słyszałam, że siedzieliście obok siebie na wieczorku muzycznym u Smythe-Smithów. I na poetyckim u Pleinsworthów.

- Wystawili sztukę - sprostowała Hiacynta z pewnym roztargnieniem. - W ostatniej chwili zmienili program wieczoru.

- Jeszcze gorzej. Aż dziw, że nie zdołałaś się jakoś wykręcić od tej imprezy!

- To nie było takie okropne...

- Nie było okropne, dlatego że siedziałaś obok pana St. Claira - zauważyła Felicity z chytrym uśmieszkiem.

- Jesteś niemożliwa! - Hiacynta unikała wzroku przyjaciółki.

Gdyby tego nie zrobiła, Felicity wyczytałaby jej prawdę z oczu. Hiacyntie zdarzało się kłamać, ale nie miała do tego talentu. Z pewnością nie oszukałaby Felicity.

Teraz przyjaciółka odpłacała jej pięknym za nadobne. Ileż to razy droczyła się w taki sam sposób z Felicity, zanim ta wyszła za mąż? Kilka, kilkanaście? A może jeszcze więcej?

- Powinnaś z nim zatańczyć - stwierdziła Felicity.

Hiacynta nie odrywała wzroku od tańczących par.

- Nic z tego, jeśli mnie nie poprosi.

- Oczywiście, że cię poprosi! Powinnaś tylko znaleźć się na drugim końcu sali, gdzie prędzej cię spostrzeże.

- Nie będę się za nim uganiać!

Twarz Felicity rozjaśniła się uśmiechem.

- On ci się naprawdę podoba! Och, to cudowne! Nigdy jeszcze nie widziałam...

- Wcale mi się nie podoba! - przerwała jej Hiacynta.

Potem jednak, uświadomiwszy sobie, jak dziecinnie i nieprawdopodobnie to zabrzmiało, dodała:

- Może jednak powinnam sprawdzić, czy nie zdołam go polubić.

- Nigdy dotąd nie zdobyłaś się nawet na tyle dla żadnego dżentelmena - zauważyła Felicity. - I wcale nie musisz uganiać się za nim! Nie odważy się zignorować siostry pana domu... a poza tym babka by mu nie darowała, gdyby nie poprosił cię do tańca!

- Serdeczne dzięki, że tak się starasz nie urazić mojej dumy i godności osobistej!

Felicity zachichotała.

- Jeszcze nigdy nie widziałam cię w takim nastroju... i muszę przyznać, że bardzo mnie to bawi.

- To wspaniale, że przynajmniej jedna z nas bawi się znakomicie - sarknęła Hiacynta, ale jej słowa nie dotarły do przyjaciółki.

Felicity najwyraźniej zaparło dech.

- Co się stało? - spytała Hiacynta.

Felicity patrząc na koniec sali, dyskretnym ruchem głowy wskazała na lewo.

- Jego ojciec - szepnęła.

Hiacynta odwróciła się raptownie, nie starając się ukryć zaniepokojenia. Wielki Boże! Lord St. Clair także się tu zjawił. W całym Londynie wiedziano, że ojciec i syn nie odzywają się do siebie, nadal jednak wysyłano zaproszenia jednemu i drugiemu. St. Clairowie doprowadzili do perfekcji sztukę unikania się nawzajem, oszczędzając paniom domu kłopotliwej sytuacji, związanej z pojawieniem się obu na tej samej imprezie.

Tego wieczoru jednak coś się widocznie poplątało.

Czy Gareth wie, że jego ojciec także tu jest? Hiacynta spojrzała pospiesznie na tańczące pary. Młody St. Clair śmiał się z jakiegoś zarciku panny Hotchkiss. Z pewnością o niczym nie wiedział.

Tylko raz widziała, jak zachowywał się w obecności ojca: choć stał w przeciwległym końcu pokoju, na jego twarzy malowało się wyraźne napięcie. Potem obaj pospiesznie wyszli, każdy innymi drzwiami.

Hiacynta zauważyła, że lord St. Clair rozgląda się po sali. Jego oczy spoczęły na synu, twarz przybrała twardy wyraz.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała szeptem Felicity.

Zrobić? Hiacynta spoglądała to na Garetha, to na jego ojca. Lord St. Clair - nieświadomy, że jest przedmiotem jej uwagi - odwrócił się na pięcie i odszedł, zapewne do pokoju karcianego.

Nie było jednak żadnej gwarancji, że nie wróci.

- Jakoś temu zaradzisz, prawda? - nalegała Felicity. - Musisz coś zrobić!

Hiacynta nigdy dotąd nie mieszała się w cudze sprawy. Teraz jednak sytuacja przedstawiała się całkiem odmiennie. Gareth... był chyba jej przyjacielem w osobliwy, trochę niepokojący sposób. I musiała z nim pomówić! Spędziła cały ranek i większość popołudnia w swoim pokoju, ślęcząc nad tłumaczeniem pamiętnika. Z pewnością Gareth chciałby się dowiedzieć, co w nim wyczytała.

A jeśli przy okazji zapobiegnie kłótni... No cóż, zawsze to przyjemnie być bohaterką dnia, nawet jeśli o jej wyczynie będzie wiedzieć tylko Felicity!

- Poproszę go do tańca! - podjęła błyskawiczną decyzję.

- Naprawdę? - Felicity wytrzeszczyła oczy.

Hiacynta była znana z ekscentrycznego zachowania, ale nawet ona nigdy dotąd nie ośmieliła się poprosić mężczyzny do tańca!

- Nie zrobię z tego wielkiej sceny - obiecała. - Nikt nie będzie o tym wiedział z wyjątkiem pana St. Claira. I ciebie.

- I wszystkich znajdujących się w pobliżu! I tych, którym tamci wszystko wyplają! I każdego, kto...

- Wiesz, co jest najprzyjemniejsze w takiej starej przyjaźni jak nasza? - przerwała jej Hiacynta.

Felicity pokręciła głową.

- To, że nie obrazisz się śmiertelnie, kiedy stąd odejdziesz!

I Hiacynta zrobiła to, co zapowiedziała.

Jednak dramatyczny efekt wyraźnie stracił na sile, gdy usłyszała za sobą śmiech Felicity i rzucone szeptem słówko:

- Powodzenia!

*Trzydzieści sekund później. Przedostanie się na drugi koniec sali .  
balowej nie wymaga wiele zachodu]*

Gareth zawsze lubił Jane Hotchkiss. Siostra tej panny poślubiła jego kuzyna i skutkiem tego spotykali się od czasu do czasu w domu babci Danbury. A co więcej, mógł poprosić Jane do tańca bez obawy, że zostanie to potraktowane jako wstęp do zalotów.

- Za czym się tak rozglądasz? - spytała Jane pod koniec kadryła.

- Za niczym - zapewnił.

- Niech ci będzie! - Jej jasne brwi zbiegły się, nadając twarzy wyraz lekkiego zniecierpliwienia. - W takim razie, kogo tak wypatrujesz? I nie wmawiaj mi, że nikogo, bo wyginasz szyję od początku tańca!

Odwrócił głowę i wbił wzrok w twarz swojej partnerki.

- Twoja wyobraźnia, Jane - stwierdził - nie zna granic.

- Teraz już jestem pewna, że kłamiesz.

Miała słuszość, rzecz jasna. Rozglądał się za Hiacyntą Bridgerton od chwili, gdy dwadzieścia minut temu wkroczył na salę. Zdawało mu się, że ją wypatrył, zanim jeszcze natknął się na Jane, ale okazało się, że to jedna z licznych siostr Hiacynty. Wszystkie Bridgertonówny były do siebie diabelnie podobne! Z drugiego końca sali prawie nie do odróżnienia.

Po skończonym tańcu ujął Jane pod rękę i szybko odprowadził na miejsce.

- Nigdy bym cię nie okłamał, Jane - zapewnił ją z niefrasobliwym uśmiechem.

- Akurat! - odparowała. - Od razu można poznać, kiedy kłamiesz. Oczy cię zdradzają. Tak serio spoglądasz tylko wtedy, gdy mijasz się z prawdą.

- To niemożliwe.

- Ale prawdziwe! Możesz mi wierzyć. O, dobry wieczór, panno Bridgerton!

Gareth odwrócił się raptownie i ujrzał Hiacyntę: śliczną jak zjawisko kobietę w błękitnych jedwabkach. Wyglądała wyjątkowo uroczo tego wieczoru. Zrobiła coś z włosami... Nie był pewny, co? Rzadko zwracał uwagę na takie szczegóły. Ale nowe uczesanie jakoś ją odmieniło. Włosy w nieco inny sposób okalały jej twarz, dlatego wydała mu się jakby nie ta sama.

A może to były jej oczy? Spojrzenie niezwykle zuchwałe, nawet jak na nią!

- Dobry wieczór, panno Hotchkiss - odpowiedziała Hiacynta z uprzejmym ukłonem. - Miło znów panią widzieć.

Jane uśmiechnęła się ciepło.

- Lady Bridgerton zawsze urządza cudowne bale. Proszę przekazać jej ode mnie słowa podziwu.

- Zrobię to bardzo chętnie... Kate jest w pobliżu, tam, gdzie podają szampana - odparła Hiacynta, mając oczywiście na myśli swoją bratową, młodszą lady Bridgerton. - Ale może wolałaby pani powiedzieć jej to osobiście?

Brwi Garetha poszybowały do góry. Cokolwiek knuła Hiacynta, nie ulegało wątpliwości, że chce porozmawiać z nim sam na sam.

- Ach tak? - mruknęła Jane. - W takim razie chyba pójdę z nią pogawędzić. Życzę wam obojgu miłej zabawy!

- Bystra dziewczyna - pochwaliła ją Hiacynta, gdy zostali we dwoje.

- To było dość obcesowe - stwierdził Gareth.

- Istotnie - odparła. - W ogóle nie jestem zbyt subtelna. Obawiam się, że to cecha wrodzona... którą nie mogę się pochwalić.

Gareth się uśmiechnął.

- A teraz, gdy ma mnie pani do wyłącznej dyspozycji, czym mogę służyć?

- Nie ma pan ochoty dowiedzieć się czegoś więcej o pamiętniku swojej babki?

- Oczywiście że tak! - odparł.

- Może zatańczymy? - zaproponowała.

- Pani mnie prosi do tańca?

Całkiem mu się to spodobało.

Zrobiła groźną minę.

- Otóż i prawdziwa panna Bridgerton! - przekomarzał się z nią. - Przejiera jak słońce przez chmury.

- Chce pan ze mną zatańczyć, czy nie? - spytała przez zaciśnięte zęby.

Gareth uświadomił sobie ze zdumieniem, że nie była to dla niej łatwa próba. Hiacynta Bridgerton, która zawsze wydawała się taka swobodna, teraz z wyraźnym lękiem prosiła go do tańca.

Zabawne!



- Będę zachwycony — zgodził się natychmiast. — Czy pozwoli pani, bym poprowadził ją na parkiet, czy uważa to pani za przywilej osoby proponującej taniec?

- Może mnie pan poprowadzić - odparła z godnością królowej.

Kiedy jednak znaleźli się pośrodku sali, Hiacynta wydawała się mniej pewna siebie. I mimo że starała się to ukryć, jej oczy nerwowo błędziły po otoczeniu.

- Kogo pani wypatruje? - Gareth uświadomił sobie z rozbawieniem, że powtarza pytanie, które Jane przed chwilą zadała jemu.

- Nikogo - zapewniła pospiesznie Hiacynta. Tak raptownie zwróciła na niego oczy, że poczuł niemal zawrót głowy. - Cóż tak pana bawi?

- Nic szczególnego. Ale pani z całą pewnością kogoś szuka, choć muszę przyznać, że robi to bardzo dyskretnie.

- Absolutnie nikogo nie szukam. - Dygnęła wdzięcznie, gdy rozległy się pierwsze tony walca.

- Umiesz kłamać, moja panno - mruknął pod nosem, biorąc ją w objęcia - choć nie tak dobrze, jak ci się zdaje!

Dźwięki muzyki unosiły się w powietrzu - miękkie, śpiewne, w rytmie na trzy czwarte. Gareth zawsze lubił tańczyć, zwłaszcza gdy partnerka była pociągająca. Teraz jednak, od pierwszego kroku... może od szóstego, zorientował się, że nie będzie to zwykły taniec.

Hiacynta Bridgerton była niezbyt zręczną tancerką.

Uśmiechnął się mimo woli.

Sam nie wiedział, dlaczego go to bawi. Może dlatego, że okazała się pojętna pod innymi względami? Słyszał, że niedawno skłoniła pewnego młodzieńca do konnych wyścigów po Hyde Parku i pokonała go z kretesem. Gareth nie wątpił, że gdyby znalazła kogoś, kto wtajemniczyłby ją w arkana szermierki, niebawem bez pudła trafiaby przeciwnika w samo serce!

Ale jeśli chodzi o taniec...

Powinien był przewidzieć, że nie czuła się swobodnie wówczas, gdy ktoś ją prowadził.

- Proszę mi powiedzieć, panno Bridgerton... - odezwał się, mając nadzieję, że rozmowa poprawi sytuację; lepiej i wdzięczniej tańczyło się, nie myśląc o krokach. - Dużo zdołała pani przeczytać od naszej ostatniej rozmowy?

- Tylko dziesięć stron. Może to niezbyt wiele...

- Moim zdaniem całkiem sporo - zapewnił, obejmując ją nieco mocniej w pasie.

Jeszcze trochę wysiłku... Może się uda obrót w lewo?

Uff, najbardziej wyczerpujący walc ze wszystkich, jakie przetańczył!

- Nie znam biegle włoskiego - sumitowała się Hiacynta. - Dla tego trwa to znacznie dłużej niż czytanie książki.

- Nie potrzebuje się pani usprawiedliwiać! - odparł, zmuszając ją do obrotu w prawo.

Nadepnęła mu na nogę, co w zwykłych okolicznościach uznałyby za akt zemsty, ale w tej sytuacji skłonny był uważać za przypadek.

- Przepraszam - bąknęła i policzki jej poróżwiały. - Zazwyczaj nie jestem taka niezgrabna.

Przygryzł wargę. Nie powinien się z niej śmiać. Serce by jej chyba pękło. Zaczynał pojmować, że Hiacynta Bridgerton lubi robić wszystko bez zarzutu. Podejrzewał, że nie ma pojęcia, jaką jest fatalną tancerką, jeżeli nadeptanie mu na nogę uznała za swój najcięższy grzech.

Wyjaśniało to również upór, z jakim ustawicznie przypominała mu, że nie zna zbyt dobrze włoskiego. Nie mogła znieść myśli, że coś jej się nie udaje bez ważnej przyczyny.

- Spisałam nieznanne mi słówka i zwroty - wyjaśniała. - Prześlę ją mojej dawnej guwernantce. Mieszka nadal w hrabstwie Kent i jestem pewna, że chętnie przetłumaczy. Ale nawet mimo tych braków...

Zdołał ją skłonić, nie bez wysiłku, do obrotu w lewo.

- Mimo tych braków... - ciągnęła uparcie - chwytam sens większości zdań. Zdumiewające, jak dużo można logicznie wywnioskować, jeśli rozumie się dokładnie trzy czwarte tekstu!

- Jestem o tym przekonany - zapewnił ją, ponieważ wyraźnie oczekiwała potwierdzenia. A następnie zagadnął: - Czemu nie kupi sobie pani słownika? Z przyjemnością pokryję koszty.

- Mam słownik. Ale chyba niezbyt dobry. Połowy słów nie mogę w nim znaleźć!

- Połowy?

- No, w każdym razie wielu. Ale to mi naprawdę tak bardzo nie przeszkadza.

Zamrugał oczami, czekając na dalszy ciąg wywodów.

Nie zawiodła go, oczywiście!

- Mam wrażenie, że włoski nie jest językiem ojczystym autora.

- Autora tego słownika? - upewnił się.

- Tak. Brakuje w nim bardzo przydatnych zwrotów.

Milczała przez chwilę, pogrążona widocznie w myślach, które przelatywały jej przez głowę. Potem wzruszyła ramionami i zmyliła krok. Nawet tego nie zauważyła i mówiła dalej:

- Naprawdę nic nie szkodzi! Robię wyraźne postępy, choć nie tak szybko, jak bym chciała. Doszłam już do przyjazdu pańskiej babki do Anglii.

- Po przeczytaniu dziesięciu stron?

- Przeczytałam dwadzieścia dwie - poprawiła go. - Ale nie są to codzienne zapiski. Prawdę mówiąc, pańska babka często opuszcza całe tygodnie. Podróży morskiej poświęciła tylko jeden krótki ustęp; wyraża w nim radość z powodu morskiej choroby, która zmogła pańskiego dziadka.

- Człowiek szuka pociechy, w czym tylko może - mruknął Gareth.

Hiacynta skinęła głową.

- Nie wspomniała też ani słówkiem o nocy poślubnej.

- Prawdziwy dowód laski boskiej! - stwierdził Gareth.

Nie miał wcale ochoty poznawać tajemnic nocy poślubnej żadnej ze swych babek - ani po mieczu, ani po kądzieli.

Dobry Boże, tego by chyba nie wytrzymał!

- Czemu ma pan taką zboląłą minę?

- W pewne sprawy własnych dziadków nie powinno się wnikać!

Hiacynta uśmiechnęła się z całego serca.

Garethowi zaparło dech. W uśmiechu Hiacynty było coś, *co* zmuszało dosłownie każdego, by porzucił wszystko, co go absorbowowało

w danej chwili, by oderwał się nawet od własnych myśli - i odpowiedział jej także uśmiechem.

Kiedy Hiacynta uśmiechała się szczerze, a nie sztucznym pół-uśmiechem, który miał świadczyć o tym, jaka jest sprytna, jej twarz się zmieniała. Oczy płonęły, policzki pokrywały się rumieńcem.

Stawała się piękna.

Zdumiewające, że nie spostrzegł tego wcześniej! I nikt nie zwrócił mu na to uwagi! Gareth, bywalec salonów, znał Hiacyntę od kilku lat - i dotąd ani razu nie usłyszał, żeby ktoś nazwał ją brzydką, czy zachwycał się jej urodą.

Może wszyscy zbyt byli wsłuchani w to, co Hiacynta ma do powiedzenia, by przyrzeć się uważnie jej twarzy?

- Panie St. Clair? Panie St. Clair!

Gareth oprzytomniał. Spoglądała na niego ze zniecierpliwieniem. Ciekawe, ile razy musiała powtórzyć jego nazwisko?

- Myślę, że w obecnej sytuacji - stwierdził - mogłaby pani mówić mi po imieniu!

Skinęła głową.

- Doskonały pomysł. Proszę i do mnie tak się zwracać.

- Hiacynta... - szepnęła. - Pasuje do ciebie.

- To był ulubiony kwiat mojego ojca. Dzięki hiacynty każdej wiosny kwitną jak szalone w Kent! One pierwsze tworzą barwne plamy wokół naszego domu...

- Mają taką barwę jak twoje oczy.

- Szczęśliwy zbieg okoliczności - przyznała.

- Twój ojciec musiał być zachwycony!

- Nigdy się o tym nie dowiedział - odparła, odwracając oczy.

- Zmarł przed moim urodzeniem.

- Tak mi przykro - powiedział cicho Gareth. Nie znał dobrze Bridgertonów, ale - w odróżnieniu od St. Clairów - wydawali się naprawdę kochającą rodziną. - Wiedziałem, że zmarł dość dawno temu, ale nie miałem pojęcia, że go nie znałaś.

- To nie powinno mieć dla mnie znaczenia - odparła cicho.

- Podobno nie można tęsknić za czymś, czego się nigdy nie zaznało, ale muszę przyznać, że czasami... tęsknię.

Starannie dobierał słowa:

- To niełatwe... nie znać własnego ojca.

Skinęła głową ze wzrokiem wbitym w ziemię. Potem zapatrzyła się w jakiś punkt ponad jego ramieniem. Wydało mu się to dziwne, a równocześnie rozczulające, że nie spoglądała na niego w tej chwili. Do tej pory ich rozmowy polegały przeważnie na słownych potyczkach, wymianie żartów i ploteczek. Teraz po raz pierwszy rozmawiali poważnie o sprawach, które pomagały im poznać się nawzajem - lepiej niż błyskotliwa wymiana zdań i niewiele znaczące uśmiechy.

Nadal wpatrywała się w coś za jego plecami, nawet wówczas, gdy całkiem zrećwnie wykonali obrót w lewo. Gareth uśmiechnął się mimo woli. Hiacynta okazała się znacznie lepszą tancerką, gdy myśli miała zaprzątnięte czymś innym.

A potem odwróciła się znów do niego i utkwiała wzrok w jego twarzy z mocą i determinacją. Nie ulegało wątpliwości: miała zamiar zmienić temat rozmowy.

- Chcesz się dowiedzieć, co jeszcze wyczytałam w tym pamiętniku?

- Oczywiście!

- Taniec chyba się kończy - zauważyła. - Zdaje się, że jest tam trochę wolnego miejsca. - Wskazała ruchem głowy odległy kąt sali balowej, gdzie ustawiono kilka krzeseł dla zmęczonych tańcem. - Może uda się nam porozmawiać na osobności, żeby nikt nie przeszkadzał.

Walc się skończył; Gareth zrobił krok do tyłu i lekko skłonił się partnerce.

- Udamy się tam? - szepnął, podając jej ramię.

Hiacynta skinęła głową, on zaś tym razem pozwolił, żeby to ona poprowadziła go w upatrzone miejsce.

# 7

*Dziesięć minut później. Akcja z sali balowej przenosi się na korytarz.*

Gareth nie przepadał za hucznymi balami; męczyły go tłok i duszna atmosfera, a poza tym, choć lubił tańczyć, przeważnie spędzał większość czasu na czczej gadaniu z nieciekawymi ludźmi. Tego jednak wieczoru szczęście mu dopisało, przyznawał w duchu, przemierzając jeden z bocznych korytarzy.

Oboje zaszyli się w zacisznym kątku sali balowej, gdzie Hiacynta poinformowała go o postępach w tłumaczeniu pamiętnika. Mimo wszystko praca nad tekstem posuwała się w całkiem zadowalającym tempie. Hiacynta dotarła właśnie do momentu, gdy Isabella przybyła do Anglii. Pierwsze wrażenie nie było najlepsze. Wysiadając z niewielkiej szalupy, babka pośliznęła się i zawarła bliższą znajomość z angielską ziemią, kłapnąwszy na błotniste nadbrzeże w Dover.

Nowo poślubiony mąż, rzecz jasna, nawet palcem nie kiwnął, żeby jej pomóc.

Aż dziw, że Isabella nie obróciła się na pięcie i nie popędziła z powrotem do Włoch! - pomyślał Gareth. Co prawda, tam również - jak zapewniała Hiacynta - nie czekałoby jej gorące powitanie. Isabella błagała rodziców, by nie zmuszali jej do małżeństwa z Anglikiem, oni jednak uparcie obstawali przy swoim. Nic nie wskazywało, że w domu rodzinnym przyjęliby ją z otwartymi ramionami.

Gareth St. Clair doszedł do wniosku, że nie powinien przebywać zbyt długo w ustronnym zakątku sali balowej w towarzystwie młodej niezamężnej damy, jeśli nie chce wywołać plotek. Rozstał się więc z Hiacyntą, gdy tylko zakończyła relację, przekazując pannę innemu dżentelmenowi, który przyszedł upomnieć się o obiecany mu następny taniec.

Gareth, który uczynił zadość formom towarzyskim, przywitał się jak należy z panią domu i zatańczył z Hiacyntą, zorientował się już, jak stoją sprawy z babcinym pamiętnikiem, uznał, iż może się

już stąd wynieść. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby udać się do swego klubu lub jakiegoś „piekiełka” i pograć w karty.

Mógłbym też, pomyślał, czując dreszczyk, odwiedzić swoją metresę, którą ostatnio nieco zaniedbywałem. No cóż... nie była to, ściśle rzecz biorąc, jego metresa. Nie miał dość pieniędzy, by utrzymywać taką osobkę jak Maria na poziomie, do którego przywykła. Na szczęście, jeden z poprzednich opiekunów podarował jej uroczy domek w Bloomsbury i młody St. Clair nie musiał zapewnić jej stosownego lokum. Nie płacił jej rachunków, więc Maria nie czuła się zobowiązana do dotrzymywania mu wierności. Nie miało to jednak większego znaczenia dla Garetha, gdyż i on nie był jej wierny.

Ta niekłępująca dla obu stron sytuacja trwała już od pewnego czasu i skutkiem tego jedyną kobietą, z którą ostatnio dość często się widywał, była Hiacynta Bridgerton, a z nią - Bóg świadkiem - Gareth nie zamierzał wdawać się w żadne amory.

Pożegnał się z kilkoma znajomymi, którzy znaleźli się akurat w pobliżu wyjścia z sali balowej, po czym wymknął się na zdumiewająco pusty korytarz, zważywszy na wielką liczbę gości. Ruszył w stronę frontowych drzwi, nagle jednak się zawahał. Do Bloomsbury był kawał drogi, chcąc nie chcąc, musi wynająć powóz, by dostać się na bal do Bridgertonów zabrał się razem z babcią Danbury. W jednym z pomieszczeń na tyłach domu gospodarze urządzili dyskretną toaletę dla dżentelmenów i Gareth postanowił z niej skorzystać.

Poszedł korytarzem w odwrotnym kierunku. Gdy dotarł do wiadomych drzwi, dwóch roześmianych dżentelmenów właśnie stamtąd wychodziło; Gareth skinął im głową, zanim wszedł do środka.

Skromny przedsiónek gwarantował jeszcze większe odosobnienie w głównym przybytku. Ktoś z niego korzystał, drzwi były zamknięte, więc Gareth czekał, pogwizdując z cicha.

Bardzo lubił gwizdać!

*Daleko, za morzem ma miła śpi...*

Zwykle podśpiewywał sobie w duchu słowa gwizdanej właśnie piosenki.

*Daleko jest teraz jej dom...*

Połowa jego ulubionych piosenek miała tekst raczej nienadający się do głośnej recytacji.

*Daleko jest szczęście minionych dni...*

- Powiniennem być się domyślić, że to ty!

Gareth skamieniał, znalazłszy się oko w oko ze swoim ojcem. To on był wewnątrz.

- *O wichry, przywiejcie mi ją!*

Tym razem zamiast gwizdać, Gareth zaśpiewał ostatnią linijkę pełnym głosem, akcentując teatralnie słowa.

Sprawiło mu satysfakcję, gdy zobaczył, że ojciec zaciska szczęki. Nie znosił głośnego śpiewu jeszcze bardziej niż gwizdania.

- Ze też cię tu wpuścili - wycedził baron zwodniczo spokojnym tonem.

Gareth nonszalancko wzruszył ramionami.

- Aż dziw, jak trudno poznać, że czyjaś krew nie jest świetliście błękitna lecz zanieczyszczona! - Rzucił starszemu panu wyzywający uśmiezek. - Cały świat łądzi się, że jestem twoim synem. Doprawdy, to szczyt łatwo...

- Dość tego! - syknął baron. - Dobry Boże, wystarczająco przykro jest patrzeć na ciebie. Ale od słuchania zbiera mi się na mdłości!

- Doprawdy? Mało mnie to wzrusza.

W głębi ducha jednak Gareth nie był wcale taki niewzruszony. Serce biło mu gwałtownie, w piersi czuł dziwne drżenie. Rozkojarzony, niespokojny, z trudem trzymał ręce przy sobie.

Powinien od dawna przywyknąć do tego, a jednak zawsze zaskakiwała go własna reakcja. Powtarzał sobie, że następnym razem widok ojca nie zrobi na nim żadnego wrażenia.

Nie potrafił jednak opanować emocji.

A przecież lord St. Clair nie był jego ojcem! To już szczyt wszystkiego: ten człowiek samą swoją obecnością potrafił przemienić go w kretyna. Gareth powtarzał sobie bez końca, że baron w ogóle się nie liczy. Nie łączyły ich więzy krwi, nie powinien więc zwracać na niego większej uwagi niż na pierwszego lepszego przechodnia.



A jednak stary lord miał dla niego wielkie znaczenie. Gareth nie pragnął już jego aprobaty; dawno przestał się łudzić, że kiedykolwiek ją uzyska. A zresztą... co mu po aprobacie kogoś, do kogo nie czuł ani krzty szacunku?

Chodziło jednak o coś innego, znacznie trudniejszego do określenia. Na widok lorda St. Claira Gareth odczuwał nagłą potrzebę udokumentowania swej tożsamości, podkreślenia swego istnienia.

Chciał, by ojciec zdawał sobie sprawę z jego obecności!

Pragnął nękać go w takim samym stopniu, w jakim baron - Bóg świadkiem! - dręczył jego!

Odczuwał ten wewnętrzny przymus przy każdym spotkaniu. A w każdym razie zawsze, gdy z konieczności dochodziło do wymiany zdań. W tej chwili Gareth doskonale zdawał sobie sprawę, że powinien natychmiast przerwać rozmowę, nim zrobi coś, czego będzie żałować.

Za każdym razem przysięgał sobie, że posłucha głosu rozsądku, że wydorosłeje. A potem historia znów się powtarzała. Na widok ojca stawał się znowu piętnastoletnim wyrostkiem, bezczelnie uśmiechniętym i krnąbrnym.

Tym razem jednak dołoży wszelkich starań. Byli przecież w Bridgerton House, na litość boską! Zrobi co w jego mocy, by uniknąć gorszej sceny.

- Przepraszam, spieszę się - burknął, próbując wyminąć ojca.

Ten jednak umyślnie trącił go ramieniem, gdy się mijali.

- Z pewnością się na ciebie nie połakomi! - parsknął niemiłym śmiechem.

Gareth znieruchomiał.

- O czym ty mówisz, u licha?!

- O tej dzierlatce Bridgertonów. Widzę, że uganiaś się za nią z wywieszonym językiem!

Wytrącił go z równowagi. Gareth widział ojca na sali balowej, nie miał jednak pojęcia, że stary śledził każdy jego ruch. Zły był na siebie, że się irytuje. Powinien, do wszystkich diabłów, skakać z radości, że dobrze się bawił i obecność ojca nie zepsuła mu humoru!

Zamiast tego jednak czuł się oszukany, jakby ojciec podglądał go z ukrycia. Szpiegował go!

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - zagadnął baron prowokująco.

Gareth uniósł brew i spojrzał znacząco na wyraźnie widoczny w otwartych drzwiach nocnik.

- Chyba nie życzysz sobie, bym popisał się celnością na taką odległość? - wycedził.

Baron odwrócił się, zrozumiał, o czym Gareth mówi, i zauważył z niesmakiem:

- Stać by cię było i na taki wyczyn.

- A wiesz, chyba rzeczywiście! - odparował Gareth.

Aż do tej chwili nie uświadamiał sobie tego - w jego słowach była raczej szczenięca pogrożka - że chce ordynarnym zachowaniem doprowadzić ojca do wybuchu wściekłości.

- Jesteś odrażający!

- To skutki twojego wychowania.

Uderzył celnie. Baron się zapienił, zanim odparował cios.

- Nie wychowywałem cię dla własnej przyjemności! A już na pewno ani mi się śniło, że przekażę ci swój tytuł!

Gareth ugryzł się w język. Mógłby powiedzieć niejedno, co rozwścieczyłoby ojca, ale nie zamierzał kłać szyderstwem pamięci brata. Nigdy tego nie uczynił!

- George z pewnością przewraca się w grobie - powiedział półgłosem lord St. Clair.

I wówczas w Garcie coś pękło. Stojąc w przedsionku bez ruchu, z rękami sztywno zwisającymi po bokach, w jednej chwili przyparł ojca do ściany i chwycił za gardło.

- To był mój brat! - syknął.

- To był mój syn!

Baron wypluł mu te słowa prosto w twarz.

Gareth czuł drzenie w piersi. Nie mógł zaczerpnąć powietrza.

- To był mój brat - powtórzył, wyęzając całą siłę woli, by mówić spokojnie. - Może nie mieliśmy jednego ojca, ale urodziła nas ta sama matka. I kochałem go!

Brzemień bólu, które przytłaczało go od śmierci George'a, stało się jeszcze cięższe. Opłakiwał go zawsze, ale teraz czuł w sobie niezmierną pustkę, której nic nie mogło zapełnić.

Pozostała mu już tylko wyłącznie babka. Jedyna osoba, którą szczerze kochał.

I która kochała jego.

Dziś to do niego dotarło. Być może wcześniej wołał o tym nie myśleć? Teraz jednak, stojąc twarzą w twarz z człowiekiem, którego zawsze nazywał ojcem - nawet wówczas, gdy znał już prawdę - pojął, jak bardzo jest samotny.

Był zły na siebie. Zdegustowany własną reakcją na obecność staro lorda.

Puścił go raptownie i odsunawszy się obserwował, z jakim trudem baron chwyta powietrze w płuca.

Jemu zresztą także oddech się rwał.

Powinien natychmiast stąd odejść. Znaleźć się gdzie bądź, byle nie tu!

- Nigdy jej nie dostaniesz! - dotarł do niego szyderczy głos ojca.

Gareth zrobił krok w stronę drzwi. Nie uświadamiał sobie nawet, że się porusza, póki słowa barona nie sprawiły, że znów skamieniał.

- Mówię o panie Bridgerton - wyjaśnił ojciec.

- Wcale mi na niej nie zależy.

To wyraźnie rozbawiło barona.

- Oczywiście, że ci na niej zależy! Jest tym wszystkim, czym ty nigdy nie będziesz!

Gareth starał się mówić lekkim tonem, a przynajmniej sprawiać takie wrażenie.

- No cóż... jedno nie ulega wątpliwości - zauważył z bezczelnym uśmiechem, którego ojciec nie mógł znieść. — Jest rodzaju żeńskiego!

Baron uśmiechnął się pogardliwie w odpowiedzi na kiepski dowcip.

- Nigdy za ciebie nie wyjdzie!

- Nie przypominam sobie, żebym ją o to prosił.

- Gadanie! Przez cały tydzień nie może się od ciebie opędzić. Wszyscy już plotkują na wasz temat!

Gareth zdawał sobie sprawę, że nieoczekiwane zainteresowanie, jakie okazywał tej dobrze wychowanej pannie, wywołało pewne zdziwienie w towarzystwie. Ale na pewno nie wzbudziło sensacji, jak utrzymywał ojciec.

Niemniej sprawiało Garethowi gorzką satysfakcję, gdy widział, że baron ma obsesję na jego punkcie. Tak samo jak on!

- Panna Bridgerton przyjaźni się z moją babką - rzucił od niechcienia, z przyjemnością dostrzegając na twarzy ojca grymas złości na wzmiankę o lady Danbury. Ci dwoje nigdy nie mogli się znieść, a kiedy jeszcze odzywali się do siebie, lady D. zawsze nad nim górowała. Choćby z tej racji, że była hrabiną i nigdy nie pozwalała zięciowi - zwykłemu baronowi - zapomnieć o tym.

- To jasne, że jest zaprzyjaźniona z lady Danbury - odparł ojciec, szybko odzyskując rezon. - Pewien jestem, że tylko dlatego znosi twoje umizgi!

- O to już musisz spytać samą pannę Bridgerton - odparował Gareth, nadal lekkim tonem.

Starał się jak najbardziej zbagatelizować sprawę. Z całą pewnością nie zamierzał zdradzić, że Hiacynta ma zamiar przetłumaczyć pamiętnik babki Isabelli. Lord St. Clair zażądałby zapewne zwrotu tej pamiętki rodzinnej, a Gareth nie miał najmniejszego zamiaru wyzbywać się jej.

I nie tylko dlatego, że w jego posiadaniu znalazło się coś, na co ojciec mógł sobie ostrzyć zęby. Gareth naprawdę pragnął poznać tajemnice tego pamiętnika. Choć - kto wie? - może nie było tam żadnych tajemnic, tylko relacja z monotonnego życia włoskiej arystokratki, uwięzionej w pozbawionym miłości małżeństwie.

Tak czy inaczej, chciał się dowiedzieć wszystkiego, co babka Isabella miała mu do powiedzenia. Trzymał więc język za zębami.

- Żebyś się nie wiem jak starał - powiedział cicho baron St. Clair - nigdy jej za ciebie nie wydadzą. Krew zawsze daje o sobie znać!

- Cóż to ma znaczyć? - spytał Gareth ze sztucznym spokojem.

Trudno było się zorientować, czy ojciec mu grozi zdemaskowaniem, czy też są to po prostu jego ulubione wywody na temat wyższości czystej, arystokratycznej krwi.

Lord St. Clair skrzyżował ramiona na piersi.

- Bridgertonowie - oświadczył - nigdy nie pozwolą jej wyjść za ciebie, choćby nawet była taka głupia, żeby się w tobie zadurzyć!

- Ona wcale...

- Jesteś nieokrzesany! - wybuchnął baron. - I tępy.

Słowa wystrzeliły z ust Garetha, nim zdołał je powstrzymać:

- Nie jestem!

- Zachowujesz się idiotycznie! - zagłuszył jego protesty baron. - I z pewnością ta Bridgertonówna jest o wiele za dobra dla ciebie! Poznają się na tym od razu!

Gareth starał się wyrównać oddech. Baron ubóstwiał prowokować go, mówić rzeczy, które zmuszały Garetha do dziecinnego protestu.

- Pod niektórymi względami - ciągnął dalej St. Clair z leniwym, szerokim, pełnym satysfakcji uśmiechem - jest to doprawdy interesująca kwestia.

Gareth wpatrywał się w niego bez słowa, zbyt wściekły, by spytać, co u diaska ojciec ma na myśli?!

- Jak ci się zdaje, kim mógł być twój ojciec? - rozważał na głos.

Garethowi zaparło dech. Po raz pierwszy stary lord bez ogródek zadał to pytanie. Nieraz nazywał Garetha przypłódkiem, mieszańcem i kundlem. Obrzucał również jego matkę epitetami. Ale nigdy dotąd nie poruszył otwarcie kwestii, kto był jego ojcem. I to właśnie sprawiło, iż Gareth powziął podejrzenie: czyżby ojciec dowiedział się wreszcie prawdy?

- Powinieneś wiedzieć to lepiej ode mnie - odparł cicho.

Chwila była pełna napięcia, milczenie dosłownie ich przytłaczało. Gareth wstrzymał dech. Gdyby mógł, zmusiłby serce, by przestało bić. W końcu lord St. Clair powiedział:

- Twoja matka nie chciała niczego wyjawić.

Gareth przypatrywał mu się nieufnie. W głosie ojca było wiele goryczy, ale dźwięczała w nim także dociekliwa nuta. Gareth pojął,

że baron chce go wysondować, przekonać się, czy nie wie nic konkretnego o swoim pochodzeniu.

- Dręczy cię to, nieprawdaż? - Gareth uśmiechnął się. - Wolała innego! Nie daje ci to spokoju nawet po tylu latach!

Miał wrażenie, że baron zaraz go uderzy, ale w ostatniej chwili lord St. Clair cofnął się. Ramiona znów sztywno zwisały mu po bokach.

- Nie kochałem twojej matki - stwierdził beznamiętnie.

- Nigdy cię o to nie podejrzewałem.

Jasne, że wcale nie chodziło o miłość, tylko o zranioną dumę. U barona duma stała zawsze na pierwszym miejscu.

- Muszę się tego dowiedzieć - powiedział cicho lord St. Clair.

- Chcę wiedzieć, kto to był, i wcale nie zapieram się tego pragnienia. Nigdy jej nie wybaczyłem zdrady. Ale ty... ty...

Zaśmiał się. Jego śmiech wstrząsnął Garethem.

- Ty jesteś ucieleśnieniem jej grzechu. - Znów się roześmiał. Jego śmiech przerażał. - I pomyśleć, że nigdy się nie dowiesz, czyja krew płynie w twoich żyłach! Ani tego, kim był ojciec, któremu nie zależało na tobie nawet na tyle, by upomnieć się o swego bękart!

Serce Garethowi zamarło.

Baron uśmiechał się złośliwie.

- Pomyśl o tym następnym razem, gdy poprosisz pannę Bridgerton do tańca! Jesteś prawdopodobnie synem kominiarza! - Wzruszył ramionami z wystudiowaną wzdrganą. - Może zresztą był to lokaj? Zawsze zatrudnialiśmy w Clair Hall potężnie zbudowanych, młodych lokajów!

Gareth omal go nie spoliczkował. Pragnął to uczynić. Ręka go świerzbiła, ale jakoś się powstrzymał i ani drgnął, choć wymagało to nadludzkiego opanowania.

- Jesteś zwykłym kundlem! - rzucił lord St. Clair, zmierzając do drzwi. - I nigdy nie będziesz niczym więcej!

- Zgoda, ale jestem kundlem, od którego się nie odczepisz - mówił Gareth z uśmiechem pełnym okrucieństwa. - Twoim legalnym potomkiem... choć nie z twojego nasienia. - Podszedł do niego tak blisko, że ich nosy niemal się stykały. - Nigdy się mnie nie pozbędziesz!

Baron zaklął, cofnął się raptownie i zacisnął drżące palce na klamce u drzwi.

- Prawda, że to doprowadza cię do szału?

- Nie próbuj udawać kogoś lepszego, niż jesteś - syknął baron. - Aż przykro patrzeć na twoje żałosne usiłowania!

Zanim zdążył odpowiedzieć baronowi, ten już wypadł na korytarz.

Na chwilę Gareth zastygł w bezruchu, jakby najmniejsze poruszenie mogło sprawić, że się rozpadnie.

A potem...

Ramiona jak szalone młóciły powietrze, palce zakrzywiły się w mordercze szpony. Zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć, ale z gardła wydobywały mu się mimo woli niskie, zdławione pomruki.

Jak u rannego zwierzęcia.

Nienawidził tego wszystkiego! Dobry Boże, za co? Dlaczego?!

Czemu baron nadal ma nad nim taką władzę? Nie jest przecież jego ojcem! Nigdy nim nie był! Przecież, u diabła, powinien być szczęśliwy z tego powodu!

I tak też było. Kiedy myślał trzeźwo i jasno, cieszył się z tego.

Gdy jednak stali twarzą w twarz i groźby barona budziły w Garethcie utajone lęki, nie liczyły się logiczne racje.

Nie istniało wówczas nic prócz bólu. Mały chłopiec, nadal kryjący się w jego wnętrzu, nadaremnie dokładał wszelkich starań i nie mógł zrozumieć, czemu nigdy nie może dogodzić ojcu...

- Muszę stąd wyjść! - wymamrotał Gareth, otwierając z trząskiem drzwi na korytarz.

Musiał opuścić ten dom, oddalić się stąd, być sam!

Nie nadawał się do towarzystwa! Nie z tych powodów, które wymienił ojciec, ale mimo wszystko, mógł się...

- St. Clair!

Podniósł wzrok.

Hiacynta!

Stała na korytarzu. Była sama. Odblaski płonących świec pełgały na jej włosach, wydobywając z nich rdzawe tony. Wyglądała prześlicznie i wydawała mu się doskonale szczęśliwą istotą.

Jej życie jest takie pełne, pomyślał. Co prawda nie jest mężatką, ale ma rodzinę!

Wie, kim jest. Zna swoje miejsce w świecie.

Jeszcze nigdy nie zazdrościł aż tak żadnej ludzkiej istocie.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Nie odpowiedział, ale jej to wcale nie zniechęciło.

- Spozrzegłam twój ojca. Tam dalej, na korytarzu. Wydawał\* się rozniewany, ale na mój widok roześmiał się.

Gareth wbił paznokcie w dłoń.

- Dlaczego on się tak śmiał? - spytała Hiacynta. - Prawie go nie znam i... Jesteś pewien, St. Clair, że nie stało się nic złego? - Zmarszczka na jej czole wyrażała szczerą troskę. Spytała nieco ciżej: - Może powiedział coś, co cię zabolowało?

W jednym jego ojciec nie pomylił się: Hiacynta była dobra. Naprawdę dobra! Mogła czasami wydawać się dokuczliwa, despotyczna, nawet nieznośna jak diabli, ale w głębi serca była dobra.

Słyszał wyraźnie głos ojca: „Nigdy jej nie dostaniesz!” „Nie jesteś dla niej dość dobry!” „Nigdy!” „Ty kundlu! Kundlu!”

Przyglądał się jej uważnie. Sunął spojrzeniem po twarzy, ramionach, śmiałym dekolcie sukni. Biust miała niezbyt duży, ale dzięki jakiejś sztuczce krawieckiej Gareth mógł dostrzec w wycięciu jedwabnej sukni rowek między piersiami.

- Gareth?... - szepnęła.

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu, choć podczas tańca przeszli na ty.

Bardzo pragnął jej dotknąć.

Nie, pragnął znacznie więcej!

Chciał posłużyć się nią, by udowodnić sobie samemu, że jest równie dobry jak ona. A może pokazać baronowi, że jest przyzwoitym człowiekiem i swym dotknięciem nikogo nie zbruka?

Przed wszystkim jednak jej pożądał.

Zrobiła wielkie oczy, gdy w jednej chwili znalazł się przy niej; bardzo, bardzo blisko.

Nie cofnęła się jednak. Wargi jej się rozchyliły, słyszał przyspieszony oddech, ale się nie odsunęła.



Może nie wyraziła zgody, ale i nie odmówiła kategorycznie.

Po prostu ją pocałował. Z całą przepęłniającą go desperacją.

Rozchylił językiem jej wargi i wtargnął do środka. Rozkoszował się jej smakiem, jej ciepłem. Czuł dotyk rąk na swoim karku; ścisnęła go z całej siły. Słyszał gwałtowne bicie jej serca.

Ona też go pragnęła! Być może, nie zdawała sobie z tego sprawy, może nie wiedziała, co robić, ale pragnęła go.

I to właśnie sprawiło, że poczuł się jak król!

Serce waliło mu coraz gwałtowniej, ciało sprężyło się. Stali pod ścianą, oparci o nią. Przesunął dłonią po żebrach Hiacynty, aż dotarł do miękkiej wypukłości. Ścisnął ją delikatnie, ale na tyle mocno, by utrwalić w pamięci kształt, dotyk i ciężar piersi na swojej dłoni.

Było to cudowne... zwłaszcza że przez suknię wyczuł reakcję Hiacynty.

Pragnął wziąć jej pierś do ust, zerwać suknię, zatracić się w rozkosznych bezeceństwach.

Poddawała mu się całkowicie. Westchnęła lekko z ustami na jego ustach. Nikt dotąd jej nie całował - Gareth nie miał co do tego wątpliwości. A jednak była chętna i pobudzona. Przywierała do niego całym ciałem, wpijając mu palce w ramiona.

- Pocałuj mnie! - szepnął, drażniąc zębami jej wargi.

- Przecież całuję - wymruczała.

Odsunął się o cal, nie więcej.

- Przydałoby ci się kilka lekcji. - Uśmiechnął się ciepło. - Ale nie martw się, zostaniesz mistrzynią!

Pochylił się, by pocałować ją raz jeszcze. Co za rozkosz! Wyswobodziła się jednak z jego ramion.

- Hiacynta! - powiedział zdławionym głosem, chwytając ją za rękę.

Pociągnął energicznie, pragnąc ją przytulić, ale wyrwała dłoń.

Uniósł brwi ciekaw, co też od niej usłyszy?

Przecież to była Hiacynta! Z pewnością będzie miała mu coś do powiedzenia.

Wydawała się całkiem zbita z tropu swoim zachowaniem.

A potem zrobiła coś, czego nigdy by się po niej nie spodziewał.

Uciekła.

*Następnego dnia rano. Hiacynta spoczywa na łóżku, wsparta na poduszkach. Włoski pamiętnik leży obok niej, ale nie wzięła go jeszcze do ręki.*

Przeżywała już w myślach swój pocałunek z Garethem co najmniej czterdzieści dwa razy.

I właśnie przeżywa go kolejny raz.

Hiacynta lubiła sobie wyobrażać, że jest kobietą niezwykle opanowaną, która nawet przy pocałunku nie traci głowy, a potem zachowuje się tak, jakby nic szczególnego się nie wydarzyło.

Ludziła się też, że gdy zajdzie potrzeba potraktowania jakiegoś dżentelmena ostro, zrobi to ze stoickim spokojem, i zrówna go z ziemią zręcznie i w dobrym stylu.

W marzeniach dokonywała tego wszystkiego z najwyższą łatwością.

W rzeczywistości jednak nie było to równie proste.

Kiedy Gareth próbował przyciągnąć ją do siebie, by znów pocałować, jedynym wyjściem, które przyszło Hiacyntie do głowy, okazała się ucieczka.

Nie było to postępowanie zgodne z jej charakterem, jak zapewniała samą siebie po raz czterdziesty trzeci od chwili, gdy usta ich się zetknęły.

Niemożliwe! To się po prostu nie mogło wydarzyć. Ona nigdy by do czegoś podobnego nie dopuściła!

Była przecież sobą, Hiacynta Bridgerton!

Hiacynta!

Bridgerton!

To zaś z całą pewnością do czegoś zobowiązywało. Jeden całus nie mógł przemienić jej w bezmyślną idiotkę!

A poza tym, wcale nie chodziło o pocałunek. Pocałunkiem nie przejęła się ani trochę. W gruncie rzeczy całkiem przyjemne doznanie. I - szczerze mówiąc - mocno spóźnione!

Można by pomyśleć, że Hiacynta w swojej sferze, w eleganckim towarzystwie, powinna nosić głowę tym dumniej, że była nietknięta, niezbrukana żadnym niestosownym pocałunkiem! Ostatecznie nawet najmniejsze uchybienie mogło zrujnować kobiecie reputację.

Trudno jednak, osiągnąwszy poważny wiek dwudziestu dwu lat, w trakcie swego czwartego sezonu, nie czuć się choć troszkę urażoną tym, że dotąd nikt nawet nie próbował skraść jej całusa!

Nikt się na to nie poważył. Hiacynta nie prosiła przecież o to, by zostać zniewolona, na litość boską! Ale żeby absolutnie nikt nawet nie pochylił się nad nią, nie spojrzął wymownie na jej wargi, jakby mu różne rzeczy chodziły po głowie.

Aż do wczorajszego wieczoru. Dopiero Gareth St. Clair wpadł na ten pomysł!

Zaskoczył ją. Mimo fatalnej opinii, nigdy nie zachowywał się w stosunku do niej jak rozpustnik! Miał ostatecznie swoją śpiewaczkę w dyskretnym gniazdku w Bloomsbury. Czegóż, u licha, miałyby szukać u niej?!

A jednak...

Doprawdy, wielkie nieba, nadal nie miała pojęcia, jak w ogóle do tego doszło! W jednej chwili zadała mu pytanie, czy nie stało się coś złego - bo wyglądał bardzo dziwnie i nie ulegało wątpliwości, że doszło do jakiejś scysji między nim a ojcem, mimo jej najlepszych chęci, by ich rozdzielić - a już w następnym momencie Gareth wpa-trywał się w nią z takim natężeniem, że aż poczuła dreszcze! Wydał się nawiedzony, opętany...

Jakby chciał ją pożreć!

A jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wcale nie zależało mu na pocałowaniu akurat jej; że - być może - wystarczyłaby mu pierwsza lepsza kobieta, na którą natknąłby się w korytarzu.

Ta myśl dręczyła Hiacyntę zwłaszcza po tym, gdy ze śmiechem wypomniał jej, że powinna się poduczyć całowania.

Zapewne nie było to z jego strony świadome okrucieństwo, ale mimo -wszystko te słowa ją zabołały.

- Pocałuj mnie! - powiedziała, niezbyt zręcznie przedrzeźniając jego sposób mówienia. - Pocałuj!

Opadła na poduszki. Przecież odwzajemniła pocałunek! Dobry Boże! Co z niej za kobieta, jeśli mężczyzna nawet się nie domyślił, że starała się go pocałować?

Ale nawet gdyby nie bardzo jej to wychodziło... Hiacynta nie miała wielkiej ochoty przyznać się do tego. Taka umiejętność wydawała jej się czymś naturalnym, więc sama z siebie powinna była wiedzieć, jak się to robi! Ale czego u licha spodziewał się po niej? Ze będzie wywijać językiem jak mieczem? Zarzuciła mu przecież ręce na szyję. Nie wyrywała się z jego objęć. Co jeszcze miała zrobić, żeby się zorientował, że całkiem jej to odpowiada?

Hiacyncie wydawało się to niepojęte i okropnie niesprawiedliwe: mężczyźni domagali się, żeby ich kobiety były czyste i nietknięte, a potem drwili sobie z ich braku doświadczenia!

To po prostu... po prostu...

Przygryzła wargę, przerażona tym, jak bardzo zbiera się jej na płacz.

A wszystko dlatego, że wyobrażała sobie swój pierwszy pocałunek jako coś nadzwyczajnego. I myślała, że mężczyzna, którego w ten sposób wyróżni, będzie... jeśli już nie przejęty do głębi, to przynajmniej dość zadowolony z niej.

Ale Gareth St. Clair jak zwykle tylko kpił i szydził, a Hiacynta nie mogła sobie darować, że pozwoliła się upokorzyć.

- To tylko pocałunek! - szeptała w ciszy pustego pokoju. - Pocałunek, nic więcej. Absolutnie bez znaczenia!

Wiedziała jednak dobrze, choć tak bardzo starała się oszukać samą siebie, że chodziło o coś więcej niż pocałunek.

Znacznie więcej!

Przynajmniej dla niej. Przymknęła oczy w nagłym bólu. Dobry Boże! Podczas gdy ona leży bezsennie i wciąż o tym myśli, on zapewne śpi jak suseł! Ten człowiek całował się już z...

Prawdę mówiąc, nie miała wcale ochoty zastanawiać się nad tym, z iloma kobietami Gareth wymieniał pocałunki. Z pewnością jednak było ich wystarczająco dużo, by ona w porównaniu z nimi wydawała mu się najbardziej niedoświadczoną gaską w Londynie!

Czy zdoła spojrzeć mu w twarz? A przecież będzie musiała! Tłumaczy pamiętnik jego babki. Gdyby próbowała w tej sytuacji unikać Garetha, wyglądałoby to głupio i ostentacyjnie.

W żadnym wypadku nie chciała, żeby się zorientował, jaką jej sprawił przykrość. W życiu kobiety jest wiele spraw ważniejszych od dumy, ale Hiacynta doszła do wniosku, że jak długo zachowała jeszcze resztki godności osobistej, powinna się ich trzymać.

A tymczasem...

Wzięła znów do rąk pamiętnik. Nie poświęcała mu uwagi przez cały dzień. Do tej pory przetłumaczyła zaledwie dwadzieścia dwie strony. Pozostało jeszcze ponad sto.

Popatrzyła na zamkniętą książkę. Ostatecznie mogłaby odesłać Garethowi ten pamiętnik. Może nawet powinna to zrobić? Dobrze mu tak: niech sobie szuka innego tłumacza po tym, jak podle się zachował wobec niej wczoraj wieczorem.

Ale praca nad pamiętnikiem sprawiała jej przyjemność. Życie nie rzucało pod nogi dobrze wychowanej pannie zbyt wielu interesujących i ambitnych zadań. Szczerze mówiąc, byłoby bardzo przyjemnie móc się pochwalić: przetłumaczyłam całą książkę z języka włoskiego! A jeszcze więcej przyjemności sprawiało tłumaczenie.

Hiacynta znalazła zakładkę, którą zaznaczyła ostatnią przeczytaną stroną, i otworzyła pamiętnik. Isabella przybyła do Anglii w środku londyńskiego sezonu i jej świeżo poślubiony mąż spędziwszy z nią na wsi zaledwie tydzień, zaciągnął żonę do stolicy, gdzie oczekiwano od niej, mimo że nie władała biegle angielskim, iż będzie się udzielać w życiu towarzyskim i podejmować gości w wielkim stylu.

Pogarszał jeszcze sprawę fakt, że matka lorda St. Claira, przywykła do odgrywania roli pani domu, raczej nie czuła się komfortowo, gdy musiała ustąpić miejsca synowej.

W tych warunkach życie rodzinne nie było sielanką. Czytając o tym, Hiacynta postanowiła w duchu, że wyjdzie tylko za mężczyznę, który nie będzie miał matki.

- Głowa do góry, Isabello! - mruknęła pod nosem, przeczytawszy ze zgrozą wzmiankę o ostatniej scysji z teściową; starsza pani

zadbała o to, by dodać do menu małże, po których synowa dostawała wysypki.

- Musisz jej pokazać, kto jest panią domu! - przemawiała Hiacynta do autorki pamiętnika. - Przecież to ty...

Zmarszczyła brwi, spoglądając na kolejny akapit. To nie miało sensu! Jakim cudem Isabella mogła dorobić się już małego *bambino*?!

Trzykrotnie odczytała zaskakujący tekst, nim przyszło jej do głowy sprawdzić datę, którą opatrzony był ostatni wpis. *24 Ottobre 1766*.

1766?! Chwileczkę...

Wróciła na poprzednią stronę.

1764.

Isabella nie zajrzała do pamiętnika przez całe dwa lata! Dlaczego?

Hiacynta pospiesznie przerzuciła mniej więcej dwadzieścia kolejnych kartek. 1766... 1769... 1769... 1770... 1774...

- Nie jesteś zbyt systematyczną kronikarką! - mruknęła.

Nie dziwota, że w niewielkim tomiku Isabella zdołała zawrzeć dobrych kilkadziesiąt lat! Nierzadko między jednym a drugim wpisem był rok czy dwa przerwy.

Hiacynta wróciła do wzmianki o dziecku i tłumaczyła dalej. Isabella przebywała znowu w Londynie. Tym razem bez męża, co wcale jej nie martwiło. Wydawało się, że młoda mężatka nabrała pewności siebie... być może po zgonie teściowej, która -jak wydedukował Hiacynta - zmarła rok wcześniej.

*Znalazłam idealną kryjówkę* - przetłumaczyła Hiacynta i zanotowała starannie każde słowo. *On się nigdy...* Zmarszczyła brwi. Nie mogła sobie poradzić z resztą zdania, zaznaczyła więc kropkami brakujące słowa i czytała dalej. *Nie sądzi, bym miała na to dość inteligencji* - przeczytała - *i wobec tego nie będzie podejrzewał...*

- O mój Boże! - wykrzyknęła Hiacynta, prostując się raptownie.

Przeczytała jednym tchem całą następną stronę pamiętnika, zapominając o robieniu notatek.

- Och, Isabello! - westchnęła z podziwem. - Ależ z ciebie chytruska!

*Mniej więcej godzinę później, Bezpośrednio przed tym, gdy Gareth zdecydował się zastukać do drzwi Hiacynty.*

Gareth odetchnął głęboko, zbierając się w sobie, i ujął ciężką moszą kołatkę na drzwiach domu pod numerem 5 przy Bruton Street. Był to elegancki mały domek, który matka Hiacynty kupiła, kiedy jej najstarszy syn się ożenił i objął we władanie Bridgerton House.

Gareth starał się opanować wstręt do samego siebie za brak zdecydowania i odwagi. A i tak zbyt łagodnie to określił. Na litość boską! Czuł paniczny strach!

Jęknął rozpaczliwie. W życiu każdego człowieka zdarzają się chwile, kiedy gotów jest zrobić wszystko, byle tylko czegoś uniknąć... lub przynajmniej odsunąć od siebie. I nawet jeśli to miało znać, że nie jest prawdziwym mężczyzną, gdyż boi się konfrontacji z Hiacyntą Bridgerton. No cóż, mógłby przyznać bez oporu, że jest infantylnym durniem.

Jednak, szczerze mówiąc, nie znał nikogo, kto miałby ochotę stanąć oko w oko z Hiacyntą Bridgerton w podobnej sytuacji.

Przewrócił oczami. Brakło mu cierpliwości do samego siebie! Spotkanie z Hiacyntą wcale nie musiało być trudne. A on nie powinien aż tak się tym przejmować. Do wszystkich diabłów! Przecież nie po raz pierwszy w życiu pocałował dziewczynę i następnego dnia musiał spojrzeć jej w twarz!

Tylko że...

Tylko że nigdy dotąd nie całował kobiety takiej jak Hiacynta, która, po pierwsze, nigdy się jeszcze nie całowała i po drugie, miała wszelkie prawo sądzić, że ten pocałunek znaczy coś więcej!

Nie wspominając już o tym, że po trzecie, była to właśnie Hiacynta!

Doprawdy nikt nie mógłby zbagatelizować powagi takiej sytuacji. A jeśli Gareth czegoś się nauczył przez ubiegły tydzień, to przede

wszystkim tego, że Hiacynta nie przypomina żadnej z kobiet, które dotąd poznał.

W każdym razie przesiedział w domu całe rano, oczekując paczki, która w każdej chwili powinna być doręczona. Ani chybi Hiacynta odeśle mu przez lokaja w liberii pamiętnik babki Isabelli. Z pewnością nie będzie chciała dalej go tłumaczyć... nie po tym, jak Gareth znieważył ją poprzedniego wieczoru!

Co prawda, wcale nie chciał jej znieważyć, usprawiedliwiał się w myśli. Szczerze mówiąc, w ogóle nie miał żadnych złych zamiarów. A już z pewnością nie zamierzał jej całować! Nawet by mu to do głowy nie przyszło, gdyby nie to, że był całkowicie wytracony z równowagi, a ona znalazła się tuż przed nim na korytarzu, jakby sprowadzona czarnoksięską mocą!

W dodatku zaraz po tym, co usłyszał od ojca: że nigdy jej nie dostanie!

Cóż innego mógł uczynić w takiej sytuacji, u diabła?!

To przecież nie miało żadnego znaczenia! Całkiem przyjemne doznanie, o wiele przyjemniejsze niż mógłby się spodziewać... i tyle.

Tylko że kobiety mają zwyczaj przywiązywać do tych spraw zbyt wielką wagę. A wyraz twarzy Hiacynty, gdy mu się wyrwała, nie był zbyt przyjazny.

Prawdę mówiąc, wyglądała na przerażoną.

Nic dziwnego, że poczuł się jak ostatni dureń. Nigdy dotąd nie zraził do siebie kobiety pocałunkiem!

Niemiełe wrażenie jeszcze się nasiliło nieco później, gdy usłyszał niechcący, jak ktoś pyta Hiacyntę o niego, ona zaś zbywa to śmiechem oświadczając, iż nie mogła odmówić mu tańca, gdyż jest zbyt zaprzyjaźniona z jego babką.

To prawda, a poza tym Gareth doskonale rozumiał, że Hiacynta usiłowała zachować twarz, nawet jeśli nie wiedziała, że on to usłyszał. Niemniej jednak, zbyt przypominało to ponure przepowiednie ojca.

Gareth westchnął. Nie mógł już dłużej z tym zwlekać. Uniósł rękę, zamierzając chwycić kołatkę i...



Omal się nie przewrócić, gdy drzwi nagle się otworzyły.

- Na litość boską! -wybuchnęła Hiacynta, mierząc go zniecierpliwionym spojrzeniem. - Kiedy w końcu zamierzałeś zastukać?

- Obserwowałeś mnie?

- Oczywiście! Mój pokój znajduje się bezpośrednio nad wejściem. Widzę każdego, kto tu wchodzi.

Ciekawe, czemu wcale go to nie zdziwiło?

- Zresztą, wysłałam ci przecież liścik! - dorzuciła i odsunawszy się na bok, dała mu znak, by wszedł do środka. - A pomijając twoje wczorajsze skandaliczne zachowanie - ciągnęła - masz chyba dość ogłady, by nie odmówić prośbie damy, zwłaszcza że wyraziła ją na piśmie.

- No tak... - bąknął.

To wszystko, na co mógł się zdobyć, stawiając czoło temu huraganowi życiowej energii.

Czemu nie była na niego wściekła? Jak mogła się nie gniewać?

- Musimy porozmawiać - oświadczyła Hiacynta.

- Oczywiście - wymamrotał. - Muszę cię przeprosić...

- Nie o tamtym! - stwierdziła kategorycznie. - Chociaż...

- Spojrzała mu prosto w oczy. Na jej twarzy malowały się równocześnie głęboki namysł i irytacja. - Rzeczywiście jesteś mi winien przeprosiny.

- Tak, bez wątpienia. Ja...

- Ale nie po to cię wzywałam - przerwała mu.

Gdyby to było w dobrym tonie, chętnie skrzyżowałby ramiona na piersi i spojrzał na nią z góry.

- Jak więc będzie? Mam cię przeprosić, czy nie?

Hiacynta rozejrzała się po przedpokoju i przykładając palec do ust syknęła:

- Ciii...!

- Czyżbym przeniósł się nagle na karty romansu *Panna Butterworth i szalony baron*?

Hiacynta skrzywiła się i rzuciła mu spojrzenie bardzo charakterystyczne dla niej. Była w nim uraza i odrobina... nie, raczej potężna dawka zniecierpliwienia. Typowe spojrzenie kobiety, która musi

przez całe życie zniżać się do poziomu niedorównujących jej intelektem osób.

- Tam - szepnęła, wskazując uchylone drzwi.
- Jak sobie jaśnie pani życzy - mruknął.

Bynajmniej nie zamierzał domagać się przywileju przeproszenia jej!

Wszedł za nią do pomieszczenia, które okazało się salonem, gustownie urządzonym w tonacji różowokremowej. Wszystko tu było bardzo delikatne i kobiece - do tego stopnia, że Gareth zaczął podejrzewać, iż pokój zaprojektowano z myślą o tym, by każdy mężczyzna poczuł się w nim niezdarnie i nieswojo.

Z podziwem spoglądał na pannę Bridgerton, zręcznie manewrującą drzwiami tak, by prawie całkiem je zamknąć, pozostawiając wszakże dla przyzwoitości szparkę. Zdumiewające, jak znikoma może być różnica między sytuacją właściwą - drzwi niezamknięte - a wołającym o pomstę do nieba całkowitym odosobnieniem!

- Nie chcę, żeby nas ktoś podsłuchiwał - powiedziała.

Gareth uniósł brwi i czekał, aż gospodyni usadowi się na kanapie. Gdy był już pewny, że nie zerwie się nagle, by wyciągnąć jakiegos szpiega zza kotary, usiadł w fotelu, dziele słynnego Hepplewhite'a, umieszczonym vis-a-vis kanapy.

- Muszę ci powiedzieć, co wyczytałam w pamiętniku Isabelli!
- oznajmiła Hiacynta, a oczy jej błyszczały z podniecenia.

Gareth zdumiał się.

- Nie zamierzasz mi go odesłać?
- Oczywiście że nie! Chyba nie przypuszczasz, że ja...

Urwała nagle. Zauważył, że jej palce nerwowo kreślą jakies zygzaki na miękkim zielonym materiale spódnicy. Jej niepewność spodobała mu się, licho wie czemu. Poczuł ulgę, że Hiacynta nie jest wściekła na niego za ten pocałunek. Jak większość mężczyzn, zrobiłby niemal wszystko, byle uniknąć babskich hysterii. Równocześnie jednak wcale nie pragnął, by ów pocałunek nie zrobił na niej wrażenia.

Dobry Boże! Nie był chyba aż takim partaczem pod tym względem?

- Powinam zwrócić ci ten pamiętnik - stwierdziła zwykłym tonem bardziej już opanowana Hiacynta. - Naprawdę należało zmusić cię do szukania innego tłumacza! Nie zasługujesz na nic lepszego.

- Masz całkowitą rację - zgodził się potulnie.

Rzuciła mu spojrzenie mówiące wyraźnie, że nie ceni wysoko bezmyślnego potakiwania.

- Jednakże... - podjęła znowu charakterystycznym dla niej tonem.

Gareth pochylił się ku niej. Miał wrażenie, że tego właśnie oczekiwała.

- Jednakże - powtórzyła - odczytywanie pamiętnika twojej babki dostarcza mi wiele radości. Nie widzę powodu, dla którego miałabym zrezygnować z ambitnego i interesującego zajęcia tylko dlatego, że ty zachowałeś się nieodpowiedzialnie.

Tym razem Gareth zachował milczenie, ponieważ jego potakiwanie zostało tak niechętnie przyjęte. Wkrótce jednak stało się jasne, że w tym wypadku Hiacynta oczekiwała od niego wyraźnej odpowiedzi, toteż pospiesznie zawtórował jej:

- Oczywiście że nie!

Skinęła głową i dodała:

- A poza tym... - Znow pochyliła się nieco ku niemu, a jej błękitne oczy roziskrzyły się. - Lektura stała się właśnie niesłychanie ekscytująca!

Gareth miał wrażenie, że w jego piersi obraca się ciężki kamień. Czyżby Hiacynta odkryła sekret jego pochodzenia? Nie przyszło mu nawet do głowy, że babka Isabella mogła znać prawdę. Ostatecznie nie była ze swoim synem w najlepszych stosunkach i niezbyt często go odwiedzała.

Gdyby jednak wiedziała coś na ten temat, całkiem możliwe, że wspomniałaby o tym w pamiętniku.

- Co masz na myśli? - spytał ostrożnie.

Hiacynta sięgnęła po książkę leżącą na pobliskim stoliku.

- Twoja babka - powiedziała, a podniecenie wprost z niej emanowało - miała pewien sekret! - Otworzyła pamiętnik w miejscu zaznaczonym elegancką zakładką i podsunęła go pod nos Garethowi,

wskazując palcem zdanie pośrodku strony i powtarzała: - *Diamanti. Diamanti!* - Podniosła na niego wzrok i nie mogła powstrzymać szerokiego, triumfalnego uśmiechu. - Wiesz, co to znaczy?

Pokręcił głową.

- Brylanty, Gareth! To znaczy brylanty!

Zerknął na stronę pamiętnika, choć nie rozumiał zapisanych na niej słów.

- Co takiego?

- Twoja babka, Gareth, miała klejnoty, o których nawet nie pisała twemu dziadkowi!

Otworzył usta ze zdumienia.

- O czym ty mówisz?!

- Jej babka przybyła z wizytą wkrótce po tym, jak urodził się twój ojciec. I przywiozła jej w prezencie pierścionki, jak mi się zdaje, i bransoletę. A Isabella nigdy nikomu nie wspomniała o tej biżuterii.

- I co zrobiła z tymi klejnotami?

- Ukryła je! - Hiacyntaomal nie podskakiwała z podniecenia na kanapie. - Ukryła w Clair House - tu, w Londynie! Napisała, że twój dziadek nie przepadał za londyńską rezydencją, były więc znacznie mniejsze szanse, że je tutaj odnajdzie!

Entuzjazm Hiacynty udzielił się trochę Garethowi, ale nie zamierzał ekscytować się czymś, co prawdopodobnie okaże się pogonią za urojeniem. Jednak zapał dziewczyny był tak zaraźliwy, że nie zdając sobie z tego sprawy, Gareth pochylił się ku niej i serce mocniej mu zabiło.

- Co ty wygadujesz?

- Mówię - odparła takim tonem, jakby udzielała mu tej informacji po raz piąty, i to na różne sposoby - że te klejnoty zapewne nadal tam są. Och! - Urwała nagle i spojrzała mu w oczy z niepokojącą intensywnością. - Chyba że wiesz już o wszystkim! Czy twój ojciec zdążył się do nich dostać?

- Nie sądzę - odparł Gareth po zastanowieniu. - Mnie w każdym razie nic o tym nie wiadomo.

- A widzisz! Możemy...

- Ale mnie rzadko w coś wtajemniczano - przerwał jej. - A ojciec mi się nie zwierzał!

Na chwilę w jej oczach błysnęło współczucie, błyskawicznie jednak zostało wyparte przez istic piracką zaborczość.

- W każdym razie jest spora szansa, że brylanty nadal znajdują się w Clair House. Musimy wybrać się tam i je odnaleźć!

- Co takiego? My?! Mowy nie ma!

Jednak Hiacynta zbyt była przejęta, by zważać na jego protesty.

- Pomyśl tylko, Gareth - perswadowała, całkiem już swobodnie posługując się jego chrzestnym imieniem. - To by rozwiązało twoje kłopoty finansowe!

Zachnął się.

- Sądzisz, że mam kłopoty finansowe?

- Daj spokój! - fuknęła. - Wszyscy wiedzą, że je masz... albo będziesz miał w przyszłości. Lista długów twojego ojca sięgnęłaby stąd do hrabstwa Nottingham i z powrotem! - Zamilkła na chwilę; być może zabrakło jej tchu. - Clair Hall znajduje się w Nottingham, nieprawdaż?

- Tak, oczywiście. Ale...

- No właśnie. A ty po nim te długi odziedziczysz!

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- To czy nie lepiej zapewnić sobie wypłacalność dzięki klejnotom babci, zanim lord St. Clair je odnajdzie? Oboje dobrze wiemy, że sprzedaje od ręki i przehula wszystkie pieniądze.

- Wygląda na to, że dużo wiesz o moim ojcu - zauważył Gareth z pozornym spokojem.

- Bzdury! - odparła żywo. - Nic o nim nie wiem prócz tego, że nie może cię znieść.

Ku własnemu zdumieniu Gareth uśmiechnął się. Nie był to zbyt wesoły temat do konwersacji, ale nikt dotąd nie poruszył go w rozmowie z nim z tak rozbijającą otwartością.

- Nie wiem jak ty - ciągnęła Hiacynta - ale ja, gdybym kogoś nie znosiła, zrobiłabym wszystko, żeby nie wpadły mu w ręce cenne klejnoty.

- Prawdziwa z ciebie chrześcijanka! - mruknął Gareth.

- Nigdy nie udawałam, że jestem święta.  
- Rzeczywiście. - Znów się uśmiechnął. - Z całą pewnością nie udawałaś świętej!

Hiacynta energicznym klepnięciem złączyła obie dłonie i złożyła je na kolanach. Patrzyła na niego wyczekująco.

- No to kiedy - spytała, gdy stało się jasne, że Gareth nie zamierza dodać nic więcej - wybierzemy się tam?

- Wybierzemy się tam? - powtórzył.

- Na poszukiwanie brylantów! - rzuciła niecierpliwie. - Czyżby nie dotarło do ciebie nic z tego, co powiedziałam?

Gareth nagle z przerażeniem uświadomił sobie, *co* jej chodzi po głowie. Z pewnością ubrałaby się na tę wyprawę na czarno i - o Boże! - wystąpiłaby w męskim stroju! Prawdopodobnie zamierzała też wydostać się z sypialni przez okno, najlepiej zjechać po sznurze ze związanych prześcieradeł.

- Nigdzie się nie wybierzemy! - oświadczył stanowczo.

- Ależ wybierzemy się, z całą pewnością! - odparowała. - Musisz przecież zdobyć te klejnoty. Nie pozwolisz chyba, żeby twój ojciec je znalazł!

- Być może wybiorę się tam.

- Nie możesz mnie zostawić!

Nie była to czcza pogroźka, lecz stwierdzenie faktu. Gareth zresztą nie spodziewał się po Hiacyncie innej reakcji.

- Jeśli spróbuję włamać się do Clair House, a nie jest to wcale pewne, dokonam tego pod osłoną nocy.

- Oczywiście!

Dobry Boże! Czy ta kobieta musi zawsze wtrącić swoje trzy grosze?! Kiedy umilkła na chwilę, wyjaśnił jej cierpliwie, jak dziecku:

- Nie będę ciągał cię ze sobą po mieście w środku nocy. Zapomnijmy na chwilę o niebezpieczeństwach, choć wcale ich nie brakuje, zapewniam cię. Gdybyśmy jednak zostali przyłapani na takiej wyprawie, byłbym zmuszony ożenić się z tobą, a zakładam, że wcale ci do tego nie pilno, tak samo zresztą jak mnie.

Było to pompatyczne, mocno zagmatwane zdanie, wypowiedziane oficjalnym, napuszonym tonem. Wywarło jednak pożądany

efekt, gdyż - zaplątawszy się zapewne w zawiłości składni - Hiacynta milczała. Szybko jednak doszła do siebie:

- Wcale nie musiałybyś ciągać mnie za sobą!

Gareth miał wrażenie, że jego głowa zaraz rozprysnie się w kawałki.

- Dobry Boże! Kobieto, czy nie dotarło do ciebie nic z tego, co mówiłem?!

- Oczywiście, że dotarło! Mam czterech starszych braci. Bez trudu rozpoznaję ten pełen wyższości, napuszony ton pana i władcy!

- Och, na litość...

- To ty, mój panie, nie potrafisz jasno myśleć! - Pochyliła się ku niemu, unosząc brew z beczelnie pewną siebie miną. - Będę ci potrzebna!

- Jak wrzód na tyłku - wymamrotał.

- Powiedzmy, że tego nie słyszałam - wycodziła przez zęby - bo gdyby to do mnie dotarło, nie byłabym taka skłonna do pomocy. A jeśli bym ci nie pomogła...

- Pod jakim względem?

Spojrzała na niego chłodno.

- Nie jesteś wcale taki mądry, jak mi się zdawało.

- A ty, o dziwo, masz dokładnie tyle rozumu, ile przewidywałem.

- Tego też nie słyszałam! - Pogroziła mu palcem; nie był to gest pełen właściwego damie opanowania i dystynkcji. - Zapominasz, że z nas dwojga tylko ja znam włoski! Doprawdy nie mam pojęcia, jak mógłbyś znaleźć te klejnoty bez mojej pomocy.

Odezwał się cichym, niepokojąco spokojnym głosem:

- Chcesz zataić przede mną istotne informacje?

- Oczywiście że nie! - odparła Hiacynta. Jakoś nie mogła zmusić się do tego, by go okłamać, nawet jeśli na to zasługiwał. - Nie jestem całkiem pozbawiona honoru! Usiłuję ci tylko wyjaśnić, czemu moja obecność w Clair House jest niezbędna. Wiesz, że... nie znam doskonale języka włoskiego. Pewne zwroty można interpretować na różne sposoby. Sądzę, że musiałabym dokładnie rozejrzeć się po domu, by stwierdzić ostatecznie, co Isabella miała na myśli.

Gareth przymrużył oczy.

- To szczerą prawdą, słowo daję! - Chwyliła pamiętnik i przewróciła kilka kartek. - O, na przykład to słowo. Widzisz? *Armadio*. To może być komoda. Albo szafa. Albo... - Urwała i przełknęła ślinę. Bardzo trudno było przyznać się do tego, że jej znajomość włoskiego jest ograniczona... nawet jeśli dzięki temu mogła sobie zapewnić miejsce przy Garcie, kiedy uda się na poszukiwanie klejnotów. - Prawdę mówiąc - wykrztusiła wreszcie, starając się ukryć irytację - nie jestem pewna znaczenia niektórych słów. Chodzi tylko o subtelne różnice - dodała pospiesznie, gdyż, ogólnie rzecz biorąc, rozumiała cały tekst zupełnie dobrze, a nie leżało w jej charakterze przyznawanie się do błędów, których nie popełniła.

Dobry Boże, miała dość kłopotów z tymi, które popełniła z całą pewnością!

- Czemu nie zajrzałaś do słownika?

- Wielu słów w nim brakuje - skłamała. - Już ci mówiłam.

Nie było to zresztą bardzo poważne kłamstwo. Słownik niekiedy podawał tyle rozmaitych znaczeń, że Hiacynta miała pełne prawo uskarżać się na brak ścisłej informacji.

Czekała na odpowiedź Garetha. Może nie tak długo, jak by należało, ale i tak trwało to wieczność. W końcu nie mogła już usiedzieć cicho.

- Chciałam napisać do mojej dawnej guwernantki i poprosić ją o dokładne wyjaśnienie tych słów, ale zmieniłam zdanie, bo nie najlepsza z niej korespondentka.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ze od trzech lat nie pisujemy do siebie - przyznała Hiacynta.

- Chociaż, gdybym zwróciła się do niej o pomoc, myślę, żeby mi nie odmówiła. Po prostu nie wiem, czy znalazłaby chwilę czasu, żeby się tym zająć. Słyszałam, że urodziła bliźnięta.

- Co ty powiesz? No, no!

- Przypuszczam, że długo trzeba by czekać na odpowiedź. Przy bliźniakach jest dużo roboty, tak mi przynajmniej mówiono, i...

- Urwała, zorientowawszy się, że Gareth jej nie słucha. Zerknęła na niego i postanowiła skończyć zdanie... tym bardziej, że miała je



już na języku. - No cóż... Nie przypuszczam, żeby ją było stać na niańkę do dzieci.

Pod koniec zdania głos jej wyraźnie ścichł.

Gareth milczał długo, nim się wreszcie odezwał.

- Jeśli jest tak, jak myślisz, a klejnoty nadal są w schowku... Nie możemy mieć co do tego żadnej pewności, jako że ukryła je... — Podniósł oczy do góry, obliczając coś w pamięci. — ..ponad sześćdziesiąt lat temu, z pewnością będą tam bezpieczne do czasu, gdy dzięki twojej guwernantce poznamy dokładny tekst.

- Masz zamiar czekać? - Hiacynta nie mogła uwierzyć. - Naprawdę byłbyś gotów tak długo z tym zwlekać?!

- Dlaczego by nie?

- Bo one tam są! Bo... - Pokręciła głową.

Patrzyła na niego jak na szaleńca. Wiedziała, że nie każdy ma umysł tak bystry jak ona. Nie mogła sobie jednak wyobrazić, by ktoś w podobnej sytuacji mógł zwlekać!

Gdyby decyzja należała do niej, wtargnęliby do Clair House jeszcze dzisiaj nocy!

- Przemyśl to sobie - poradziła. - Jeśli lord St. Clair znajdzie klejnoty, zanim ty zdecydujesz się po nie sięgnąć, nigdy sobie tego nie darujesz!

Gareth nic nie odpowiedział; czuła jednak, że wreszcie do niego dotarła.

- Nie wspominając już o tym - ciągnęła - że ja nigdy bym ci nie wybaczyła, gdybyś do tego dopuścił!

Zerknęła na niego ukradkiem. Ten argument nie zrobił na nim większego wrażenia.

Hiacynta czekała w milczeniu, podczas gdy Gareth zastanawiał się, co robić. To milczenie było okropne! Kiedy miała głowę zaprzątniętą pamiętnikiem, mogła nie myśleć o pocałunku i o tym że jej się to spodobało, ale Garethowi najwidoczniej nie. Przewidywała, że ich następne spotkanie będzie niezręczne i przykre, ale mając wytyczony cel i misję do spełnienia, odzyskała całkowicie równowagę. Nawet jeśli Gareth nie zechce jej pomocy, miała za co być wdzięczna Isabelli.

Niemniej jednak, wolałaby raczej umrzeć... albo jeszcze lepiej: zabić Garetha, niż zostać wyłączona z tych poszukiwań!

Zacisnęła dłonie, kryjąc je w fałdach spódnicy. Był to objaw zdenerwowania i sam fakt, że przyłapała się na nim, spowodował jeszcze większe napięcie. Skarciła siebie w duchu, że tak się niepokoi, i to przez Garetha; wzbierała w niej wściekłość, że musi siedzieć tu i oczekiwać na decyzję, podczas gdy on rozważa wszelkie możliwości! Jednakże, wbrew powszechnej opinii, Hiacynta umiała niekiedy trzymać język za zębami, tym bardziej, iż wiedziała, że cokolwiek powie, i tak nie zdoła go przekonać. Może z wyjątkiem...

Nie, nawet ona nie pozwoliłaby na takie szaleństwo, by zagrozić, że wybierze się tam sama!

- Co chciałaś powiedzieć? - spytał Gareth.

- Słucham?

Pochylił się ku niej. Spojrzenie miał bystre i przenikliwe.

- Co chciałaś powiedzieć?

- Skąd ci przyszło do głowy, że chciałam coś powiedzieć?

- Poznaję to po twojej minie.

Przechyliła głowę na bok.

- Znasz mnie aż tak dobrze?

- Może brzmi to niepokojąco, ale widocznie tak!

Przyglądała mu się bacznie, gdy opadł znów na fotel. Przypominał jej braci, kiedy wiercił się na siedzeniu. Młodzi Bridgertonowie wiecznie się uskarżali, że umeblowanie salonu matki nadaje się wyłącznie dla kobiet! Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Żaden z jej braci nie ośmieliłby się spleść włosów w zawadiacki warkoczyk i żaden nie wpatrywałby się w nią tak uporczywie, że nieomal zapomniała, jak się nazywa!

Gareth najwidoczniej usiłował dostrzec coś w jej twarzy. A może liczył, że Hiacynta nie wytrzyma napięcia?

Przygryzła dolną wargę. Nie udawała, że zachowuje kamienny spokój. Miała jednak wyprostowane plecy, dumnie wzniesioną głowę i - przede wszystkim - trzymała buzię na kłódkę, podczas gdy on rozważał możliwości.

Minęła co najmniej minuta! No dobrze, pewnie tylko dziesięć sekund, ale dłużyły się jak minuta.

Wreszcie, gdy nie mogąc już dłużej tego znieść, odezwała się, ale bardzo cicho:

- Potrzebujesz mojej pomocy.

Wbił oczy w dywan, zanim znów na nią spojrzął.

- Jeśli wezmę cię ze sobą...

- Och, bardzo ci dziękuję! - wykrzyknęła, powstrzymując się z trudem by nie skoczyć na równe nogi.

- Powiedziałem „jeśli”.

Hiacynta zamilkła i patrzyła na niego z należnym dowódcy re-spektem.

- Jeśli zabiorę cię ze sobą - powtórzył, przesywając ją wzrokiem - musisz co do joty wypełniać moje rozkazy.

- Oczywiście!

- Będziemy postępować tak, jak ja uznam za stosowne.

Zawahała się.

- Hiacynta!

- Oczywiście! - Przyjęła warunek bez wahania, czuła bowiem, że gdyby tego nie zrobiła, od razu by zrezygnował z jej pomocy. - Ale jeśli będę miała dobry pomysł...

- Hiacynta!

- Dzięki temu, że znam włoski, a ty nie - dodała pospiesznie.

Spojrzenie, jakie jej posłał, było groźne a zarazem pełne znużenia.

- Nie musisz stosować się do mojej rady - poszła w końcu na kompromis - tylko jej wysłuchać.

- No, dobrze - odparł z westchnieniem. - Wybierzemy się tam w najbliższy poniedziałek, nocą.

Zaskoczona Hiacynta zrobiła wielkie oczy. Po tych wszystkich trudnościach, jakie robił, nie spodziewała się, że wyruszą tak szybko. Nie zamierzała jednak uskarżać się na to!

- W najbliższy poniedziałek w nocy-przytaknęła.

Już się nie mogła doczekać!

## 9

*Poniedziałek w nocy. Gareth, któremu często się zdarzało postępować lekkomyślnie i zachowywać po wariacku, ze zdumieniem odkrywa, że jest rozsądniejszy od swojej partnerki.*

Istnieje wiele powodów, pomyślał Gareth, skradając się na tyły domu Hiacynty - dla których można by kwestionować moją poczynałość. W kategorii idiotycznych pomysłów ten zamiar bił wszelkie rekordy! Fakty były takie: Minęła północ. Wybierali się na wyprawę tylko we dwoje. Chcieli wtargnąć do rezydencji barona, w celu dokonania kradzieży.

Hiacynta zdołała jakimś sposobem nakłonić go do tego - i właśnie przybył, wbrew zdrowemu rozsądkowi, by uprowadzić młodą, dobrze wychowaną pannę w mroki nocy i narazić ją, całkiem możliwe! - na niebezpieczeństwo.

Nie wspominając już o tym, że - gdyby ktoś dowiedział się o tej wyprawie - Bridgertonowie zaciągnęliby go do ołtarza, zanim zdążyłby się opamiętać, i przykuliby go do Hiacynty na resztę życia.

Aż się wzdrygnął. Hiacynta Bridgerton jako dozągonna towarzysza. .. Przystanął na chwilę i zamrugał oczami ze zdumienia. No cóż... Może nawet nie byłoby to takie straszne! Niemniej jednak poczuł się bardzo, ale to bardzo niepewnie.

Hiacyntie się wydawało, że to ona go namówiła. I rzeczywiście, przyczyniła się w pewnym stopniu do podjęcia przez niego takiej decyzji, ale - mówiąc otwarcie - człowiek w jego sytuacji finansowej po prostu nie mógł sobie pozwolić na odrzucenie szansy, która mu się nadarzała. Był nieco zaskoczony bezceremonialną oceną jego położenia, jakiej dokonała Hiacynta. Nie chodziło o to, że podobnych tematów nie wypadało poruszać w towarzyskiej konwersacji. Nie spodziewał się zresztą, by Hiacynta czuła się zobligowana do przestrzegania takich reguł. Nie miał jednak pojęcia, że jego sytuacja finansowa jest ogólnie znana.

Doprawdy niepokojące!

Skusiła go jednakowoż i skłoniła ostatecznie do poszukiwania klejnotów, jeszcze przed poznaniem wszystkich tajemnic pamiętnika Isabelli, upajającą myślą o przechwyceniu brylantów dosłownie sprzed ojcowskiego nosa.

Jak mógłby przepuścić taką okazję?!

Gareth przedostał się na tyły domu lady Bridgerton, koło wyjścia dla służby, znajdującego się na wprost stajni. Umówili się z Hiacyntą właśnie tam, o wpół do pierwszej. Nie miał wątpliwości, że będzie już na niego czekać, ubrana - j a k jej polecił - na czarno.

I rzeczywiście była tam; uchyliwszy drzwi, wyglądała przez szparę.

- Jesteś punktualny - stwierdziła, wymykając się na dwór.

Nie wierzył własnym oczom. Potraktowała poważnie jego polecenie: ubrała się od stóp do głów w niczym nierozjaśnioną czerń. Wokół jej nóg nie falowały fałdy spódnicy. Włożyła męskie spodnie i żakiet.

Przeczuwał, że tak zrobi! A mimo wszystko nie mógł ukryć zaskoczenia.

- Wydawało mi się, że to bardziej praktyczne - wyjaśniła, trafnie odgadując przyczynę jego milczenia. - Poza tym nie mam żadnych czarnych sukien. Nigdy jeszcze nie byłam w żałobie, Bogu dzięki!

Gareth wpatrywał się w nią bez słowa. Uświadomił sobie nagle, że istnieją ważkie powody, dla których kobiety nie powinny chodzić w spodniach. Nie wiedział, skąd wytrzasnęła to przebranie; prawdopodobnie był to strój jednego z braci z czasów jego pierwszej młodości. Opinał ciało nieprzyzwoicie, podkreślając kobiece okrągłości, na które Gareth wołałby nie zwracać uwagi.

Wcale nie chciał wiedzieć, że ta dziewczyna ma doskonałą figurę. Ani że jej nogi są takie długie, choć bynajmniej nie jest wysoka, a biodra, delikatnie zaokrąglone, kołyszą się zmysłowo, niezastonięte fałdami spódnicy.

Źle się stało, że ją pocałował. I tylko tego brakowało, żeby ogarnęła go pokusa, by znów wziąć Hiacyntę w ramiona!

- Niewiarygodne, że dałem się w to wplątać - wymamrotał, kręcąc głową.

Hiacynta wbiła w niego wzrok.

- Nie masz chyba zamiaru wycofać się teraz?!

- Ani mi się śni! - odparł z westchnieniem. Ta niewiasta ruszyłaby za nim w pościg z kijem w garści, gdyby to uczynił. - Chodźmy już, zanim ktoś nas tu przyłapie!

Ruszyli w stronę Barlow Place. Clair House znajdował się mniej więcej o ćwierć mili stąd, toteż Gareth postanowił, że pójdą pieszo, trzymając się cichych bocznych uliczek. W ten sposób nie spostrzeże ich tak łatwo ten czy ów znajomy z wielkiego świata, wracający powozem z przyjęcia.

- Skąd wiedziałeś, że twojego ojca nie będzie w domu tej nocy?

- spytała Hiacynta szeptem, gdy zbliżali się do rogu ulicy.

- Słucham?... - mruknął z roztargnieniem, zerkając za róg, by sprawdzić czy droga wolna.

- Skąd wiedziałeś, że ojca nie będzie w domu? - powtórzyła.

- Zdumiewające, że wiesz o nim takie rzeczy. Nie uzgadnia przecież z tobą swojego rozkładu zajęć.

Gareth zgrzytnął zębami, zaskoczony tym, jak rozdrażniło go to pytanie.

- Nie mam pojęcia - wymamrotał. - Po prostu wiem i już!

Było to cholernie irytujące, że prawie zawsze się orientował, gdzie przebywa ojciec. Jediną pociechę stanowiła świadomość, że i baron przeważnie wiedział, gdzie się podziewa syn.

- O! - bąknęła tylko Hiacynta i nie dodała nic więcej.

Było to bardzo miłe. Całkiem sprzeczne z jej charakterem, ale miłe.

Dotarli do Hay Hill, Gareth dał Hiacyncie znak, by szła za nim, i ruszył pod górę; wkrótce znaleźli się na Dover Street, skąd boczną alejką dostali się na tyły Clair House.

- Kiedy byłeś tu ostatni raz? - odezwała się najcichszym szeptem Hiacynta, gdy podkradali się chyłkiem do tylnej ściany budynku.

- W środku? - rzucił szorstko. - Dziesięć lat temu. Ale jeśli szczęście nam dopisze, to tam - wskazał parterowe okno, usytuowane dość wysoko nad ziemią - nadal będzie obluźowana klamka.

Hiacynta skinęła głową z satysfakcją.

- Zastanawiałam się, jak wejdziemy do środka.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywali się w okno.

- Wyżej, niż ci się zdawało? - I nie czekając na odpowiedź, dodała: - Dobrze, że zabrałeś mnie ze sobą. Możesz mnie podsadzić!

Gareth spoglądał to na nią, to na okno. Wydawało mu się nie w porządku, że ma tam pójść pierwsza. Nie brał tego pod uwagę, gdy planował wtargnięcie do rezydencji ojca.

- Ja ciebie z pewnością nie podsadzę! - zauważyła Hiacynta ze zniecierpliwieniem. - Jeśli więc nie masz schowanej w pobliżu skrzyni albo drabinki...

- Właż! - warknął niemal Gareth, podsuwając jej splecione dłonie, by mogła na nie stąpać.

Robił to już nieraz. Jednak podsadzanie Hiacynty Bridgerton nie było tym samym, co pomaganie jednemu ze szkolnych kumpli.

- Dosięgniesz okna? - spytał.

- Mhm.

Gareth, podnosząc ją, spojrział w górę. Prosto na tyłeczek. I postanowił cieszyć oczy tym widokiem, póki Hiacynta nie ma pojęcia, jakich dostarcza mu atrakcji.

- Muszę tylko wetknąć palce pod ramę - szepnęła.

- No to do roboty! - odparł i uśmiechnął się po raz pierwszy tej nocy.

Natychmiast odwróciła się do niego.

- Czemu się nagle zrobiłeś taki sympatyczny?

- Doceniam twoją przydatność.

- Ja... - Ściągnęła wargi. - Jakoś nie mam do ciebie zaufania!

- I nie powinnaś - zapewnił.

Przyglądał się jej bacznie, gdy manipulowała przy oknie, podważyła je i otworzyła im drogę.

- Udało się! - oznajmiła z wyraźnym triumfem, choć bardzo cicho.

Bywała co prawda nieznośna, ale zwykła uczciwość nakazywała pochwalić ją za ten wyczyn.

- Podniosę cię trochę wyżej. Powinnaś dać sobie radę.

- Wspaniale - powiedział.

Ale ona już dostała się do środka. Gareth mimo woli spoglądał na nią z podziwem. Hiacynta Bridgerton okazała się urodzoną akrobatką!

Albo włamywaczką.

W otwartym oknie pojawiła się jej twarz.

- Chyba nikt nie usłyszał! Poradzisz sobie sam?

Gareth skinął głową.

Robił to już przedtem, i to wiele razy, kiedy wracał do domu na wakacje. Zewnętrzna ściana z kamienia miała nierówną powierzchnię, z wgłębieniami dość dużymi, że można było zahaczyć o nie stopę. W dodatku ten występ, którego mógł się uchwycić...

Nie minęło dwadzieścia sekund i znalazł się w środku.

- Zaimponowałeś mi! - oświadczyła Hiacynta, wychylając się z okna.

- Dziwne rzeczy robią na tobie wrażenie - zauważył, otrzepując ubranie.

- No cóż... kwiatki może przynieść każdy - Wzruszyła ramionami.

- Wystarczy wdrapać się na jakiś murek, by zdobyć twoje serce?

Znów wyrzała przez okno.

- No, nie... Adorator musiałby się bardziej wysilić i wspiąć co najmniej na drugie piętro!

Gareth rozbawiony uśmiechnął się.

- Mówiłaś, że babka wspomina w pamiętniku o jakimś zielonym pokoju?

- Tak. Nie jestem pewna, o co chodzi. Mogła mieć na myśli salonik, albo buduar. Wspomniała o niedużym, okrągłym oknie.

- Gabinet pani domu - stwierdził. - Na piętrze obok sypialni.



- Oczywiście! - mówiła pełnym podniecenia szeptem. - Idealnie pasuje, zwłaszcza że chciała utrzymać to w tajemnicy przed mężem! Napisała, że nigdy nie odwiedzała jej apartamentów.

- Dotrzemy tam głównymi schodami. Nikt nas nie usłyszy. Tylne schody znajdują się obok pomieszczeń dla służby.

Stapając jak najciszej, rozpoczęli wędrówkę po domu. Panowała cisza. Baron mieszkał samotnie, toteż, gdy wychodził z domu, służba wcześniej udawała się na spoczynek. Z wyjątkiem jednej osoby. Gareth zatrzymał się nagle; potrzebował chwili czasu, by dokonać ponownej oceny sytuacji. Majordomus z pewnością nie spał! Oczekiwał zawsze na lorda St. Claira, który mógł powrócić w każdej chwili i zażądać jego usług.

- Tędy! - mruknął Gareth.

Skorzystają z głównych schodów, jak planował, ale dotrą do celu okrężną drogą.

Kiedy weszli cicho na schody. Gareth odciągnął Hiacyntę na bok. Stopnie zawsze najbardziej skrzypiały pośrodku. A ojciec nie miał zapewne pieniędzy, i chyba nawet nie myślał, żeby coś z tym zrobić.

Kiedy już znaleźli się w korytarzu na górze, weszli do gabinetu baronowej. Był to osobliwy pokój - prostokątny, z jednym oknem, ale za to z trójgiem drzwi. Jedne prowadziły na korytarz, drugie do sypialni pani domu, ostatnie zaś do garderoby, która przeważnie służyła jako składzik, ponieważ ubierać się i rozbierać było znacznie wygodniej w alkwie sypialni.

Gareth przepuścił Hiacyntę przodem i wszedł tuż za nią, ostrożnie przymykając drzwi; jego ręka zacisnęła się kurczowo na klamce.

Zamknęły się bezszelestnie. Odetchnął z ulgą.

- Powiedz mi dokładnie, co napisała babka Isabella! - szepnął, rozsuwając zasłony w oknie, by wpuścić trochę księżycowego światła.

- Napisała, że ukryła coś w *armadio* - odszepnęła Hiacynta. - Czyli zapewne w kredensie. Albo w komodzie. A może... - Spojrzała na wysoką, wąską, ozdobną szafkę. Miała kształt trójkąta i stała w najdalszym kącie pokoju. Wykonana była z drewna w kolorze ciemnego, nasyconego brązu i opierała się na trzech cienkich nóżkach; pod spodem było mniej więcej dwie stopy wolnej przestrzeni.

- Z pewnością o to jej chodziło - mówiła cicho Hiacynta, głosem drżącym z podniecenia. - To musi być *armadio!*

Przemknęła przez pokój, zanim Gareth zdążył wykonać jakiś ruch, i gdy podszedł do niej, wyciągnęła już jedną z szuflad, sprawdzając zawartość.

- Pusta - stwierdziła z zawiedzioną miną.

Przykucnęła i otworzyła dolną szufladę. W tej też nic nie było.

- Myślisz, że ktoś po śmierci Isabelli usunął stąd jej rzeczy?

- Nie mam pojęcia - odparł.

Pociągnął za małe drzwiczki i otworzył je. Ani śladu jakichkolwiek rzeczy.

Hiacynta wstała, wzięła się pod boki i zmierzyła wzrokiem szafkę.

- Nie mogę sobie wyobrazić, gdzie jeszcze...

Słowa zamarły jej na ustach. Powiodła palcem po rzeźbionych ornamentach w górnej części mebla.

- Może chodziło o biurko? - Gareth podszedł do mebla.

Hiacynta pokręciła głową.

- Nie przypuszczam. Nigdy nie określiłaby biurka jako *armadio*. To przecież *scrivania!*

- Ale też ma szuflady. - Gareth wyciągał je po kolei i sprawdzał.

- Jest w tej szafce coś... - szepnęła Hiacynta - śródziemnomorskiego.

Gareth podniósł głowę.

- Rzeczywiście - przyznał po namyśle i wyprostował się.

- Jeśli przywiozła ją ze sobą z Włoch - mówiła Hiacynta, przechylając lekko głowę na bok i uważnie przyglądając się szafce - albo jeśli dostała ją w prezencie od babki...

- To dobrze wiedziała, że w szafce jest tajna skrytka - dokończył za nią Gareth.

- A jej mąż - dodała Hiacynta z oczami roziskrzonymi podnieceniem - nie miałyby o tym pojęcia!

Gareth szybko doprowadził biurko do porządku i wrócił do trójkątnej szafki.

- Odsuń się, Hiacynto. Chwyć mocno za dolny kant, by odciągnąć mebel od ściany. Okazał się jednak ciężki, o wiele cięższy

niż się wydawało i zdołał go przesunąć zaledwie o kilka cali. Dzięki temu jednak udało mu się dotknąć ręką tylnej ściany szafki.

- Czujesz coś pod palcami?

Pokręcił głową. Nie mógł wsunąć ręki zbyt głęboko, toteż przykucnął i próbował obmacać tylną ścianę od dołu.

- Jest tam coś? - dopytywała się Hiacynta.

- Nic. Muszę tylko...

Nagle znieruchomiał, gdy natrafił na niewielką, prostokątną wypukłość.

- Co to takiego? - Hiacynta zaglądała mu przez ramię.

- Nie jestem pewien. - Starał się wsunąć rękę jeszcze odrobinę głębiej. - Coś sterczy. Może dźwigienka?

- Potrafisz ją uruchomić?

- Próbuję - sapnął.

Wypukły prostokącik znajdował się prawie poza zasięgiem jego ręki. Omal jej nie zwicznął, starając się objąć go palcami. Przycisnął policzek do drzwi szafki.

Nie była to najwzduchniejsza ani najwygodniejsza pozycja.

- Może ja spróbuję?

Hiacynta przywarła do szafki i wsunęła za nią ramię. Bez trudu natrafiła palcami na wystający czworokąt.

Gareth natychmiast dał za wygraną i wyciągnął rękę zza szafki.

- Nie martw się - powiedziała Hiacynta z pewnym współczuciem. - Dla ciebie było tam za mało miejsca.

- Nie ma dla mnie większego znaczenia, które z nas uruchomi tę dźwignię - odparł.

- Naprawdę? - zdumiała się. - A dla mnie ma!

- Wiem.

- Rozumiem, że w gruncie rzeczy to wszystko jedno, ale...

- Przesuwa się? - przerwał jej.

. Pokręciła głową.

- Chyba w ogóle nie można tego poruszyć. Próbowałam do góry i na dół... I na boki...

- No to naciśnij!

- Tego też się nie da. Chyba że...

Zaparło jej dech.

- Co takiego? - dopytywał się Gareth.

Spojrzała na niego. Oczywiście pałały nawet w mdłej księżycowej poświacie.

- Obróciło się! I coś szcęknęło!

- Odsłoniła się jakaś szufladka? Możesz ją wyciągnąć?

Hiacynta zacisnęła usta i w skupieniu przesuwała dłonią po tylnej ścianie szafki. Nie wyczuła żadnych innych wypukłości ani szczelin. Powoli nachylała się coraz bardziej, uginając nogi w kolana, aż jej ręka dotknęła dolnej krawędzi. Spojrzała odruchowo na podłogę. Leżał na niej niewielki, złożony arkusik papieru. Przedtem na pewno go nie było.

Gareth opadł na kolana obok niej.

- Co tam masz?

- To. - Rozłożyła drżącymi rękami kartkę papieru. - Chyba wypadło z jakiejś skrytki, gdy obróciłam ten prostokąt.

Przesunęła się na czworakach o jakieś dwie stopy; na papier padał teraz z okna srebrny promyk księżycowego światła. Rozprostowywała delikatnie kruchy arkusik. Gareth przykucnął obok niej. Jego ciało było ciepłe, twarde i przytłaczająco bliskie.

- Co tam jest napisane? - spytał, pochylając się ku niej tak, że czuła na szyi oddech.

- Nie jestem pewna.

Zamrugwała oczami, wpatrując się w niewyraźne litery. Wyglądało, że to pismo Isabelli, ale papier kilkakrotnie złożono, co utrudniało teraz czytanie.

- Napisane po włosku. Myślę, że mamy kolejną -wskazówkę!

Gareth pokręcił głową.

- Widać, że babcia Isabella chciała nas zmusić do zabawy w poszukiwanie skarbu!

- Była okropnie przebiegła, prawda?

- Nie, tylko widocznie bardzo lubiła gry towarzyskie. - Spojrzała znów na trójkątną szafkę. - Nie dziwię się, że wybrała sobie taki mebel z tajemną skrytką.

Hiacynta przyglądała mu się, gdy wodził dłonią po spodzie szafki.

- Tutaj! - powiedział w końcu z satysfakcją.
- Gdzie?

Ujął ją za rękę i pomógł wymacać miejsce w pobliżu tylnej ścianki. Jedna z deseczek najwidoczniej się przesunęła, i papier mógł wypaść przez szparę.

- Czujesz? - spytał cicho.

Skinęła głową, nie bardzo wiedząc, czy ma on na myśli ruchomą deseczkę, czy palący dotyk swojej ręki. Dłoń była ciepła i nieco szorstka, jakby nie zwykł nosić rękawiczek. Przede wszystkim jednak tak duża, że jej dłoń całkiem pod nią ginęła.

Hiacynta miała wrażenie, że została schwytana i uwięziona na zawsze...

Boże wielki, przecież to tylko jego ręka!

- Powinniśmy wszystko doprowadzić do porządku! - odezwała się pospiesznie, chcąc jak najszybciej skoncentrować się na czymś innym.

Oswobodziła rękę z jego uścisku i przesunęła ruchomą deseczkę na dawne miejsce. Co prawda, wydawało się mało prawdopodobne, by ktoś obmacywał spód szafki, zwłaszcza że znajdującej się w niej skrytki przez sześćdziesiąt lat nikt nie zauważył... ale na wszelki wypadek lepiej pozostawić wszystko tak, jak zastali.

Gareth wskazał gestem, by się cofnęła, i przysunął szafkę do ściany.

- Znalazłaś na tej kartce przydatną informację?
  - Na kartce? Była rozkojarzona i czuła się wyjątkowo głupio.
- Jeszcze nie. Doprawdy, nie mogę nic odcyfrować przy księżycu. Jak myślisz, może by zapalić...

Urwała nagle. Z konieczności: Gareth bezceremonialnie zatkał jej usta ręką.

Spojrzała mu prosto w twarz rozszerzonymi oczyma. Przytknęła palec do ust i ruchem głowy wskazał drzwi.

A potem Hiacynta też to usłyszała. Jakiś szmer na korytarzu!

- Ojciec? - spytała bezdźwięcznie, gdy odjął wreszcie rękę od jej twarzy. Ale Gareth nie patrzył na nią.

Ostrożnie, bezszelestnie podszedł do drzwi. Przyłożył ucho do drewnianej płyty i cofnął się szybko, gwałtownym ruchem głowy wskazując na lewo.

Nim Hiacynta się zorientowała, co się dzieje, wepchnął ją do wnętrza ogromnej szafy, pełnej ubrań. Było tu ciemno jak w kominie i z trudem mogła się poruszyć. Przyłgnęła do jakiejś sukni... chyba z brokatu, a Gareth oparł się plecami o nią.

Sama się dziwiła, jak może oddychać w takich warunkach.

Wargi Garetha odnalazły jej ucho. Raczej wyczuła, niż usłyszała, co jej szepnął.

- Ani słowa!

Drzwi prowadzące z korytarza do gabinetu otwały się z trzaskiem i ciężkie kroki zadudniły po podłodze.

Hiacynta wstrzymała dech. Czy to ojciec Garetha?

Odgłos dochodził jakby od strony okna...

Och, nie! Zostawili kotary rozsunięte!

Hiacynta schwyciła Garetha za rękę i ścisnęła ją z całej siły, jakby mogła w ten sposób przekazać mu wiadomość.

Ten ktoś zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Hiacynta w obawie, że zostaną przyłapani na gorącym uczynku, ostrożnie wysunęła rękę do tyłu, starając się ocenić głębokość szafy. Dłoń nie dotknęła tylnej ściany, zdołała więc zaszyć się głębiej pomiędzy suknie i osłonić nimi. Pociągnęła lekko za rękę Garetha, dając mu znak, żeby zrobił to samo. Jej stopy na pewno wystawały spod sukni, ale teraz przynajmniej po otwarciu szafy nie stanie oko w oko z poszukującym!

Hiacynta usłyszała, że jakieś drzwi otwierają się i zamykają, ale zaraz potem kroki znów się zbliżyły. Mężczyzna, który wszedł do pokoju, widocznie zajrzał tylko do sypialni, sąsiadującej z gabinetem.

Hiacynta z trudem przełknęła ślinę. Jeśli sprawdzał nawet w sypialni, to teraz przyszedła kolej na szafę w gabinecie! Zaszyła się jeszcze głębiej pomiędzy ubraniami, aż dotknęła ramieniem tylnej ściany. Gareth znajdował się tuż obok niej. Nagle przyciągnął ją do siebie, wepchnął do kąta i zasłonił własnym ciałem.

Bronił jej! Zrobił wszystko, by po otwarciu szafy tylko on się znalazł na widoku.

Słyszała zbliżające się kroki. Zagrzechotała pod dotykiem czyjejs dłoni obluzowana gałka na drzwiach szafy.

Hiacynta przywarła do Garetha, uchwyciła się go kurczowo. Był skandalicznie blisko. Przylegał do niej plecami tak ciasno, że czuła na sobie dotyk jego ciała, od ramion po kolana.

I pośrodku.

Zmusiła się, by oddychać spokojnie i miarowo. Cała ta sytuacja przejmowała trwogą, ale zarazem miała w sobie coś, co wyczułało na przejmującą żarem bliskość fizyczną tego mężczyzny. Hiacynta czuła się bardzo dziwnie, jakby zaraz miała oderwać się od ziemi i ulecieć.

Odczuwała niezrozumiałe dla niej pragnienie przytulenia się jeszcze bliżej do Garetha, wysunięcia bioder do przodu, objęcia go... Znajdowała się w szafie, w cudzej szafie. Był środek nocy. A jednak, choć paraliżował ją strach, mimo woli odczuwała coś jeszcze silniejszego od lęku. Nieznane uczucie, podniecające i upajające, które sprawiało, że serce biło jej gwałtownie, krew szybciej krążyła w żyłach i...

I coś się za tym kryło. Coś, czego w tej chwili nie potrafiła zgłębić ani nazwać.

Przygryzła mocno wargę.

Gałka na drzwiach poruszyła się.

Hiacynta rozchyliła wargi.

Drzwi się otworzyły.

A potem - cud nad cudy! - zamknęły się z powrotem. Hiacynta oparła się bezwładnie o tylną ścianę szafy i czuła, jak się rozluźniają napięte mięśnie Garetha. Aż trudno uwierzyć, że nie zostali odkryci. Być może Gareth osłonił się lepiej, niż sądziła. Albo światło było za słabe. A może zaglądnący do szafy nie pomyślał o tym, by zerknąć na stopy wystające spod sukien? Może miał wadę wzroku, albo...

Albo po prostu dopisało im niesamowite szczęście!

Nie odzywali się ani słowem, dopóki nie stało się jasne, że w gabinecie oprócz nich nie ma już nikogo. Odczekali jeszcze dobrych pięć minut dla pewności. Gareth odsunął się pierwszy i przepchał się

pomiędzy ubraniami do drzwi szafy. Hiacynta zaczekała z tym, póki nie usłyszała jego szeptu:

- Idziemy!

Postępowała za nim w milczeniu, skradając się na paluszkach, aż wreszcie dotarli do okna z uszkodzonym zamkiem. Gareth wyskoczył pierwszy, po czym wyciągnął ręce, by podtrzymać Hiacyntę. Mogła więc zamknąć okno, nim zeskoczyła na ziemię.

- Trzymaj się mnie! - powiedział Gareth i biorąc ją za rękę, pociągnął za sobą. Biegł ulicami Mayfair, Hiacynta truchtem podążała za nim. Z każdym krokiem odrobina strachu, który paraliżował ją jeszcze niedawno, zmieniała się w podniecenie.

Radosne podniecenie.

Kiedy dotarli do Hay Hill, miała wrażenie, że lada chwila wybuchnie śmiechem. W końcu zapała się nogami w ziemię:

- Zatrzymaj się! Nie mogę złapać tchu!

Gareth przystanął.

- Muszę odprowadzić cię jak najszybciej do domu - przypomniał, mierząc ją surowym spojrzeniem.

- Wiem, wiem. Ale ja...

Zrobił wielkie oczy.

- Śmiejesz się?!

- Nie. Tak... To znaczy... - Wzruszyła ramionami. - Chyba tak!

- Zwariowałaś!

Skinęła głową i roześmiała się na całe gardło.

- Mnie też się tak wydaje!

Oparł ręce na biodrach i patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nie masz rozumu? - zaczął ostro. - Mogli nas schwytać! Majordomus mojego ojca nigdy, możesz mi wierzyć, nie odznaczał się poczuciem humoru. Złapani na gorącym uczynku trafilibyśmy do aresztu, baron by nie popuścił, a twój brat zaciągnąłby nas do ołtarza!

- Wiem! - Hiacynta starała się przybrać poważną minę.

Nie udało się jej.

Ani trochę.

Nie kryjąc rozbawienia, spytała:



- Ale czy to nie było zabawne?

Nie sądziła, że otrzyma odpowiedź. Wydawało się, że Garetha stać tylko na wpatrywanie się w nią posępnym, osłupiałym wzrokiem. Po-tem jednak usłyszała jego głos, cichy, pełen niedowierzania:

- Zabawne?

- Troszeczkę!

Zacisnęła wargi, starając się opuścić kąciaki ust w dół, żeby Znow nie wybuchnąć śmiechem.

- Jesteś zupełnie zwariowana! - stwierdził. Był w tym momencie groźny, zszokowany i, Boże, zmiłuj się!, po prostu słodki. Wszystko razem. - Nieuleczalna, kompletna wariatka! - oświadczył. -Wszyscy mi to mówili, ale nie chciałem wierzyć.

- Ktoś ci powiedział, że jestem wariatką? - przerwała mu Hiacynta.

- Powiedzmy... ekscentryczką.

- O! - Ciekawe. - No cóż, to chyba prawda.

- I że za dużo z tobą kłopotu, żeby normalny mężczyzna brał sobie coś takiego na głowę!

- Tak o mnie mówią? - Mina jej trochę zrzędała.

- Zacznie więcej! - zapewnił ją.

Hiacynta zastanawiała się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

- No cóż... nie mają krzty zdrowego rozsądku. Durnie, co do jednego!

- Nie do wiary - mruknął Gareth. - Mówisz zupełnie jak moja babcia!

- Już to słyszałam - przypomniała Hiacynta. A potem, zastanawiając się chwilę, doszła do wniosku, że po prostu musi go spytać! - Powiedz mi — zagadnęła - tylko szczerze! Nie byłeś ani trochę podekscytowany? Nawet wtedy, gdy niebezpieczeństwo już minęło i wiedziałeś, że uniknęliśmy wpadki? Ani przez chwilę nie wydawało ci się to... - aż westchnęła z zachwyty - ... cudowne?

Spojrzał na nią i może z powodu księżycowej poświaty, a może to było tylko pobożne życzenie, Hiacyntie zdawało się, że dostrzegła jakiś błysk w jego oczach. I przelotny uśmiech.

- Może przez chwilę - odparł - ale bardzo krótko!
- Pokiwała głową.
- Wiedziałam, że w gruncie rzeczy nie jesteś takim sztywniakiem!
- Popatrzył na nią z wyraźną irytacją. Nikt jeszcze nie ośmielił się tak go spostonować!
- Sztywniakiem?!
  - I kompletnym nudziarzem!
  - Dosyć! Już wiem, co masz namyśli.
  - Jeśli wiesz, to po co pytasz?
  - Bo ty, moja panno...
- I tak sobie przygadawali przez resztę drogi do domu.

## 10

*Następnego dnia rano. Hiacynta nadal jest w znakomitym humorze. Niestety, jej matka tyle razy zwraca na to uwagę podczas śniadania, że dziewczyna w końcu musi się schronić w swoim pokoju.*

Violet Bridgerton to kobieta obdarzona wielką mądrością życiową i jeśli ktokolwiek się domyśli, że Hiacynta jest na najlepszej drodze do zakochania się, będzie to z pewnością jej matka.

Może nawet prędzej to odkryje niż sama Hiacynta?

Hiacynta siedziała przy biurczku w swojej sypialni i nuciła coś pod nosem, postukując palcami o bibularz. Bez przerwy szlifowała przekład napisu na kartce, którą znaleźli w zielonym gabinecie, i ciągle nie była zadowolona z ostatecznej wersji. Ale nawet to nie psuło jej humoru.

Co prawda ubiegłej nocy nie znaleźli brylantów, lecz kartka wyraźnie sugerowała, że klejnoty znajdują się niemal w zasięgu ręki. A w każdym razie świadczyła o tym, że nikt inny nie natrafił na wskazówki, pozostawione przez Isabellę.

Hiacynta bardzo lubiła, gdy miała przed sobą jakieś zadanie, jakiś wyraźny cel, jakiś problem do rozwiązania. Ubóstwiała zagadki i poszukiwanie ukrytych wskazówek. A teraz - dzięki Isabelli Marinzoli St. Clair - nudny, niczym się niewyróżniający sezon londyński przekształcił się w najbardziej emocjonującą wiosnę w życiu Hiacynty!

Wpatrywała się w tajemniczą notatkę, koncentrując wszystkie siły swego umysłu. Zdołała przetłumaczyć - nawet według jej własnych, bardzo optymistycznych obliczeń - zaledwie siedemdziesiąt procent tekstu. Jednak ów niepełny przekład jak najbardziej usprawiedliwiało podjęcie dalszych poszukiwań. Następną wskazówką dla poszukiwacza. ... albo brylanty, jeśli szczęście dopisze, znajdą w bibliotece.

W jakiejś książce, jak mi się zdaje, mamrotała do siebie Hiacynta, spoglądając niewidzącym wzrokiem przez okno.

Przyszła jej na myśl rodzinna biblioteka Bridgertonów, znajdująca się w rezydencji najstarszego brata przy Grosvenor Square. Pokój nie był nawet zbyt wielki, ale półki zajmowały całe ściany, od podłogi do sufitu.

A na każdej półce mnóstwo książek - żadnych pustych miejsc!

Może St. Clairowie nie są aż takimi molami książkowymi, mówiła sobie, wracając znów do notatki; w niejasnych sformułowaniach musiała się znajdować wskazówka, w której konkretnie książce to coś zostało ukryte. Hiacynta przypuszczała, że chodzi o jakieś dzieło naukowe. Isabella podkreśliła kilka słów, które zapewne stanowiły aluzję do tytułu książki, gdyż same w sobie bynajmniej nie zasługiwały na wyróżnienie w tekście. W podkreślonej części zdania było coś o wodzie i o jakichś rzeczach, które się poruszają, co skojarzyło się Hiacyncie z fizyką, choć nigdy tej dziedziny wiedzy nie studiowała. Miała jednak czterech braci, a ci odebrali uniwersyteckie wykształcenie, osłuchiwała się więc z naukową terminologią na tyle, że miała pewne pojęcie o tym, czym się - z grubsza - zajmuje fizyka.

Nadal jednak nie była całkiem pewna wierności tłumaczenia ani dokładnego znaczenia użytych w tekście słów. Być może, kiedy zapozna Garetha z tym, co zdołała przetłumaczyć, on odnajdzie ukryty w treści sens, którego ona nie mogła się dopatrzeć? W końcu znacznie lepiej od niej znał Clair House i wszystko, co w nim się

znajdowało. Mógł zapamiętać jakąś osobliwą lub wyjątkowo interesującą książkę - coś, co zdecydowanie wyróżniało się wśród innych tomów.

Gareth...

Uśmiechnęła się do siebie niezbyt mądrym, może nawet idiotycznym uśmiechem, którego nikomu nie pozwoliłaby oglądać na swojej twarzy, póki żyje!

Coś się wydarzyło ubiegłej nocy. Coś wyjątkowego.

Coś bardzo ważnego!

Przekonała się, że Gareth naprawdę ją lubi. Śmiali się i przekomarzali przez całą drogę powrotną. A kiedy wreszcie dotarli do domu i rozstawali się przed wejściem dla służby, zmierzył ją takim znaczącym spojrzeniem spod ciężkich powiek. I uśmiechnął się, unosząc nieco wyżej jeden kącik ust, jakby miał jakiś sekret!

Hiacynta zdrzała. Dosłownie odjęto jej mowę. Przyszło jej do głowy, że on ją znów pocałuje.

Być może wkrótce?

Zdawała sobie sprawę, że nadal go trochę irytuje. Ale irytowała właściwie każdego, więc postanowiła nie przywiązywać do tego zbytnej uwagi.

Gareth doceniał także jej inteligencję. I nawet jeśli nie zawsze miał ochotę okazywać to tak często, jak by sobie tego życzyła. No cóż, miała przecież czterech braci! I dawno już się przekonała, że trzeba niemal cudu, by zmusić któregoś z nich do przyznania, że kobieta może lepiej niż mężczyzna znać się na czymś. I to nie tylko na ozdobnych tkaninach, pachnących mydełkach i gatunkach herbaty!

Odwróciła głowę, by spojrzeć na zegar stojący na obramowaniu kominka. Minęło już południe. Gareth obiecał, że odwiedzi ją dziś po południu, by sprawdzić, jak sobie poradziła z notatką. Zapewne miał zamiar zjawić się po drugiej, ale ściśle rzecz biorąc, było już po południu, więc...

Nadstawiła uszu. Czy ktoś stoi przed drzwiami? Jej pokój znajdował się we frontowej części domu, toteż zazwyczaj słyszała, kiedy ktoś wchodził lub wychodził. Wstała i podeszła do okna, po czym zerknęła zza kotary.

Nikogo jednak nie dostrzegła.

Podeszła do drzwi i uchyliła je, by lepiej słyszeć.

Ani widu, ani słyhu!

Wyszła z mocno bijącym sercem na korytarz. To prawda, że nie było powodu do zdenerwowania, ale jakoś nie mogła przestać myśleć o Garecie, brylantach i...

- Ej, Hiacynta, co ty wyprawiasz?!

Aż podskoczyła.

- Przestraszyłem cię? - odezwał się bez cienia skruchy jej brat Gregory.

Wyglądał niezbyt porządnie. Jego rudawobrazowe włosy, trochę za długie, były potargane na wietrze.

- Nie rób więcej takich sztuczek! - upomniała go, przykładając rękę do serca, jakby w ten sposób mogła je uspokoić.

Skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o ścianę.

- To moja specjalność. - Uśmiechnął się szeroko.

- Nie masz się czym chwalić!

Nie przejął się tą wymówką, Strząsnął tylko niewidoczny pyłek z rękawa kurtki do konnej jazdy.

- No więc... czemu tak się skradasz?

- Wcale się nie skradam!

- Jasne że tak! To twoja specjalność, Hy!

Spojrzała na niego wilkiem, choć wiedziała, że lepiej z nim nie zaczynać. Gregory, starszy od niej o dwa i pół roku, wiecznie się z nią drażnił. Zawsze tak ją dręczył! Oboje w pewnym sensie odstawali od reszty rodzeństwa ze względu na wiek. Gregory był młodszy od Franceski prawie cztery lata, a od Colina, trzeciego z kolei syna Bridgertonów, aż o dziesięć! Skutkiem tego, on i Hiacynta zawsze trzymali się razem, trochę na uboczu.

Kłócili się, popychali, robili sobie głupie kawały, niemniej jednak łączyła ich silna więź, i choć wyrosli już z wieku, kiedy pakowali sobie nawzajem żaby do łóżka, żadne z nich nie mogło się oprzeć pokusie drażnienia tego drugiego.

- Zdawało mi się, że ktoś wszedł - oświadczyła Hiacynta.

Gregory uśmiechnął się z fałszywą słodyczą.

- To byłem ja!  
- Teraz już wiem. - Położyła rękę na klamce i pchnęła drzwi.  
-Wybacz, muszę już iść.  
- Ale dziś jesteś zła!  
- Wcale nie!  
- A właśnie że tak! To twoja...  
- Tylko mi nie mów, że to moja specjalność! - wysyczała Hiacynta.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie mam już żadnych wątpliwości: jesteś zła jak osa!  
- Wcale... - Zaciśnęła zęby. Nie zniży się do zachowania godnego trzyletniego brzdąca! -Wracam do swego pokoju. Mam bardzo interesującą książkę!

Zanim jednak zdążyła wyjść, dotarły do niej słowa brata:

- Zadajesz się ostatnio z Garethem St. Clairem? Widziałem was...

Hiacynta skamieniała. Gregory nie mógł przecież dowiedzieć się... Nikt ich nie zauważał! Była tego pewna.

- .. w Bridgerton House - ciągnął Gregory. -W ustronnym zakątku sali balowej.

Odetchnęła głęboko, zanim znów się odwróciła, by odejść.

Gregory spoglądał na nią z lekkim, swobodnym uśmiechem, ale Hiacynta mogłaby przysiąc, że było coś szczególnego w wyrazie jego twarzy. Zwłaszcza w przenikliwym spojrzeniu.

Mimo że nieraz głupio się zachowywał, nie mogła odmówić bratu bystrości. W dodatku ubzdurał sobie, że jego życiową misją jest pilnowanie młodszej siostrzyczki! Może z racji niewielkiej różnicy wieku: tylko wobec Hiacynty mógł się puszyć w roli opiekuna? Żadna z sióstr nie pozwoliłaby mu na coś podobnego!

- Jestem zaprzyjaźniona z jego babką - wyjaśniła Hiacynta, ponieważ takie potraktowanie sprawy czyniło ją zgoła nieciekawą.  
- Wiesz zresztą o tym.

Gregory wzruszył ramionami. Był to gest charakterystyczny dla nich obojga i nieraz patrząc na brata, Hiacynta miała wrażenie, że spogląda w lustro... aczkolwiek Gregory był od niej o całą stopę wyższy.

- Wydawaliście się pogrążeni w pasjonującej rozmowie - stwierdził brat.

- Nie było w niej nic, co mogłoby ciebie zainteresować.

Jedna z jego brwi uniosła się nieznacznie wysoko.

- Tak dobrze mnie znasz? Mogę ci jeszcze sprawić nie łąda niespodziankę!

- Rzadko ci się to zdarza.

- Upatrzyłeś go sobie, co?

- Nie twój interes!

Gregory spojrział na nią z triumfem.

- Trafiłem w sedno!

Hiacynta uniosła dumnie głowę i popatrzyła bratu prosto w oczy.

- Sama jeszcze nie wiem.

Mimo nieustannych sprzeczek Gregory znał ją jak nikt inny w świecie. Gdyby skłamała, zorientowałby się od razu.

Albo zdręczałby ją tak długo, że prawda mimo woli wyszłaby na jaw.

Brwi Gregory'ego znikły pod grzywką, stanowczo za długą i wiecznie przesłaniającą mu oczy.

- Doprawdy? - zaciekawiał się. - No, no! Co za nowina!

- Przeznaczona wyłącznie dla twoich uszu - ostrzegła go Hiacynta. - I w gruncie rzeczy to żadna nowina. Nic jeszcze nie postanowiłam!

- Ale zawsze...

- Mówię całkiem poważnie, Gregory! - zagroziła bratu Hiacynta. - Bo pożałuję, że ci zaufałam!

- O, kobieto małej wiary!

Zabrzmiało to zbyt lekko, by mogło ją uspokoić. Wziąwszy się pod boki odparła:

- Powiedziałam ci tylko dlatego, że od czasu do czasu, bardzo rzadko, nie bywasz skończonym idiotą. I dlatego, że jednak cię kocham, wbrew zdrowemu rozsądkowi!

Twarz mu spoważniała. Hiacynta znów sobie uprzytomniła, że jej brat - choć z oślim uporem udawał pozbawionego rozumu hulakę - był w gruncie rzeczy całkiem inteligentny i miał złote serce.

Chodzące nieraz krętymi drogami, ale mimo wszystko złote!  
- I nie zapominaj - uznała za stosowne dodać - że powiedzia-  
łam tylko „być może”.

Zmarszczył brwi.

- Tak powiedziałaś?

- Jeśli nawet nie, to miałam taki zamiar!

Teatralnym gestem przyłożył rękę do serca.

- Zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy!

- Nawet nie próbuj - odparła stanowczo i aż się wzdrygnęła na  
myśl o mieszaniu się Gregory'ego do jej prywatnych spraw. - Nie  
waż się nic robić. Błagam!

- Odrzucasz bez zastanowienia moje bezcenne usługi?

- Gregory!

- No cóż... - Westchnął przesadnie. - Przyjmij przynajmniej  
moje błogosławieństwo!

- Z jakiej racji ta nagła aprobata? - spytała podejrzliwie Hiacynta.

- To zapowiada niezwykle udany związek - perorował. - Po-  
myśl choćby o dzieciach!

Hiacynta czuła, że tego pożałuje, ale ciekawość w niej przewa-  
żyła.

- Jakich znów dzieciach?!

Uśmiechnął się szeroko.

- Uroczych sepleniących maleństwach, o które się wspólnie po-  
staracie. Potomstwo po Garcie z Hiacynta... same St. Clairy czyste  
krwi!

Hiacynta prychnęła tylko. Kompletny idiota!

- Jakim cudem nasza mama wydała na świat siedmioro całkiem  
normalnych dzieci i jednego półgłówka?!

- Zajrzymy do pokoju dziecinnego? - zagadnął Gregory, bardzo  
z siebie zadowolony. - Oto najmłodsze pokolenie...

Hiacynta schroniła się w swojej sypialni i zamknęła bratu drzwi  
przed nosem. Deski nie były aż tak grube, by nie dotarła do niej  
ostatnia wypowiedź Gregory'ego, istna strzała partyjska:

- Ależ łatwo cię sprowokować, Hy! - Po sekundzie dorzucił  
jeszcze: - Nie zapomnij zejść na herbatę!



*Godzinę później. Gareth się przekonuje, jakie następstwa pociąga za sobą posiadanie licznej rodziny.*

*Te lepsze i te gorse.*

- Panna Bridgerton pije właśnie herbatę - oznajmił majordomus, wpuściwszy Garetha do frontowego holu.

Gareth podążył za majordomem do tego samego różowo-kremowego salonu, w którym rozmawiał z Hiacyntą przed tygodniem.

Dobry Boże... Czyżby naprawdę było to zaledwie tydzień temu? Miał wrażenie, że minął wiek!

No cóż... Takie postęпки jak skradanie się chyłkiem, łamanie prawa, narażenie na szwank reputacji młodej, dobrze wychowanej panny mogą sprawić, że człowiek postarzeje się przed czasem!

Majordomus wkroczył do pokoju, zaanonsował Garetha i usunął się na bok, by go przepuścić.

- Witamy, panie St. Clair!

Gareth odwrócił się i ze zdumieniem ujrzał przed sobą matkę Hiacynty, która siedziała na kanapie w paski i odstawiała właśnie filiżankę na spodek. Nie wiedział, czemu tak się zdziwił na widok lady Violet Bridgerton; była to, bądź co bądź, rzecz łatwa do przewidzenia, że zostanie ją w domu w porze popołudniowych odwiedzin. Ale racje logiczne racjami logicznymi, a Gareth wyobrażał sobie dotąd, że spotka się jedynie z Hiacyntą.

- Jak miło mi panią widzieć, lady Bridgerton - powiedział z grzecznym ukłonem.

- Zna pan mojego syna? - zagađnęła.

Syna? Gareth nie zdawał sobie sprawy z tego, że w pokoju jest jeszcze ktoś!

- Mój brat Gregory - rozległ się głosik Hiacynty.

Siedziała vis-a-vis matki na identycznej kanapie. Głowę pochyliła lekko w stronę okna, koło którego stał najmłodszy z jej braci i przypatrywał się gościowi z półuśmiechem, niewróżącym nic dobrego.

Był to uśmiezek pełen wyższości, cecha szczególna starszych braci, uświadomił sobie Gareth. Zapewne on sam miałby identyczny

wyraz twarzy, gdyby los obdarzył go młodszą siostrą, by ją dręczył i strzegł jej.

- My się już znamy - oświadczył Gregory.

Rzeczywiście. Ich londyńskie ścieżki krzyżowały się od czasu do czasu; obaj też uczyli się niegdyś w Eton. Jednak ze względu na różnicę wieku - Gareth był starszy o kilka lat - nigdy nie zaznajomili się bliżej.

- Serwus, Bridgerton! - mruknął Gareth, skinąwszy głową młodszemu koledze.

Gregory podszedł do siostry i usadowił się obok niej na kanapie.

- Miło cię widzieć, St. Clair - zagał. - Hiacynta powiada, że jesteś jej wyjątkowo bliskim przyjacielem.

- Gregory! - wykrzyknęła Hiacynta i pospiesznie sprostowała:

- Nie mówiłam nic takiego!

- Jestem niepokieszony - odpowiedział Gareth.

Hiacynta spojrzała na niego z lekką irytacją, po czym zwracając się do brata, syknęła:

- Przestań się wygłupiać!

- Może napije się pan herbaty, panie St. Clair? - Lady Bridgerton zdawała się nie dostrzegać dzieci sprzeczących się pod samym jej nosem. - To specjalna mieszanka, do której mam wyjątkową słabość.

- Będę zachwycony.

Gareth zasiadł na tym samym miejscu, które zajmował poprzednim razem, przede wszystkim dlatego, że pozwalało zachować bezpieczną odległość od Gregory'ego - choć, prawdę mówiąc, nie wiedział, które z Bridgertonów jest w tej chwili najbardziej skłonne do oblania go wrzącą herbatą.

Znalazł się jednak tym sposobem w dość osobliwym położeniu. Ponieważ usiadł przy krótszym boku niskiego stołu, ustawionego pośrodku, wszyscy zaś Bridgertonowie usadowili się na kanapach, czuł się niemal tak, jakby prezydował u szczytu stołu.

- Mleka? - spytała lady Bridgerton.

- Dziękuję, chętnie - odparł Gareth. - Bez cukru, jeśli można prosić.

- Hiacynta wsypuje do herbaty aż trzy łyżeczki cukru - oznajmił Gregory, sięgając po kawałek kruchego ciasta.

- Kogo to obchodzi?! - syknęła przez zęby Hiacynta.

- No cóż - odparł Gregory, rozprawiwszy się z ciastem. - Jeśli jest twoim wyjątkowo bliskim przyjacielem...

- Wcale nie jest! - zaprotestowała i zwróciła się do Garetha: - Proszę nie zwracać na niego uwagi!

Było coś irytującego w tym, że ten smarkacz traktował go wyraźnie z góry; równocześnie jednak Gregory potrafił bez trudu doprowadzić do pasji Hiacyntę, a to wyczyn, któremu Gareth mógł jedynie przyklasnąć.

Postanowił więc nie mieszać się do kłótni rodzeństwa i zwrócił się do lady Bridgerton, która zresztą znajdowała się najbliżej niego.

- Jakże się pani miewa, milady?

Obdarzyła go lekkim uśmiechem, podając filiżankę herbaty.

- Rozsądny z pana człowiek - zauważyła półgłosem.

- To nie rozsądek, tylko instynkt samozachowawczy - odpowiedział wymijająco.

- Niechże pan tak nie mówi! Żadne z nich źle panu nie życzy.

- Istotnie, ale mógłbym znaleźć się w ogniu krzyżowym przy ostrej wymianie strzałów!

Gareth usłyszał, że ktoś raptownie wciągnął powietrze. Kiedy obejrzał się na Hiacyntę, rzuciła mu mordercze spojrzenie. Jej brat uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo przepraszam. - Gareth wyczuł, że powinien to zrobić, choć nie miał wcale ochoty przed nikim się usprawiedliwiać.

- Nie ma pan liczego rodzeństwa, prawda, panie St. Clair?

- spytała lady Bridgerton.

- Nie - odparł gładko, skosztowawszy herbaty, istotnie znakomitej. - Było nas tylko dwóch: mój brat i ja. - Urwał i zamrugał oczyma w nagłym przypływie smutku, który ogarniał go, ilekroć wspominał George'a. Po chwili dodał: - Zmarł w ubiegłym roku.

- O Boże, tak mi przykro! - Lady Bridgerton zakryła ręką usta.

- Całkiem o tym zapomniałam. Proszę, niech mi pan wybaczy... i przyjmie wyrazy najgłębszego współczucia.

Przeprosiny były tak szczerze, że Gareth miał niemal ochotę pocieszyć skonfundowaną damę. Spojrzał jej prosto w oczy i przekonał się, że ta kobieta naprawdę rozumie jego cierpienie.

Większość ludzi nie pojmowała tego. Przyjaciele poklepywali go niezdarnie po plecach i mówili, że bardzo im przykro, ale nie rozumieli nic a nic. Babka Danbury tak... dlatego, że sama bolała nad śmiercią George'a. Poza tym byli sobie z babcią naprawdę bliscy... Ale lady Bridgerton, obca osoba, a - o dziwo - naprawdę pojmowała!

Wzruszające, a jednocześnie niepokojące. Gareth nie pamiętał już, kiedy ktoś rozmawiał z nim naprawdę szczerze.

Z wyjątkiem Hiacynty, oczywiście! Ona zawsze mówiła to, co myślała. Równocześnie jednak nigdy nie odstępowała się całkowicie, nie była bezbronna!

Zerknął w jej stronę. Siedziała wyprostowana, z rękoma splecionymi na podołku, jak wypada, i obserwowała go bacznie z dziwnym wyrazem twarzy.

Nie mógł jej mieć tego za złe. On sam postępował identycznie.

- Dziękuję, milady - zwrócił się do lady Bridgerton. - George był wyjątkowym bratem i wspianiałym człowiekiem, świat wiele stracił po jego śmierci.

Lady Bridgerton milczała przez chwilę; potem, jakby odgadując jego myśli, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Zapewne wolałby pan nie zastanawiać się nad tym dłużej. Porozmawiajmy o czymś innym.

Gareth popatrzył na Hiacyntę. Wydawała się niewzruszona, dostrzegł jednak, że pierś faluje przyspieszonym oddechem. Przypuszczał, iż udało jej się więcej przetłumaczyć. I pragnęła oczywiście przekazać mu to, czego się dowiedziała.

Powściągnął uśmiech. Hiacynta byłaby gotowa symulować nagły zgon, żeby tylko porozmawiać z nim na osobności!

- Lady Danbury wyraża się o panu bardzo pochlebnie - odezwała się lady Bridgerton.

- Cóż... Mam szczęście być jej wnukiem.

- Zawsze lubiłam pańską babcię - stwierdziła lady Bridgerton, popijając herbatę. - Wiem, że połowa Londynu boi się jej jak ognia.

- O, znacznie więcej niż połowa! - zauważył jowialnym tonem Gareth.

Lady Bridgerton zachichotała.

- Z pewnością uznałaby to za swój sukces!

- Istotnie.

- Uważam, że jest po prostu urocza - mówiła Violet Bridgerton.

- Istny powiew świeżego wiatru, doprawdy! A poza tym wytrawna znawczyni ludzkich charakterów.

- Z pewnością przekażę jej pani uprzejme słowa.

- A o panu wyraża się zawsze bardzo pochlebnie.

Powtórzyła tę uwagę już po raz drugi. Gareth nie był pewny, czy niechący, czy z rozmysłem, ale - tak czy inaczej - nie mogła dać mu wyraźniej do zrozumienia swoich intencji, niż gdyby wzięła go na stronę i zaproponowała mu grubszą gotówkę, byleby tylko oświadczył się jej córce.

Nie wiedziała oczywiście, że jego ojcem nie jest lord St. Clair ani tego, że Gareth nie ma pojęcia, kto go spłodził. Nawet kobieta tak życzliwa i wielkoduszna jak matka Hiacynty nie starałaby się pozyskać dla swojej córki kogoś, będącego prawdopodobnie potomkiem lokaja.

- Babka także wyraża się z najwyższym uznaniem o pani, milady. A to coś znaczy, gdyż bardzo rzadko mówi o kimś pochlebnie!

- Z wyjątkiem Hiacynty - wtrącił Gregory Bridgerton.

Gareth obejrzał się na niego. Niemal zapomniał o obecności tego młokosa.

- Masz słusność, Bridgerton - odparł gładko. - Moja babka świata nie widzi za twoją siostrą.

- Nadal bawisz się w jej lektorę co środa? - spytał Gregory.

- Co wtorek - poprawiła go.

- O! Najmocniej pseprasam.

Zdumiony Gareth zamrugał oczyma. Czyżby brat Hiacynta seplenił?

- Panie St. Clair! - zwróciła się do niego młoda dama, walnąwszy dyskretnie brata łokciem w żebra.

- Słucham? - spytał półgłosem, przez grzeczność.

Przez chwilę Hiacynta nie odzywała się i Gareth był skłonny przypuszczać, że zagadnęła go, nie zastanowiwszy się przedtem, jaki temat poruszy.

- Słyszałam, że jest pan wytrawnym szermierzem - powiedziała wreszcie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Skąd takie pytanie?

- Istotnie, lubię się fechtować - przyznał.

- Zawsze miałam ochotę nauczyć się tej sztuki.

- Dobry Boże! - Gregory jęknął.

- Założę się, że byłabym w tym całkiem dobra! - broniła się.

- Jestem o tym przekonany - odpowiedział brat. - I właśnie dlatego nie wolno ci dotykać białej broni! - Zwrócił się nagle do Garetha: - Istna z niej diablica!

- Zdążyłem to zauważyć - mruknął Gareth, dochodząc do wniosku, że brat Hiacynty ma więcej rozumu, *niż* mu się poprzednio wydawało.

Gregory wzruszył ramionami i znowu poczęstował się kruchym ciastem.

- Pewnie dlatego trudno wydać ją za męża.

- Gregory! - Hiacynta była oburzona i wściekła.

Lady Bridgerton nie zawtórowała jej tylko dlatego, że przed chwilą przeprosiła gościa i wyszła za lokajem do holu.

- Potraktuj to jako komplement - odparował Gregory. - Czyż nie czekałaś całe życie na to, bym potwierdził, że jesteś bystrzejsza od wszystkich tych biednych durniów, którzy próbowali się do ciebie zalecać?

- Może nie jesteś w stanie uwierzyć w to - zaperzyła się Hiacynta - ale nie kołysałam się co wieczór do snu westchnieniami w rodzaju: „Och, gdyby kiedyś mój braciszek obdarował mnie czymś, co w swoim biednym, zdeformowanym mózdzku uzna za komplement!”

Gareth zakrztusił się herbatą.

- Rozumiesz teraz, St. Clair, czemu nazwałem ją diablicą?

- Odmawiam odpowiedzi - oświadczył Gareth.

- Popatrzcie, kto do nas zawitał! - rozległ się głos lady Bridgerton.

W samą porę, pomyślał Gareth. Jeszcze chwila i Hiacynta z rozkoszą zamordowałyby rodzzonego brata.

Gareth spojrział w stronę drzwi i pospiesznie wstał. Za plecami lady Bridgerton zobaczył jedną ze starszych sióstr Hiacynty. Chyba tę, która wyszła za księcia. Wszystkie były do siebie niesamowicie podobne.

- Daphne! - ucieszyła się Hiacynta. - Usiądź koło mnie!

- Koło ciebie nie ma miejsca - odparła skonfundowana Daphne.

- Zaraz będzie - odparła Hiacynta tonem równocześnie pogodnym i jadowitym - jak tylko Gregory się stąd wyniesie.

Młodzieniec ostentacyjnie ustąpił miejsca starszej siostrze.

- Ach, te dzieciaki! - Lady Bridgerton westchnęła, wracając na swoje miejsce. - Nigdy nie jestem pewna, czy się naprawdę cieszę, że je mam!

Nikt jednak nie mógłby mieć wątpliwości co do tego, że spod żartobliwych słów przeziera głęboka miłość. Garetha bardzo to wzruszyło. Z brata Hiacynty było niewątpliwie lepsze ziółko... zwłaszcza gdy młodsza siostra znajdowała się w pobliżu. Ich rozmowy sprowadzały się do wzajemnych docinków i kpin.

A jednak kochali się wszyscy. Mimo pozornych zadrażnień i sporów było to wyraźnie widoczne.

- Jakże miło znów widzieć waszą księżęcą mość! - powiedział Gareth, kiedy tylko młoda księżna usadowiła się obok Hiacynty.

- Proszę mówić mi Daphne - odparła z promiennym uśmiechem. - Nie ma sensu trzymać się sztywnych form, zwłaszcza że jest pan przyjacielem Hiacynty. A poza tym - dodała, biorąc filiżankę i nalewając sobie herbaty - zupełnie się nie czuję księżną w salonie mojej matki!

- W takim razie kim pani tu jest?

- Hm... - Wypiła łyk herbaty. - Chyba po prostu jestem Daphne Bridgerton. W tej rodzinie nie sposób wyrzec się swego nazwiska... rozumie pan?

- Mam nadzieję, że to miał być komplement - odezwała się lady Bridgerton.

Daphne uśmiechnęła się do matki.

- Obawiam się, że nigdy się nie wypłaczę z rodzinnego kokonu!  
- Zwróciła się znów do Garetha. - Nie ma to jak rodzina. Nigdy nie pozwolą człowiekowi dorosnąć!

Garethowi przypomniało się niedawne spotkanie z baronem i powiedział z większym przekonaniem, niż zamierzał:

- Doskonale rozumiem, co ma pani na myśli.
- Tak - odparła księżna. - Widzę, że pan to rozumie.

Gareth nic nie odpowiedział. O jego waśni z baronem wszyscy z pewnością wiedzieli, ale nikt nie znał jej przyczyny.

- Jak się mają dzieci, Daphne? - spytała lady Bridgerton.
- Nieznośne jak zawsze! David domaga się szczeniaka; najlepiej wielkiego jak cielę. A Caroline chce za wszelką cenę wrócić pod skrzydła Benedicta. - Napiła się herbaty i zwróciła się z wyjaśnieniem do Garetha: - Córka spędziła trzy tygodnie u mego brata i jego rodziny. Benedict dawał jej lekcje rysunku.

- To bardzo utalentowany artysta, nieprawdaż?
- Jego dwa obrazy wiszą w National Gallery - poinformowała go lady Bridgerton z macierzyńską dumą.
- Ale rzadko bywa w Londynie - wtrąciła Hiacynta.
- I on, i jego żona wolą spokojne życie na wsi - odparła matka twardo.

Ta stanowczość zdawała się wskazywać, że lady Bridgerton nie życzy sobie rozwijania tematu.

W każdym razie nie w obecności gościa.

Gareth St. Clair usiłował sobie przypomnieć, czy słyszał coś o jakimś skandalu związanym z osobą Benedicta Bridgertona. Chyba nie, ale w końcu był młodszy od słynnego malarza co najmniej o dziesięć lat. Jeśli w przeszłości Benedicta wydarzyło się coś niestosownego, to zapewne dawno, jeszcze przed przyjazdem Garetha do Londynu.

Zerknął na Hiacyntę, by sprawdzić jej reakcję na słowa matki, która wyraźnie dała do zrozumienia, że ma przestać o tym mówić.

Jeśli nawet Hiacynta poczuła się urażona, nie dała nic po sobie poznać. Odwróciła się do okna i wyglądała przez nie, lekko marszcząc brwi i mrugając oczami.



- Czy na dworze jest ciepło? — zwróciła się do siostry. — Dzień wydaje się pogodny.

- Jak najbardziej - odparła Daphne, delektując się herbatą. - Przyszłam tu pieszo z Hastings House.

- Chciałabym wyjść na spacer - oznajmiła Hiacynta.

Niemal natychmiast Gareth pojął, że te słowa są znakiem dla niego, i włączył się do gry.

- Byłbym zachwycony, gdyby wolno mi było towarzyszyć pani, panno Bridgerton.

- Naprawdę?

Hiacynta uśmiechnęła się promiennie.

- Wybrałam się na przechadzkę dziś rano - mówiła lady Bridgerton. - Krokusy w parku są już w pełnym rozkwicie. Najwięcej koło wartowni!

Gareth omal się nie roześmiał. Wartownia znajdowała się na samym końcu Hyde Parku. Dotarcie tam i powrót do domu zajmą im prawie całe popołudnie!

Wstał i podał Hiacyntie ramię.

- Wybierzemy się więc podziwiać krokusy?

- To byłoby cudowne! - Hiacynta wstała również. - Wezwę tylko służącą, by nam towarzyszyła.

Gregory oderwał się od parapetu, o który się opierał.

- Może i ja wybiorę się z wami.

Hiacynta spiorunowała go wzrokiem.

- A może nie? - mruknął.

- Nic z tego, mam do ciebie sprawę - powiedziała lady Bridgerton.

- Doprawdy? - Gregory uśmiechnął się niewinnie. - Jaka?

- Przekonasz się! - syknęła.

- Twoja siostra będzie przy mnie bezpieczna, Bridgerton - obiecał Gareth. - Słowo honoru!

- O to się nie lękam - odparł Gregory z ironicznym uśmiechem. - Chodzi o to, czy ty, St. Clair, będziesz z nią bezpieczny?

Całe szczęście, rozważał nieco później Gareth, że Hiacynta wyszła już z pokoju. Inaczej udusiłaby brata własnymi rękami!

# 11

*Kwadrans później. Hiacynta jest absolutnie nieświadoma zmiany, która lada chwila nastąpi w jej życiu.*

Twoja pokojówka potrafi być dyskretna? - spytał Gareth, gdy tylko znaleźli się na chodniku przed domem.

- O Frances niech cię głowa nie boli - odparła Hiacynta, obciążając rękawiczki. - Zawarliśmy ze sobą porozumienie.

Z leniwym uśmiechem uniósł brwi.

- Czemu te słowa budzą we mnie niepokój?

- Doprawdy nie wiem - odparła beztrwosko Hiacynta. - Mogę cię jednak zapewnić, że Frances będzie szła za nami w odległości co najmniej dwudziestu stóp. Musimy tylko po drodze kupić jej pudełko miętówek.

- Miętówek?!

- Nietrudno ją przekupić - wyjaśniła Hiacynta, oglądając się na swoją służącą, która szła w znacznej odległości od nich i miała znudzoną minę. - Wszystkie najlepsze pokojówki są łatwe do obłaskawienia!

- Nie miałem o tym pojęcia - mruknął Gareth.

- Jakoś nie mogę w to uwierzyć - odparła Hiacynta.

Taki uwodziciel z pewnością przekupywał panny służące z całego Londynu! Hiacyntcie nie mieściło się w głowie, że Gareth będąc młodym, przystojnym mężczyzną o reputacji hulaki, a przede wszystkim mężczyzną unikającym stałych związków z kobietami, mógł się obejść bez przekupstwa.

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Dżentelmen nigdy nie opowiada o takich sprawach.

Hiacynta postanowiła nie drażyć tematu. Nie to, żeby nie była ciekawa. Wierzyła jednak, że mówił szczerze i nie zamierzał opowiadać o miłosnych przygodach, choćby nie wiedzieć jak interesujących.

Po co więc wysilać się daremnie?

- Myślałam, że już nigdy nie wyrwiemy się z domu - zwierzyła się, gdy dotarli do końca ulicy. - Mam ci tyle do powiedzenia!

- Udało ci się przetłumaczyć tę notatkę? - spytał z nieukrywaną ciekawością.

Hiacynta obejrzała się za siebie. Wiedziała, że Frances przyrzekła trzymać się z tyłu, ale zawsze lepiej się upewnić, zwłaszcza że Gregory miał również spore doświadczenie w przekupywaniu służby.

- Owszem, przetłumaczyłam ją - potwierdziła, przekonawszy się, że nikt ich nie podsłuchuje. - To znaczy... większość tekstu. Wystarczająco dużo, żeby się dowiedzieć, iż musimy skoncentrować dalsze poszukiwania na bibliotece.

Gareth roześmiał się.

- Cóż cię tak bawi?

- Isabella była o wiele bystrzejsza, niż się wydawało. Jeśli chciała znaleźć pomieszczenie, do którego jej mąż najrzadziej zaglądał, to doskonale utrafiła z biblioteką. Może z wyjątkiem sypialni żony, ale... - Zmierzył ją irytująco pobłażliwym spojrzeniem - ...nie jest to temat odpowiedni dla twoich uszu!

- Przebrzydły świętoszek! - burknęła.

- Bardzo rzadko zarzucano mi coś podobnego - odparł z lekkim rozbawieniem. - Widocznie budzisz we mnie najszlachetniejsze instynkty!

Jego ton był tak sarkastyczny, że Hiacynta nie mając odpowiednio celnej riposty, zareagowała tylko grymasem złości.

- A zatem w bibliotece, powiadasz? - rozważał głośno Gareth, kiedy już nacieszył się konfuzją Hiacynty. - To doprawdy bardzo rozsądny wybór. Ojciec mojego ojca z pewnością nie zaliczał się do intelektualistów.

- Mam nadzieję, że skutkiem tego nie zgromadził zbyt wielu książek - zauważyła Hiacynta, marszcząc czoło. - Podejrzewam, że następna wskazówka dla nas została ukryta w jednej z nich.

- Nie ciesz się przedwcześnie - odparł Gareth i skrzywił się. - Mój dziadek może i nie przepadał za czytaniem, ale bardzo mu zależało na zachowaniu pozorów; A żaden godny szacunku baron nie mógłby się obejść bez biblioteki i to należyście zaopatrzonej!

Hiacynta jęknęła.

- Zajmie nam to całą noc, zanim przewertujemy wszystkie książki w bibliotece!

Jego współczujące spojrzenie sprawiło, że Hiacynta poczuła dziwne trzepotanie w brzuchu. Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale zaczerpnęła tylko powietrza. Nie mogła się oprzeć uczuciu niepojętego zdumienia.

Nie miała jednak pojęcia, co ją tak zdumiewało.

- Może gdy już będę na miejscu, coś nagle przyjdzie mi do głowy? - Wzruszył lekko ramionami i minawszy zakręt, wprowadził swą towarzyszkę na Park Lane. - Podobne olśnienie nieraz mi się już zdarzało. Przeważnie wtedy, gdy najmniej się tego spodziewałem!

Hiacynta kiwnęła głową, będąc ciągle pod wrażeniem dziwnego oszołomienia, którego dopiero co doświadczyła.

- Właśnie na coś takiego liczyłam! - stwierdziła, z trudem skupiając uwagę na omawianym zagadnieniu. - Isabella, niestety, bywa dość tajemnicza. A może, bo ja wiem, ona wcale nie bawi się w zagadki, tylko ja nie potrafię wszystkiego dokładnie przetłumaczyć? Jednak wydaje mi się, że i tym razem nie odnajdziemy brylantów, tylko kolejną wskazówkę.

- Czemu tak myślisz?

Wyjaśniając mu, kiwała głową w zadumie.

- Jestem prawie pewna, że musimy udać się do biblioteki i odnaleźć konkretną książkę. Ale nie wyobrażam sobie, jak można wśród kartek ukryć brylanty!

- Kartki można wyciąć pośrodku i książka stanowi wówczas całkiem dobrą skrytkę.

Hiacynta zapało dech.

- Nigdy mi coś takiego nie przyszło do głowy - wyznała z oczyma rozszerzonymi podnieceniem. - Przypuszczam, choć nie jestem tego pewna, że chodzi o jakieś dzieło naukowe.

- To powinno uprościć sprawę. Od dawna nie odwiedzałem biblioteki w Clair House, ale nie przypominam sobie, żeby się w niej znajdowało wiele traktatów naukowych.

Hiacynta zacisnęła usta, starając się przypomnieć sobie jak najdokładniej sformułowania użyte w tekście oryginalnym.

- Miało to coś wspólnego z wodą, może w grę wchodzi takie dziedziny wiedzy jak biologia czy fizyka...

- Dobra robota! - pochwalił ją Gareth. - I serdeczne dzięki!

Omam się nie potknęła, tak niespodziewany był to komplement.

- Nie ma za co. - Wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia. - Zajmuję się tym z przyjemnością. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak sobie poradzę, kiedy już rozwikłamy zagadkę. To taka wspaniała rozrywka. Zapomina się przy niej o wszystkim.

- A o czym chcesz zapomnieć? - zainteresował się.

Zastanowiła się.

- Sama nie wiem - odpowiedziała w końcu. Popatrzyła na niego spod ściągniętych brwi. - Czy to nie beznadziejne?

Pokręcił głową i z niemal czułym uśmiechem powiedział:

- Moim zdaniem to całkiem normalne.

Hiacynta jednak miała wątpliwości. Dopóki jej życia nie urozmaiciły tajemniczy pamiętnik i podniecająca pogoń za klejnotami, nie zdawała sobie sprawy, jak monotonnie płynęły dni. Wiecznie te same rozmowy, ci sami ludzie, te same dania, te same widoki...

Nawet sobie nie uświadamiała, jak rozpaczliwie pragnęła jakichś zmian.

A może to były czary Isabelli Marinzoli St. Clair? Może wcale nie pragnęła zmiany, póki nie zaczęła tłumaczyć pamiętnika? Albo nie wiedziała, że jej pragnie?

Ale teraz... Po tym wszystkim...

Przeczuwała, że odtąd nic nie będzie już takie sarno jak dawniej.

- Kiedy wybierzemy się znowu do Clair House? - Chciała zmienić temat.

Gareth westchnął. A może jęknął?

- Chyba będziesz zła, kiedy ci powiem... Zamierzam udać się tam w pojedynkę.

- Pewnie, że jestem zła!

- Tego się obawiałem. - Zerknął na nią z ukosa. - Czy ktoś z twojej rodziny jest równie uparty jak ty?

- Nie - odparła z całkowitą szczerością. - Ale różnica nie jest znów taka wielka, zwłaszcza jeśli chodzi o Eloise. Jeszcze jej nie znasz. I o Gregory'ego. -Wywróciła oczami. - To potwór!

- Coś mi się zdaje, że ilekroć zrobi ci krzywdę, zawsze mu odpłacasz, i to z nawiązką!

Pochyliła głowę na bok, starając się przybrać zblazowaną minę.

- Powątpiewasz, czy jestem zdolna do nadstawienia drugiego policzka?

- Ani trochę w to nie wierzę!

- I słusznie. - Wzruszyła ramionami. Nie potrafiła udawać na dłuższą metę. - Na kazaniu też nie potrafię usiedzieć spokojnie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Tak samo, jak ja.

- Kłamczuch! - odparowała. - Nawet nie próbujesz się prze-móc! Wiem z najlepszego źródła, że nigdy nie bywasz w kościele.

- W najlepszym źródle można tyle wyczytać na mój temat? - Uśmiechnął się z przymusem. -Jakież to krzepiące!

- Wiem od twojej babki,

- A, to wyjaśnia wszystko. I doszłaś do wniosku, że moja dusza jest bezpowrotnie stracona?

- Jak najbardziej. Ale to jeszcze nie powód, by reszta z nas miała być poszkodowana z tej racji!

Spojrzał na nią z iście diabolicznym błyskiem w oku.

- Czyż to taka tortura znosić niedzielne nabożeństwo bez po-ciechy mojego budującego towarzystwa?

- Doskonale wiesz, co miałam na myśli - zaperzyła się. - To krzyżująca niesprawiedliwość, że ja muszę tego wysłuchiwać, pod-czas gdy ty bujasz sobie wolny jak ptaszek!

- Od kiedy to jesteśmy ze sobą aż tak związani, byśmy musieli ciągnąć zgodnie to samo jarzmo?

To ją замуrowało. Przynajmniej na jakiś czas.

Jednak Gareth nie mógł się oprzeć pokusie drażnienia dziewczyny:

- Jeśli już mowa o wspólnym jarzmie, to twoja rodzina nie okaza-ła większej dyskrecji w nakłanianiu nas, byśmy się do niego wprzęgli.

- A, chodzi ci o tamte brewerie! - mruknęła, z trudem powstrzymując jęk.

- Brewerie?

- No, o zachowanie mojej rodziny.

- Nie są tacy najgorsi - stwierdził.

- Nie są - zgodziła się. - Ale strasznie się rozzuchwalili. Chyba powinnam przeprosić cię za nich.

- Nie ma za co przepraszać - mruknęła, ale Hiacynta uznała to za uprzejmy, nie nieznaczący frazes.

Westchnęła. Przywykła już do desperackich usiłowań swojej rodziny, która za wszelką cenę chciała ją wydać za męża. Ale dla tego biedaka mogło to być dość kłopotliwe.

- Może ci trochę ulży - spojrzała na niego ze współczuciem - jeżeli powiem, że nie ciebie pierwszego próbowali na siłę uszczęśliwić moją osobą.

- Cóż za urocze określenie!

- Chociaż, jeśli się dobrze zastanowić, ta ich mania może nam nawet wyjść na dobre... O ile nabiorą przekonania, że uda im się zaciągnąć nas do ołtarza.

- Jakim cudem?!

Mózg Hiacynty pracował na najwyższych obrotach. Nadal nie była pewna, czy chce zarzucić sieci na Garetha, z pewnością jednak nie chciała, by on podejrzewał ją o coś podobnego. Gdyby tak się stało, bez wątpienia odtrąciłby ją. A to byłoby wyjątkowo trudne do zniesienia.

I złamałoby jej serce.

- No cóż... - zaczęła, układając sobie wszystko coraz dokładniej w trakcie mówienia - zależy nam na tym, by spędzać z sobą jak najwięcej czasu. W każdym razie teraz, póki się nie uporamy z pamiętnikiem. Jeśli moja rodzina uwierzy, że wymknie z tego weselisko, nie będzie nam przeszkadzać.

Zdawało się, że Gareth rozważy sprawę. Jednakże - ku zdumieniu Hiacynty - nie odezwał się ani słowem, wobec czego mówienie spadło niejako na nią.

- Prawda wygląda tak - starała się mówić rzeczowo i obojętnie - że zrobiliby wszystko, byle się mnie pozbyć.

- Chyba nie jesteś sprawiedliwa w stosunku do nich - odezwał się cicho.

Hiacynta aż otworzyła usta ze zdumienia, słysząc w głosie Garetha tak bardzo poważny ton.

- No cóż... - bąknęła i zamrugała oczyma, starając się wymyślić jakąś stosowną odpowiedź.

Zwrócił się twarzą do niej. W jego oczach pojawił się dziwny błysk, gdy powiedział:

- Powinnaś być szczęśliwa, że masz ich wszystkich.

Zrobiło się jej nagle bardzo głupio. Gareth wpatrywał się w nią z takim napięciem, jakby cały świat wokół nich walił się w gruzy. A przecież, na litość boską, spacerowali tylko po Hyde Parku, rozmawiając o jej rodzinie!

- Przecież się z tego cieszę - przyznała.

- Oni cię kochają i pragną dla ciebie tego, co najlepsze! - powiedział dobitnie.

- I to właśnie ty masz być dla mnie najlepszy? - zakpiła Hiacynta.

Nie bardzo wiedziała, jaki ton rozmowy byłby w tej sytuacji najwłaściwszy. Pozostawały jej tylko żarty, gdyż poważne słowa mogłyby wyjawić mu zbyt wiele.

A może kpiny sprawia, że to on zdradzi się z czymś?

- Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli!

Hiacynta cofnęła się o krok.

- Przepraszam... - wymamrotała, zaskoczona jego reakcją.

Jednak Gareth jeszcze nie skończył. Popatrzył jej prosto w twarz. Jego oczy płonęły jak nigdy dotąd.

- Powinnaś zrozumieć, jakim błogosławieństwem jest posiadanie dużej, kochającej rodziny!

- Ależ rozumiem! Ja tylko...

- Wiesz, ile ja mam bliskich osób? - Podszedł do niej jeszcze bliżej, że było to aż krępujące. - Wiesz, ile? - powtórzył gniewnie.

-Jedną! Tylko jedną! - wykrzyknął, nie czekając na jej odpowiedź.

- Moją babkę. Oddałbym za nią życie!

Hiacynta nigdy jeszcze nie dostrzegła w nim podobnej pasji; nie miała pojęcia, że potrafi coś tak głęboko przeżywać. Zazwyczaj



wydawał się chłodny, niewzruszony... Nawet tamtego wieczoru w Bridgerton House, chociaż rozdrażniło go spotkanie z ojcem, otaczała go aura bez troski. Potem zdała sobie sprawę, że to właśnie odróżnia go od innych: nigdy nie był całkiem serio!

Aż do tej chwili.

Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy, nawet wówczas, gdy odwrócił się i widziała tylko jego profil. Wpatrywał się w jakiś odległy punkt na horyzoncie, w coś, czego sam zapewne sam nie potrafiłby dokładnie opisać.

- Czy ty wiesz, co to znaczy być samotnym? - spytał cicho, nie patrząc na nią. - Nie na godzinę czy jeden wieczór, ale naprawdę! I wiedzieć z całą pewnością, że za kilka lat nie będzie już nikogo...

Chciała coś odpowiedzieć, zapewnić go, że tak się nie stanie. I nagle dotarło do niej, że nie było to wcale pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

Milczała więc, nie wiedząc, co powiedzieć. Gdyby próbowała dać mu do zrozumienia, że pojmuje go i współczuje mu, wówczas ta chwila zostałaby bezpowrotnie stracona, a ona sama nigdy by się nie dowiedziała, o czym on naprawdę myślał.

Stała więc wpatrzona w twarz Garetha, pogrążonego w zadumie. I poczuła nagle, jak rozpaczliwie pragnie zgłębić jego myśli.

- St. Clair?... - odezwała się bardzo cicho po niemającej końca minucie. - Gareth?

Zobaczyła, że jego wargi poruszają się, zanim jeszcze dotarł do niej głos. Jeden kącik ust uniósł się w kpiącym uśmiechu. Hiacynta miała dziwne wrażenie, że Gareth pogodził się ze swoim złym losem, że gotów jest wziąć go na siebie, a nawet znaleźć w tym jakąś radość... gdyż jeśliby spróbował się z nim zmagać, pękłoby mu serce.

- Oddałbym cały świat za jeszcze jedną istotę, której mógłbym poświęcić swoje życie - wyszeptał.

I wówczas Hiacynta pojęła, że wielkie objawienia przychodzą niespodzianie, w nagłym blasku. I że pewne prawdy po prostu się rozumie, choć nie sposób ich wytłumaczyć.

W tym właśnie momencie uświadomiła sobie, że musi wyjść za tego człowieka.

Nie mógł to być nikt inny.

Gareth St. Clair wiedział, co ma prawdziwe znaczenie. Bywał niepoważny, oschły, arogancki i szyderczy, ale wiedział, co się liczy naprawdę.

A Hiacynta nigdy dotąd nie uzmysłowiła sobie, jakie to dla niej ważne.

Teraz pragnęła coś powiedzieć, coś zrobić...

Stała jednak jak wryta, pozbawiona mowy i wpatrzona w jego profil. Było coś w sposobie, w jaki unosił brodę do góry... Wydawał się taki pośepny, udęczony. Instykt nakazywał jej wyciągnąć rękę - dotknąć go, pozwolić palcom musnąć jego policzek, przygłodzić pasemka włosów, które wyzwoliły się z warkocza i spoczywały na kołnierzu surduta.

Nie zrobiła tego jednak. Nie miała dość odwagi.

Odwrócił się nagle. Spojrzenie miał takie przejmujące i świetliste, że zaparło jej dech.

Odniosła dziwne wrażenie, że dopiero teraz widzi naprawdę tego człowieka, że zajrzała mu do duszy.

- Może już wrócimy? - spytał.

Powiedział to tak lekko i zwyczajnie, że poczuła się rozczarowana.

- Oczywiście! - zgodziła się. Nie był to odpowiedni moment, nalegać na przechadzkę. - Kiedy chcesz wrócić do Clair...

Słowa zamarły na jej ustach. Gareth nagle jakby zeszytywniał. Oczy utkwiał w jakiś punkt ponad jej ramieniem.

Hiacynta odwróciła się.

Zdrętwiała. Ojciec Garetha szedł spacerowym krokiem po ścieżce, prosto na nich.

Rozejrzała się pospiesznie dokoła. Znajdowali się w mniej uczęszczanej części parku; nie było tu zbyt tłoczno. Po przeciwnej stronie trawnika dostrzegła kilka osób z towarzystwa. Nikt jednak nie znajdował się na tyle blisko, by mógł podsłuchać rozmowę Garetha z ojcem, o ile obaj będą się zachowywać kulturalnie, rzecz jasna.

Hiacynta spoglądała to na jednego, to na drugiego St. Claira i pomyślała sobie, że nigdy dotąd nie widziała ich razem.

Równocześnie pragnęła odciągnąć Garetha na bok, by uniknąć przykrej sceny... i umierała z ciekawości, co też się wydarzy. Jeśli pozostaną na miejscu, będzie świadkiem ich rozmowy i może pozna wreszcie przyczynę ich waśni.

Decyzja jednak nie należała do niej.

- Chcesz stąd odejść? - spytała cicho.

Jego wargi rozchyliły się z wolna, unióśł głowę nieco wyżej.

- Nie - odparł w zamyśleniu, jakby nie swoim głosem. - Park dostępny jest dla wszystkich.

Spojrzenie Hiacynty wędrowało od Garetha do jego ojca i z powrotem. Miała wrażenie, że głowa jej podskakuje, jak źle rzucona piłka tenisowa.

- Jesteś pewien? - Ale Gareth jej nie słyszał. Chyba nie usłyszałby nawet, gdyby ktoś wystrzelił mu nad uchem z armaty, tak był skoncentrowany na człowieku, który zbliżał się do nich pozornie niedbałym krokiem.

- Witaj, ojcze - odezwał się Gareth ze sztucznym uśmiechem.  
- Miło cię widzieć.

Po twarzy lorda St. Claira przemknął grymas wstrętu, który natychmiast ukrył.

- A, to ty, Gareth - odparł uprzejmie, głosem spokojnym, i zdaniem Hiacynty, całkowicie pozbawionym wyrazu. - To doprawdy niespodzianka spotkać cię tu z panną Bridgerton.

Hiacynta ze zdumienia raptownie podrzuciła głowę. Baron z premedytacją wymówił jej nazwisko bardzo dobitnie. Nie spodziewała się, że zostanie wciągnięta w ich prywatną wojnę, ale doszło do tego, nie wiedzieć jakim sposobem.

- Zna już pani mojego ojca? - wycedził Gareth.

Choć zwracał się z pytaniem do niej, nie odrywał oczu od barona.

- Zostaliśmy sobie przedstawieni - odpowiedziała Hiacynta.

- Istotnie - potwierdził lord St. Clair, ujmując jej rękę i pochylił się, by musnąć pocałunkiem okryte rękawiczką palce. - Jest pani czarująca jak zawsze, panno Bridgerton!

Było to dla Hiacynty najlepszym dowodem, że w rzeczywistości rozmowa wcale nie dotyczy jej, tylko całkiem innych spraw. Wiedziała doskonale, że nie zawsze bywa czarująca!

- Odpowiada pani towarzystwo mojego syna? - spytał baron.

Hiacynta zauważyła, że i on zadał jej pytanie, nie patrząc na nią.

- Oczywiście! - Wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.  
- Jest niezwykle interesującym rozmówcą. - I, nie mogąc oprzeć się pokusie, dodała: - Musi pan być z niego bardzo dumny, milordzie!

To stwierdzenie przyciągnęło uwagę barona. W jego oczach coś błysnęło... ale chyba nie była to wesołość.

- Dumny? - mruknął i skrzywił usta w grymasie nieco podobnym do uśmiechu Garetha. - To doprawdy interesujące określenie!

- Myślę, że bardzo proste - rzuciła chłodno Hiacynta.

- Dla mojego ojca nic nie jest proste - zauważył Gareth.

Spojrzenie barona stało się twarde.

- Mój syn chciał zapewne powiedzieć, że potrafię wychwycić pewne niuanse, o ile oczywiście istnieją. Zwrócił się do Hiacynty.

- Niekiedy, droga panno Bridgerton, coś jest zdecydowanie czarne lub białe, bez półcieni.

Zerknęła na Garetha, potem na jego ojca. O czym oni mówili, do diaska?!

Ręka Garetha zacisnęła się na jej ramieniu, ale gdy się odezwał, ton jego głosu był lekki i niedbały. Aż do przesady.

- Przynajmniej raz mój ojciec i ja jesteśmy całkowicie zgodni. Bardzo często świat jawi się nam z absolutną jasnością.

- Na przykład w tej chwili?

Nic podobnego! - miała ochotę wrzasnąć Hiacynta. Jej zdaniem była to najbardziej niejasna i zawikłana konwersacja, jaką słyszała w życiu. Trzymała jednak język za zębami. I dlatego, że nie wypadało jej wtrącać się w ich sprawy, i z tej przyczyny, że nie chciała przerywać rozgrywającej się przed jej oczami sceny.

- Sądzę, że dostrzegam w tej chwili wszystko całkiem jasno - powiedział cicho Gareth.

Nagle uwaga barona skupiła się na Hiacyncie.

- A pani, panno Bridgerton? - zagadnął. - Postrzega pani świat w wyraźnej czerni i bieli, czy też jest on symfonią różnych odcieni szarości?

- To zależy - odparła, podnosząc głowę, by spojrzeć mu prosto w oczy.

Lord St. Clair nie różnił się wzrostem od Garetha. Wydawał się zdrowy i krzepki. Jego twarz, z niebieskimi oczami i wydatnymi kośćmi policzkowymi, była niebrzydka i zdumiewająco młoda.

Mimo to Hiacynta od pierwszego wejrzenia czuła do niego niechęć. Miał w sobie coś agresywnego, podstępnego i okrutnego.

I nie podobał się jej wpływ, jaki wywierał na syna.

Gareth oczywiście jej się nie zwierzył, ale mogła to poznać po jego twarzy, głosie, a nawet sposobie trzymania głowy.

- Bardzo dyplomatyczna odpowiedź, panno Bridgerton - odezwał się baron i skinął lekko głową, jakby jej gratulował.

- Zabawne! - odparła. - Nigdy nie miałam talentów dyplomatycznych.

- Istotnie - mruknął. - Ma pani opinię damy... bardzo szczerzej. Oczy Hiacynta zwięziły się.

- Dobrze zasłużoną opinię!

Baron zachichotał.

- Niech tylko pani zadba o to, by uzyskać wszelkie informacje, zanim wyrobi sobie pani opinię, panno Bridgerton. Albo... - Pochylił lekko głowę i powiódł po jej twarzy chytrym spojrzeniem. - ..zanim podejmie pani jakąś decyzję!

Hiacynta otwierała już usta, by wygłosić miażdżącą ripostę, choć nie miała pojęcia, przed czym właściwie ją ostrzegał. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, uścisk ręki Garetha stał się niemal bolesny.

- Pora wracać - oświadczył. - Pani rodzina zacznie się niepokoić.

- Proszę przekazać ode mnie wyrazy uszanowania - odezwał się lord St. Clair z lekkim, zgrabnym ukłonem. - To jedna z rodzin naprawdę godnych najwyższego szacunku. Jestem pewien, że wszyscy pragną dla pani tego, co najlepsze.

Hiacynta wpatrywała się w niego bez słowa. Nie miała pojęcia, jaki był podtekst tej rozmowy; niewiele z niej pojęła. Doprowadzało ją do wściekłości, że musi błądzić po omacku.

Gareth pociągnął ją mocno za rękę i ruszył przodem. Hiacynta potknęła się na nierównej ścieżce.

- O co wam właściwie chodziło? - spytała zadyszana, gdy się zrównali; Gareth sadił wielkimi krokami i ledwo za nim nadążała.

- O nic! - Usiłował zbagatelizować sprawę.

- Wcale nie!

Obejrzała się przez ramię, czy lord St. Clair nie idzie za nimi. Nie dostrzegła go, ale przy raptownym półobrocie straciła równowagę. Wpadła na Garetha, ale ten wcale się nie palił do roli troskliwego opiekuna. Zatrzymał się jednak na chwilę, by mogła stanąć pewnie na nogach.

- To nic ważnego - odparł zwięźle, ostro i zdumiewająco niechętnie.

Nie powinna była więcej się odzywać. Dobrze o tym wiedziała, ale nie zawsze zważała na cudze ostrzeżenia ani na własne przeczucia. Toteż, gdy pociągnął ją - a raczej powlókł! - za sobą w stronę Mayfair, spytała znowu:

- I co teraz zrobimy?

Zatrzymał się tak nagle, że omal na niego nie wpadła.

- Co zrobimy? - powtórzył jak echo. - My?

- Właśnie my! - potwierdziła, choć jej głos nie zabrzmiał tak stanowczo, jak by chciała.

- Nic nie zrobimy! - mówił coraz ostrzej. - Wrócimy do twojego domu, gdzie pozostawimy cię na rodzinnym progu, a następnie do mego zagraconego mieszkania, gdzie łyknijemy czegoś mocniejszego.

- Czemu go aż tak nienawidzisz? - Hiacynta zadała pytanie cicho, ale wyraźnie.

Gareth milczał. Po chwili stało się dla niej jasne, że żadnej odpowiedzi nie otrzyma. To nie był jej interes.

- Mam cię odprowadzić, czy wolisz wrócić sama ze swoją pokojówką? - przemówił w końcu.

Obejrzała się przez ramię. Frances nadal trzymała się z daleka od nich. Stała właśnie w pobliżu wielkiego wiązu. I nie wydawała się ani trochę znudzona.

Hiacynta westchnęła. Tym razem będzie potrzebować znacznie więcej miętówek!

## 12

*Dwadzieścia minut później po długim milczącym spacerze.*

Zdumiewające, rozmyślał Gareth, czując wstręt do samego siebie, jak jedno spotkanie z baronem może popsuć cudowny dzień!

W dodatku nawet nie całkiem chodziło o barona... Prawda, nie mógł go znieść, ale nie to go dręczyło. Wyrzucał sobie własną głupotę.

Nie mógł znieść tego, co ojciec potrafił uczynić z nim! Wystarczyła jedna rozmowa i Gareth przeistaczał się w kogoś całkiem innego. No, niezupełnie. Raczej w zdumiewająco wierne odbicie dawnego, piętnastoletniego Garetha Williama St. Claira. Na miłość boską, był przecież dorosły, miał dwadzieścia osiem lat! Dawno pozostawił za sobą ojcowski dom i można by się spodziewać, że wydorósł. Powinien więc zachowywać się podczas rozmowy z baronem jak człowiek dojrzały, a nie jak smarkacz.

W ogóle nie powinno go to nic obchodzić.

Jednak za każdym razem ogarniał go gniew, stawał się kaśliwy, i wygadywał różne rzeczy tylko po to, by rozdrażnić ojca. Zachowywał się w sposób grubiański i niedojrzały, i nie potrafił zapanować nad sobą.

A w dodatku tym razem wydarzyło się to w obecności Hiacynty. Odprowadziła ją do domu w milczeniu. Czuł, że chce z nim porozmawiać. Do wszystkich diabłów, doskonale wiedział, że chciała z nim pomówić! Widać jednak od czasu do czasu umiała się od tego

powstrzymać, ponieważ i ona milczała podczas długiej drogi przez Hyde Park i Mayfair. Teraz zaś stali przed frontem jej domu, z pokojówką nadal utrzymującą właściwy dystans.

- Bardzo przepraszam za tę scenę w parku - rzucił pospiesznie, gdyż jakieś przeprosiny wydały mu się nieodzowne.

- Chyba nikt jej nie zauważył - odpowiedziała - a w każdym razie nic nie usłyszał. A zresztą to nie była twoja wina!

Gareth poczuł, że się uśmiecha. Kwaśno, bo na nic lepszego nie mógł się zdobyć. To była jego wina! Może ojciec go sprowokował... ale przecież od dawna powinien się nauczyć, że nie należy zwracać na niego uwagi!

- Wstąpisz na chwilę? - zaproponowała Hiacynta.

Pokręcił głową.

- Lepiej nie.

Spojrzała na niego z niezwykłą powagą.

- Bardzo bym chciała, żebyś wszedł - powiedziała.

Było to proste stwierdzenie, tak szczere i jasne, że nie mógł odmówić. Razem wspięli się na frontowe schodki. Reszta Bridger-tonów gdzieś się rozproszyła, toteż weszli do pustego już różowo-kremowego salonu. Podczas gdy on skierował się w stronę kanap i foteli, Hiacynta zatrzymała się przy drzwiach i zamknęła je, nie pozostawiając najmniejszej szpary.

Gareth uniósł pytająco brwi. W niektórych kręgach towarzyskich rozmowa przy szczelnie zamkniętych drzwiach stanowiła wystarczający powód, by domagać się natychmiastowego małżeństwa.

- Kiedyś sądziłam - odezwała się po chwili Hiacynta - że brakuje mi do szczęścia tylko jednego: ojca.

Gareth nic na to nie odpowiedział.

- Ilekroć miałam o coś pretensję do mojej matki - ciągnęła, nadal stojąc przy drzwiach - albo do któregoś z rodzeństwa, mówiłam sobie w duchu: „Gdybym tylko miała ojca, wszystko byłoby cudownie! On z pewnością opowiedziałby się po mojej stronie!” - Popatrzyła na niego z chwytającym za serce krzywym uśmiechem. - Z pewnością tak by nie było, bo przeważnie nie miałam racji, ale takie rojenia stanowiły dla mnie wielką pociechę.



Gareth nadal nic nie mówił. Mógł tylko stać tu i marzyć, że jest jednym z Bridgertonów. Wyobrażać sobie, że otacza go chmara rodzeństwa, słyszeć dokoła śmiech. Nie mógł odpowiedzieć Hiacyncie, gdyż było to dla niego zbyt bolesne, że ona - tak przez los obdarowana - chce mieć jeszcze więcej.

- Zawsze zazdrościłam wszystkim, którzy mają ojców - mówiła.  
- A l e już nie będę!

Odwrócił się raptownie i spojrzał jej prosto w oczy. Odwzajemniła jego spojrzenie z taką samą otwartością i Gareth poczuł, że nie może oderwać od niej wzroku. Nie chodziło o to, że nie chciał... po prostu nie mógł.

- Lepiej wcale nie mieć ojca, niż mieć takiego jak twój - powiedziała cicho. - Tak bardzo ci współczuję, Gareth.

Te słowa go pokonały. Dziewczyna, która miała dosłownie wszystko, a w każdym razie wszystko to, czego on tak bardzo pragnął, potrafiła go zrozumieć!

- Ja mam przynajmniej wspomnienia o ojcu - mówiła dalej ze smutnym uśmiechem. - A właściwie to, czego dowiedziałam się o nim od innych. Wiem, że był dobrym człowiekiem. Z pewnością kochałby mnie, gdyby żył. Bezgranicznie i bezwarunkowo.

Jej twarz przybrała wyraz, jakiego nigdy dotąd u niej nie widział. Grymas ust wyrażał jakby niezadowolony z samej siebie. Całkiem to niepodobne do Hiacynty... i może właśnie dlatego takie fascynujące?

- Wiem - powiedziała, a oddech jej się rwał, słowa z trudem przechodziły przez gardło - że nieraz trudno mnie kochać...

I nagle Gareth doznał olśnienia. Niektóre prawdy tak się objawiają, bez dłuższych wstępów. Po prostu stał, przyglądał się jej, a coś w nim krzychało: wcale nie!

Wcale nie byłoby trudno pokochać Hiacyntę Bridgerton.

Nie miał pojęcia, skąd mu to przyszło do głowy, w jakim zakątku jego mózgu zrodziła się ta pewność - tym bardziej, że był święcie przekonany, iż nieraz trudno z nią wytrzymać - ale mimo to wiedział, że wcale nie trudno byłoby ją pokochać.

- Za dużo mówię - stwierdziła.

Gareth całkiem się zagubił w swoich rozmyślaniach. O co jej chodzi?

- I jestem bardzo uparta.
- To nie ulegało wątpliwości, ale jakie to miało...
- I nie można ze mną wytrzymać, kiedy coś idzie nie po mojej myśli... chociaż jestem chyba dosyć rozsądna...

Gareth roześmiał się. Dobry Boże! Ta dziewczyna wyliczała wszelkie powody, dla których trudno ją kochać! Miała oczywiście rację, jeśli chodziło o wady, ale każda z nich wydawała mu się bez znaczenia. Przynajmniej w tym momencie.

- O co chodzi? - Hiacynta spoglądała na niego podejrzliwie.
- Bądźże cicho! - powiedział, przysuwając się do niej.
- Dlaczego?
- Bądź cicho, i już!
- Ale...

Przyłożył jej palec do ust.

- Zrób mi tę grzeczność - szepnął - i nie mów już ani słowa! O dziwo, usłuchała.

Przez chwilę wpatrywał się w nią. Tak rzadko jej twarz pozostawała nieruchoma. Hiacynta nie wyrażała żadnej opinii, nawet nie kręciła na nic nosem! Wpatrywał się w nią, jakby chciał utrwalić sobie w pamięci delikatnie zarysowane łuki brwi i oczy, które stawały się coraz większe pod wpływem napięcia wywołanego przymusowym milczeniem. Rozkoszował się ciepłym jej oddechem na swoim palcu i zabawnymi, gardłowymi pomrukami, które wydawała, nie zdając sobie z tego sprawy.

A potem nie mógł się już dłużej powstrzymać. Pocałował ją.

Objął jej twarz dłońmi i przycisnął do jej ust. Poprzednim razem, gdy ją całował, był rozdrażniony i widział w niej tylko zakazany owoc - dziewczynę, której, zdaniem ojca, nigdy nie miał zdobyć.

Teraz jednak zabierze się do tego jak należy! To dopiero będzie ich pierwszy pocałunek.

Taki, który warto zapamiętać.

Pocałował ją delikatnie. Oczekiwał, że Hiacynta westchnie rozkosznie, że przytuli się do niego... Nie chciał kraść tego, czym ona sama, z własnej chęci powinna go obdarzyć.

A wtedy odda jej całego siebie.

Muskał ustami jej usta tak leciutko, że ledwo wyczuwał gładkość i ciepło jej warg. Drażnił je językiem, czule i słodko, aż wreszcie rozchyliły się.

I wówczas zakosztował jej smaku. Była rozkoszna, ciepła i odwzajemniała jego pocałunek w niewypowiedzianie kuszący sposób: niewinność łączyła się z odwiecznym kobiecym doświadczeniem. Nie ulegało wątpliwości, że Hiacynta nie wie, co czyni, a mimo to doprowadzała go do szaleństwa.

Pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Ręce Garetha, gładzące jej plecy, zatrzymały się -jedna na wypukłości tyłeczka, druga w talii. Przyciągnął Hiacyntę do siebie. To było czyste szaleństwo! Stali w salonie jej matki, o dwa kroki od drzwi; w każdej chwili ktoś mógł je otworzyć. Na przykład brat, który z pewnością nie zawaha się rozedrzeć zuchwałego amanta na strzępy!

A jednak Gareth nie mógł się opanować.

Pragnął jej. Pragnął jej całej.

Chciał ją mieć zaraz, już!

- Przyjemnie? - szepnęła, pieszcząc wargami jej ucho.

Poczuł, że skinęła głową, wstrzymała dech, gdy przygryzł płatek ucha zębami. Podnieciło go to jeszcze bardziej i rozzuchwaliło.

- To ci się też podoba? - zamruczała, obejmując dłonią wzgórek jej piersi.

Znowu kiwnęła głową i zdławionym głosem szepnęła:

- Tak!

Uśmiechnął się mimo woli i po prostu musiał wsunąć rękę pomiędzy fałdy jej okrycia. Teraz przed dotknięciem chronił ją tylko cienki materiał sukni.

- A to będzie jeszcze przyjemniejsze - kusił, przesuwając dłonią po piersi, póki nie wyczuł, że sutek twardnieje.

Hiacynta jęknęła cichutko, on zaś pozwolił sobie na jeszcze większe zuchwalstwo, dotykając wyprężonego koniuszka piersi, drażniąc

go i ściskając. Hiacynta znowu jęknęła, wpijając palce w ramiona Garetha.

Będzie wspaniała w łóżku, pomyślał z odwieczną męską dumą. Teraz jeszcze nie wie, co i jak, ale to nie szkodzi. Szybko się nauczył z przyjemnością wtajemniczyć ją w arkana sztuki miłości.

Przede wszystkim zaś będzie jego. Tylko jego.

Nieco później, gdy ich wargi znów się spotkały, a język wślizgnął się do wnętrza jej ust, znacząc je jako własne, niepodzielne terytorium, Garethowi błysnęła myśl:

Czemuż by nie?

Czemu nie miałyby się z nią ożenić?

Odsunął się nieco, nadal obejmując dłońmi jej twarz. Pewne sprawy należało rozważyć na trzeźwo, a on - Bóg świadkiem - nie był zdolny do chłodnego rozumowania, całując Hiacyntę.

- Zrobiłam coś nie tak? - szepnęła.

Pokręcił głową. Niezdolny do wypowiedzenia słowa wpatrywał się tylko w nią.

- No to czemu...?

Uciszył dziewczynę, kładąc zdecydowanie palec na jej ustach.

Czemu nie miałyby się z nią ożenić? Wszyscy zdawali się tego pragnąć. Jego babka napomykała o tym od ponad roku. Rodzina Bridgertonów czyniła aluzje subtelne jak uderzenia kowalskiego młota. Co więcej, Gareth naprawdę lubił Hiacyntę, czego nie mógł powiedzieć o większości kobiet, z którymi się stykał w swoim kawalerskim życiu. To prawda, że potrafiła zirytować go jak diabli, ale mimo to naprawdę ją lubił!

Poza tym z każdą chwilą stawało się coraz bardziej oczywiste, że nie jest w stanie utrzymać rąk przy sobie, kiedy jest razem z nią. Jeszcze jedno takie popołudnie, a dojdzie do skandalu.

Wyobrażał to sobie całkiem wyraźnie. Skompromituje nie tylko ich oboje, ale całe rodziny - Bridgertonów, swoją babkę...

Swojego ojca.

Omali nie wybuchnął śmiechem. Cóż za łaskawość losu! Nie tylko ożeni się z Hiacyntą, co wydawało mu się wspaniałym osiągnięciem, ale postawi barona w idiotycznym położeniu!

To go wykończy. Z całą pewnością!

Trzeba jednak - rozważał, wodząc palcami po policzku Hiacynty i odsuwając się nieco - załatwić wszystko jak należy. Zwykle nie zważał na względy przyzwoitości, są jednak sytuacje, w których należy postępować jak przystało na dżentelmena.

Hiacynta zasługiwała na to.

- Muszę już iść - szepnął; ujął jej dłoń i podniósł do ust w dwornym geście pożegnania.

- Dokąd? - spytała bez ogródek.

Spodobało mu się spojrzenie Hiacynty, wciąż jeszcze zamglone. Rad był, że tak ją oszołomił, że pozbawił ją opanowania, z którego słynęła, że obudził w niej namiętność.

- Muszę przemyśleć to i owo. I załatwić kilka spraw.

- Jakich?

Uśmiechnął się.

- Dowiesz się już wkrótce!

- Kiedy?

Podszedł do drzwi.

- Zasypujesz mnie dziś pytaniami, co?

- Nie musiałabym tego robić - odparła, wyraźnie odzyskując władze umysłowe - gdybyś powiedział coś konkretnego.

- Do zobaczenia, panno Ciekawska! - szepnął, wymykając się z salonu.

- Ale kiedy?! - gonił za nim zniecierpliwiony głos Hiacynty.

Śmiał się, wychodząc z jej domu.

*Godzinę później, we frontowym holu Bridgerton House. Gareth, jak widać, nie traci czasu.*

- Jego lordowska mość przyjmie pana niezwłocznie, panie St. Clair.

Gareth pomaszerował za majordomem wicehrabiego do prywatnej części domu, której nigdy nie odwiedzał podczas swoich kilku wizyt w Bridgerton House.

- Jego lordowska mość jest w swoim gabinecie - poinformował majordomus.

Gareth skinął głową. Miejsce wydało mu się jak najbardziej odpowiednie na taką rozmowę. Lord Bridgerton chciał zapewne czuć się panem sytuacji, a spotkanie w jego prywatnym sanktuarium potęgowało ten efekt.

Kiedy przed pięcioma minutami Gareth stukał do drzwi frontowych rezydencji Bridgertonów, nie napomknął - rzecz jasna - majordomowi o przyczynie swoich odwiedzin; jednak najstarszy brat Hiacynty, ogromnie wpływowy lord Bridgerton, z pewnością się domyślał, o co chodzi.

W jakim zresztą innym celu miałyby Gareth składać mu wizytę? Nigdy dotąd nie odczuwał takiej potrzeby. Teraz zaś, gdy nawiązał już bliższe stosunki z rodziną Hiacynty - a raczej z niektórymi jej przedstawicielami - nie miał wątpliwości, że jej matka spotkała się już ze swym pierworodnym i przygotowała go na ewentualność połączenia się młodej pary.

- Miło mi pana widzieć, panie St. Clair - odezwał się wicehrabia, podnosząc się zza biurka, kiedy Gareth wszedł do pokoju.

Był to dobry znak: żadne przepisy dobrego tonu nie wymagały od lorda Bridgertona, by wstał przy powitaniu. Jeśli więc to uczynił, to jedynie w dowód szacunku dla gościa.

- Czuję się zaszczycony, milordzie - odparł Gareth z ukłonem.

Wicehrabia miał włosy takie jak Hiacynta - ciemnokasztanowe. Zaczynały mu już siwieć na skroniach, ale ta dyskretna oznaka wieku średniego nie szpeciła go bynajmniej. Był wysokim mężczyzną, starszym o jakieś dwanaście lat od najmłodszej siostry, dobrze zbudowanym i w pełni sił. Gareth wołałby nie mieć w nim przeciwnika ani na ringu bokserskim, ani w pojedynku.

Wskazał gościowi wielki, obity skórą fotel, stojący po przeciwnej stronie biurka.

- Niechże pan siada - zaprosił.

Gareth uczynił to, starając się opanować nerwy i powstrzymać się od bębnienia palcami po poręczach fotela. Nigdy dotąd coś podobnego mu się nie zdarzyło i nie miał najmniejszego zamiaru tak się

skompromitować. Pragnął udowodnić, że jest opanowany i zdolny do logicznego myślenia. Nie sądził, by jego oświadczenia zostały odrzucone, ale zależało mu na tym, by przejść tę próbę, zachowując godność osobistą. Jeśli ożeni się z Hiacyntą, będzie stykał się z wicehrabią przez resztę życia; nie życzył sobie, by rodzina Bridgertonów uważała go za durnia!

- Przypuszczam, że pan wie, milordzie, w jakiej sprawie przychodzę - zaczął Gareth.

Wicehrabia, który zajął ponownie miejsce za wielkim mahoniowym biurkiem, pochylił nieznacznie głowę na bok. Złączył też palce obu rąk, tak że jego dłonie tworzyły teraz trójkąt, pusty w środku.

- Może jednak, by uniknąć żenującego nieporozumienia, zechce pan wyjawić, co pana sprowadza?

Gareth wciągnął powietrze w płuca. Brat Hiacynty nie zamierzał ułatwiać mu zadania! Nie miało to jednak większego znaczenia. Przysiągł sobie, że zrobi wszystko jak należy, więc nie da się zastraszyć.

Spojrzał prosto i zdecydowanie w ciemne oczy wicehrabiego.

- Chciałbym się ożenić z Hiacyntą - oświadczył. Potem zaś, gdy lord Bridgerton nie odezwał się ani słowem, a nawet nie poruszył, Gareth dodał: - O ile mnie zechce, oczywiście.

Zaraz potem mnóstwo rzeczy wydarzyło się naraz. Może zresztą nie było ich aż tak wiele, tylko wszystko stało się tak niespodziewanie.

Najpierw wicehrabia odetchnął głęboko, choć może jest to zbyt słabe określenie. Przypominało to raczej westchnienie płynące z głębi serca. Zupełnie jakby pozbył się całego powietrza z płuc. Zdumiewające zjawisko! Tym bardziej, że Gareth wielokrotnie widywał lorda Bridgertona i z tego, co słyszał o nim, wicehrabia nie należał do tych, którzy stękają i omdlewają.

Co więcej, usta wicehrabiego poruszały się bezgłośnie i przy odrobinie wyobraźni można by pomyśleć, że powtarza: „Dzięki ci, Boże!”

Oczy wzniesione w górę czyniły to przypuszczenie jeszcze bardziej prawdopodobne.

Nagle lord Bridgerton raptownie opuścił ręce na blat biurka, spojrzął Garethowi prosto w oczy i powiedział się:

- Zechce, zechce z całą pewnością!

Nie była to wypowiedź, jakiej Gareth oczekiwał.

- Słucham? - spytał. - W tej chwili nie był w stanie wymyślić nic innego.

- Muszę się czegoś napić! - stwierdził wicehrabia, podnosząc się znów z fotela. - Powinniśmy to oblać, nieprawdaż?

- No... chyba tak!

Lord Bridgerton skierował się w stronę biblioteczki i z cofniętej nieco półki wyjął karafkę ze rżniętego szkła.

- Nie, nie! - mruknął do siebie i odstawił ją z powrotem. - Napijemy się czegoś naprawdę dobrego - zwrócił się do Garetha, a jego oczy zapłonęły niezwykłym blaskiem. - Naprawdę dobrego, mam rację?

Gareth nie bardzo wiedział, jak sobie to wszystko tłumaczyć.

- Czegoś naprawdę dobrego! - stwierdził stanowczo wicehrabia. Odsunął kilka tomów na bok i wydobył zza nich butelkę bardzo starego, jak się wydawało, koniaku. - Muszę to trzymać w ukryciu - wyjaśnił, napełniając szczerze dwa kieliszki.

- Przed służbą?

- Przed braćmi. - Podał Garethowi kieliszek. - Witaj w rodzinie!

Gareth oczywiście nie odmówił koniaku. Był niemal zatrwożony łatwością, z jaką się to wszystko odbyło. Nawet by się nie zdziwił, gdyby wicehrabia klasnął i z jakiegoś kąta wyskoczyłby duchowny gotowy od ręki udzielić ślubu.

- Bardzo dziękuję, milordzie. Ja...

- Mów mi Anthony! - przerwał mu wicehrabia. - Będziemy przecież braćmi.

- Anthony - powtórzył Gareth. - Chciałem tylko...

- Co za wspaniały dzień! - mamrotał do siebie Anthony - Po prostu cudowny! - Spojrzął przenikliwie na Garetha. - Nie masz siostr, co?

- Nie mam.



- A ja mam aż cztery. -Anthony opróżniał swój kieliszek co najmniej w jednej trzeciej. - Cztery! I nareszcie pozbyłem się odpowiedzialności. Koniec! - oznajmił takim tonem, jakby zaraz zamierzał puścić się w radosne płasy. -Jestem wolny!

- Masz jednak córki?

Gareth nie oparł się pokusie, by mu o tym przypomnieć.

- Tylko jedną. Ma dopiero trzy lata. Całe wieki miną, nim to wszystko znowu się zacznie. A jak będę miał szczęście, to mała przejdzie na katolicyzm i wstąpi do klasztoru!

Gareth zakrztusił się koniakiem.

- Mocne, co? - Anthony spoglądał czule na butelkę. - Liczy sobie dwadzieścia cztery lata!

- Chyba jeszcze nigdy nie piłem tak czcigodnego trunku - wymamrotał Gareth.

- A teraz - Anthony oparł się o biurko - chciałbyś pewne pogadać o posagu!

Prawdę mówiąc, Gareth nawet nie pomyślał dotąd o posagu, co było dość osobliwe u człowieka o tak mizernych funduszach. Nagła decyzja poślubienia Hiacynty tak zaskoczyła jego samego, że mózg nawet nie odnotował praktycznych aspektów tego przedsięwzięcia.

- Wszyscy wiedzą, że w ubiegłym roku postanowiłem zwiększyć sumę posagową Hiacynty - mówił Anthony, przybierając poważniejszy wyraz twarzy. - I nie wycofam się z tego, choć mam nadzieję, że pieniądze nie są głównym powodem twoich oświadczeń.

- Oczywiście że nie! - obruszył się Gareth.

- Wcale cię o to nie podejrzewałem - wyjaśnił Anthony. - Ale zawsze lepiej się upewnić.

- Wątpię, czy ktoś by się do tego przyznał, gdyby tak było.

Anthony zmierzył go wzrokiem.

- Pochlebiam sobie, że potrafiłbym wyczytać z gęby, gdyby mi ktoś łgał w żywe oczy!

- Oczywiście - odparł Gareth ugodowo i opadł znów na fotel.

Wicehrabia najwidoczniej nie poczuł się urażony.

- A więc - zaczął - Hiacynta otrzyma w posagu...

Gareth przyglądał się ze zmieszaniem Anthony'emu, który potrząsała tylko głową, a słowa zamarły mu na ustach.

- Milordzie? - szepnął.

- Bardzo przepraszam! - powiedział Anthony, skupiając znów uwagę. - Jestem trochę wytracony z równowagi, słowo daję!

- To całkiem zrozumiałe - wymamrotał Gareth, gdyż potakiwanie wydało mu się w tym momencie najlepszą taktyką.

- Nie sądziłem, że dożyję tego dnia - zwierzył się wicehrabia. - Mieliśmy kilka ofert, ale żadna z nich nie była warta uwagi. A ostatnimi czasy w ogóle nic. - Znów odetchnął głęboko. - Zaczęłam już powątpiewać, czy znajdzie się ktoś do rzeczy, kto chciałby się z nią ożenić!

- Wydaje mi się, że zbyt nisko cenisz swą siostrę, milordzie - zauważył Gareth chłodno.

Anthony zerknął na niego i uśmiechnął się. A przynajmniej zdobyl się na coś w rodzaju uśmiechu.

- Nic podobnego! - odparł. - Ale zdaję sobie sprawę z pewnych... osobliwości jej charakteru.

Wstał i Gareth natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że lord Bridgerton wykorzystuje swój imponujący wzrost do zastraszania rozmówców. Uświadomił sobie także, że nie powinien zbyt poważnie traktować bez troski i przesadnej ulgi, które jego lordowska mość zaprezentował na wstępie. Wicehrabia był niebezpiecznym człowiekiem. .. a przynajmniej mógłby nim być, gdyby zechciał. I lepiej o tym nie zapominać.

- Moja siostra Hiacynta - mówił lord Bridgerton bez pośpiechu, podchodząc do okna - to prawdziwy skarb. Powinieneś o tym pamiętać i jeśli dbasz o własną skórę, będziesz ją traktował tak, jak na to zasługuje!

Gareth trzymał język za zębami. To nie była odpowiednia pora na potakiwanie!

- Ale choć Hiacynta jest prawdziwym skarbem - perorował Anthony, odwracając się i krocąc powoli i dostojnie, jak przystało na człowieka świadomego swej potęgi - nie ma łatwego charakteru. Pierwszy to przyznam! Mało kto potrafi jej dorównać, jeśli chodzi o rozum i dowcip. Gdyby wpadła w pułapkę i związała się z kimś,

kto nie umiałby docenić jej niezwyklej osobowości, byłyby bardzo nieszczęśliwa.

Gareth nadal się nie odzywał. Nie spuszczał jednak oczu z twarzy wicehrabiego.

Anthony odwzajemnił to spojrzenie.

- Masz moje pozwolenie na ubieganie się o nią. Ale na twoim miejscu zastanowiłbym się poważnie, zanim bym się jej oświadczył.

- Cóż to ma znaczyć? - spytał podejrzliwie Gareth, zrywając się z miejsca.

- Nie wspomnę jej o naszej rozmowie. Tylko od ciebie zależy, czy zdecydujesz się na ten ostateczny krok. A jeżeli nie... - Wicehrabia wzruszył ramionami z istic gallickim temperamentem. - W takim wypadku - dodał z niepokojącym chłodem - Hiacynta o niczym się nie dowie.

Iluż to zalotników wicehrabia odstraszył w ten sposób? - zastanawiał się Gareth. Dobry Boże, czyżby właśnie dlatego Hiacynta nie wyszła dotąd za mąż? Powinien chyba być wdzięczny losowi, który umożliwił mu w ten sposób małżeństwo z nią, ale czy zdawała sobie sprawę z tego, że jej najstarszy brat jest szaleńcem?

- Jeśli unieszczęśliwisz moją siostrę - mówił dalej Anthony Bridgerton, wpatrując się w niego z takim natężeniem, że podejrzania Garetha co do stanu umysłu wicehrabiego jeszcze się umocniły - to i ty nie zaznasz szczęścia. Już ja się o to postaram!

Gareth chciał zmiażdżyć jego lordowską moć celną ripostą; do diabła ze specjalnym traktowaniem osób wpływowych i wysoko postawionych! Kiedy jednak miał już znieważyc swego przyszłego szwagra i pokłócić się z nim na śmierć i życie, niespodziewanie z jego ust zamiast obelg padło pytanie:

- Bardzo ją kochasz, prawda?

Anthony prychnął niecierpliwie.

- Pewnie, że ją kocham. Przecież to moja siostra!

- Ja też kochałem swojego brata - powiedział cicho Gareth. - Prócz babki był jedyną bliską mi osobą na świecie.

- Nie zamierzasz pogodzić się z ojcem, co? - spytał Anthony.

- Nie.

Wicehrabia nie zadawał dalszych pytań. Skinął tylko głową i po chwili stwierdził:

- Jeśli się z nią ożenisz, będziesz jednym z nas.

Gareth chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Nie potrafiłby zresztą wyrazić tego, co czuł.

- Na dobre i złe... - Wicehrabia zaśmiał się lekko, jakby kpił z samego siebie. - Zapewniam cię, że nieraz pożałujesz, że Hiacynta nie jest z nią bez rodziny!

- Nie! - odparł Gareth cicho, lecz z przekonaniem. - Tego nie życzyłbym nikomu.

W pokoju zapadła na chwilę cisza, którą przerwał wicehrabia:

- Chcesz mi powiedzieć coś o nim?

Garetha ogarnął niepokój.

- O kim?

- O twoim ojcu.

- Nie.

Anthony zdawał się to rozważać. Po chwili spytał:

- Mogą być przez niego jakieś trudności?

- Dla mnie?

- Dla Hiacynty.

Gareth nie mógł go okłamać.

- Owszem.

To właśnie było najgorsze ze wszystkiego; spędzało mu sen z powiek. Gareth nie miał pojęcia, co baron może zrobić. Albo powiedzieć.

Nie wiedział też, jak zareagują Bridgertonowie, gdy dowiedzą się prawdy.

I w tej właśnie chwili Gareth uświadomił sobie, że musi zrobić dwie rzeczy: po pierwsze, ożenić się z Hiacyntą jak najszybciej. Ona i jej matka będą sobie prawdopodobnie życzyć wystawnego weseli-ska - takiego, które przygotowuje się przez kilka miesięcy. Musi się temu sprzeciwić i nalegać na szybki ślub!

Po drugie, jako rodzaj zabezpieczenia, musi uniemożliwić Hiacyncie wycofanie się z umowy, choćby nawet baron zdradził sekret jego pochodzenia.

Inaczej mówiąc - skompromitować ją. I to jak najszybciej! Pozostawała jeszcze kwestia pamiątnika Izabelli. Babka mogła znać prawdę. Jeśli napisała o tym, Hiacynta pozna jego tajemnicę nawet bez starań barona!

Choć Gareth nie miał nic przeciwko temu, by Hiacynta dowiedziała się o jego nieprawym pochodzeniu, było bardzo ważne, żeby nie stało się to przed ślubem.

Albo przed uwiedzeniem.

Gareth nie lubił, rzecz jasna, gdy go przynaglano lub zmuszano do zrobienia czegoś. Ale jeśli chodzi o uwiedzenie Hiacynty...

Doszedł do wniosku, że będzie to dla niego czysta rozkosz!

## 13

*Zaledwie godzinę później. Jak już zauważyliśmy, kiedy nasz bohater podejmie jakąś decyzję... Czy wspomnieliśmy, że jest akurat wtorek?*

Co?! - zaskrzeczała lady Danbury. - Mamroczesz pod nosem!

Hiacynta pozwoliła, by książka, którą czytała, zamknęła się; wskazujący palec znaczył jednak właściwe miejsce.

- Ciekawe - rozważała na głos - dlaczego mam wrażenie, że już to kiedyś słyszałam?

- Owszem, słyszałaś - stwierdziła lady D. - bo zwykle nie mówisz dość głośno!

- Dziwne, że moja matka nigdy się na to nie uskarża.

- Uszy twojej matki nie należą do tego samego rocznika co moje - odparła lady Danbury z pogardliwym prychnięciem. - Gdzie się podziała moja laska?!

Od chwili, gdy Hiacynta ujrzała Garetha w akcji, pozbyła się zbożnego łęku w stosunku do laski hrabiny.

- Schowałam ją - oświadczyła z psotnym uśmiechem.

Lady Danbury aż się cofnęła.

- Hiacynto Bridgerton! Ach, ty chytra kocico!
- Kocico?
- Za lisami nigdy nie przepadałam. - Lady D. machnęła ręką;
- Za psami zresztą także nie!

Hiacynta postanowiła potraktować słowa starej damy jako komplement - była to najlepsza taktyka, gdy lady Danbury plotła androny - i wróciła do siedemnastego rozdziału powieści *Panna Butterworth i szalony baron*.

- Na czym to stanęłyśmy?
- Gdzie schowałeś laskę?
- Gdybym to pani powiedziała, nie byłaby już schowana, prawda? - odpowiedziała Hiacynta, nie podnosząc nawet oczu znad książki.
- Jestem bez niej uwięziona w tym fotelu! - pożaliła się lady D.
- Nie chcesz chyba pozbawić staruszki jedynej podpory?
- Właśnie że chcę - odparła Hiacynta, nie odrywając wzroku od książki. - Jak najbardziej!
- Stanowczo za wiele przestajesz z moim wnukiem! - mruknęła hrabina.

Hiacynta wydawała się nadal zaabsorbowana książką; czuła jednak, że nie zdoła długo zachować kamiennej twarzy. Wciągnęła wargi i zacisnęła je, jak czyniła zawsze, kiedy starała się nie zwracać na kogoś uwagi. Jeśli jednak temperatura policzków może o czymś świadczyć, wyraźnie się zaczerwieniła.

Dobry Boże!

W postępowaniu z lady Danbury pierwsza zasada brzmiała: Nigdy nie okazywać słabości!

Druga zaś głosiła oczywiście: W razie jakichkolwiek wątpliwości należy odwołać się do zasady numer jeden!

- Czy ty się aby nie rumienisz?

Hiacynta spojrzała na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nie widzę, niestety, moich policzków.
- Są wyraźnie zaczerwienione!
- Jeśli pani tak twierdzi...

Hiacynta odwróciła stronę z nieco większą energią, niż było to konieczne i z konsternacją dostrzegła niewielkie rozdarcie przy samej okładce. O Boże! No cóż, nie ma na to rady, Priscilla Butterworth nie takie katastrofy już przeżyła!

- Czemu się rumienisz? - nie ustępowała stara dama.

- Wcale się nie rumienię.

- Właśnie że tak!

- Właśnie że... - Hiacynta pohamowała się, zanim zaczęły wykłócać się jak para dzieciaków. - Po prostu jest mi gorąco - wyjawiała przyczynę z doprawdy zasługującym na podziw taktem i godnością osobistą.

- W pokoju panuje miły chłodek - odparowała lady Danbury.

- Czemu się czerwienisz?

Hiacynta rzuciła jej mordercze spojrzenie.

- Życzy sobie pani, milady, żebym czytała dalej, czy nie?

- Nie! Znacznie bardziej interesuje mnie, czemu się tak rumienisz.

- Nie rumienię się! - omal nie wrzasnęła Hiacynta.

Lady Danbury posłała jej uśmiech, który na innej twarzy mógł wyglądać całkiem nieszkodliwie, ale hrabinie nadawał diaboliczny wyraz.

- No cóż, jesteś czerwona i tyle - orzekła starsza pani.

- Jeśli jestem czerwona - syknęła przez zęby Hiacynta - to z gniewu!

- Na mnie? - Lady D. przyłożyła, niby to niechcący, rękę do serca.

- Zabieram się do czytania! - oznajmiła Hiacynta.

- Jeśli tak ci na tym zależy - odparła lady D. z westchnieniem.

Odczekała mniej więcej sekundę i dodała: - Przypuszczam, że panna Butterworth nadal wdrapuje się na skalne zbocza.

Hiacynta skupiła całą uwagę na trzymanej w ręku książce.

- No i co? - spytała dość natarczywie lady Danbury.

- Muszę znaleźć miejsce, w którym przerwałyśmy czytanie - mruknęła Hiacynta.

Odwróciła kartkę, usiłując odnaleźć pannę Butterworth na właściwym zboczu; skał było więcej i heroina zdobywała wszystkie po

kolei. Słowa jednak tańczyły Hiacyncie przed oczami i wyraźnie widziała jedynie Garetha.

Garetha z tymi jego uwodzicielskimi oczyma i idealnie kształtnymi ustami. Garetha z uroczym dołeczkiem, którego z pewnością wyparłby się w żywe oczy. Garetha...

Prawdę mówiąc...

Hiacynta pospiesznie cofnęła się o kilka dalszych kartek. Rzeczywiście, stało tam czarno na białym, w samym środku rozdziału szesnastego:

*Oczy miał uwodzicielskie a wargi idealnie kształtne. Miał też dołeczek, tuż nad lewym kącikiem ust, którego wyparłby się z pewnością, gdyby miała odwagę napomknąć o nim.*

- Dobry Boże!-jęknęła Hiacynta.

Gareth z pewnością nie miał żadnych dołeczków!

- Nie pogubiłaś się całkowicie, mam nadzieję? - zaniepokoiła się lady D. - Cofnęłaś się co najmniej o trzy rozdziały!

- Zaraz znajdę właściwe miejsce.

Najwyraźniej traciła zmysły To musiało być to! Do cna pomieściła się jej w głowie, jeśli bezwiednie cytowała fragmenty tego powieści!.

A jednak...

Pocałował ją.

Naprawdę ją pocałował! Za pierwszym razem na korytarzu w Bridgerton House to było całkiem co innego. Ich wargi co prawda się zetknęły, inne części ciała zresztą także, ale to nie był prawdziwy pocałunek.

Nie to, co ten!

Hiacynta westchnęła.

- Co cię tak zirytowało, że aż sapiesz? - dopytywała się lady Danbury.

- Nic.

Usta lady D. zacisnęły się, tworząc cienką linię.

- Nie jesteś dziś sobą, moja panno! Ani trochę!

Hiacynta nie zamierzała spierać się o to.



- *Panna Butterworth...* - zaczęła z większą energią niż było to konieczne - *wspinała się po desperacku. Palce jej rąk wpijały się coraz rozpaczliwie w ziemię przy każdym kroku...*

- Chodziła na rękach? - zainteresowała się lady D.

- W tej książce wszystko jest możliwe. - Odkaslnęła i czytała dalej: - *Słyszała za sobą jego kroki. Odległość między nimi ciągle się zmniejszała. Wkrótce ją pochwyć! Ale w jakim celu? Szlachetnym czy niegodziwym?*

- Mam nadzieję, że w niegodziwym. To bardzo ożywi akcję!

- Zgadzam się w zupełności - przytaknęła Hiacynta. - *Skąd miała wiedzieć?* - czytała dalej. - *Skąd miała wiedzieć? Ach, skąd miała to wiedzieć?!* - Podniosła oczy znad książki. - Trzecie powtórzenie urozmaiciłam sama.

- W pełni aprobuję - oświadczyła wspaniałomyślnie lady D.

- *I wówczas przypomniała się jej rada otrzymana od matki, zanim jeszcze ta anielska niewiasta odeszła do lepszego świata, zadziobana na śmierć przez gołębie.*

- Niemożliwe!

- Pewnie że niemożliwe. To tylko fikcja literacka. Ale przysięgam, że tak tu napisano. Czarno na białym, na stronie 193.

- Daj, sama zobaczę!

Hiacynta zrobiła wielkie oczy. Lady Danbury często oskarżała ją o to, że dokonuje zmian w tekście. Tym razem jednak po raz pierwszy uparła się, że sama sprawdzi. Hiacynta wstała i podsunęła hrabinie książkę, wskazując palcem właściwy fragment.

- Niech mnie! - wykrzyknęła stara dama. - Biedactwo, rzeczywiście dopadły ją gołębie. - Pokręciła smutno głową. - Nie taki rodzaj śmierci wybrałabym dla siebie!

- Takiej napaści może się pani doprawdy nie obawiać, milady! - uspokoiła ją Hiacynta, wracając na swoje miejsce.

Lady D. odruchowo sięgnęła po laskę, po czym zrobiła wściekłą minę, uprzytomniwszy sobie, że jej podpora znikła.

- Czytaj dalej! - burknęła.

- W porządku... - wymamrotała Hiacynta zaglądając znów do książki. - Na czym to... O, już mam: *Odeszła do lepszego świata,*

*zadziobana na śmierć przez gołębie.* - Podniosła wzrok znad książki, krztusząc się ze śmiechu. - Przepraszam! Nie potrafię zachować powagi, czytając takie brednie.

- Czytaj i nie rezonuj!

Hiacynta Odkaszlnęła kilkakrotnie, zanim podjęła na nowo czytanie.

- *Priscilla miała wówczas zaledwie dwanaście lat i była o wiele za młoda na takie rozmowy, ale być może jej matka przewidywała swą przedwczesną śmierć...* - Bardzo przepraszam - wtrąciła znowu - ale jak, na miłość boską, można przewidzieć coś podobnego?!

- Jak sama zauważyłaś - odparła sucho lady D. - to tylko fikcja literacka.

Hiacynta zaczerpnęła powietrza i czytała dalej:

- *Matka ścisnęła ją za rękę i ze smutnym wejrzeniem powiedziała: - Moja najdroższa Priscillo! Nie ma na tym świecie nic cenniejszego nad miłość!*

Zerknęła ukradkiem na lady Danbury - spodziewając się, że stara dama prychnie z niesmakiem. Jednak, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, hrabina wsłuchiwała się z napięciem w każde słowo.

Pospieszenie wróciła do książki:

- *Zdarzają się jednak zwodziciele, najdroższa Priscillo. Mężczyźni, którzy będą próbowali cię wykorzystać, nie mając wcale na myśli prawdziwej jedności serc!*

- To prawda! - wtrąciła lady Danbury.

Hiacynta spojrzała na nią i od razu stało się dla niej jasne, że stara dama nie miała pojęcia, iż wypowiada te słowa na głos.

- No cóż, bywa i tak! - przyznała z wyzwaniem w głosie spozstrzegłszy, że Hiacynta spogląda na nią.

Nie chcąc wprawiać starej hrabiny w jeszcze większe zmieszanie, odchrząknawszy czytała dalej:

- *Powinnaś zawierzyć swym dobrym instynktom, droga Priscillo. Dam ci jednak pewną radę. Ukryj ją głęboko w sercu i zapamiętaj na zawsze. Przysięgam, że jest to szczerą prawdą!*

Hiacynta przewróciła stronę, nieco zaambarasowana tym, że książka ta urzekła ją jak nigdy dotąd.

- Priscilla pochyliła się ku niej i dotknęła bladego policzka matki. — Cóż to za rada, mamo? - spytała. -Jeśli chcesz się przekonać, czy jakiś dżentelmen naprawdę cię kocha - odpowiedziała matka -jest na to tylko jeden niezawodny sposób.

Lady Danbury także pochyliła się, jakby nasłuchując. Nawet Hiacynta uczyniła podobny ruch, mimo że trzymała książkę w ręku.

- Poznasz to po jego pocałunku - wyszeptła matka. -Pocałunek objawi ci prawdę!

Wargi Hiacynty rozchyliły się. Dotknęła ich ręką, całkiem bezwiednie.

- No, no! - burknęła lady Danbury. - Wcale nie tego się spodziewałam!

„Poznasz to po jego pocałunku...” Czy mogła to być prawda?

- Sądziłabym raczej - kontynuowała lady Danbury z namaszczaniem - że prawda objawi się w jego postępkach! Ale to widać nie byłoby dość romantyczne dla panny Butterworth.

- I szalonego barona - uzupełniła Hiacynta.

- Właśnie! Kto przy zdrowych zmysłach chciałby poślubić szaleńca?!

- „Pocałunek objawi ci prawdę” - szepnęła do siebie Hiacynta.

- Co? - zaskrzeczała stara dama. - Mów głośniej!

- Nic, nic! - Hiacynta potrząsnąwszy lekko głową zmusiła się znów do skupienia całej uwagi na hrabinie. - Zamyśliłam się na chwilę.

- Kontemplując dogmaty wielebnej matki Butterworth?

- Skądże znowu! - Odchrząknęła. - Czytamy dalej?

- Tak będzie lepiej - burknęła lady D. - Im szybciej uporamy się z tą powieścią, tym prędzej zabierzemy się do następnej książki.

- Nie musimy przecież kończyć *Panny Butterworth* - odparła Hiacynta dobrze wiedząc, że gdyby tak się stało, wykradnie książkę i sama przeczyta ją do końca.

- Nie bądź niemądra, nie możemy takiej zostawić! Zapłaciłam ciężki grosz za to powieściśdło. A poza tym - wyznała lady D. z pewnym zażenowaniem - chciałabym wiedzieć, jak to się skończy.

Hiacynta uśmiechnęła się do niej. Po raz pierwszy stara dama przyznała się do czysto kobiecej słabości i jej młoda przyjaciółka doszła do wniosku, że należy ją umocnić w takim postępowaniu.

- Doskonale! Muszę więc znowu odszukać miejsce, w którym przerwałyśmy lekturę...

- Pan St. Clair prosi o chwilę rozmowy, lady Danbury - rozległ się niski, doskonale opanowany głos majordoma, który bezszelestnie wkroczył do salonu.

- Doprawdy? - zdziwiła się lady Danbury. - Zazwyczaj wpada tu bez pardonu!

Majordomus uniósł brew. Nigdy jeszcze Hiacynta nie zauważyła, by tak się zapomniał.

- Prosi o chwilę rozmowy z panną Bridgerton.

- Ze mną?! - pisnęła Hiacynta.

Starsza pani osłupiała.

- Chce mówić z Hiacyntą? - wykrztusiła. - W moim salonie?!

- Tak powiedział, milady.

- No, no! - pomrukiwała lady D., rozglądając się po pokoju, choć nie było tu żywej duszy z wyjątkiem niej, Hiacynty i majordoma. - No, no!

- Czy mam go wprowadzić? - spytał majordomus.

- Oczywiście! Ale ja nie zamierzam się stąd ruszać. Wszystko, co ma do powiedzenia panie Bridgerton, może jej powiedzieć w mojej obecności!

- Co takiego?! - zdumiała się Hiacynta, odrywając wreszcie oczy od majordoma i zwracając je na lady Danbury. - Doprawdy nie sędzę...

- To mój salon - stwierdziła lady D. - I mój wnuk! A ty...

- Zacisnąwszy usta zmierzyła wzrokiem Hiacyntę, przerywając swój monolog w pół zdania. - No cóż, ty to ty! - zakończyła. - H m!

- Panno Bridgerton... - zaczął Gareth, pojawiając się w drzwiach i wypełniając je - mówiąc stylem panny Butterworth - swą niezrównaną osobowością. - Dzień dobry, babciu! - zwrócił się do lady Danbury.

- Wszystko, co masz do powiedzenia pannie Bridgerton, możesz jej równie dobrze powiedzieć przy mnie - oświadczyła stara dama.

- Mam szczerą ochotę wypróbować tę teorię w praktyce! - mruknął pod nosem.

- Czy coś się stało? - zaniepokoiła się Hiacynta.

Siedziała spięta na samym brzegu krzesła. W końcu rozstali się zaledwie dwie godziny temu!

- Absolutnie nic - uspokoił ją.

Przeszedł przez pokój i stanął obok Hiacynty - tak blisko, jak na to pozwalało rozstawienie mebli. Babka spoglądała na niego z nieukrywaną ciekawością, a on już powątpiewał, czy postąpił rozsądnie, przybывая tu prosto z Bridgerton House.

Kiedy jednak wyszedł na ulicę po rozmowie z wicehrabią, przypomniał sobie, że jest właśnie wtorek. Wydało mu się to pomyślnym znakiem. Przecież wszystko się zaczęło właśnie we wtorek. Wielkie nieba, czy to możliwe, że minęły od tego czasu zaledwie dwa tygodnie?!

Co wtorek Hiacynta czytała jego babci. W każdy wtorek, bez wyjątku, o tej samej porze, w tym samym miejscu. Idąc ulicą i rozważając dalsze koleje swojego życia, Gareth uświadomił sobie, że wie, gdzie dokładnie znajduje się w tej chwili Hiacynta. I że, jeśli chce poprosić ją o rękę, wystarczy udać się tylko do Danbury House. Całkiem blisko!

Chyba powinien był wstrzymać się z tym. Wybrać bardziej romantyczne miejsce i porę. Coś, co zblizoby ją z nóg i pozbawiło tchu. Jednak podjął już decyzję i nie chciał dłużej czekać. A poza tym babcia zasługiwała na to, by dowiedzieć się pierwsza o jego zaręczynach - po tym wszystkim, co zrobiła dla niego przez wszystkie te lata!

Nie spodziewał się jednak, że przyjdzie mu oświadczyć się w obecności starszej pani.

Spojrzał na nią wymownie.

- O co chodzi? - warknęła.

Tam do licha! Nie wyszłaby z pokoju, choćby ją błagał na kolanach! A poza tym w obecności babci Hiacynta po prostu nie mogła mu odmówić.

Co prawda nie przypuszczała, żeby dała mu kosza... ale co szkodzi zabezpieczyć się na wszelki wypadek?

- Gareth? - odezwała się cicho Hiacynta.

Pospiesznie odwrócił się do niej. Jak długo stał tak, rozważając wszystkie możliwości?

- Hiacynto - szepnął równie cicho.

Spojrzała na niego wyczekująco.

- Hiacynto - powtórzył, tym razem nieco pewniej. Uśmiechnął się, a ich spojrzenia się spotkały. - Hiacynto...

- Doskonale wiemy, jak ona się nazywa! - wtrąciła babka.

Gareth zignorował ją i odsunął stół, by przykłęknąć.

- Hiacynto - powiedział, rozkoszując się zmieszaniem dziewczyny, kiedy ujął jej dłoń w obie ręce. - Czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zgodzisz się zostać moją żoną?

Oczy Hiacynty rozszerzyły się i zamgliły, a usta, które z taką rozkoszą całował przed kilkoma godzinami, zaczęły drżeć.

-Ja...ja...

To, że zabrakło jej słów, było tak niepodobne do Hiacynty! Na jej twarzy odbijały się emocje, których w tym momencie doświadczała - zdumienie, wzruszenie, zakłopotanie, radość. Była zachwycająca!

- Ja...ja...

- Tak! - wrzasnęła w końcu babka. - Tak! Wyjdzie za ciebie!

- Musi mi to powiedzieć sama.

- Kiedy nie może! - zaprotestowała lady D. - Widzisz przecież!

- Tak! - przemówiła wreszcie Hiacynta, kiwając głową i pociągając nosem. - Tak, wyjdę za ciebie!

Podniósł jej rękę do ust.

- Cudownie!

- No, no! - mruknęła babka. -I dodała zrzędliwie: - Gdzie jest moja laska?!

- Za zegarem - odparła Hiacynta, nie odrywając oczu od Garetha.

Lady Danbury zamruwała oczami ze zdumienia, po czym wstała i wydobyła laskę z ukrycia.

- Dlaczego? - spytała Hiacynta.

Gareth uśmiechnął się.

- Co dlaczego?

- Dlaczego poprosiłeś mnie o rękę?

- Myślałem, że to się rozumie samo przez się!

- Odpowiedz jej! - wrzasnęła lady D., waląc laską o podłogę. Spojrzała na swą podporę z nieukrywaną czułością. - Tak jest o wiele lepiej! - mruknęła.

Oboje młodzi odwrócili się do niej. Hiacynta z lekkim zniecierpliwieniem, Gareth z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Dobrze już, dobrze! - burknęła lady Danbury. - Pewnie chcesz przez chwilę zostać sam na sam?

Ani Gareth, ani Hiacynta nie powiedzieli słowa.

- Już wychodzę, wychodzę - powtarzała hrabina, utykając znacznie wyraźniej niż przed chwilą, gdy niemal skoczyła, by odzyskać laskę. - Ale nie wyobrażaj sobie - dodała zatrzymując się w drzwiach - że was zostawię na długo! Dobrze wiem, co z ciebie za numer i jeśli sądzisz, że pozwolę jej narażać cnotę...

- Jestem przecież twoim wnukiem!

- To jeszcze nie znaczy, żeś święty! - odparowała, po czym wychłapała z pokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Gareth przyglądał się temu wszystkiemu z ironicznym wyrazem twarzy.

- Mam wrażenie, że babcia chce, żebym ciebie skompromitował - szepnęła. - To ostatecznie przypieczętowałoby sprawę!

- Nie bądź głupi - odpowiedziała Hiacynta, starając się zuchwałością zamaskować rumieniec, który wypłynął jej na policzki.

- Naprawdę tak sądzę - zapewnił, unosząc jej rękę do ust. - Pragnie wnuczki takiej jak ty jeszcze bardziej niż mnie jako wnuka! I jest wystarczająco podstępna, by narazić cię na utratę reputacji, byle osiągnąć zamierzony cel!

- Ja się na pewno nie rozmyślę - wymamrotała Hiacynta. - Dałam ci przecież słowo.

Pochwycił jeden z jej palców i objął wargami jego koniuszek.

- Nie łamiesz przyrzeczeń, prawda?

Skinęła głową, całkiem zbita z tropu widokiem swojego palca w jego ustach.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - powiedziała cichutko.

Wyczuł delikatne zgięcie stawu i raz po raz przesuwiał po nim językiem.

- A pytałaś mnie o coś?

Znów tylko skinęła głową. Nie mogła zebrać myśli, gdy tak ją uwodził. Zdumiewające, że potrafił doprowadzić ją do takiego stanu, niemal pozbawić tchu, pieszcząc wargami palec!

Usiadł obok niej na kanapie, nie puszczając jej ręki.

- Taka śliczna - szepnął. - I już niedługo cała moja.

Obrócił jej dłoń wnętrzem do góry. Hiacynta przyglądała się zafascynowana, gdy pochylił się nad nią i dotknął ustami nadgarstka. Jej oddech słysząc było w ciszy pokoju. Zastanawiała się, co bardziej ją podnieca: dotyk jego ust czy sam widok Garetha, który potrafił zwalić ją z nóg jednym pocałunkiem?

- Bardzo mi się podobają twoje ramiona - mówił, dotykając jej ręki jakby była bezcennym skarbem, który należy podziwiać i strzec.

- Masz taką delikatną skórę. - Muskał palcami wrażliwe miejsce powyżej nadgarstka.

Dzień był ciepły, Hiacynta miała pod lekkim okryciem letnią sukienkę z krótkimi, kimonowymi rękawkami. Gdyby Gareth nadal posuwał się w górę, aż do barku - raptownie wciągnęła powietrze - chyba całkiem by stopniała pod jego dotykiem.

- Ale zachwyca mnie również ich kształt. - Spoglądał z zachwytem na jej ramię. - Są smukłe lecz lekko zaokrąglone i nie brak im siły. Prawdziwa z ciebie sportsmenka, prawda?

Uśmiechnęła się.

Gareth patrzył na nią z zachwytem.

- Można to poznać po twoim chodzie i po ruchach. Nawet po wygięciu ramienia...



Znów pogładził jej dłoń.

Pochylił się, dotykając prawie twarzą jej twarzy. Gdy mówił, czuła powiew jego oddechu, niby zapowiedź pocałunków.

- Poruszasz się inaczej niż reszta kobiet. A to skłania do myślenia...

- O czym? - spytała szeptem.

Ręka Garetha zawędrowała na jej biodro, potem na nogę i wreszcie spoczęła na krągłym udzie, nie pieszcząc go, ale nie pozwalając zapomnieć o swej obecności, o bijącym od niego ciepłe, o ciężarze dłoni.

- Sama wiesz - powiedział równie cicho.

Hiacynta czuła, że cała oblewa się rumieńcem, gdy nieproszone obrazy przelatywały jej przez głowę. Wiedziała, na czym polega fizyczne zbliżenie mężczyzny z kobietą. Dawno temu wydobyła prawdę od starszych sióstr. Kiedyś znalazła też w pokoju Gregory'ego książeczkę o orientalnej sztuce miłości, pełną szokujących ilustracji. Sprawily, że poczuła się bardzo dziwnie.

Nic jednak nie przygotowało jej na tę falę pożądania pod wpływem kilku słów wyszeptanych przez Garetha. Mimo woli wyobraziła sobie, jak całuje ją i pieści.

Zrobiło się jej słabo.

Zapagnęła go.

- A ty nie myślisz o tym? - szeptał jej do ucha, tak gorąco, że słowaomal jej nie sparzyły.

Tak. Nie mogła mu skłamać. Czuła się w tej chwili całkowicie obnażona. Odsłonił wewnątrz jej duszy tym subtelnym atakiem.

- I co o tym myślisz? - nalegał.

Z trudem przełknęła ślinę, starając się nie zwracać uwagi na jakieś kłopoty z oddychaniem.

- Sama nie wiem - zdołała wreszcie wykrztusić.

- Oczywiście, skąd mogłabyś wiedzieć? - odparł i uśmiechnął się tak, jakby był wszytkowiedzący. - Ale to nic nie szkodzi! - Pochylił się i pocałował ją w usta; tylko raz, bez pośpiechu. - Wkrótce się wszytkiego dowiesz.

Podniósł się z kanapy.

- Muszę niestety uciekać, zanim moja babcia zacznie nas podglądać z okna naprzeciwko!

Oczy Hiacynty z przestraczem skierowały się w stronę okna.

- Nie obawiaj się - uspokajał ją ze śmiechem Gareth. - Nie ma aż tak bystrych oczu!

- Ale ma teleskop - odparła Hiacynta, zerkając znów podejrzliwie na okno.

- Czemu to mnie wcale nie dziwi? - mruknął Gareth, podchodząc do drzwi.

Hiacynta nie odrywała od niego wzroku, gdy szedł przez pokój. Zawsze przypominał jej Iwa... a teraz był jej własnym lwem, którego wkrótce oswoi!

- Zjawię się u ciebie jutro - obiecał Gareth, zegnając ją lekkim ukłonem.

Skinęła głową i dopiero potem, gdy go już nie było, zmieniła pozycję na kanapie.

- O, mój Boże!

- Co ci odpowiedział? - spytała lady Danbury, pojawiając się w salonie prawie natychmiast po wyjściu Garetha.

Hiacynta spojrzała na nią niezbyt przytomnie.

- Spytałaś go, dlaczego poprosił cię o rękę - przypomniała jej lady D. - Co odpowiedział?

Hiacynta otworzyła usta i dopiero wówczas uprzytomniła sobie, że Gareth nie odpowiedział.

- Wyznał mi, że po prostu musiał to uczynić - skłamała.

To właśnie pragnęła od niego usłyszeć. Czemu lady Danbury nie miałyby uwierzyć, że tak właśnie było?

- O! - Stara dama westchnęła, przyciskając rękę do piersi. - Jakie to urocze!

Hiacynta odzyskała trzeźwość spojrzenia.

- Jest pani romantyczką, milady! - orzekła.

- Zawsze nią byłam - przyznała lady D. z tajemniczym uśmiechem, który rzadko się pojawiał na jej ustach. - Zawsze!

# 14

*Minęły dwa tygodnie. Cały Londyn już wie, że Hiacynta zostanie wkrótce panią St. Clair. Gareth rozkoszuje się swą nową pozycją honorowego członka rodziny Bridgertonów, nadal jednak obawia się, że to, co sprawia mu tyle radości, zaraz się skończy. Jest północ. Miejsce akcji? Pod samym oknem sypialni Hiacynty.*

Zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Obmyślił to sobie dokładnie i znał na pamięć... z wyjątkiem słów, które miał wypowiedzieć. Wiedział, że same popłyną mu z ust w chwili uniesienia.

Będzie to niezwykle piękne przeżycie.

Pełne namiętności.

Dojdzie do tego jeszcze tej nocy.

Dziś w nocy - powtarzał sobie Gareth, w którym wyrachowanie walczyło o lepsze z urzeczeniem - uwiodę Hiacyntę!

Miał wyrzuty sumienia z powodu skrupulatności, z jaką planował jej upadek, ale szybko się ich wyzbył. Nie zamierzał przecież uwieść Hiacynty i porzucić ją na pożarcie wilkom! Chciał się z nią ożenić, na litość boską!

Zresztą, nikt się o tym nie dowie. Będą wiedzieć tylko on i Hiacynta.

A jej sumienie nie pozwoli zerwać z narzeczoną, któremu się oddała.

Ustalili, że tej nocy wyruszą znów na poszukiwanie do Clair House. Hiacynta chciała tam się udać przed tygodniem, ale Gareth się nie zgodził. Byłoby za wcześnie na wprowadzenie w życie jego planu, toteż uraczył dziewczynę bajeczką, że ojciec spodziewa się gości. Zdrowy rozsądek nakazywał włąmywać się do domu, kiedy jest w nim pusto!

Hiacynta, myśląc praktycznie, przyznała mu rację.

Za to dzisiejsza noc nadawała się idealnie. Baron prawie na pewno uda się na bal do Mottramów. Nie wpadną więc na niego, gdyby nawet

- co mało prawdopodobne! - wyruszyli w końcu do Clair House na poszukiwania. A co ważniejsze, Hiacynta była już gotowa.

Więcej niż gotowa! Postarał się o to.

Ostatnie dwa tygodnie okazały się jeszcze bardziej urocze, niż się spodziewał. Chcąc nie chcąc, Gareth musiał uczestniczyć w niezliczonych balach i spotkaniach towarzyskich. Bywał również, w teatrze i w operze. Zawsze towarzyszyła mu Hiacynta i jeśli w ogóle miał jakieś wątpliwości *co* do tego małżeństwa, to znikły bez śladu. Jego narzeczona była chwilami irytująca, zdarzyło się, że omal nie doprowadziła go do szału, ale nigdy się z nią nie nudził.

Będzie idealną żoną! Może nie dla każdego, ale z pewnością dla niego, a tylko to się liczyło.

Najpierw jednak musiał się zabezpieczyć przed ewentualną zmianą planów z jej strony. Postanowił zrobić wszystko, by ich związek był nierozzerwalny.

Przystąpił do działania bez pośpiechu, wodząc ją na pokuszenie jedynie spojrzzeniami, przelotnymi pieszczotami i kradzionymi całusami. Przekomarzał się z nią, kusił i zawsze napomykał delikatnie o tym, co mogłoby być dalej. Pozostawiał dziewczynę całkiem oszołomioną. Z nim zresztą było podobnie!

Rozpoczął uwodzicielską kampanię przed dwoma tygodniami, kiedy poprosił o jej rękę, wiedząc od początku, że muszą pobrać się jak najszybciej. Zaczął od pocałunku. Jednego, skromnego pocałunku.

Tej nocy udowodni jej, czym naprawdę może być pocałunek!

Ogólnie rzecz biorąc, myślała Hiacynta, biegnąc po schodach do swej sypialni, wszystko idzie jak po maśle!

Wolałaby tego wieczoru pozostać w domu, żeby przygotować się bez pośpiechu na wyprawę do Clair House; Gareth jednak przekonał ją, że jeśli on wymówi się od balu u Mottramów, ona powinna się na nim pokazać. Inaczej zaczną się plotki: dokąd to razem się wymykają? Spędziwszy więc trzy godziny na pogawędkach, żartach i tańcach, Hiacynta odszukała matkę, poskarżyła się, że rozboleła ją

głowa i poprosiła o wcześniejszy powrót. Violet doskonale się bawiła - jak zwykle - i nie miała ochoty psuć sobie wieczoru, pozwoliła więc córce udać się samej do domu w matczynym powozie.

Znakomicie! Wszystko układało się wprost idealnie. W drodze powrotnej nic ich nie zatrzymało, toteż dotarła do domu tuż przed północą, dzięki czemu miała kwadrans na przebranie się i zejście tylnymi schodami na spotkanie z Garethem.

Nie mogła się już doczekać!

Nie była pewna, czy tej nocy znajdą klejnoty. Wcale by jej nie zdziwiło, gdyby Isabella pozostawiła w bibliotece tylko następną wskazówkę, prowadzącą do celu. Ale zawsze posuną się o krok naprzód.

I czeka ich wspaniała przygoda!

Czy zawsze tak mnie pociągało ryzyko? - zastanawiała się Hiacynta. Czy tylko czekałam na okazję, by rzucić się na wzburzone fale?

Dotarła po cichutku korytarzem na piętrze do swojej sypialni. W całym domu panowała cisza, a ona oczywiście nie chciała zbudzić służby. Sięgnęła do klamki, otworzyła bezszelestnie drzwi i wślizgnęła się do pokoju.

Nareszcie!

Teraz już tylko...

- Hiacynta!

O mały włos nie wrzasnęła na całe gardło.

- G...gareth?...-wykrztusiła.

Nie wierzyła własnym oczom. Wylegiwał się na jej łóżku!

Uśmiechnął się.

- Ależ długo czekałem!

Pospiesznie obiegła pokój wzrokiem. Jak on się tu dostał?

- Co ty tu robisz? - ofuknęła go.

- Zjawiłem się zbyt wcześnie - odparł, leniwie cedząc słowa. Jego oczy były jednak baczne i pełne napięcia. - Pomyślałem, że czekam na ciebie.

- Tutaj?!

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Na dworze jest za zimno.

Nieprawda! Było aż za gorąco. Wszyscy o tym mówili!

- Jak tu wszedłeś?

Dobry Boże, czyżby służba wiedziała? Czy ktoś go zauważył?

- Wdrapałem się po murze.

- Wdrapałeś się... Co takiego?! - Podbiegła do okna i spojrzała w dół. - Jakim sposobem.

On jednak podniósł się z łóżka i podkraść do niej od tyłu. Objął ją ramionami i szepnął do ucha:

- Jestem bardzo, ale to bardzo sprytny!

Zaśmiała się nerwowo.

- Albo masz w sobie coś z kota!

Poczuła, że się uśmiechnął.

- To również - szepnął. I dodał po chwili: - Stęskniłem się za tobą!

- Ja...

Chciała powiedzieć, że i ona stęskniła się za nim, ale stał zbyt blisko. Zrobiło się jej gorąco i głos odmówił posłuszeństwa.

Gareth pochylił się. Jego wargi odnalazły szczególnie wrażliwe miejsce poniżej jej ucha. Dotknął go tak delikatnie, że nie miała nawet pewności, czy to był pocałunek, a potem spytał szeptem.

- Dobrze się bawiłaś u Mottramów?

- Tak. Nie! Byłam zbyt... - Przełknęła ślinę, nie mogąc znieść obojętnie dotknięcia jego warg. - Niespokojna.

Wziął ją za rękę i ucałował każdą po kolei.

- Niespokojna? A to czemu?

- Przez te klejnoty - przypomniała mu.

Wielkie nieba, czy każda kobieta ma kłopoty z oddychaniem, stojąc obok przystojnego mężczyzny?

- A prawda! - Objął ją w talii i przycisnął do siebie. - Klejnoty.

- Nie chcesz...

- O, jeszcze jak! - Przytulił ją do siebie mocniej. - Bardzo chcę!

- Gareth! -jęknęła.

Czuła jego ręce na swoich biodrach, a wargi na szyi.

Nogi w każdej chwili mogły ugiąć się pod nią.

Wyrabiał z nią niesłychane rzeczy! Wprowadził ją w świat całym nowych doznań. Sprawiał, że zapierało jej dech, że jęczała... i pragnęła coraz więcej i więcej...

- Myślę o tobie co noc - wyszeptał, dotykając ustami jej szyi.

- Naprawdę?

- Mm-hm... - Słyszała jego pomruki tuż przy swojej szyi. -  
Leżę w łóżku i marzę, że jesteś obok mnie.

Musiała wyteńczyć wszystkie siły, by w miarę normalnie oddychać. A jednak jakaś cząstka jej istoty, zupełnie zdeprawowana, podkusiła ją, żeby spytać:

- I o czym wtedy myślisz?

Zaśmiał się, wyraźnie uradowany z pytania.

- Myślę o tym, że moglibyśmy zrobić coś takiego. - Przycisnął ją do siebie tak, że wyraźnie poczuła, jak bardzo jest roznamiętniony.

Wymamrotała coś niewyraźnie. Może to było jego imię?

- I często myślę o czymś takim... - ciągnął dalej, rozpinając zrećznie guziczek z tyłu sukni.

Hiacynta zaczerpnęła powietrza. Rozpiął następne trzy guziczki, zanim ona zdążyła jeszcze raz głębiej odetchnąć.

- Ale najczęściej - mówił niskim, aksamitnym głosem - marzę o zrobieniu tego...

Pochwycił ją w ramiona tak, że spódnica zafalowała wokół jej nóg, podczas gdy górna część sukni zsunęła się w dół i zatrzymała - niezbyt pewnie - na biuście. Hiacynta chwyciła go z całej siły za ramiona i usiłowała coś powiedzieć. Cokolwiek, co by zabrzmiało nieco dojrzejiej niż zdławione „Och!”, na które się zdobyła. Miała wrażenie, że pozbawiona ciężaru unosi się w powietrzu, póki nie zaniósł jej do łóżka.

Położył się obok niej na boku i gładził jej nagą skórę nad biustem.

- Taka śliczna - pomrukiwał. - Taka delikatna!

- Co ty robisz?!

Uśmiechnął się, przeciągając leniwie jak kot.

- Pytasz co mam zamiar zrobić z tobą?

Skinęła głową.

- To zależy. - Pochylił się nad nią i wodził językiem tam, gdzie przed chwilą wędrowały palce. - Jak ci się to podoba?

- Sama nie wiem.

Roześmiał się niskim, cichym śmiechem, zadziwiająco podnoszącym na duchu.

- To dobrze - powiedział biorąc w palce poluzowany stanik jej sukni. - To znakomicie!

Pociągnął mocniej i Hiacyncie zaparło dech; leżała naga do pasa.

Wystawiona na nocne powietrze...

I jego spojrzenia.

- Co za śliczności! - Uśmiechnął się.

Hiacynta pomyślała, że chyba żaden dotyk nie może jej tak pozbawić tchu jak to spojrzenie. Tylko się w nią wpatrywał, a już czuła niesamowite napięcie.

Była oszołomiona.

I spragniona.

- Jakaś ty piękna! - szepnął i dotknął jej.

Ręka musnęła leciutko, jak przelotny wietrzyk, czubek jej piersi.

To dotknięcie dawało rozkoszne, nowe doznania!

Czuła to w głębi brzucha i pomiędzy nogami. A nawet w koniuszkach palców! Musiała wygiąć się w łuk, sięgając po coś więcej, szukając pełniejszego zbliżenia, mniej ulotnych pieszczot.

- Myślałem, że jesteś doskonała - mówił, pieszcząc jej piersi.  
- Nie zdawałem sobie sprawy...

- Z czego? - spytała cichutko.

Patrzyli sobie w oczy.

- Jaka jesteś cudowna. Bardziej niż doskonała!

- To... to niemożliwe - wymamrotała. - Nie możesz. Och!

Zrobił coś jeszcze bardziej niestosownego, wprost nie do pomyślenia, a jej umysł najwidoczniej odmówił posłuszeństwa.



- Czego nie mogę? - spytał z niewinną miną, drażniąc sutek, który sprężył się pod dotknięciem jego palców.

- Nie można... pewnych rzeczy nie można...

- Nie można? - Uśmiechnął się chytrze, nie przestając jej pieścić. - Chyba jednak można. Mnie się właśnie udało!

- Nie - wykrztusiła. - Nie ma nic... lepszego od doskonałości. Tak się nie mówi... po angielsku!

Gareth znieruchomiał nagle. Zaskoczyło ją to. Ale jego oczy nadal płonęły i czuła na sobie ich spojrzenie. Prawie jak jego dotyki! Nie potrafiła tego wytłumaczyć; po prostu wiedziała, że tak jest.

- Byłem tego samego zdania - szeptał. - Doskonałość to coś najwyższego, prawda? Nie można być „niemal doskonałym”, ani tym bardziej „więcej niż doskonałym”. Ale jakimś cudem ty taka jesteś!

- Niemal doskonała?

Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Doskonalsza od doskonałości!

Wyciągnęła rękę, dotknęła jego policzka, odgarnęła mu za ucho nieposłuszny kosmyk. Światło księżycy błysnęło na nim i włosy zaślniły złotem.

Nie wiedziała, co powiedzieć, ani co zrobić. Wiedziała tylko, że go kocha.

Nie potrafiłaby powiedzieć, kiedy to się stało. To nie pojawiło się tak jak postanowienie, że za niego wyjdzie, w jednej chwili. Ta miłość rosła widać po cichu, nadciągała ukradkiem, by nagle, pewnego dnia, już tu być!

Tak, ta miłość już tu była, prawdziwa i szczerą. I Hiacynta wiedziała, że pozostanie z nią na zawsze.

I teraz, leżąc na łóżku, w tajemniczej ciszy nocnej, zapragnęła oddać mu się. Pragnęła kochać go na wszelkie sposoby, jak kobieta kocha swojego mężczyznę. Pragnęła, by wziął wszystko, co mogła mu dać. Nie miało znaczenia, że nie byli jeszcze mężem i żoną. Wkrótce wezmą ślub!

A ona tej nocy nie mogła dłużej czekać!

- Pocałuj mnie! -szepnęła.

Uśmiechnął się, bardziej oczami niż ustami.

- Myślałem, że już nigdy tego nie powiesz!

Pochylił się nad nią, ale jego wargi dotknęły jej warg zaledwie na sekundę. Zamiast tego powędrowały w dół, parząc ją gorącym oddechem, póki nie dotarły do piersi. A wówczas...

- Och!-jęknęła.

On nie mógł się na to ośmielić. A może mógł?

Mógł. I zrobił to.

Przeniknęła ją czysta rozkosz, docierając w każdy zakątek ciała. Hiacynta objęła głowę ukochanego, zanurzyła ręce w jego gęstych, prostych włosach. Sama nie wiedziała, czy przyciąga go, czy odpycha? Wydawało się jej, że nie wytrzyma tego dłużej, a równocześnie nie chciała, żeby przestał.

- Gareth... - wykrztusiła. - Ja... Ty...

Jego ręce były wszędzie - dotykały jej, pieściły ją, ścigały z niej suknię... aż opadła do bioder.

Hiacynta pragnęła tego. Wiedziała, że tego właśnie pragnie... a mimo to była przerażona.

- Nie wiem, co robić... - wyszeptwała.

- Nic nie szkodzi. -Wyprostował się i zdjął koszulę z taką energią, że aż dziw, iż wszystkie guziczki nie poodpadały. - Ja wiem!

- No tak, ale...

Przyłożył jej palec do ust.

- Ciii. Pozwól, że będę twoim przewodnikiem. - Uśmiechnął się do niej, oczy błyszczały mu szelmowsko.

- Mam to zrobić? - zastanawiał się na głos. - Powinienem? No cóż. Chyba tak.

Zdjął palec z jej ust.

Odezwała się natychmiast.

- Ale boję się, że ja...

' Palec wrócił na poprzednie miejsce.

- Wiedziałem, że tak będzie!

Spiorunowała go wzrokiem. A przynajmniej usiłowała to zrobić. Gareth miał niesamowitą zdolność rozśmieszania jej... nawet wówczas, gdy musiała śmiać się z samej siebie. Czuła, że wargi jej drgają, mimo że przyciskał je palcem.

- Będziesz cicho? - spytał, uśmiechając się do niej.

Skinęła głową.

Udał, że się zastanawia.

- Jakoś ci nie wierzę!

Wzięła się pod boki, co musiało wyglądać groteskowo, jako że od pasa w górę była nagusienka.

- Niech będzie - zgodził się. - Ale jedyne słowa, jakie wolno ci będzie wypowiedzieć, to: „Och, Gareth! Tak, tak!”

Zdjął palec z jej ust.

- A co powiesz na: „Jeszcze, Gareth, jeszcze”?

Z trudem zachował powagę.

- Całkiem do przyjęcia!

Czuła, jak wzbiera w niej śmiech. Nie wydała żadnego dźwięku, ale miała takie właśnie uczucie - niemądre, przyprawiające o zawrót głowy, łaskoczące w brzuchu... Zdumiewało ją to. Była przecież taka zdenerwowana...

Gareth uleczył ją z niepokoju!

Coś jej mówiło, że wszystko będzie dobrze. To nic, że robił to już wiele razy, może setki razy. Z kobietami o wiele piękniejszymi od niej.

Nie miało to żadnego znaczenia. On będzie jej pierwszym, a ona jego ostatnią!

Położył się obok niej, obrócił ją na bok i przyciągnął do siebie. Uwolnił jej włosy od skomplikowanego upięcia, aż spłynęły jedwabistą falą na plecy. Poczuła się wolna, niczym nieskrępowana.

Gotowa na wszystko!

Wyciągnęła rękę i położyła mu na piersi, zapoznając się z jego skórą, badając zarys widocznych pod nią mięśni. Nagle uświadomiła sobie, że nigdy dotąd go nie dotykała. Nie w taki sposób! Powiodła palcami po jego biodrze, tuż nad spodniami. Czuła wyraźnie reakcję

Garetha. Muskuły prężyły się pod dotykiem jej palców, a gdy dotarła do brzucha i dotknęła go pomiędzy pępkiem a brzegiem spodni, Gareth wciągnął raptownie powietrze.

Uśmiechała się - taka pewna swojej potęgi, swojej kobiecości!

Zgięła palce, by przejechać paznokciami po jego skórze - leciutko, delikatnie, na tyle tylko, by ją podrażnić. Brzuch miał płaski, nieznaczne owłosienie tworzyło pasmo, znikające we wnętrzu spodni.

- Przyjemnie? - Zataczała palcem wskazującym kręgi wokół jego pępka.

- Mm-hm...

Głos miał wyraźny, ale oddech urywany.

- A to?

Jej palec trafił na pasek owłosienia i wzdłuż niego sunął powoli w dół.

Gareth nic nie odpowiedział, ale jego oczy mówiły wyraźnie: „tak”!

- A co powiesz o...

- Rozepnij mi guziki - wykrztusił.

Ręka Hiacynta znieruchomiała.

-Ja?

Jakoś nie przyszło jej do głowy, że mogłaby pomóc przy rozbieraniu. Wydawało jej się, że jest to zadanie uwodziciela.

Pochwycił jej dłoń i pociągnął w stronę guzików.

Hiacynta zdołała je rozpiąć drżącymi palcami, ale nie rozchyliła tkaniny. Na coś takiego nie była jeszcze gotowa.

Gareth zdawał się rozumieć jej opory. Zeskoczył z łóżka, by pozbyć się reszty garderoby. Hiacynta odwróciła wzrok... w pierwszej chwili.

- Wielki Boże!

- Nie przejmuj się! - uspokoił ją, wracając na swoje miejsce obok niej. Pochwycił brzeg sukni Hiacynty i ściągnął ją z niej do reszty. - Nigdy... - Ucałował jej brzuch. - Ale to nigdy... - Pocałował ją w biodro. - Nie przejmuj się!

Hiacynta chciała odpowiedzieć, że ani myśli się przejmować, że mu ufa, ale właśnie w tej chwili palce Garetha wślizgnęły się pomiędzy jej nogi i nie stać jej było na nic więcej prócz oddychania.

- Ciii... - uspokajała ją, chcąc skłonić do rozchylenia ud. - Odpręż się!

- Jestem odprężona.

- Nie, nie - odparł z uśmiechem. - Wcale nie!

- Właśnie że tak! - upierała się.

Pochylił się nad nią i cmoknął ją w nos.

- Zaufaj mi - szepnął. - Tylko przez chwilę, dobrze?

Hiacynta usiłowała się odprężyć. Naprawdę się starała. Było to jednak prawie niemożliwe w tym rozkoszonym piekle, jakie jej zgotował. Palce Garetha w jednej chwili znajdowały się na wewnętrznej stronie jej uda, a już w następnej rozchyłał jej nogi i dotykał ją tam, gdzie nikt dotąd nie ośmielił się jej dotknąć.

- O Boże! Och!

Wygięta biodra w łuk. Nie miała pojęcia, co robić ani co powiedzieć.

Nie wiedziała nawet, co czuje.

- Jesteś cudowna! - szeptał, przyciskając wargi do jej ucha. - Cudowna!

- Gareth! - wykrztusiła. - Co ty robisz?!

- Kocham się z tobą - odpowiedział.

Serce podskoczyło jej gwałtownie w piersi. Nie powiedział co prawda „kocham cię”, ale zabrzmiało to bardzo podobnie!

W tej chwili - ostatniej, w której jej mózg jeszcze działał - poczuła, że jego palce zagłębiają się...

- Gareth!

Schwyciła go za ramiona. Z całej siły.

- Ciii... - szepnął, nie przerywając swych szkaradnych praktyk. - Służba usłyszy!

- Wszystko... mi jedno! - wykrztusiła.

Popatrzył na nią z rozbawieniem i ponowił tę niewypowiedzianą okropność!

- Jakoś ci nie wierzę.
- Właśnie... że tak! Ja...

Pozwolił sobie tym razem na coś innego. Z zewnątrz, ale odczuła to w całym ciele.

- Jesteś już całkiem gotowa! To nie do wiary!

Zmienił pozycję. Wznosił się teraz nad nią. Jego palce nadal zadawały jej męczarnie, ale jego twarz znajdowała się tuż nad twarzą Hiacynty. Zatraciła się w czystej, błękitnej głębi jego oczu.

- Gareth... - szepnęła, nie wiedząc sama, co chce przez to powiedzieć. Nie było to pytanie ani prośba... po prostu jego imię. Musiała je wypowiedzieć, bo to był on!

On, właśnie on był tu razem z nią. I wydawało się jej to czymś najważniejszym w świecie.

Jego uda znalazły się pomiędzy jej udami. Czuła wyraźnie jego męskość u wrót swej kobiecości - wielką i natarczywą. Palce Garetha nadal znajdowały się pomiędzy nimi. Rozchyłały ją, przygotowywały na jego przyjęcie...

- Proszę...-jęknęła.

Ty razem w jej głosie było błaganie. Pragnęła tego. Pragnęła Garetha!

- Proszę! - powtórzyła.

Powoli wsunął się w nią, a Hiacynta musiała zaczerpnąć powietrza, tak była zaskoczona jego ogromem i niezwykłością swojego doznania.

- Odpręż się! - powiedział znowu Gareth, chociaż sam nie wydawał się wcale odprężony.

Spojrzała na niego. Twarz miał pełną napięcia, oddech przyspieszony i płytki.

Przez jakiś czas trwał w bezruchu, żeby mogła przywyknąć do niego. Potem wsunął się nieco głębiej. Niewiele, ale i tak zaparło jej dech.

- Odpręż się - powtórzył.
- Staram się przecież!

Ta odpowiedź miała w sobie coś tak charakterystycznego dla Hiacynty, że niemal go to uspokoiło. Nawet teraz, w obliczu jedne-

go z najbardziej zdumiewających doznań w swoim życiu, pozostała niezmienną!

Była sobą.

Znów wsunął się nieco głębiej i poczuł, że Hiacynta troszkę się odpręży, rozluźnia się na jego przyjęcie. Za żadne skarby nie chciał przysporzyć jej bólu, ale przeczuwał, że nie da się tego całkowicie uniknąć. Na Boga! Postara się ułatwić jej to, jak tylko można. Nie będzie się spieszył, choćby go to miało zabić!

Leżała pod nim sztywna jak deska. Zaciśnęła zęby, jakby przygotowując się na jego atak. Gareth omal nie jęknął z rozczarowania. Miała ją tak blisko, była już taka gotowa... a teraz myśli tylko o tym, by nie okazać lęku i jest równie odprężona jak ogrodzenie z kutego żelaza!

Dotknął jej nogi. Także sztywna, jak z drewna.

- Hiacynta! - szepnął jej do ucha, starając się nie roześmiać.  
- Myślałem, że przed chwilą bawiłaś się całkiem niezłe?

Po chwili milczenia odpowiedziała:

- Może i tak.

Przygryzł wargę, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Jak myślisz, czy potrafiłabyś znowu się tym cieszyć?

Zaciśnęła wargi w dobrze mu znanym grymasie. Miała taką minę, ilekroć się z nią droczył i zamierzała odpłacić mu pięknym za nadobne.

- Bardzo bym chciała!

Mimo woli musiał ją podziwiać. Mało która kobieta potrafi zachować opanowanie w takiej sytuacji.

Liznął ją za uchem, by odwrócić jej uwagę od swojej ręki, która zakradła się pomiędzy jej nogi.

- Chyba mógłbym ci w tym pomóc.

- Niby jak?! - wykrztusiła.

Z tego, jak raptownie drgnęły jej biodra, domyślił się, że weszła znów na drogę zapomnienia.

- O, za pomocą tego miłego uczucia - odparł pieszcząc ją niby to od niechcienia, podczas gdy wsuwał się coraz głębiej. - Wiesz,

tego, które skłaniało cię do powtarzania: „Och, Gareth!”, „Tak, tak, Gareth!”, albo „Jeszcze, Gareth, jeszcze!”

- Och! - pisnęła, gdy jego palec zaczął zataczać delikatne kręgi.  
- O to ci chodzi?

- Całkiem przyjemne, nieprawdaż?

- To mnie... Och!

Zacisnęła zęby i jęknęła, chłonąc nieznanne doznania.

- To ciebie... co mianowicie? - zagadnął.

Był już niemal całkowicie zanurzony w niej. Pomyślał, że powinien dostać medal: chyba żaden mężczyzna nie okazał tyle powściągliwości!

- To mnie wpędzi w kłopoty! - wyjęczała.

- Mam nadzieję - odparł, po czym natarł raz jeszcze, przełamując ostatnią zaporę. Zadrżał czując, jak Hiacynta zacieśnia się wokół niego. Każdy mięsień w jego ciele wrzeszczał wniebogłose, domagając się natychmiastowego działania. On jednak nadal trwał w bezruchu. Musiało tak być. Jeśli nie da jej czasu, by przywykła do jego obecności, wyrządzi jej krzywdę. Nie mógł pozwolić, by jego żonie ich pierwsze miłosne zbliżenie kojarzyło się z przestracaniem i bólem!

Dobry Boże, mogłoby ją to okaleczyć na resztę życia!

Jeśli jednak Hiacynta doznała jakiegoś bólu, widać nawet ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Jej biodra zaczęły się poruszać pod nim, unosić w górę, zataczać kręgi... a kiedy popatrzył jej w twarz, malowała się na niej tylko czysta namiętność.

I wówczas resztki jego opanowania znikły.

W miarę jak zaczął się poruszać, jego pożądanie gwałtownie rosło, gdy Hiacynta wydała znów jęk, a właściwie tylko cichutko westchnęła, zapragnął jej jeszcze bardziej.

To było niewiarygodne!

Działy chyba jakieś czarodziejskie moce...

Zacisnął palce na ramionach Hiacynty. Zbyt mocno, ale nie mógł pozwolić, by mu umknęła! Ogarnęła go niepowstrzymana żądza zawładnięcia nią. Musi ją raz na zawsze naznaczyć jako swą niepodzielną własność!



- Gareth! - pojękiwała. - Och, Gareth!

Jej widok, jej zapach... Gareth dygotał, spragniony ostatecznego spełnienia.

Zacisnął zęby. Jeszcze nie! Była tak bliska szczytowania.

- Gareth! - wykrztusiła.

Znów wsunął rękę pomiędzy ich ciała. Jej było nabrzmiące i wilgotne. Okazał tyle delikatności, ile tylko mógł, choć nie stać go było w tej chwili na finezję.

Ani na moment nie odrywał wzroku od twarzy Hiacynty. Jej oczy pociemniały, przypominały barwę morze. Wargi miała rozchylone, z trudem chwyciła powietrze, a jej ciało prężyło się łukiem ku górze, naciskało, napierało...

- Och! - krzyknęła, on zaś spiesznie pocałował ją, żeby zagłuszyć ten dźwięk. Była spięta. Przycisnęła się do niego. Oplotła go kurczowo ramionami, paznokcie wpijały mu się w skórę.

Nie czuł tego. Nie istniało dla niego nic prócz cudownego naporu jej ciała, które splatało się z jego ciałem, przywierało do niego, aż wreszcie - całkiem dosłownie - eksplodował.

I teraz całował ją dlatego, żeby stłumić swój krzyk namiętności.

Nigdy jeszcze nie było tak cudownie. Nie miał pojęcia, że w ogóle może tak być!

- O Boże! - Hiacynta westchnęła, gdy stoczył się z niej i opadł na wznak.

Skinął głową, zbyt wyczerpany, by mówić. Chwycił ją jednak za rękę i nie puszczał. Łaknął takiego dotyku, potrzebował jej bliskości.

- Nie wiedziałam, że to aż tak... - wyszeptwała.

- Ja też nie - zdołał jakoś wykrztusić.

- Zawsze tak bywa?

Ścisnął jej rękę, a gdy obróciła się ku niemu, pokręcił głową.

- O! - Po chwili ciszy Hiacynta powiedziała: - No to dobrze, że się pobierzemy!

Gareth zatrząsał się ze śmiechu.

- O co chodzi?

Nie był w stanie mówić. Mógł tylko leżeć tak i trząść się, aż całe łóżko dygotało.

- Co cię tak śmieszy?

Zdołał jakoś zaczerpnąć powietrza, odwrócił się i potoczył ku Hiacyncie, aż wreszcie znalazł się znów na niej, nos w nos.

- Ty!

Już chciała się naburmuszyć, ale grymas rozpułynał się w uroczym uśmiechu.

Szelmowskim uśmiechu.

Dobry Boże, jakież to będzie szczęście związać się z tą kobietą!

- Chyba powinniśmy ustalić datę ślubu - oświadczyła.

- Gotów jestem pognać z tobą do Szkocji choćby jutro!

Mówił to całkiem poważnie.

- Nie mogę - odparła, ale poznał po głosie, że bardzo tego żałuje.

- To by była wspaniała przygoda! - kusił, przesuwając dłonią po jej udzie, by dobić targu.

- Porozmawiam z mamą - obiecała. - Jeśli będę wystarczająco dokuczliwa, z pewnością uda mi się skrócić okres zaręczyn o połowę!

- To mi daje do myślenia - zauważył. - Czy jako twój przyszły mąż nie powinienem być zaniepokojony zwrotem „jeśli będę wystarczająco dokuczliwa“?

- Nie, o ile będziesz spełniał wszystkie moje życzenia!

- To zdanie napawa mnie jeszcze większym lękiem - mruknął.

Uśmiechnęła się tylko.

Potem jednak, kiedy zaczął znów czuć się doskonale pod każdym względem, zawołała nagle: „ojej!“ i wygramoliła się spod niego.

- O co chodzi? - spytał głosem nieco zdławionym, gdyż wylądował twarzą w poduszkach.

- O brylanty - odparła, siadając i podciągnęła prześcieradło aż do piersi. - Całkiem o nich zapomniałam! Wielki Boże, któraż to godzina?! Musimy się już zbierać!

- Możesz się ruszać?

Zamrugała zdumiona.

- A ty nie?

- Gdybym nie musiał wynieść się stąd przed świtem, z przyjemnością chrapałbym do południa.

- Ale te klejnoty! I nasze plany!

Przymknął oczy.

- Możemy wybrać się po nie jutro.

- Nie! - Uderzyła go po ramieniu grzbietem dłoni. - Nawet mowy nie ma!

- Czemu nie?

- Bo mam już na jutro inne plany, a moja mama zacznie coś podejrzewać, jeśli znów się wykręcę bólem głowy! A zresztą zaplanowaliśmy to sobie na dziś wieczór.

Otworzył jedno oko.

- Nikomu nie sprawimy zawodu, jeśli z tego zrezygnujemy.

- Ja tam idę! - oświadczyła i owinawszy się prześcieradłem, wyskoczyła z łóżka.

Gareth uniósł brwi i spojrzał na swą nagą postać. Odwrócił się do Hiacynty z typowo męskim uśmiechem, który stał się jeszcze szerszy, gdy zaczerwieniła się i odwróciła.

- Ja... muszę się obmyć! - wymamrotała, zmykając do garderoby.

Z wyraźnym ociąganiem, mimo że Hiacynty nie było już na horyzoncie, Gareth zaczął się ubierać. Nie mógł wprost uwierzyć, że ona upiera się przy tej wyprawie. Czy dziewice po pierwszym miłosnym boju nie powinny być obolałe i znękane?

Wychyliła głowę zza drzwi garderoby.

- Kupiłam sobie wygodniejsze buty - rzuciła scenicznym szeptem. - Na wypadek, gdyby nam znów przyszło uciekać!

Gareth pokręcił głową. Cóż za nietypowa dziewczica!

- Jesteś pewna, że chcesz to załatwić dziś w nocy? - spytał, gdy wyłoniła się z garderoby w swym czarnym męskim ubraniu.

- Jak najbardziej! - odparła, splatając włosy w warkoczyk na karku. Popatrzyła na niego, a jej oczy błyszczały z podniecenia. - A ty nie?
- Jestem wykończony!
- Doprawdy? - Spojrzała na niego z najwyższym zdumieniem.
- A mnie to dodało sił, naprawdę!
- Zginę marnie z twojej winy, zobaczysz!
- Uśmiechnęła się szeroko.
- Lepiej z mojej winy niż z wrogiej ręki!
- Westchnął i skierował się w stronę okna.
- Wolisz, żebym zaczekała na ciebie pod domem - spytała uprzejmie - czy zejdiesz razem ze mną tylnymi schodami?
- No cóż, tylne schody całkiem mi odpowiadają.
- I pospieszył za nią.

## 15

*W bibliotece Cfair House. Nie warto opisywać podróży przez Mayfair; wystarczy wspomnieć o kipiącej energii i entuzjazmie Hiacynty oraz o całkowitym braku zapału u Garetha.*

Widzisz coś? - spytała szeptem Hiacynta.

- Tylko książki.

Rzuciła mu zawiedzione spojrzenie, lecz postanowiła nie karcić go za brak entuzjazmu. Taka sprzeczka odciągnęłaby tylko ich uwagę od celu wyprawy.

- Czy nie widzisz gdzieś - powiedziała z największą cierpliwością, na jaką mogła się zdobyć - działu poświęconego pracom naukowym? - Spojrzała na półkę, którą miała na wprost oczu. Trzy powieści, dwie rozprawy filozoficzne, historia starożytnej Grecji, w trzech tomach, oraz *Poradnik hodowcy trzody chlewnej*. - Czy te książki są w ogóle ustawione w jakimś porządku?!

- Coś mi się zdaje, że raczej nie - dotarła do niej odpowiedź z góry.

Gareth stał na taborecie, przeglądając najwyższe półki.

Hiacynta wykręcała karkołomnie szyję, aż miała wreszcie całkiem niezły widok na podbródek swego towarzysza.

- Co tam masz?

- Całkiem sporo na temat dawnych dziejów Brytanii. Ale spójrz, co znalazłem wetknięte w sam kąt!

Zdjął z półki niewielki tomik i zrzucił go na dół.

Hiacynta schwyciła książkę bez trudu i obracała w rękach, póki nie rzucił się jej w oczy tytuł.

- Niemożliwe! - sapnęła.

- Aż trudno w to uwierzyć, prawda?

Popatrzyła na książeczkę jeszcze raz. Na okładce stało wyraźnie, wypisane złotymi literami: *Panna Davenport i mroczny markiz*.

- Nie wierzę własnym oczom!

- Może ją zabierzesz dla mojej babci? Tutaj nikt się nie zorientuje, że zabrakło tego skarbu.

Otworzyła książkę na stronie tytułowej.

- Tej samej autorki co *Panna Butterworth*

- Byłem tego pewien - stwierdził Gareth i uginając nieco nogi w kolanach, zabrał się do przeglądania niższej półki.

- Nie miałam pojęcia, że napisała coś podobnego! Przeczytaliśmy oczywiście z lady D. *Pannę Sainsbury i tajemniczego pułkownika...*

- Powieść z życia wyższych sfer wojskowych?

- Akcja toczy się w Portugalii. - Hiacynta wróciła do przeglądania książek na półce, którą miała na wprost nosa. - Koloryt lokalny nie wydawał mi się zbyt wiernie oddany ale, ostatecznie, nigdy nie byłam w Portugalii.

Gareth skinął głową, zszedł ze stołka i przesunął go nieco dalej. Hiacynta przyglądała się, jak znów wchodzi na taboret i zaczyna oględziny od najwyższej półki.

- Przypomnij mi - poprosił. - Czego my właściwie szukamy?

Hiacynta wyciągnęła z kieszeni wielokrotnie składaną i rozkładaną kartkę.

- *Discorso intorno alle cose che stanno in su l'acqua.*

Wpatrywał się w nią przez chwilę.

- Co to znaczy?

- Rozprawa o rzeczach, które są w wodzie.

Wypowiedziała te słowa z wyraźnym powątpiewaniem, choć nie miała takiego zamiaru.

- O rzeczach, które są w wodzie?

- Albo się poruszają - uzupełniła. - *O che in quella si muovono.*

Tak brzmi ostatnia część tytułu.

- I myślisz, że ktoś chciałby coś takiego czytać?

- Nie mam pojęcia. To ty studiowałeś w Cambridge!

Odchrząknął z zakłopotaniem.

- No, owszem... Ale nie interesowałem się zbytnio naukami ścisłymi.

Hiacynta powstrzymała się od komentarza i wróciła do swojej półki, na której znalazła siedmiotomowe dzieło o angielskiej roślinności, dwa eseje na temat Szekspira i grube tomiszcze zatytułowane po prostu *Polne kwiaty*.

- Mam wrażenie - zauważyła, przygryzając dolną 'wargę i mierząc wzrokiem rzędy półek, które już przejrzała - że kiedyś te książki były poukładane bardziej sensownie. Gdzieś tam jeszcze to widać. Na przykład tutaj - wskazała na pierwsze półki, którymi się zajmowała - mamy niemal wyłącznie poezję. I nagle w sam środek wjeżdża Platon, a przy końcu pojawia się *Ilustrowana historia Daniil*

- Racja. Święta racja!

- Racja?-Hiacynta spojrzała w górę.

- Właśnie! - W głosie Garetha brzmiało zażenowanie. - Zdaje się, że to moja robota.

Zamrugała ze zdumienia.

- Co takiego?

- Szczeniacki wygłup - przyznał. - Byłem wściekły!

- Byłeś wściekły, i co?
- Poprzestawiałem wszystko na półkach.
- Co takiego?!

Hiacynta miała ochotę wrzasnąć. I, prawdę mówiąc, była dumna z tego, że się pohamowała.

Wzruszył ramionami. Miał głupią minę.

- Uznałem to za imponujące sekretne osiągnięcie...

Wpatrywała się bezmyślnie w półkę z książkami.

- Kto by pomyślał, że dawne grzechy dopadną cię właśnie teraz?

- No właśnie! - Zajął się następną półką i przechylając głowę na bok, odczytywał tytuły na grzbietach książek. - Ale najgorsze było to, że mój wyczyn nie został nigdy odkryty. I ani trochę nie zirytował ojca!

- Mnie by taki głupi kawał doprowadził do szału!

- Owszem, ale ty czytasz książki. Ojciec nawet nie zauważył, że coś jest nie w porządku.

- Ale przecież ktoś musiał korzystać z biblioteki, odkąd urządziłeś tu wielkie przenosiny. - Hiacynta spojrzała na leżącą obok niej książeczkę. - Nie sądzę, żeby powieść o pannie Davenport liczyła sobie więcej niż kilka lat.

- Pewnie ktoś tu ją zostawił. Może moja bratowa? A potem jeden ze służących wetknął tomik na pierwszą lepszą półkę, gdzie pozostało jeszcze trochę miejsca.

Wzięła głęboki wdech zastanawiając się, co robić dalej.

- Nie pamiętasz, jak dawniej książki były poustawiane? - spytała. - Choćby z grubsza. Według autorów czy tematycznie?

Gareth pokręcił głową.

- Zagarniałem naręcza książek, skąd się dało, i zastępowałem jedne drugimi. - Przerwał pracę, odetchnął głęboko i oparłszy ręce na biodrach, przypatrywał się półkom. - Pamiętam, że tam stało całkiem dużo książek o psach myśliwskich. A tam wyżej...

Słowa zamarły mu na ustach. Hiacynta przyjrzała mu się bacznie i spostrzegła, że wpatruje się w półkę przy drzwiach.

- Co tam stało?  
- Książki w języku włoskim. - Pomaszerował przez cały pokój do wskazanej półki.

- To musiały być książki babki Isabelli!
- I żaden St. Clair nie wzięłyby ich do ręki - mruknął Gareth.
- Stoją tam teraz?

Znów pokręcił głową. Wodził palcem po grzbietach książek, szukając włoskich tytułów.

- Wątpię, czyś je zostawił w spokoju! - mruknęła pod nosem Hiacynta i przykucnęła obok niego, by przejrzeć dolne półki.

- Nie przypominam sobie - przyznał. - Ale wiele z pewnością zostało na swoim miejscu. Pamiętam, że już mi się sprzykrzył ten kawał i nie przykładałem się do roboty. Większość pozostawiłem. - Wyprostował się nagle. - O, tam stoją!

Hiacynta natychmiast się podniosła.

- Dużo ich było?
- Tylko dwie półki. Wyobrażam sobie, że to dość kosztowne, takie sprowadzanie książek z Włoch!

Włoskie książki znajdowały się akurat na poziomie oczu Hiacynty, toteż Gareth trzymał świecę, podczas gdy ona przeglądała tomy, szukając tytułu przypominającego napis na kartce Isabelli. Często cały tytuł nie mieścił się na grzbiecie książki i wówczas wyciągała ją, by spojrzeć na stronę tytułową. Za każdym razem słyszała, jak Gareth wstrzymuje oddech a potem z wyraźnym rozczarowaniem wypuszcza powietrze z płuc, gdy odkładała tomik na miejsce.

Dotarła już do końca niższej półki i wspiawszy się na palce, przystąpiła do przeglądania wyższej. Gareth stał za nią, tak blisko, że czuła ciepło jego ciała.

. - Widzisz coś?

Mówił cicho, a oddech muskał jej ucho.

Nie przypuszczała, by umyślnie chciał ją niepokoić swoją bliskością, ale - z rozmysłem czy bez - niepokoił ją.

- Na razie nic.



Większość książek Isabelli to były poezje, między innymi przekłady dzieł angielskich poetów na język włoski. Mniej więcej pośrodku półki książki zmieniły jednak charakter. Pojawiły się dzieła historyczne i filozoficzne.

Nagle Hiacyncie zaparło dech.

- Co tam masz? - dopytywał się Gareth.

Drżącymi rękoma wyciągnęła cienki tomik i odwróciła tak, by oboje widzieli wyraźnie napis na okładce.

*Galileo Galilei*

*Discorso intorno alle cose che stanno, in su l'acqua, o che in quella si muovono*

- Dokładnie to, co było w notatce Isabelli! - wyszeptła Hiacynta, dodając pospiesznie: - Oprócz nazwiska autora! Znając je, można by znacznie łatwiej odnaleźć książkę.

Gareth machnął ręką i wskazał na traktat, który trzymała w dłoni.

Powoli, ostrożnie otworzyła książkę, szukając jakiejś notatki. Nie znalazłszy jej, odwróciła jedną kartkę, drugą, trzecią...

W końcu Gareth wyrwał jej książkę z rąk.

- Chcesz tu siedzieć do przyszłego tygodnia?! - szepnął ze zniecierpliwieniem.

Bezceremonialnie chwycił książkę za przednią i tylną okładkę i trzymał otwartą, grzbietem do góry; kartki rozłożyły się wachlarzowato.

- Gareth, jak możesz?!

- Cicho!

Potrząsnął książką, pochylił się, zajrzał na początek i do środka, po czym potrząsnął jeszcze raz, bardziej energicznie. I rzeczywiście, kawałek papieru sfrunął na dywan.

- Daj mi to! - zażądała Hiacynta, gdy Gareth schwycił karteczkę. - I tak byś nie potrafił tego przeczytać!

Najwidoczniej pokonany jej logicznym rozumowaniem podał jej notatkę. Stał jednak tuż za Hiacyntą ze świecą w ręku i zaglądał dziewczynie przez ramię, gdy rozkładała złożony na pół arkusik.

- Co tam jest napisane?

Hiacynta pokręciła głową.

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz?!

- Po prostu nie wiem! - warknęła wściekła, że musi przyznać się do porażki. - Nic nie mogę zrozumieć. To chyba nie jest po włosku! Może twoja babka znała jeszcze jakiś język?

- Nie mam pojęcia!

Hiacynta zacisnęła zęby, zniechęcona niespodziewanym obrotem sprawy. Nie była pewna, czy tego wieczoru odnajdą klejnoty, ale nawet jej nie przyszło do głowy, że następna wskazówka, którą znajdą, zaprowadzi ich do nikąd!

- Mogę zobaczyć? - spytał Gareth.

Rozczarowana podała mu notatkę i spostrzegła, że i on bezradnie kręci głową.

- Nie -wiem, co to takiego, ale to nie jest włoski!

- Wcale go nie przypomina - potwierdziła.

Gareth zaklął pod nosem. Hiacynta była jednak prawie pewna, że nie jest zły na nią.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - odezwała się spokojnym tonem, którym zawsze posługiwała się, mając do czynienia z rozsierdzonym samcem - chciałabym to pokazać mojemu bratu Colinowi. Wiele podróżował i może rozpozna, jaki to język, choćby nawet nie umiał przetłumaczyć tekstu.

Gareth wyraźnie się zawahał, dodała więc:

- Można mu zaufać, słowo daję!

Skinął głową.

- Lepiej stąd chodźmy. Nic tu już nie zwojujemy!

Niewiele mieli do sprzątnięcia. Każdą książkę odkładali na półkę zaraz po wyjęciu jej. Hiacynta postawiła taboret na dawnym miejscu pod ścianą; Gareth zrobił to samo z krzesłem. Tym razem nie rozchylili zasłon. Nie była to zresztą księżycowa noc.

- Gotowa? - spytał Gareth.

Chwyciła *Pannę Davenport i mrocznego markiza*.

- Jesteś pewien, że nikt nie zauważył braku tej powieści?

Wetknął pomiędzy kartki książki notatkę Isabelli, żeby się nie zawieruszyła.

- Nie ma obawy!

Hiacynta przyglądała mu się, gdy przytknął ucho do drzwi i nadśłuchiwał. Pół godziny wcześniej, kiedy się tu zakradli, nie było nikogo w pobliżu. Gareth jednak wyjaśnił, że majordomus nigdy się nie kładzie przed powrotem barona. Ponieważ lord St. Clair nie wrócił jeszcze z balu u Mottramów, musieli liczyć się z tym, że jeden przeciwnik czuwa, drugi zaś może się zjawić lada chwila.

Gareth przyłożył palec do ust i dał jej znak, by szła za nim, po czym ostrożnie nacisnął klamkę. Uchylił najpierw drzwi, by wyjrzeć przez szparę i upewnić się, że droga wolna. Potem oboje wymknęli się na korytarz i zeszli po schodach na parter. Było ciemno, ale oczy Hiacynty na tyle przywykły do mroku, że wiedziała, dokąd idzie. Nie upłynęła minuta, a znaleźli się z powrotem w salonie - tam, gdzie okno miało uszkodzony zamek.

Tak jak poprzednim razem Gareth wyszedł przez okno pierwszy, po czym splótł dłonie, by Hiacynta mogła się na nich wesprzeć, gdy zamykała okno. Opuścił ją potem na ziemię, ucałował w nosk i powiedział:

- Najwyższy czas, żebyś wróciła do domu!

Uśmiechnęła się mimo woli.

- I tak jestem już beznadziejnie skompromitowana.

- Owszem, ale tylko ja o tym wiem.

Dbał o jej reputację. W końcu nie miało to większego znaczenia, choćby nawet ktoś ich zauważył. I tak zgrzeszyła z nim i musiała go poślubić. Dla panny z dobrego domu nie było innego wyjścia. Wielkie nieba! Mogłaby przecież urodzić dziecko... a jeśli nawet nie, to i tak nie była już dziewicą.

Wiedziała jednak dobrze, co robi, gdy mu się oddawała. Zdawała sobie sprawę z konsekwencji.

Dotarli niepostrzeżenie boczną uliczką do Dover Street. Hiacynta uznała, że powinni się pospieszyć. Co prawda bal u Mottramów

trwał zazwyczaj do wczesnych godzin rannych, ale wyruszyli na wyprawę z dużym opóźnieniem. Z pewnością lada chwila zaroi się na ulicach Mayfair od powracających z balu gości. Zaturkoczą powozy... a ona i Gareth nie powinni wpaść nikomu w oczy.

Lepiej by nie przyłapano jej na mieście w środku nocy. Małżeństwo było i tak przesądzone, ale nie miała ochoty stać się przedmiotem obrzydliwych plotek.

- Zaczekaj tu - powiedział Gareth, zagradzając jej drogę.

Hiacynta pozostała więc w cieniu, podczas gdy on wyszedł na Dover Street. Podeszła jednak do rogu ulicy tak blisko, jak tylko się dało, podczas gdy on sprawdzał, czy nikogo nie ma w pobliżu. Po chwili dostrzegła machnięcie ręką, które oznaczało „droga wolna”.

Wyszła więc na Dover Street, ale już po sekundzie usłyszała, że Gareth wciąga raptownie powietrze i poczuła, że pospiesznie popychają z powrotem w mroczną alejkę.

Przyciśnięta do tylnej ściany narożnego budynku, tuląc do piersi powieść o losach panny Davenport, gdzie ukryta była notatka Isabella czekała aż pojawi się Gareth.

I wówczas usłyszała to pytanie.

Zadał je niewątpliwie lord St. Clair.

- To ty?!

Gareth miał ledwie sekundę na zastanowienie, jak zareagować. Nie wiedział, jak to się stało, że nagle pojawił się baron, ale zdążył jakoś zapędzić Hiacyntę z powrotem w boczną alejkę, nim zostali przyłapani.

- Moje uszanowanie! - odezwał się z udaną beztrząską, podchodząc do ojca, by jak najbardziej oddalić się od mrocznej alejki.

Ojciec też zbliżał się ku niemu, wyraźnie rozgniewany; widać to było nawet w mroku nocy.

- Co tu robisz? - spytał napastliwie.

Gareth wzruszył ramionami. Ileż to razy tym gestem doprowadzał ojca do furii! Teraz jednak Garethowi nie zależało na sprowokowaniu go. Chciał tylko, by cała uwaga barona skoncentrowała się na jego osobie.

- Wracam do domu, i tyle - odparł z przesadną nonszalancją.

Ojciec spojrział na niego podejrzliwie.

- Dość okrężną drogą - zauważył.

- Lubię od czasu do czasu popatrzeć na moją przyszłą rezydencję - przyznał z obojętnym uśmiechem. - Ot, żeby się upewnić, żeś jej nie puścił z dymem, milordzie!

- Nie myśl, że mi to nie przychodziło do głowy.

- Jestem pewien, że ci przychodziło!

Baron milczał przez chwilę, po czym odezwał się znowu:

- Nie byłeś dziś u Mottramów.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Uniósł więc tylko brwi i zachował obojętny wyraz twarzy.

- Panny Bridgerton także nie było.

- Doprawdy? - spytał niewinnie Gareth.

Miał nadzieję że dama, o której była mowa, ma dość opanowania i nie wyskoczy z bocznej uliczki, wrzeszcząc: „Właśnie że byłam!”

- Co prawda, pokazała się na początku balu - poprawił się baron. - Ale bardzo wcześnie wyszła.

Gareth wzruszył ramionami.

- Cóż, każda kobieta ma prawo...

- Zmienić zdanie?

Wargi barona wygięły się w leciutkim uśmiešku. Spoglądał na niego kpiąco.

- Lepiej się módl, by w stosunku do ciebie była bardziej stała w swoich upodobaniach!

Gareth zmierzył go zimnym spojrzeniem. Jakimś cudem panował nad sobą. A przynajmniej zachowywał się jak dorosły. Nie dręczyło go szczeniackie pragnienie odpłacenia ojcu wet za wet, ani doprowadzenia go do furii. Przez połowę życia usiłował zjednać go sobie, a przez drugą połowę - rozwścieczyć. Teraz jednak - nareszcie! - pragnął jedynie spławić go!

Nie był aż tak obojętny, jak by chciał, ale zrobił postępy.

Może dlatego, że znalazł wreszcie kogoś, kto wypełni pustkę w jego życiu?

- Doprawdy, nie traciłeś czasu, jeśli o nią chodziło - stwierdził baron złośliwie.

- Cóż, dżentelmen ma przecież obowiązek się ożenić - odparł Gareth.

Nie była to złota myśl, którą chciałby specjalnie pochwalić się przed narzeczoną, ale w tej chwili najważniejsze było zmylenie ojca... i to liczyło się bardziej niż zamiłowanie Hiacynty do romantycznych deklaracji.

- O tak - mruknął baron. - Dżentelmen rzeczywiście ma taki obowiązek!

Gareth poczuł, że ciarki mu przechodzą po grzbiecie. Dobrze wiedział, do czego ojciec czyni aluzję... Choć zdołał już uwieść Hiacyntę, wolał, by odkryła tajemnicę jego pochodzenia dopiero po ślubie. Wtedy będzie zdecydowanie łatwiej. A może, kto wie?

Może nigdy nie będzie musiała poznać prawdy? Chociaż, biorąc pod uwagę jadowity język barona i pamiętnik Isabelli, szanse na to były niewielkie. Ale zdarzają się jeszcze dziwniejsze rzeczy!

Musi stąd odejść. I to już!

- Pora na mnie! - rzucił szorstko.

Usta barona skrzywiły się w niemiłym uśmiechu.

- Tak, tak - powiedział z ironią. - Musisz się oporządzić, zanim znów polecisz lizać buty twojej pannie Bridgerton!

- Zejdź mi z drogi! - syknął Gareth.

Ale baron jeszcze z nim nie skończył.

- Ciekawe, jak ją skłoniłeś do tego, by powiedziała „tak”?

Garethowi zrobiło się czerwono przed oczami.

- Mówiłem ci już...

- Uwiodłeś ją? - zagadnął ze śmiechem ojciec. - Upewniłeś się, że ci nie odmówi, choćby nawet...

Gareth nie zamierzał tego robić. Chciał zachować spokój i pewnie by mu się to udało, gdyby baron obraził tylko jego. Ale kiedy wspomniał o Hiacyncie...

Owładnęła nim wściekłość i nim się opamiętał, przyparł ojca do muru.

- Nie waż się - ostrzegł nieswoim głosem - nigdy więcej jej obrażać!

- Czyżbyś zamierzał zabić mnie tu, na ulicy?

Baron z trudem chwycił powietrze, ale jego głos nadal zionął nienawiścią.

- Zrobiłbym to z przyjemnością!

- Ale straciłbyś nadzieję na tytuł. I cóż by ci pozostało? Tak, tak... - krztusił się własnymi słowami. - Tylko stryczek!

Gareth rozluźnił nieco chwyt. Nie pod wpływem słów ojca; odzyskał wreszcie panowanie nad sobą. Hiacynta ich słuchała. Była tuż za rogiem. Nie może sobie pozwolić na nic, czego by potem gorzko żałował!

- Wiedziałem, że to zrobisz - stwierdził baron, gdy Gareth puścił go i odwrócił się, chcąc odejść.

Niech to szlag! Ojciec zawsze wiedział, jak go sprowokować!

- Ze co zrobię? - spytał, zatrzymując się nagle.

- Ze ją poprosisz, by wyszła za ciebie.

Gareth powoli odwrócił się do niego. Ojciec uśmiechał się szeroko, bardzo z siebie zadowolony. Na ten widok krew zastygła Garethowi w żyłach.

- Jak łatwo tobą powodować! - mówił baron, przechylając nieco głowę na bok. Gareth widział ten ruch setki, może nawet tysiące razy. Był taki protekcyjny, taki lekceważący, że zawsze czuł się wtedy żalonym smarkaczem, który rozpaczliwie usiłuje zasłużyć na pochwałę ojca.

I za każdym razem ponosi klęskę.

- Wystarczy jedno słówko. - Baron zaśmiał się. - Jedna moja uwaga!

Gareth starannie dobierał słowa. Hiacynta ich słucha... Nie wolno mu o tym zapominać! Powiedział więc tylko:

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

I wówczas ojciec wybuchnął śmiechem. Odrzucił głowę do tyłu i ryczał ze śmiechu. Zszokowany Gareth zaniemówił.

- Dajże spokój! - wykrztusił wreszcie baron, ocierając oczy.  
- Powiedziałem ci tylko, że nie zdołasz jej zdobyć... I spojrz, coś ty zrobił!

Gareth poczuł ucisk w piersi. Co też ojciec mówił?! Czyżby naprawdę chciał, żeby on ożenił się z Hiacyntą?

- Z punktu oświadczyłeś się o jej rękę! Jak długo się zastanawiałeś? Dzień? Dwa? Nie dłużej niż tydzień, mogę się założyć!

- Moje zaręczyny z panną Bridgerton nie mają nic wspólnego z tobą! - wycedził lodowatym tonem Gareth.

- Daj temu spokój! - Baron machnął ręką. - Wszystko, co robisz, ma związek ze mną! Nie pojąłeś tego jeszcze?

Gareth wpatrywał się w niego z przerażeniem. Czy to prawda? Czy jest w tym choćby żdźbło prawdy?

- No cóż... Chyba rzeczywiście pora położyć się do łóżka - stwierdził baron, udając, że ziewa. - To była... całkiem interesująca rozmowa, nie uważasz?

Gareth sam już nie wiedział, co o tym myśleć.

- O, i nie zapomnij, zanim ożenisz się z panną Bridgerton - rzuć niedbale przez ramię baron, stawiając nogę na pierwszym stopniu schodów, wiodących do drzwi frontowych Clair House - załatwić jakoś sprawy twoich poprzednich zaręczyn!

- Co takiego?!

Baron uśmiechnął się słodko.

. - Czyżbyś zapomniał? Nadal jesteś zaręczony z tą biedną Mary Winthrop! Nie znalazła sobie innego męża.

- To nie może być zgodne z prawem!

- Zapewniam cię, że jest. - Baron pochylił się ku niemu. - Zadbalem o to!

Gareth stał tak z rozdziawionymi ustami, ze zwisającymi bezwładnie rękoma... Gdyby ojciec zerwał z nieba księżyc i cisnął nim w jego głowę, nie byłby bardziej oszołomiony.

- Do zobaczenia na twoim ślubie! - zawołał baron. - Tylko na którym? - Zaśmiał się i pokonał kilka dalszych stopni, dzielących go od drzwi frontowych. - Zawiadom mnie, kiedy podejmiesz ostateczną decyzję!



Pomachał Garethowi ręką, bardzo z siebie zadowolony, i zniknął we wnętrzu domu.

- Dobry Boże! - Gareth westchnął. - Dobry Boże!

Miał nieodparte wrażenie, że wzywa imienia boskiego nadaremnie.

W jakie bagno zabrnął tym razem?! Mężczyzna nie może równocześnie być zaręczony z dwiema kobietami! A choć sam nigdy nie oświadczył się Mary Winthrop, baron z powodzeniem mógł to uczynić w jego imieniu i podpisać związane z tym dokumenty. Nie miał pojęcia, jaki to będzie miało wpływ na jego plany co do Hiacynty, ale z pewnością nie wróżyło nic dobrego.

A niech to szlag!... Hiacynta!

Boże święty! Słyszała każde słowo!

Gareth już miał biec za róg, powstrzymał się jednak i spojrzął na dom, by upewnić się, że ojciec go nie obserwuje. W oknach było ciemno, ale to o niczym nie świadczyło.

Do wszystkich diabłów! Kogo to obchodzi?!

Popędził za róg i stanął jak wryty u wylotu alejki, gdzie pozostał Hiacyntę.

Nie było jej tam.

## 16

*Nadal w bocznej alejce. Gareth wpatruje się w miejsce, gdzie powinna znajdować się Hiacynta, I ma nadzieję, że nigdy więcej nie będzie się czuć tak okropnie.*

Serce w nim zamarło.

Gdzie, do wszystkich diabłów, jest Hiacynta?!

Czy groziło jej coś złego? Było już późno i choć znajdowali się w jednej z najbogatszych i najwytworniej szych dzielnic Londynu, jacyś złodzieje czy bandyci mogli się kręcić w pobliżu i...

To niemożliwe, by padła ofiarą morderstwa! Nie tutaj. Z pewnością coś by usłyszał. Jakaś szamotaninę. Jakieś krzyki... Hiacynta nigdy by się nie poddała bez walki!

Protestowałyby bardzo głośno!

Wobec tego jest tylko jedno wytłumaczenie: musiała usłyszeć, co jego ojciec wygadywał o Mary Winthrop i uciekła. Niech ją diabli! Powinna mieć więcej rozumu!

Gareth rozejrzał się dokoła. Mogła uciec do domu co najmniej ośmioma różnymi drogami. Może było ich nawet więcej, jeśli liczyć boczne uliczki koło stajen. Miała chyba dość rozsądku, by nie zapuszczać się w te zaułki!

Postanowił wracać najprostszą drogą. Wiodła przez Berkeley Street, gdzie z pewnością roiło się od powozów, odwożących gości z balu u Mottramów, ale Hiacynta była zapewne wściekła i zależało jej przede wszystkim na tym, żeby czym prędzej wrócić do domu.

Gareth po stokroć wolał, żeby wpadła w oko plotkarzom na głównej ulicy, niż dostała się w łapy rzezimieszków w jakimś zaułku.

Ruszył więc pędem w stronę Berkeley Square, zwalniając na każdym skrzyżowaniu, by rozejrzeć się za dziewczyną w płataninie przecinających się nawzajem uliczek.

Ani śladu Hiacynty.

Gdzież się ona podziała, u diabła?!

Jak na kobietę była bardzo wysportowana, ale z jaką szybkością mogła biec?

Przemknął przez Charles Street i wpadł na Berkeley Square. Jakiś powóz wyminął go o włos, ale Gareth prawie tego nie zauważył. Jutro wszystkie gazety zamieszczą w rubryce towarzyskiej relacje z tego szaleńczego biegu w środku nocy, ale jego reputacji niewiele to zaszkodzi.

Obiegł plac dokoła i znalazł się wreszcie na Bruton Street. Mijał kolejne domy z numerami 16, 12, 7...

Otóż i Hiacynta! Pędziła jak wiatr, zmierzając na róg ulicy, by wejść do domu tylnymi drzwiami.

Popychany jakąś nieludzką, szaleńczą energią Gareth przyspieszył kroku. Jego ramiona młóciły powietrze, mięśnie nóg piekły nielitościwie, koszula była przepeconą do cna, ale nie zważał na to. Dopadnie tę cholerną dziewczuchę przed wejściem do domu, a wtedy...

Do diaska! Nie wiedział, co z nią wtedy zrobi, ale nie będzie się patyczkował!

Hiacynta minęła ostatnie skrzyżowanie i zwolniła nieco, by obejrzeć się przez ramię. Ujrawszy Garetha, otworzyła usta ze zdumienia. Potem sprężyła się i pomknęła w stronę wejścia dla służby na tyłach domu.

Gareth zmrużył oczy z zadowolenia. Będzie musiała wydobyć klucz ze schowka... Teraz już mu się nie wymknie! Zwolnił nieco, by zaczerpnąć tchu, i przemierzył ostatni odcinek niemal spacerowym krokiem.

Miał ją już na wyciągnięcie ręki.

Jednak Hiacynta, zamiast sięgnąć do schowka po klucz, otworzyła po prostu drzwi.

A niech to wszyscy diabli! Nie zamknęli ich za sobą, wychodząc z domu.

Puścił się galopem i niemal udało mu się ją dopędzić.

Niemal.

Gdy dotarł do drzwi, Hiacynta zatrasnęła mu je przed nosem.

Dotknął klamki tylko po to, żeby usłyszeć szcęk zamka.

Zacisnął dłonie w pięści i aż go świerzbiły, by walnąć w drzwi. Jakże chętnie wrzasnąłby na całe gardło „Hiacynta!” - i do diabła z przyzwoitością! Najwyżej ślub odbyłby się niezwłocznie, na czym mu przecież zależało.

Widocznie jednak za mocno wbito mu pewne zasady do głowy, a on, psiakrew, był zbyt dobrze wychowany, by w tak demonstracyjny sposób zniszczyć jej dobre imię.

- O nie! - mamrotał do siebie, kierując się ku frontowej części budynku. - Utrzymajmy w ścisłej tajemnicy, jak zszargałem jej reputację!

Oparł ręce na biodrach i obrzucił wściekłym spojrzeniem okno jej sypialni. Już raz się tam dostał. Powtórzył to.

Pospiesznie rozejrzał się dokoła i upewniwszy się, że nikt nie nadchodzi, wspiął się na mur. Tym razem szło mu znacznie łatwiej, gdyż wiedział już, gdzie znajdzie oparcie dla rąk i nóg. Okno było nadal uchylone, dokładnie tak, jak je zostawił... aczkolwiek nie przypuszczał, że przyjdzie mu odbywać tę drogę ponownie.

Otworzył okno szerzej, przecisnął się przez nie i wylądował z głuchym stuknięciem na dywanie w tej samej chwili, gdy Hiacynta otworzyła drzwi i weszła do pokoju.

- Jesteś mi winna wyjaśnienie! - warknął, zrywając się na równe nogi, zwinnie jak kot.

- Ja?! - odparowała Hiacynta. - Też coś! - Jej usta rozchyliły się. Zbyt późno, niestety, zdołała ocenić sytuację. - I wynoś się z mojego pokoju!

Uniósł jedną brew.

- Frontowymi schodami?

- Oknem, wyliniały kocurze!

Gareth uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie widział, żeby Hiacynta była naprawdę wściekła. Zirytowana - owszem; urażona - niejednokrotnie. Ale tym razem...

Tym razem było to coś całkiem innego.

- Jak śmiesz! - zionęła ogniem. - Jak śmiesz?! - I nim zdążył coś odpowiedzieć, dopadła go i walnęła obydwoma pięściami. - Wynoś się! - warknęła. - Natychmiast!

- Musisz mi najpierw obiecać - dźgnął ją przy tym palcem wskazującym w mostek, raz i drugi - że już nigdy nie będziesz tak głupio ryzykować życie, jak tej nocy!

Mamrotała coś wściekle. Jakby się dusiła, nie mogła wykrztusić ani jednej zrozumiałej sylaby. W końcu jednak, zacerpnawszy duży haust powietrza, odezwała się zniżonym, groźnym głosem:

- Nie masz prawa domagać się niczego ode mnie!

- Czyżby? - Uniósł brew i spojrzał na Hiacyntę z aroganckim uśmiechem. - Jako twój przyszły mąż...

- Lepiej mi o tym nie wspominać!

Gareth poczuł, że serce mu się ściska.

- Chcesz zerwać zaręczyny?

- Nie - odparła, spoglądając na niego złym wzrokiem. - Zabezpieczyłeś się przecież dziś wieczorem przed taką ewentualnością, nieprawdaż? Z góry to sobie zaplanowałeś, żebyś nie mogła wyjść za nikogo innego!

Trafiła w sedno i Gareth nie mógł nic na to odpowiedzieć. Ani słowa.

- Jeszcze tego pożałujesz! - syknęła Hiacynta. - Będziesz przeklinał ten dzień. Możesz mi wierzyć!

- Doprawdy?

- Jako twoja przyszła żona - powiedziała z niebezpiecznym błyskiem w oku - mogę zamienić ci życie w piekło!

Co do tego Gareth nie miał żadnych wątpliwości; postanowił jednak nie martwić się na zapas.

- Wcale nie najgorzej układało się między nami nie tak znów dawno - powiedział. - I może być tak nadal, bez względu na to, co wygadywał baron. O co ci w końcu...

- Och, na litość...! - Hiacynta przerwała w pół słowa. - Za kogo ty się uważasz?

Zbliżył twarz do jej twarzy.

- Za twojego przyszłego męża. I powiadam ci, Hiacynto Bridgerton... a niebawem St. Clair, że nie będziesz się więcej włóczyć samopas po Londynie o żadnej porze!

Przez chwilę nie odpowiadała i Gareth niemal uwierzył, że wzruszyła ją ta troska o jej bezpieczeństwo. Zaraz jednak odsunęła się i zauważyła z ironią:

- Bardzo odpowiednia pora na kazanie o stosownym zachowaniu!

Z najwyższym trudem powstrzymał się od schwycenia jej za ramię i potrząśnięcia z całej siły.

- Masz pojęcie co czułem, gdy wróciłem do tego zaułka, a ciebie tam nie było? Czyś ty w ogóle pomyślała, co może cię spotkać, zanim popędziłaś sama na oślep?!

- Nie spotkałoby mnie nic gorszego niż to, co się zdarzyło tu!  
Cios był tak celny, że Gareth aż się wzdygnął. Opanował się jednak i odpowiedział chłodno:

- Sama w to nie wierzysz. Może ci się tak wydaje, ale w głębi serca wiesz, że to nieprawda. Dlatego wybaczam ci te słowa.

Znieruchomiała. Tylko jej pierś wznosiła się i opadała szybko. Ręce, zaciśnięte w pięści, zwiślały po bokach, a twarz z każdą chwilą coraz bardziej czerwieniała.

- Nigdy więcej - powiedziała w końcu cichym, dobitnym, opanowanym głosem - nie waż się mówić do mnie tym tonem. I nie wyobrażaj sobie, że potrafisz czytać w moich myślach!

- Nie przejmuj się! Rzadko kiedy przyznaję się do tej umiejętności.

Hiacynta z trudem przełknęła ślinę; była to jedyna oznaka jej zdenerwowania.

- Wyjdź stąd natychmiast!

- Nie wyjdę, póki nie przyrzekniesz, że będziesz ostrożniejsza!

- Nie masz prawa stawiać mi żadnych warunków!

- Musisz mi to przyrzec!

Wpatrywała się w niego bez słowa. Jak śmiał wedrzeć się tu i tak się stawiać?! Przecież to ona była stroną poszkodowaną! To on... to on...

Dobry Boże! Nie potrafiła już logicznie myśleć!

- Życzę sobie, żebyś stąd wyszedł! - powtórzyła.

Odparł natychmiast:

- A ja się domagam przyrzeczenia, że będziesz ostrożniejsza!

Zacisnęła wargi. Bez trudu mogła mu to obiecać; nie planowała dalszych eskapad w środku nocy. Ale przyrzekanie czegoś kojarzyło się jej z usprawiedliwianiem się. Nie da mu tej satysfakcji!

Niech będzie, że to głupie, dziecinne... ale nie zrobi tego. Nie po tym, gdy tak ją skrzywdził!

- Rany boskie! - mruknął. - Aleś ty uparta!

Uśmiechnęła się blado.

- Przekonasz się, że małżeństwo ze mną to prawdziwa rozkosz!

- Hiacynto - powiedział z westchnieniem. - W imię wszystkiego, co... - Przechesał ręką włosy i rozejrzał się dokoła, nim w końcu zwrócił się znowu do niej. - Rozumiem, że jesteś zła.

- Nie mów do mnie jak do dziecka!

- Wcale tak nie mówiłem.

Spojrzała na niego zimno.

- Właśnie że tak!

Zacisnął zęby.

- To, co mój ojciec mówił o Mary Winthrop.

Otworzyła usta ze zdziwienia.

- Myślisz, że o to mi chodzi?!

Gapił się na nią i mrugał oczami, nim spytał:

- A nie o to?

- Oczywiście że nie! - prychnęła. - Wielkie nieba! Czy uważasz mnie za głupią?!

- Ja?... No... nie.

- Chyba znam cię dość dobrze, by wiedzieć, że nie oświadczyłyś się dwóm kobietom naraz! Przynajmniej na trzeźwo.

- Masz rację. - Zbiła go nieco z tropu. - O co w takim razie...

- Wiesz, czemu poprosiłeś mnie o rękę? - spytała.

- O czym ty mówisz, u licha?!

- Wiesz, czy nie wiesz?

Spytała go już kiedyś o to, ale jej nie odpowiedział.

- Oczywiście, że wiem! Dlatego że...

Urwał jednak i wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć.

Pokręciła głową, powstrzymując łzy.

- Nie mogę na ciebie patrzeć!

- Co ci się stało?!

- Nic mi się nie stało! - krzyknęła najgłośniejszym głosem, jak na to pozwalał rozsądek. - Ja przynajmniej dobrze wiem, dlaczego przyjąłam twoje oświadczenia! Ale ty... Ty nie masz pojęcia, dlaczego to zrobiłeś!

- No to mnie oświeć! - wybuchnął. - Powiedz sama, jeśli to dla ciebie takie piekielnie ważne! Zawsze ci się zdaje, że tylko ty wiesz, co dla każdego najlepsze... A teraz jeszcze potrafisz czytać ludziom w myślach! Wobec tego powiedz! Powiedz mi, Hiacynto...

Aż się wzdrygnęła, tyle jadu było w jego głosie.

- Niech się wreszcie dowiem!

Przełknęła z trudem ślinę. Nie ustąpi! Może drzeć, może być bliska łez, jak jeszcze nigdy w życiu, ale nie ustąpi!

- Zrobiłeś to... - powiedziała cichym, ale opanowanym głosem.  
- Oświadczyłeś mi się... ze względu na niego!

Wpatrywał się w nią uparcie i zrobił ruch głową oznaczający:  
„ m ó w j a ś n i e j ! ”

- Na twojego ojca.

Wykrzyczałaby to na cały głos, gdyby nie noc.

- Do wszystkich diabłów! Naprawdę tak sądzisz? To nie ma z nim nic wspólnego!

Popatrzyła na niego z litością.

- Nie robię nic ze względu na niego! - cedził dobitnie Gareth, rozżłoszczony tym przypuszczeniem. - On nic dla mnie nie znaczy!

Pokręciła głową.

- Sam się oszukujesz! Wszystko, co robisz, wiąże się z jego osobą. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, póki sam nie wspomniał, ale mówił prawdę!

- Wierzysz mu bardziej niż mnie?

- Nie chodzi o to, komu wierzę - odparła znużonym, posępnym głosem. - Chodzi o to, jak jest naprawdę. A ty... ty poprosiłeś mnie o rękę, bo chciałeś pokazać ojcu, na co cię stać. Nie miało to nic wspólnego ze mną.

Gareth stał jak wryty.

- To kłamstwo!

- Czyżby? - Uśmiechnęła się, ale twarz miała smutną, zrezygnowaną. - Wiem, że nie oświadczyłybyś mi się, gdybyś zdawał sobie



sprawę z tego, że jesteś związany z inną... Ale wiem też, że zrobiłbyś wszystko, żeby popisać się przed swoim ojcem. Nawet ożeniłbyś się ze mną!

- Wszystko ci się pokręciło! - powiedział, ale jego wewnętrzna pewność siebie zaczęła słabnąć. Myślał przecież nieraz z prawdziwą satysfakcją: Ojciec musi być wściekły, że tak dobrze się ożenił! I szczerze go to radowało. Miło mu było wiedzieć, że w tej partii szachów, którą od lat rozgrywali z baronem, zadał wreszcie przeciwnikowi zabójczy cios.

Szach... i mat!

Co za rozkoszne uczucie!

Ale przecież wcale nie dlatego poprosił Hiacyntę, żeby za niego wyszła. Poprosił ją, bo... No cóż, było mnóstwo najrozmaitszych powodów. To bardzo skomplikowana sprawa.

Przed wszystkim lubił Hiacyntę. Czy to nie istotny powód? Polubił też jej rodzinę. No i przyjaźniła się z babcią... Nie mógłby ożenić się z kobietą, która nie potrafiłaby się dogadać z lady D.!

I pragnął Hiacynty. Pragnął jej, aż mu zapierało dech!

Poślubienie Hiacynty to rozsądna decyzja. Nadal tak uważał.

No właśnie: to powinien być jej powiedzieć! Wy tłumaczyć, przekonać. Z pewnością zrozumie. To przecież nie żadna głupiotka dziewczyna, tylko Hiacynta!

Właśnie dlatego tak ją lubił.

Otworzył już usta i uniośł rękę. Zaraz słowa same popłyną. Naprawi wszystko... przynajmniej częściowo.

- Pomyśl rozsądnie - zaczął.

- Właśnie to robie! - wypaliła, przerywając mu, zanim wyraził myśl. - Wielkie nieba! Gdybym nie była taka piekielnie rozsądna, zerwałabym z tobą!

Zacisnęła zęby i przełknęła ślinę.

Ona się zaraz rozpłaczę! - pomyślał.

- Dobrze wiedziałam dziś wieczorem, co robię - wyznała spokojnym głosem, w którym taił się ból. - Wiedziałam, co mnie czeka. I wiedziałam, że tego, co zrobię, nie da się cofnąć. - Jej dolna warga

zadrżała. Hiacynta odwróciła wzrok. - Nie spodziewałam się tylko, że tego pożałuję...

To było jak cios w brzuch. Zadał jej ból! Naprawdę ją skrzywdził!...

Wcale nie miał takiego zamiaru... I nie był pewien, czy Hiacynta troszkę nie przesadza... Ale sprawił jej ból.

Zdumiał się, jak bardzo zabołało to jego samego.

Przez chwilę stali, spoglądając na siebie nieufnie.

- Wiesz, jakie to uczucie być pionkiem w czyimś ręku? - odezwała się Hiacynta.

- Tak - odparł cicho.

Kąciki jej ust zacisnęły się. Nie wyglądała jednak na zagniewaną, tylko na zasmuconą.

- W takim razie zrozumiesz, czemu chcę, żebyś stąd odszedł!

Jakiś pierwotny instynkt nakazywał mu zostać. Pochwycić Hiacyntę i zmusić, żeby go rozumiała. Przekonywać ją słowami lub posłużyć się własnym ciałem. To w końcu nie miało znaczenia! Po prostu musiał ją zmusić do tego, żeby go rozumiała!

Odzywał się w nim jednak i inny głos - smutne, samotne "ja", które rozumiało, co to znaczy być skrzywdzonym. I czuł, że gdyby został, gdyby próbował zmusić ją do zrozumienia jego racji, nie udało by mu się to. Nie tej nocy!

I utraciłby ją.

Skinął więc głową.

- Porozmawiamy o tym później - ustąpił.

Nie odpowiedziała nic.

Podszedł znów do okna. Wydawało mu się nieco groteskowe, że wyjdzie tędy... Ale w gruncie rzeczy kogo to obchodzi, do licha?!

- A co się tyczy tej Mary - usłyszał za plecami głos Hiacynty - to jestem pewna, że kłopoty z nią związane nietrudno będzie rozwiłkować. Jeśli zajdzie taka potrzeba, moja rodzina ją spłaci.

Usiłowała odzyskać panowanie nad sobą i starała się zagłuszyć swój ból, koncentrując się na sprawach praktycznych. Gareth dobrze znał tę taktykę. Stosował ją setki razy.

Odwrócił się i spojrzął jej prosto w oczy.

- Mary jest córką hrabiego Wrothama.

- O! - Hiacynta zamilkła na chwilę. - To oczywiście zmienia sytuację. Przypuszczam, że to coś między wami zaszło dawno temu...

- Istotnie.

Z trudem przełknęła ślinę, zanim spytała:

- Czy to był powód twojej niezgody z ojcem? Te zaręczyny?

- Zadajesz zbyt wiele pytań jak na osobę, która domagała się, żebym natychmiast stąd wyszedł!

- Mam zostać twoją żoną - odparła. - I tak w końcu dowiem się wszystkiego.

- Dowiesz się - potwierdził. - Ale nie w tej chwili!

I z tymi słowy wyszedł przez okno.

Kiedy wreszcie stanął na ziemi, popatrzył w górę, rozpaczliwie pragnąc zobaczyć Hiacyntę. Wystarczyłby mu zarys jej sylwetki lub choćby cień na firance.

Nie było jednak nic.

Hiacynta odeszła.

## 17

*Popołudniowa herbatka w domu pod numerem 5. Hiacynta jest w salonie tytko z matką; to zawsze niebezpieczna sytuacja, zwłaszcza że córka ma tajemnicę do ukrycia.*

Czy pan St. Clair wyjechał z Londynu?

Hiacynta oderwała się na chwilę od swego niezbyt udanego haf-tu, by odpowiedzieć:

- Nie sędzę. Skąd to przypuszczenie?

Usta Violet Bridgerton zacisnęły się na sekundę.

- Nie było go u nas od kilku dni.

- Zdaje się, że ma jakieś kłopoty ze swoją posiadłością w Wiltshire - odparła Hiacynta z niewzruszoną miną.

Skłamała oczywiście. Nie sądziła, by Gareth miał posiadłość w Wiltshire czy gdzie indziej, ale przy odrobinie szczęścia jakaś inna sprawa przyciągnie może uwagę matki, nim zacznie wypytywać o nieistniejący majątek ziemski Garetha.

- Ach tak? - mruknęła Violet.

Hiacynta wbiła igłę w materiał z większą siłą niż to było konieczne i spojrzała z dezaprobatą na dzieło swoich rąk. Nie miała zdolności do haftu. Brakowało jej cierpliwości i precyzji. Zawsze jednak zabierała tamborek do salonu. Nigdy nie wiadomo, kiedy mógł się przydać jako usprawiedliwienie opieszałości czy roztargnienia podczas konwersacji.

Posługiwała się z powodzeniem tą sprytną sztuczką przez całe lata. Teraz jednak, gdy jako ostatnia z córek pozostawała pod matczynym dachem, często siadała do herbaty tylko z Violet. Niestety, robótka, która pozwalała Hiacyncie tak gładko wymigiwać się od rozmowy w większym gronie, nie odgrywała swojej roli, kiedy były we dwie z matką.

- Czy coś jest nie w porządku?

- Skądże znowu! - Hiacynta nie miała wcale ochoty podnosić oczu znad robótki, ale unikanie wzroku matki mogło wzbudzić w niej podejrzenia. Odłożyła więc tamborek i podniosła głowę. Jak się mówi A, trzeba powiedzieć i B! Jeżeli już weszła na drogę kłamstwa, należało kłamać przekonująco. - Gareth jest po prostu zajęty, i tyle! Podziwiam go za to. Chyba nie chciałabyś, żebym wyszła za obiboka, prawda?

- Oczywiście że nie - odparła cicho Violet. - Ale jakoś mi to dziwnie wygląda... Od tak niedawna jesteście zaręczeni!

W każdym innym wypadku Hiacynta odwróciłaby się od rozmówcy i oświadczyła: „Jeśli chcesz o coś spytać, pytaj bez ogródek!”

Tylko że jej matka z pewnością zadałaby wówczas pytanie.

A Hiacynta wcale nie kwapiła się do odpowiedzi.

Minęły trzy dni, odkąd dowiedziała się prawdy o narzeczonym. Brzmiało to cokolwiek melodramatycznie, zupełnie jakby odkryła jakiś straszliwy sekret albo dogrzebała się mrocznej tajemnicy w rodzinie St. Clairów...

Nie wchodziła jednak w grę żadna tajemnica - mroczna, niepokojąca ani nawet wstydliva. Po prostu natknęła się na prawdę, w dodatku rzucającą się w oczy od początku.

Tylko ona była zbyt ślepa, żeby ją dostrzec. Widocznie miłość działała ogłupiająco na kobiety!

Ona pokochała Garetha. Nie ulegało wątpliwości! Gdzieś pomiędzy chwilą, w której się zgodziła wyjść za niego, a nocą, kiedy mu się oddała, zakochała się w nim.

Kochała go, ale go nie znała. A może jednak? Czy mogła szczerze powiedzieć, że go zna, że przekonała się, jaki z niego człowiek, jeśli nie uświadamiała sobie, co jest głównym motorem jego działania?

Wykorzystał ją.

Posłużył się nią, by uzyskać przewagę w tej niekończącej się wojnie z ojcem!

Sprawił jej tym tak straszny ból, o jakim się Hiacyncie nawet nie śniło.

Powtarzała sobie, że jest głupia, że robi z igły widły... Czyż nie ma znaczenia to, że Gareth ją lubi, że uważają za sprytną i zabawną, a niekiedy nawet za mądrą? Czyż to nie wystarczy, że będzie jej strzegł i szanował? Że - mimo nieco zaszarganej reputacji - będzie dobrym i wiernym mężem?

Czemu chciała koniecznie wiedzieć, z jakiego powodu poprosił ją o rękę? Czyż nie ważniejsze, że się w ogóle oświadczył?

A jednak jego motywy miały dla niej ogromne znaczenie. Czuła się wykorzystana i pozbawiona znaczenia, jak pionek na wielkiej szachownicy.

Najgorsze zaś to, że nie rozumiała nawet reguł gry, do której ją wykorzystano.

- Cóż za ciężkie westchnienie!

Hiacynta zamrugała i znów zobaczyła wyraźnie twarz matki. Wielkie nieba! Jak długo siedziała tak, wpatrzona w przestrzeń?

- Nie chciałabyś zwierzyć mi się z czegoś? - spytała łagodnie Violet.

Hiacynta pokręciła głową. Jak mogła o czymś podobnym powiedzieć matce?!

A wiesz co, mamó, może cię to zainteresuje? Odkryłam niedawno, że mój przyszyły mąż oświadczył mi się, bo chciał doprowadzić do wściekłości swojego ojca!

A tak przy okazji: wyobraź sobie, że nie jestem już dziewczyną. Nie uda mi się wyplątać z tych zaręczyn!

O podobnych zwierzeniach nie mogło być mowy.

- Podejrzewam - odezwała się Violet - że doszło do pierwszej kłótni zakochanych.

Hiacynta usiłowała powstrzymać rumieńce. Zakochani... Też coś!

- Nie ma się czego wstydzić - uspokajała ją matka.

- Wcale się nie wstydzę! - zaprzeczyła gwałtownie Hiacynta.

Violet uniosła brwi, a jej córka miała ochotę dać sobie w skórę za to, że tak łatwo wpadła w zastawioną przez matkę pułapkę.

- To nic takiego - wymamrotała, dźgając igłą na oslepek nieszczęsny haft, aż żółty kwiatek, który wyszywała, zaczął przypominać nastroszone kurczątko.

Hiacynta wzruszyła ramionami i nawlokła igłę pomarańczową nitką. Może równie dobrze dorobić nóżki i dziobek!

- Wiem, że nie wypada okazywać swoich uczuć - przekonywała Violet - i z pewnością nie namawiałabym cię do melodramatycznych scen, ale czasem warto podzielić się z kimś tym, co nam doskwiera...

Hiacynta podniosła wzrok i spojrzała matce prosto w oczy.

- Rzadko wzdramam się z wyjawieniem tego, jeśli mi coś nie odpowiada!

- No cóż... to prawda - przyznała Violet, nieco zbity z tropu tym kontrargumentem.

Hiacynta wróciła do haftu i skrzywiła się na widok dziobka, który wypadł zbyt wysoko. Co tam! Powiedzmy, że to groteskowy ptaszek, przybranie kapelusza na bal przebierańców!

- A może - nie dawała za wygraną matka - to pan St. Clair ma trudności z wyjawieniem...

- Doskonale wiem, co on czuje - przerwała jej Hiacynta.

- Ach tak? - Violet ściągnęła wargi i wypuściła powietrze nosem. - Może nie wie, co począć, jak się zwrócić do ciebie...

- Dobrze wie, gdzie mnie szukać!

Violet westchnęła głośno.

- Nie ułatwiasz mi zadania, córeczko!

- Usiłuję się skupić nad haftem.

Hiacynta podsunęła matce pod nos robótkę.

- Usiłujesz uniknąć... - Violet urwała i zamrugała oczami.

- Czemu ten kwiatek ma ucho?

- To wcale nie ucho! - Hiacynta zerknęła na haft. - Ani nie kwiatek!

- Zdawało mi się wczoraj, że to był kwiatek...

- Mam twórczy umysł! - syknęła przez zęby Hiacynta i dorobiła cholernemu kwiatkowi drugie ucho.

- W to nigdy nie wątpiłam!

Hiacynta znów popatrzyła na dziwoląga na tamborku.

- To kot - oznajmiła. - Zaraz mu dorobię ogon.

Violet milczała przez chwilę, po czym znów się odezwała.

- Potrafisz być bardzo twarda, jeśli się zaważmiesz.

Hiacynta raptownie podniosła głowę.

- Jestem twoją córką! - wykrzyknęła.

- To nie ulega wątpliwości. - Violet zdumiała gwałtowna reakcja

Hiacynty. -Ale...

- Dlaczego więc zawsze zakładasz, że to moja wina?

- Ależ skąd!

- Właśnie że tak! - Hiacynta przypomniała sobie niezliczone kłótnie wśród rodzeństwa. - Zawsze tak było!

Odpowiedział jej pełen przerażenia jęk matki.

- To nieprawda, Hiacynto! Po prostu znam cię lepiej niż pana St. Claira...

- I znasz na pamięć wszystkie moje wady?

- No... tak. - Violet wydawała się zaskoczona swoją odpowiedzią i pospiesznie dodała: - To wcale nie znaczy, że pan St. Clair nie ma swoich wad i słabostek. Po prostu... nie znam ich.

- Są imponujące - odparła z goryczą Hiacynta. - I prawdopodobnie nieuleczalne!

- Och, córeczko! - upomniała ją matka głosem tak pełnym troski, że Hiacynta omal nie wybuchnęła płaczem. - O co też wam poszło?!

Hiacynta odwróciła wzrok. Nie powinna była nic mówić! Teraz mama zacznie się zamartwiać, a ona będzie siedzieć przy niej, czuć się okropnie i zapragnie rozpaczliwie rzucić się jej na szyję i znowu być dzieckiem.

W dzieciństwie ufała, że nie ma zła, na które mama by nie zaradziła serdecznym słówkiem lub pocałunkiem w czółko...

Teraz jednak nie była już dzieckiem, a jej zmartwienia nie tak łatwo dawały się odpędzić.

A poza tym nie mogła zwierzyć się z nich matce.

- Chcesz zerwać zaręczyny? - spytała Violet, cicho i bardzo ostrożnie.

Hiacynta pokręciła głową. Nie mogła się już wycofać. Ale...

Zdumiał ją kierunek, w jakim teraz biegły jej myśli. Czy naprawdę chciałaby zrezygnować z tego małżeństwa? Gdyby nie oddała się Garethowi, gdyby się ze sobą nie kochali, gdyby nic nie zmuszało jej do obstawania przy tych zaręczynach... jaką by podjęła decyzję?

Przez ostatnie trzy dni zadręczała się wspomnieniami tamtej nocy, a zwłaszcza tej okropnej chwili, kiedy usłyszała ojca Garetha przechwalającego się ze śmiechem, jak to nakłonił podstępem syna do oświadczeń. Analizowała każde zdanie, każde zapamiętane słowo. A jednak dopiero teraz zadała sobie najbardziej istotne pytanie. Podstawowe pytanie. I uświadomiła sobie...



Ze nie zerwałyby zaręczyn.

Powtórzyła to sobie w duchu. Potrzebowała czasu, by te słowa w pełni do niej dotarły.

Nie zerwałyby zaręczyn!

Kochała Garetha. Czyżby to było takie proste?

- Nie chcę z nim zrywać - oświadczyła, choć już -wcześniej pokręciła głową. Pewne rzeczy należało powiedzieć na głos!

- W takim razie musisz mu pomóc - stwierdziła Violet. - Coś go trapi... I to właśnie ty powinnaś go wesprzeć.

Hiacynta znów tylko skinęła głową, zbyt pogrążona w myślach, by zdobyć się na konkretną odpowiedź. Czy mogła pomóc Garethowi? Czy było to w ogóle możliwe? Znała go zaledwie od miesiąca; jego nienawiść do ojca trwała zapewne całe życie.

Mógł wcale sobie nie życzyć jej pomocy, albo - co bardziej prawdopodobne - nie wiedział, że jej potrzebuje. Z mężczyznami zawsze tak bywał!

- Mam wrażenie, że bardzo mu na tobie zależy - powiedziała matka. - Naprawdę w to wierzę.

- Zależy mu - potwierdziła Hiacynta ze smutkiem.

Tylko że znacznie więcej znaczyła dla niego nienawiść do ojca.

I nawet wtedy, gdy przyklęknął i poprosił ją, by spędziła z nim życie, zgodziła się przyjąć jego nazwisko i urodzić mu dzieci, nie zrobił tego ze względu na nią!

Cóż mogła teraz o nim myśleć?

Westchnęła ze znużeniem.

- To zupełnie do ciebie niepodobne! - Matka nie kryła zdumienia.

Hiacynta podniosła głowę.

- Naprawdę chcesz - sprecyzowała Violet - siedzieć cicho i czekać?

- Czekać? - powtórzyła Hiacynta.

- Aż on zrobi pierwszy krok! Przypuszczam, że tak właśnie jest: czekasz, że on przyjdzie do ciebie i będzie błagał o przebaczenie za to, co zrobił.

**-Ja...**

Zamilkła. Tak właśnie postępowała... i nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Pewnie dlatego czuła się tak podle. Złożyła swój los i szczęście w cudze ręce i była z tego powodu wściekła!

- Czemu do niego nie napiszesz? - podsunęła Violet. - Zażądaj, by cię odwiedził. Jest dżentelmenem, a ty jego narzeczoną. Z pewnością nie odmówi!

- Nie - mruknęła Hiacynta. - Nie odmówi. Ale... - Spojrzała na matkę błagalnie. - Co ja mam mu powiedzieć?!

Było to głupie pytanie. Violet nawet nie wiedziała, na czym polega problem... Jakżeby mogła znaleźć rozwiązanie? A jednak -jak zawsze - utrafiła w sedno.

- Powiedz mu, co masz na sercu - poradziła. Wykrzywiła usta w kwaśnym uśmiechu. -A jeśli to nie poskutkuje, weź jakąś książkę i dziel go nią po głowie!

- Co takiego?!

- Nic nie mówiłam! - zastrzegła się pospiesznie Violet.

Hiacynta poczuła, że się uśmiecha.

- Jestem pewna, że to powiedziałaś!

- Tak uważasz? - Matka skryła uśmiech za filiżanką.

- Dużą książką - spytała Hiacynta - czy małą?

- Chyba dużą... Jak ci się zdaje?

Hiacynta skinęła głową.

- Mamy w bibliotece *Dzieła wszystkie* Szekspira?

Wargi Violet zadrżały.

- Chyba tak!

Hiacynta poczuła łaskotanie w piersiach... Czyżby to był śmiech? Jak miło znów go w sobie czuć!

- Kocham cię, mamó! - zawołała, ogarnięta nagłą potrzebą wypowiedzenia tego na głos. -I chcę, żebyś o tym wiedziała!

- Wiem, kochanie - odparła Violet, a oczy jej pojaśniały. -Ja też cię kocham!

Nigdy dotąd nie zastanawiała się, jaki to cenny skarb - miłość rodzicielska. Gareth chyba nigdy jej nie zaznał. Jakie miał dzieciń-

stwo? Ani razu o nim nie wspominał. Hiacyncie zrobiło się wstyd, gdy uświadomiła sobie, że sama nigdy go o to nie spytała.

Nawet nie zauważyła, że nie poruszyła tego tematu!

Kto wie, czy Gareth nie zasługiwał na pewną wyrozumiałość z jej strony?

Oczywiście musi ją błagać o przebaczenie. Jej miłosierdzie miało pewne granice!

Spróbuje go jednak zrozumieć i będzie go kochać, i być może -jeśli się naprawdę postara - zdoła zapełnić pustkę w jego sercu?

Może to ona okaże się tym, czego on potrzebuje?

I - być może - o to właśnie chodzi?

Na razie jednak musi się postarać ze wszystkich sił, żeby ich sprawa szczęśliwie się zakończyła. Miała przeczucie, że krótki liścik nie wystarczy.

Czas okazać niezłomną odwagę!

Pora osaczyć lwa w jego własnej jaskini.

- Dobrze się czujesz, Hiacynto? - dotarł do niej głos matki.

Pokręciła głową i równocześnie powiedziała:

- Nic mi nie jest. Po prostu myślę jak szalona!

Szalona z miłości.

## 18

*Tego samego dnia, późnym popołudniem, w niewielkim gabinecie Garetha. Nasz bohater doszedł do wniosku, że musi przystąpić do działania. Nie zdaje sobie sprawy, że lada chwila Hiacynta jednym ciosem położy go na łopatki.*

Jakiś wspaniały gest.

Tego właśnie trzeba - doszedł do wniosku Gareth. Imponującego gestu.

Kobiety to ubóstwiały, a Hiacynta - mimo że różniła się od wszystkich niewiast, z jakimi miał do czynienia - niewątpliwie była kobietą! A zatem wspaniały gest z pewnością zrobi na niej wrażenie.

Nieprawdaż?

No cóż... Lepiej, żeby tak się stało! - powiedział sobie w duchu Gareth, gdyż nie miał pojęcia, co innego mógłby uczynić.

Jednakże kłopot ze wspaniałymi gestami polegał na tym, iż te najbardziej imponujące wymagały pieniędzy, których jemu brakowało. Gesty zaś niewymagające nakładów finansowych zazwyczaj stawiały nieszczęśnika, który się na nie zdecydował, w żenującej sytuacji. Musiał produkować się publicznie, recytując wiersze czy śpiewając serenady, albo składając niemądre wyznania przy liczonym audytorium.

Gareth wiedział, że on nigdy by się nie zdobył na coś podobnego.

Hiacynta była jednak, o czym nieraz się przekonał, kobietą niezwykłą, a więc powinien na niej zrobić wrażenie - oby! -jakiś nietypowy gest.

Musi jej okazać, że Zależy mu na niej, a wówczas ona zapomni o swoich niemądrych konkluzjach na temat jego ojca i wszystko znów będzie dobrze.

Z pewnością!

- Ma pan gościa, sir.

Gareth podniósł głowę. Siedział za swoim biurkiem od tak dawna, że aż dziw, iż nie zapuścił korzeni! W drzwiach gabinetu pojawił się Phelps, jego lokaj. Gareth nie mógł sobie pozwolić na majordoma. A zresztą, po cóż ktoś taki w mieszkanku, złożonym z czterech klitek? Skutkiem tego na Phelpsa spadały także obowiązki związane z przyjmowaniem i anonsowaniem gości.

- Wprowadź go tu - polecił Gareth z lekkim roztargnieniem, nakrywając kilkoma książkami papiery rozłożone na biurku.

- Tak jest, sir. Tylko że...

Lokaj odchrząknął znacząco. Kilka razy.

- Jakiś problem?

- No cóż... Właściwie to nie jest...

Lokaj miał udreńczony wyraz twarzy. Gareth usiłował wzbudzić w swoim sercu nieco litości dla tego biedaka. Ubiegając się o pracę u niego, nie zdawał sobie sprawy, że będzie musiał pełnić również obowiązki majordoma i nie potrafił zachować kamiennej twarzy.

- O co chodzi, Phelps?

- Kiedy... ten on to właściwie ona, sir.

- Hermafrodyta, Phelps? - zagadnął Gareth, jedynie po to, by zobaczyć jak nieborak staje w pasach.

Trzeba przyznać, że lokaj nie zareagował tak gwałtownie: zacisnął tylko szczęki.

- To panna Bridgerton, sir.

Gareth zerwał się na nogi tak pospiesznie, że wyrznął udem o kant biurka.

- Ona tutaj?! O tej porze?!

Phelps skinął głową, wydawał się czerpać satysfakcję z zakłopotania swego chlebobdawcy.

- Wręczyła mi swoją kartę wizytową, sir. Zachowywała się niezwykle uprzejmie, jakby w jej odwiedzinach u pana, sir, nie było nic nadzwyczajnego.

W głowie Garetha myśli wirowały szaleńczo. Usiłował zrozumieć, czemu Hiacynta zdecydowała się na coś równie głupiego jak wizyta w jego kawalerskim mieszkanku w środku dnia! Co prawda, gdyby się zjawiała w środku nocy, sytuacja nie przedstawiałaby się o wiele lepiej... Ale o tej porze każdy ciekawski mógł ją zauważyć, kiedy wchodziła!

- No cóż, poproś ją - zdecydował wreszcie.

Nie mógł przecież wyrzucić jej na ulicę! W tej sytuacji będzie musiał osobiście odprowadzić ją do domu. Bardzo wątpliwe, czy przysłała z odpowiednią eskortą! Zabrała ze sobą najwyżej tę miętówkożerną pokojówkę, a Bóg świadkiem, to niewystarczająca ochrona dla dobrze wychowanej panny na ulicach Londynu.

Skrzyżował ramiona na piersi, oczekując na pojawienie się gościa. Rozkład mieszkanka - pokoje ułożone w kwadrat - do gabinetu można było wejść zarówno przez jadalnię, jak i sypialnię. Niestety, tego właśnie dnia dochodząca sprzątaczką postanowiła wypucować podłogę

w jadalni. Decydowała się na tę operację mniej więcej dwa razy na rok i zaklinała się na mogiłę ukochanej mamuski, że taki zabieg przywróci podłódze nieskalaną czystość, a całemu pomieszczeniu zapewni zdrową atmosferę. W rezultacie stół w jadalni został przesunięty i tarasował drzwi do gabinetu. Jedyne wolne drzwiczki wiodły więc przez sypialnię.

Gareth jęknął. Tylko tego mu brakowało: Hiacynta w jego sypialni!

Poczucie się na pewno skrępowana, przechodząc tamtędy. I dobrze jej tak! Po co tu przychodziła, w dodatku bez eskorty?!

- Witaj, Gareth! - powiedziała, ukazując się w drzwiach.

Wszystkie jego dobre intencje uleciały z wiatrem.

- Co ty tu robisz, u diabła?! - napadł na nią.

- Ja też się bardzo cieszę, że cię widzę - odparła z takim opanowaniem, że poczuł się jak ostatni głupiec.

Mimo to obstawał przy swoim:

- Każdy mógł cię zobaczyć, gdy tu wchodziłaś! Czy wcale ci nie zależy na reputacji?!

Wzruszyła lekko ramionami i zdjęła rękawiczki.

- Jesteśmy zaręczeni. Ty nie możesz się z tego wycofać, a ja nie zamierzam. Wątpię więc, czy będę nieodwołalnie skompromitowana, nawet jeśli ktoś mnie tu wypatrzy.

Gareth starał się nie dopuszczać do świadomości poczucia ogromnej ulgi, jakie go ogarnęło, gdy usłyszał te słowa. Co prawda, zrobił wszystko, co tylko mógł, by uniemożliwić jej zerwanie zaręczyn, ale zawsze miło było usłyszeć, że Hiacynta nie zamierza z nim zrywać!

- No, dobrze - powiedział bez pośpiechu, dobierając starannie słowa. - Cóż więc cię tu sprowadza?

- Nie przyszłam tu po to, by dyskutować o twoim ojcu - odparła żywo - jeśli to właśnie cię niepokoi!

- Nic mnie nie niepokoi! - uciał sprawę.

Uniosła brew. Do licha! Czemu akurat wybrał sobie na żonę jedyną w świecie kobietę, która opanowała tę sztuczkę? A przynajmniej jedyną tak uzdolnioną spośród wszystkich kobiet, jakie znał!

- Naprawdę nie! - zapewnił z rozdrażnieniem w głosie.

Nic nie odpowiedziała, ale jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że nie wierzy mu ani trochę.

- Musiałam tu przyjść - wyjaśniła - by porozmawiać z tobą o klejnotach.

- O klejnotach?

- Tak - potwierdziła sztywnym, oficjalnym tonem. - Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o nich?

- Jakżebym mógł? - wymamrotał.

Hiacynta zaczęła go irytować... a raczej irytowało go jej zachowanie. Czuł się zdenerwowany i rozdrażniony samą jej obecnością, podczas gdy ona była absolutnie spokojna i nieludzko opanowana.

- Mam nadzieję, że w dalszym ciągu zamierzasz ich szukać. Posunęliśmy się zbyt daleko, by dawać za wygraną!

- A od czego, twoim zdaniem, moglibyśmy teraz zacząć? - spytał, starając się zachować obojętny ton głosu. - O ile pamiętam, naktnęliśmy się na przeszkodę nie do pokonania.

Sięgnęła do woreczka i wyciągnęła ostatnią notatkę Isabelli. Nośiła ją przy sobie od chwili, gdy rozstali się przed kilkoma dniami. Ostrożnym, ale pewnym ruchem rozłożyła kartkę na jego biurku.

- Pozwoliłam sobie pokazać to mojemu bratu Colinowi - oznajmiła. Podniosła wzrok na Garetha i przypomniała mu: - Wyraziłeś na to zgodę.

Skinął głową.

- Jak już wspomniałam, Colin dużo podróżował po Europie. Odnosił wrażenie, że zostało to napisane w jednym z języków słowiańskich. Poślęczał nad mapą i doszedł do wniosku, że zapewne jest to język słoweński. - Widząc ze spojrzenia Garetha, że nic mu to nie mówi, dodała: - Czyli język, jakim się posługują mieszkańcy Słowenii.

Gareth aż zamrugął oczami.

- Nie miałem pojęcia, że jest w ogóle taki kraj!

Po raz pierwszy od początku rozmowy Hiacynta uśmiechnęła się.

- Jest, jak najbardziej! Muszę przyznać, że i ja nie wiedziałam o jego istnieniu. To niewielka kraina na północny-wschód od Włoch.

- Część Cesarstwa Habsburgów?

; Hiacynta skinęła głową potakująco.

- A jeszcze wcześniej świętego cesarstwa rzymskiego. Czy twoja babka pochodziła z północnych Włoch?

Gareth nagle uświadomił sobie, że nie ma pojęcia. Babcia Isabella bardzo chętnie opowiadała mu historyjki ze swego dzieciństwa we Włoszech, ale były to opowieści o przysmakach i zabawach - takie, jakie lubią mali chłopcy. Jeśli nawet wspomniała o miejscu swojego urodzenia, był za mały, żeby je zapamiętać.

- Niestety, nie wiem. - Czuł się z powodu tej niewiedzy durniem, i to nieczułym durniem. - Bardzo możliwe, że pochodziła z północy. Nie miała zbyt ciemnej karnacji, a włosy i cerę podobne do moich.

- Zastanawiałam się nad tym. Ani ty, ani twój ojciec nie przypominacie typowych Włochów.

Gareth uśmiechnął się z przymusem. Nic nie mógł powiedzieć o baronie, ale jeśli o niego chodzi, to były ważne powody, dla których nie odznaczał się włoską urodą.

- No, dobrze - odezwała się Hiacynta, spoglądając znów na arkusik papieru, który położyła na jego biurku. - Jeśli pochodziła z północo-wschodniej części Włoch, to całkiem możliwe, że mieszkała w pobliżu granicy ze Słowenią i zapoznała się z tamtejszym językiem. Przynajmniej na tyle, by skreślić dwa zdania po słoweńsku.

- Nie rozumiem, jak mogło przyjść jej do głowy, że w Anglii znajdzie się ktoś, kto to przetłumaczy!

- W tym problem! - odparła Hiacynta, żywo potakując głową. Kiedy stało się jasne, że Gareth nie ma pojęcia, o co jej chodzi, dodała: - Gdybyś chciał utrudnić osobom niepowołanym odnalezienie skarbu, czy nie podałybyś wskazówek w jakimś rzadkim języku?

- Wielka szkoda, że nie znała chińskiego - mruknął.

Hiacynta obrzuciła go spojrzeniem pełnym zniecierpliwienia, może nawet irytacji, i mówiła dalej:

- Jestem też przekonana, że to już ostatnia wskazówka. Każdy, kto dotarł aż tak daleko, musiał poświęcić na to wiele energii, a może i pieniędzy, jako że trzeba było wystarać się o przekład... Z pewnością Isabella nie zmuszałaby go do podejmowania takich trudów wielokrotnie!



Gareth wpatrywał się w niezrozumiałe słowa i gryząc dolną wargę, rozważał jej wywody.

- Nie zgadzasz się ze mną? - dopytywała się Hiacynta.

Popatrzył na nią i wzruszył ramionami.

- Grunt, że ty w to wierzysz!

Otwarła usta ze zdumienia.

- Co przez to rozumiesz? To nie jest zwykła... - Urwała i zastanowiła się nad jego słowami. -W porządku, wierzę w to. Ale chyba oboje jesteśmy zgodni co do tego, że - wszystko jedno, na dobre czy na złe -jestem znacznie przebieglej sza od przeciętnej kobiety... Albo mężczyzny - burknęła.

Gareth uśmiechnął się krzywo. Czyżby zirytowała go jeszcze bardziej tą parafrazą zwrotu z przysięgi małżeńskiej: „na dobre i na złe”?

- Nie sądzisz, że twoja babka mogła być równie przebiegła - odchrząknęła -jak ja?

Pod koniec tego zdania Hiacynta straciła nieco pewności siebie i Gareth poznał nagle po jej oczach, że wcale nie jest aż tak opanowana, jak się wydaje.

- Nie mam pojęcia - przyznał szczerze. - Zmarła, gdy byłem jeszcze mały. Moje wspomnienia i wrażenia są odczuciami siedmioletniego chłopca.

- W porządku! - odparła, bębniąc nerwowo palcami o blat biurka. - Zaczniemy oczywiście szukać kogoś, kto znałby słoweński. - Wywróciła oczami, dodając dość cierpko: - Z pewnością ktoś taki znajdzie się w Londynie!

- Z pewnością-mruknął, chcąc ją zdopingować.

Nie należało tego robić; do tej pory powinien być mądrzejszy, ale było coś tak zabawnego w Hiacyncie, gdy ogarnęła ją determinacja!

Jak zwykle nie sprawiła mu zawodu.

- Ale oprócz tego - oświadczyła niesłychanie rzeczowym tonem - sądzę, że powinniśmy wrócić do Clair House.

- I przeszukać cały dom, od piwnic po dach? - spytał z tak uprzedzającą grzecznością, iż nie ulegało wątpliwości, że bierze ją za wariatkę.

- Oczywiście, że nie - oświadczyła i zrobiła groźną minę.  
Omam się nie uśmiechnął. To było o wiele bardziej w jej stylu!  
- Ale wydaje mi się - dodała - że klejnoty muszą być ukryte w jej sypialni.

- Czemu właśnie tam?  
- Gdzież indziej mogłaby je schować?  
- W swojej garderobie - odpowiedział, przechylając głowę na bok - w salonie, na poddaszu, w pokoju kredensowym, w którymkolwiek z pokoi gościnnych...

- Ale gdzie - przerwała, urażona jego sarkazmem - wydaje się to najbardziej logiczne? Jak dotąd, trzymała się zawsze tej części domu, którą najrzadziej odwiedzał twój dziadek. Gdzież byłoby więc bezpieczniejsze niż w jej sypialni?!

Wpatrywał się w nią, pogrążony w myślach, tak długo, że aż się zarumieniła. W końcu powiedział:

- Wiemy, że odwiedził ją tam co najmniej dwukrotnie.

Hiacynta zrobiła wielkie oczy.

- Dwukrotnie?

- By spędzić mojego ojca i jego młodszego brata. Zginął pod Trafalgarem.

- Ach, tak... - Po tym najwyraźniej mina jej zrzedła. Przynajmniej na jakiś czas. - Bardzo mi przykro.

Gareth wzruszył ramionami.

- To było dawno temu, ale dzięki za kondolencje.

Skinęła niepewnie głową. Wydawało się, że nie bardzo wie, co powiedzieć.

- W porządku - odezwała się wreszcie.

- W porządku - powtórzył.

- Niech i tak będzie.

- Niech będzie - potwierdził cicho.

- Och, do licha z tym wszystkim! - wybuchnęła. - Nie zniosę tego! Nie nadaję się do siedzenia z założonymi rękami! Ani do chowania śmieci pod dywan!

Gareth otwierał już usta, choć nie miał pojęcia, co powiedzieć, ale Hiacynta jeszcze nie skończyła.

- Wiem, że powinnam siedzieć cicho i zostawić wszystko w spokoju, ale nie mogę! Po prostu nie mogę! - Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby chciała schwycić go za ramiona i mocno nim potrząsnąć. - Rozumiesz?

- Ani słowa - odparł.

- Muszę się dowiedzieć! - wykrzyknęła. - Muszę się dowiedzieć, czemu mi się oświadczyłeś!

Do tego tematu Gareth wolał nie wracać.

- Czy nie powiedziałaś, że nie zamierzasz dyskutować o moim ojcu?

- Skłamałam - przyznała. - Chyba mi nie uwierzyłeś, prawda?

- Rzeczywiście... - Uświadomił sobie nagle, że naprawdę tak było. - Chyba ci nie uwierzyłem.

- Ja po prostu... nie mogę...

Zaciskała dłonie z całej siły. Jeszcze nigdy nie widział Hiacynty równie zbolałej i udręczonej. Kilka kosmyków wyślizgnęło się z fryzury, może na skutek jej nerwowych ruchów. Twarz miała rozognioną.

Najbardziej jednak zmienił się wyraz jej oczu. Była w nich rozpacz i dziwne skrępowanie, które zupełnie do niej nie pasowało.

Gareth uświadomił sobie, że główną cechą Hiacynty, odróżniającą ją od reszty ludzkości, było to, że zawsze czuła się swobodnie w swojej skórze. Wiedziała, kim jest i była z tego zadowolona. I dlatego też tak dobrze się czuł w jej towarzystwie.

Uświadomił sobie również, że przypadło jej w udziale tyle przywilejów i tyle zalet, które jego ominęły...

Znała swoje miejsce w świecie. Wiedziała, gdzie przynależy.

Miała grono swoich najbliższych.

A on pragnął tego wszystkiego! Tak bardzo, że ból tego niespełnionego pragnienia przeżerał mu duszę. Tkwiła w nim, paliła go, dziwna, trudna do opisanja zazdrość.

- Gdybyś do mnie *coś czuł*, rozumiałbyś, jakie to dla mnie piekielnie trudne... Na litość boską, Gareth, powiedz coś!

- Ja...

Otworzył usta, ale miał -wrażenie, że udławiłby się pierwszym słowem. Czemu właściwie poprosił ją, żeby za niego wyszła? Istniały

setki powodów... Może nawet tysiąc? Usiłował przypomnieć sobie, skąd przyszedł mu do głowy taki pomysł. Stało się to całkiem nagle, dobrze pamiętał! Nie mógł jednak przypomnieć sobie wyraźnie... poza tym, że była to słuszna decyzja.

Nie dlatego, że spodziewano się takiej po nim; nie dlatego, że uznano by to za właściwe, ale dlatego, że tak właśnie być powinno!

Owszem, przemknęło mu przez myśl, iż będzie to ostateczne zwycięstwo w niekończącej się grze z ojcem. Ale nie z tego powodu oświadczył się Hiacyncie!

Zrobił to, ponieważ musiał to zrobić.

Po prostu nie wyobrażał sobie, że mógłby podjąć inną decyzję.

Ponieważ... kochał tę dziewczynę!

Poczuł, że nogi się pod nim uginają. Bogu dzięki, że biurko stało tuż za nim, bo wylądowałby na podłodze.

Jak to się stało, u licha? Był zakochany w Hiacyncie Bridgerton!

Miał wrażenie, że gdzieś... ktoś... śmieje się w tej chwili ze swojego żartu.

- Pójdę już - powiedziała łamiącym się głosem.

Dopiero, gdy już podchodziła do drzwi, zdał sobie sprawę, że milczał chyba przez minutę.

- Nie!-powiedział szorstko.-Zaczekaj!

A potem dodał:

- Proszę...

Zatrzymała się, odwróciła. Zamknęła drzwi.

Wtedy zrozumiał, że musi jej powiedzieć. Nie o tym, że ją kocha! Na to jeszcze nie był gotowy. Ale musiał wyznać jej prawdę o swoim pochodzeniu. Nie mógł zmusić jej kłamstwem do poślubienia bękarta!

- Hiacynto, ja...

Słowa utknęły mu w gardle. Nigdy jeszcze nie powiedział o tym nikomu. Nawet babci. Nikt oprócz niego i barona nie znał prawdy.

Od dziesięciu lat Gareth dławił ją w sobie. Pozwalał, by rosła i wypełniała go tak, iż czasem miał wrażenie, że stała się treścią niego samego. Był tylko ukrywaną tajemnicą. Chodzącym kłamstwem.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczął z wahaniem.

Wyczuła widać, że to coś niezwykłego, gdyż znieruchomiała.

Hiacyncie coś takiego raczej się nie zdarzało.

- Ja... Mój ojciec...

Jakie to dziwne! Nigdy nie przypuszczał, że komuś o tym powie. Nie przygotował sobie właściwych słów. Nie wiedział, jak zebrać je razem, jak ułożyć w zdania.

- On nie jest moim ojcem! - wyrzucił w końcu z siebie.

Hiacynta zamrugała oczami. Raz i drugi.

- Nie wiem, kto jest moim prawdziwym ojcem.

Nadal nic nie mówiła.

- Pewnie nigdy się tego nie dowiem.

Wpatrywał się w jej twarz, oczekując jakiejś reakcji. Była jednak pozbawiona wszelkiego wyrazu i naturalnego ożywienia do tego stopnia, że Hiacynta zupełnie nie przypominała siebie samej.

Dopiero później, gdy już zrozumiał, że stracił ją raz na zawsze, zacisnęła usta w gniewną kreskę. Rzuciła szorstko:

- No, no! To doprawdy dobra nowina!

Rozdziawił usta.

- Słucham?!

- Niezbyt mnie cieszyła myśl, że w moich dzieciach będzie płynąć krew barona St. Claira! - Hiacynta wzruszyła ramionami i uniosła brwi w charakterystyczny dla siebie sposób. - Nie mam nic przeciwko temu, że odziedziczą jego tytuł. Przyjemnie poszczycić się czymś takim! Ale dziedzictwo krwi to całkiem co innego! Straszny z niego gbur, wiesz?

Gareth skinął głową. Czuł, że kipią w nim jakieś niepokojące emocje.

- Zdążyłem to zauważyć - usłyszał własny głos.

- Myślę, że lepiej utrzymać całą sprawę w tajemnicy - zauważyła Hiacynta takim tonem, jakby mówiła o nic nieznaczących sprawach.

- Kto jeszcze o tym wie?

Zamrugał oczyma, zaszokowany jej rzeczowym podejściem do sprawy.

- Tylko baron i ja, o ile mi wiadomo.

- I twój prawdziwy ojciec.  
- Mam nadzieję, że nie. - Gareth uświadomił sobie, że po raz pierwszy sformułował te słowa w myśli.,. a nawet wypowiedział je na głos!

- Rzeczywiście, mógł nie wiedzieć o tym. Albo dojść do wniosku, że będzie dla ciebie lepiej, jeśli wychowasz się w domu St. Clairów jako dziecko z arystokratycznej rodziny.

- Zdaję sobie sprawę z tego wszystkiego - mówił Gareth z gorczycą - ale to dla mnie niewielka pociecha.

- Twoja babka mogła wiedzieć coś więcej na ten temat.

Spojrzał na nią pytająco.

- Babka Isabella - uściśliła. - Mam na myśli jej pamiętnik.

- W rzeczywistości wcale nie była moją babką.

- Czy kiedykolwiek ci to okazała? Dała do zrozumienia, że nie czuje się z tobą związana?

- Nie - odparł, pogrążony we wspomnieniach. - Kochała mnie. Nie wiem czemu, ale kochała.

- Może dlatego - powiedziała Hiacynta nieco drżącym głosem - że nietrudno cię pokochać!

Serce w nim podskoczyło.

- Więc nie chcesz zerwać zaręczyn? - zapytał z pewnym wahaniem.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- A ty?

Pokręcił głową.

- No to czemu sądzisz - spytała z leciutkim uśmiechem - że ja bym tego chciała?

- Twoja rodzina może sobie nie życzyć takiego zięcia i szwagra!

- Też coś! Nie zadzieramy nosa aż tak wysoko! Zona jednego z moich braci jest nieślubną córką hrabiego Penwooda i aktorki Bóg wie jakiego pochodzenia, a każde z nas dałoby się za nią posiekać w kawałki! - Hiacynta zmrużyła oczy i pilnie coś rozważała. - A ty nawet nie jesteś nieślubnym dzieckiem!

- Nie jestem. Mój ojciec nie może tego odżałować!

- No to - odparła Hiacynta - nie widzę problemu! Mój brat i Sophie pędzą życie w wiejskim zaciszu, między innymi z powodu jej pochodzenia, ale my nie będziemy do tego zmuszeni. Chyba że-  
byś sobie tego życzył.

- Baron w każdej chwili może wywołać niesamowity skandal -ostrzegł ją.

Uśmiechnęła się.

- Chcesz mnie zniechęcić do małżeństwa z tobą?

- Chcę tylko, żebyś zrozumiała...

- Powinieneś już wiedzieć, że wszelkie próby wybijania mi czegoś z głowy to daremny trud!

Gareth tylko się uśmiechnął.

- Twój ojciec nie piśnie ani słowa - mówiła Hiacynta. - Co by mu to dało? Przyszedłeś na świat jako syn szacownej mężatki, a więc ślubny potomek St. Clairów, nie może więc pozbawić cię tytułu. A ujawniwszy, że nie jesteś jego dzieckiem, przyzna się tylko do tego, że przyprawiono mu rogi. - Z miną bardzo pewną siebie machnęła ręką. - Żaden mężczyzna nie chciałby się tak upokorzyć!

Wargi Garetha wygięły się w uśmiechu. Czuł, że zachodzi w nim jakaś wewnętrzna przemiana. Zrobiło mu się lżej na duszy, swobodniej oddychał.

- Skąd tak dobrze wiesz, czego chcą, a czego nie chcą mężczyźni? - szepnął, zмирzając powoli w jej stronę.

- A ty chciałbyś, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteś rogaczem?

Pokręcił głową.

- Mnie coś takiego nie grozi!

Wyglądała na nieco zaniepokojoną, ale i podnieconą, gdy podchodził coraz bliżej.

- Nie grozi ci, jeśli zadbasz o to, żebym była szczęśliwa!

- Hej, moja panno! Cóż mają znaczyć te pogróżki?

Zrobiła przekorną minę.

- Kto wie?

Dzielił ich już tylko krok.

- Co za życie mnie czeka? Okropność!

Uniosła nieco wyżej głowę. Jej pierś zafalowała mocniej.

- Nie jestem zbyt łatwa w pożyciu...

Ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- Lubię wyzwania!

- W takim razie dobrze się składa, że masz zamiar...

Pochwycił jeden z jej palców i wsunął sobie do ust. Hiacyncie zaparło dech.

- ..ożenić się ze mną - zdołała jakoś dokończyć zdanie.

Wziął drugi palec.

- Mm-hm...

- Ja... ja... Och!

- Wymowna jesteś! - zauważył ze śmiechem.

- Co ty... Och!

Uśmiechnął się do siebie i zajął się jej przegubem.

- ... sobie myślisz?!

Jednak w pytaniu Hiacynty było już niewiele zadziorności. Dośownie topniała, oparta o ścianę, on zaś poczuł się jak władca świata!

- O, nic wielkiego - mruzczał, przyciągając dziewczynę bliżej, by wodzić ustami po jej szyi. - Tylko tyle, że nie mogę się już doczekać, kiedy się wreszcie pobierzemy i będziesz mogła krzyczeć, ile dusza zapagnie!

Nie widział jej twarzy - zbyt zajęty dekoltem sukni, który stanowczo należało powiększyć - wiedział jednak, że Hiacynta zarumieniła się. Czuł bijący od niej żar.

- Gareth! - zaprotestowała słabo. - Musimy z tym skończyć!

- Nie mówisz chyba poważnie! - Wsunął rękę pod spódnicę, gdy się okazało, że dekoltu nie da się poszerzyć.

- Nie.-Westchnęła. - Chyba nie!

Uśmiechnął się.

- To dobrze!

Pojękiwała, gdy palce Garetha łaskotały ją po nodze, coraz wyżej. Pozostała w niej jednak jakaś resztką rozsądku, powiedziała bowiem:

- Ale nie możemy... Och!

- Wiem, że nie możemy - przytaknął. Na biurku byłoby zbyt niewygodnie, na podłodze nie mieliby dość miejsca, a poza tym



nie miał wcale pewności, czy Phelps zamknął drzwi z korytarza do sypialni. Odsunął się więc i obdarzył Hiacyntę isticie diabelskim uśmiezkciem. - Możemy sobie jednak znaleźć inne zajęcie...

Zrobiła wielkie oczy.

- Jakie? - spytała z uroczą nieufnością.

Splótł palce z jej palcami i uniósł obie ręce Hiacynty ponad jej głowę.

- Masz do mnie zaufanie?

- Ani trochę. Ale wszystko mi jedno!

Trzymając jej ręce w górze, oparł dziewczynę o drzwi i pochylił się, by ją pocałować. Smakowała herbatą i...

I sobą.

Na to, by zliczyć wszystkie razy, kiedy ją całował, starczyłoby palców jednej ręki, a mimo to rozpoznałby wszędzie jej niepowtarzalny zapach. Była niezrównana, niepodobna do wszystkich innych, gdy tonęła w jego objęciach i topniała pod jego pocałunkami. I wiedział już, że żadna inna kobieta nie zastąpi mu Hiacynty.

Puścił jedną jej rękę i wodził lekko dłońią po jej ramieniu... barku... szyi... policzku... Potem oswobodził także i drugą rękę Hiacynty i jego palce zakradły się znów pod spódnice.

Wykrztusiła jego imię, nie mogąc złapać tchu, gdy wścibskie palce sunęły w górę po jej nodze.

- Odpręż się - szeptał gorącymi wargami do jej ucha.

- Nie mogę.

- Właśnie że możesz!

- Nie. - Objęła dłońmi jego twarz, zmuszając, by spojrzał na nią. - Nie mogę!

Gareth roześmiał się głośno, rozbawiony jej apodyktycznym tonem.

- W porządku - skapitulował. - Nie odprężaj się.

A potem, nim zdążyła coś odpowiedzieć, wsunął palec pod brzeg majteczek i dotknął jej.

- Och!

- Teraz już nie będzie mowy o odprężaniu! - Roześmiał się.

- Gareth! - sapnęła.

- „Och, Gareth!”, „Nie, Gareth!” czy „Jeszcze, Gareth, jeszcze”?  
- mówił stłumionym, namiętym głosem.

- Jeszcze! -jęknęła. - Proszę!

- Ubóstwiam, gdy kobieta umie ładnie poprosić! - pochwalił, zdwijając swoje wysiłki.

Głowa Hiacenty, odrzucona do tyłu, opadła nagle i dziewczyna mogła mu teraz spojrzeć prosto w oczy.

- Zapłacisz mi za to! - zagroziła.

Uniósł brew.

, - Naprawdę?

Skinęła głową.

- Jeszcze nie teraz, ale popamiętasz!

Zaśmiał się cicho.

- W porządku!

Głaskał ją leciutko i doprowadził tą pieśczętą niemal do szczytowania. Oddech jej się rwał, usta miała rozchyłone, spojrzenie za mgłą. Gareth wpatrywał się z zachwytem w jej twarz. Kochał każdy jej rys, grę światła na kościach policzkowych, zarys szczęki...

Teraz jednak, gdy Hiacenta zatraciła się w namiętności, jej piękność po prostu zapierała mu dech. Nie była to piękność zgodna z ogólnie przyjętymi kanonami, ale bardziej subtelna, jedyna w swoim rodzaju.

I całe to piękno należało do niego i tylko do niego!

W obliczu takiego cudu odczuwał wprost pokorę.

Nachylił się, by ucałować swoją dziewczynę z całą miłością, jaka go przepełniała. Pragnął wchłonać w siebie każde jej westchnienie, scałować każdy jej zdyszany oddech, spić z jej warg każdy jęk. Jego palce nadal łaskotały ją i drażniły, a ona prężyła się pod ich dotknięciem, bezradna pomiędzy twardą ścianą a naporem jego ciała.

- Gareth! - szepnęła bez tchu, odrywając się od pocałunku po to tylko, by wymówić jego imię.

- Zaraz, zaraz! - obiecywał z uśmiechem. - Może już?

W chwili, gdy przygarnął ją, by pocałować raz jeszcze, nie zaprzestając innych pieśczęt, uświadomił sobie, jak bardzo sam jest pobudzony. Rozpaczliwie jej pragnął, ale cała jego uwaga tak dalece skoncentrowana była na niej, że nie dostrzegał własnej udręki.

Aż do tego momentu.

Nic nie szkodzi, tłumaczył sobie. Całe życie przed nimi! Jeśli raz się skapie w wannie z lodowatą wodą, nic mu się nie stanie!

- Szczęśliwa?

Skinęła głową. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Cmoknął ją w nos i przypomniał sobie o szkicach leżących na biurku. Nie zostały co prawda ukończone, ale chwila była jak najbardziej odpowiednia, żeby je zaprezentować.

- Mam coś dla ciebie - oznajmił.

Oczy jej się zaświeciły.

- Naprawdę?

Skinął głową.

- Pamiętaj tylko, że przede wszystkim liczą się dobre chęci!

Uśmiechnęła się i podeszła do biurka, po czym usadowiła się na fotelu naprzeciw niego.

Gareth odsunął na bok kilka książek i ostrożnie wziął do ręki jeden szkic.

- Nie jest jeszcze ukończony - zastrzegł się.

- Nie szkodzi - powiedziała miękko.

Ciągle jednak nie pokazywał jej rysunku.

- Myślę, że to raczej oczywiste, iż nie odnajdziemy tych klejnotów-zaczął.

- Nieprawda! - zaprotestowała. - Możemy.

- Ciii... Pozwól mi skończyć.

Było to sprzeczne z całym jej charakterem, ale zdołała zamknąć buzię.

- Nie mam zbyt wiele pieniędzy...-mówił dalej.

- Nie szkodzi!

Uśmiechnął się krzywo.

- Rad jestem, że tak do tego podchodzisz; nie grozi nam śmierć głodowa, ale nie będziemy mogli żyć na takim poziomie, jak twoi bracia i siostry.

- Nie zależy mi na tym!

I rzeczywiście tak było. A przynajmniej miała nadzieję, że tak będzie. Wiedziała jednak, czuła to całym ciałem, że niczego nie pragnie tak bardzo, jak pragnęła jego.

Wydawał się wdzięczny narzeczonej za taką bezinteresowność, ale i trochę nią skrepowany.

- Moja sytuacja zapewne jeszcze się pogorszy, gdy odziedziczę tytuł - dodał. - Mam wrażenie, że baron dokłada wszelkich starań, żeby z za grobu doprowadzić mnie do ruiny.

- Znów usiłujesz mnie zniechęcić do małżeństwa z tobą?

- O nie! Teraz już się ode mnie nie uwolnisz! Ale chcę, żebyś o czymś wiedziała: gdyby to było w mojej mocy, ofiarowałbym ci cały świat. - Podał jej szkic. - Poczynając od tego.

Wzięła rysunek do ręki i przyjrzała mu się. Był to jej portret.

Zrobiła wielkie oczy ze zdziwienia.

- To twoje dzieło?

Skinął głową.

- Nie jestem w tym bardzo wprawny, ale potrafię...

- To znakomity portret! - przerwała mu.

Gareth nie miał szans na przejście do historii jako słynny artysta, ale dobrze uchwycił podobieństwo i, zdaniem Hiacynty, wyraz jej oczu. Nie dostrzegła tego w żadnym z portretów zamówionych przez jej rodzinę u profesjonalistów.

- Myślałem o babci Isabelli - powiedział Gareth, pochylając się ku niej przez biurko. - I przypomniała mi się pewna historia, którą mi opowiadała, kiedy byłem mały. O księżniczce, złym księciu i - uśmiechnął się żałośnie - brylantowej bransoletce.

Hiacynta wpatrywała się w twarz narzeczonego, urzeczona jego ciepłym spojrzeniem, ale po tych słowach pospiesznie spojrzała znów na rysunek. Dostrzegła na swoim ręku brylantową bransoletę.

- Pewnie ani trochę nie przypomina tej, którą babcia ukryła - mówił - ale narysowałem ją tak, jak mi ją opisywała, opowiadając tę bajkę. Taki właśnie klejnot pragnąłbym ci ofiarować, gdybym tylko mógł.

- Gareth, ja... - Poczowała, że łzy napływają jej do oczu i zaraz spłyną po policzkach. - To najwspanialszy prezent, jaki w życiu dostałam!

Miał dziwną minę. Jakby nie wiedział, czy może jej wierzyć.

- Nie mów tak.

- Mówię, bo to prawda! - zapewniła, zrywając się na równe nogi.

Gareth odwrócił się i wziął z biurka następny szkic.

- Narysowałem ją raz jeszcze - wyjaśnił. - W powiększeniu, żebyś mogła lepiej się przyjrzeć.

Wzięła drugi szkic do ręki i obejrzała dokładnie. Była na nim ta sama bransoletka, jakby zawieszona w powietrzu.

- Śliczna! - Hiacynta ze wzruszeniem gładziła rysunek.

Gareth poczuł się trochę głupio.

- Żałuję, że nie jest prawdziwa.

Hiacynta skinęła głową, nie odrywając wzroku od rysunku. Każde ogniwo bransoletki miało kształt liścia. Wyglądała subtelnie i oryginalnie, a Hiacynta pragnęła z całego serca włożyć ją na rękę.

Nigdy żaden klejnot nie sprawiłby jej tyle radości co te dwa rysunki. Nigdy!

- Ja...

Spojrzała Garethowi w oczy. Jej usta rozchyliły się ze zdumienia. Omal nie wyrwało się jej: „Kocham cię”!

Zamiast tego powiedziała:

- Zakochałam się w twoich rysunkach!

Kiedy jednak popatrzyła na Garetha, miała wrażenie, że wyczytał jej z oczu prawdę.

Kocham cię!

Uśmiechnęła się i położyła rękę na jego ręce. Pragnęła mu to wyznać, ale nie była jeszcze całkiem gotowa... Nie bardzo wiedziała, czemu. Może bała się powiedzieć to pierwsza? Ona, która zwykle niczego się nie obawiała, teraz lękała się wypowiedzieć te dwa słowa!

Zdumiewające!

Zatrważające!

Postanowiła zmienić temat rozmowy.

- Chciałabym poszukać tych klejnotów. - Odchrząknęła, by jej głos zabrzmiał znów rzeczowo.

Gareth jęknął.

- Czemu wreszcie nie dasz za wygraną?!

- Bo... po prostu nie mogę! - Zacisnęła wargi. - A przede wszystkim nie chcę, żeby te skarby zagarnął twój ojciec! A prawda...  
- Zerknęła na Garetha. - Mogę nadal tak o nim mówić?

Wzruszył ramionami.

- Ja go tak nazywam. Trudno się odzwyczaić.

Przytaknęła ruchem głowy.

- Nieważne, że Isabella nie była naprawdę twoją babcią. Zasługujesz na tę bransoletkę, i już!

Uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- A to dlaczego?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Bo zasługujesz! - orzekła w końcu. - Ktoś z pewnością odnajdzie ją, a nie chcę, żeby to był on! Poza tym - spojrzała z czułością na rysunek - to jest po prostu cudowne!

- Czy nie lepiej się wstrzymać z poszukiwaniami, aż znajdziemy tego słoweńskiego tłumacza?

Pokręciła głową i wskazała na notatkę leżącą na biurku.

- A co, jeśli to nie jest po słoweńsku?

- Mówiłaś, że jest - odparł, wyraźnie zniecierpliwiony.

- Powiedziałam, że mój brat tak uważa. Wiesz, ile jest rozmaitych języków w środkowej Europie?!

Zaklął pod nosem.

- No tak - mruknęła. - To niesłuchanie zniechęcające!

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Wcale nie dlatego kłamię!

- No to dlaczego?

- Ponieważ, prędzej czy później, doprowadzisz mnie do szału!

Hiacynta uśmiechnęła się i wskazującym palcem stuknęła go w pierś.

- Teraz rozumiesz, czemu moja rodzina robi wszystko, byle tylko pozbyć się mnie z domu?

- Oj, rozumiem!

Przechyliła głowę na bok.

- Wybierzemy się tam jutro?

- Nie.

- A pojutrze?

- Nie!

- Bardzo proszę! - przymilała się.

Chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do drzwi.

- Odprowadzę cię do domu! - oznajmił.

Próbowała jeszcze powiedzieć coś przez ramię.

- Proszę...

- Nie!

Poczłapała niechętnie, popychana przez Garetha, do drzwi. Kiedy nie mogła już dłużej zwlekać, schwyciła za klamkę; zanim jednak nacisnęła ją, raz jeszcze otwarła usta i...

- Nie!

- Nic nie mówiłam.

- W porządku -jęknął, doprowadzony do ostateczności, wyrzucając ręce ku niebu. -Wygrałaś!

- Och, dzięki.

- Ale ciebie nie zabiorę!

Skamieniała z otwartymi ustami.

- Co takiego?!-wykrztusiła wreszcie.

- Ja pójdę - oznajmił z taką miną, jakby wołał, żeby mu wyrwano wszystkie zęby. - Ale ty nie!

Wpatrywała się w niego zastanawiając się, jakby tu powiedzieć: „To niesprawiedliwe!” w taki sposób, by nie zabrzmiało dziecinnie. Doszedłszy do wniosku, że to niemożliwe, wdała się w rozważania, jakby tu zapytać: „Skąd mam wiedzieć, czy naprawdę tam pójdziesz?”, nie wyrażając przy tym braku zaufania do niego.

Do licha! Po prostu niewykonalne!

Skrzyżowała więc ręce na piersi i przeszła go morderczym spojrzeniem.

Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Spojrzał tylko na nią i powtórzył:

- Nie!

Hiacynta otworzyła usta po raz ostatni, po czym poddała się, westchnęła i oświadczyła:

- No cóż. Gdybym mogła zawsze okręcić cię wokół małego palca, nie byłbyś wart, żeby za ciebie wyjść!

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Będziesz wspaniałą żoną, Hiacynto Bridgerton! - stwierdził i popychając ją, zmusił do opuszczenia pokoju.

- Hm!

Gareth jęknął.

- Wielkie nieba! Tylko się nie zmieniaj w moją babcię!

- Mam ten szczytny zamiar - oznajmiła wyniośle.

- Wielka szkoda - mruknął i pociągnął ją za ramię, skutkiem czego zatrzymała się, nim dotarli do salonu.

Zwróciła się do Garetha z pytaniem w oczach.

Uśmiechnął się jak wcielenie niewinności.

- No cóż. Nie mógłbym potraktować mojej babci w taki sposób...

- Och! -jęknęła.

Jakim cudem zdołał wetknąć tam rękę?!

- Ani w taki...

- Gareth!

- „Tak, tak, Gareth" czy „Nie, Gareth!"?

Uśmiechnęła się. Nie mogła się powstrzymać!

Jeszcze, Gareth, jeszcze!

## 19

*Następny wtorek. Wszystko, co najważniejsze, jakimś cudem zdarza się właśnie we wtorki, zauważyliście?*

Proszę zobaczyć, co ja tu mam!

Hiacynta uśmiechała się od ucha do ucha, stojąc w drzwiach salonu lady Danbury i trzymając w uniesionej ręce *Pannę Davenport i mrocznego markiza*.

- Nowa książka? - odezwała się lady Danbury z drugiego końca pokoju.



Siedziała na swoim ulubionym fotelu tak godnie i dumnie, jakby to był tron.

- I to nie byle jaka! - odparła Hiacynta z przebiegłym uśmiechem, podając książkę starej damie. - Proszę zobaczyć!

Lady Danbury spojrzała na tytuł i rozpromieniła się.

- Tej jeszcze nie czytaliśmy - stwierdziła. Zwróciła wzrok na Hiacyntę. - Mam nadzieję, że nie jest taka okropna jak cała reszta.

- Niechże pani da spokój, lady Danbury! - Hiacynta usiadła obok hrabiny. - Nie powinna ich pani tak postponować.

- Nie twierdzę, że nie były zajmujące - przyznała stara dama, żywo kartkując nowy skarb. - Ile nam jeszcze zostało rozdziałów naszej drogiej *Panny Butterworth*?

Hiacynta wzięła do ręki powieść, która leżała na pobliskim stoliku, i otworzyła ją w miejscu zaznaczonym zakładką w ubiegły wtorek.

- Jeszcze trzy. - Sprawdziła.

- Hm! Ciekawe, na ilu jeszcze skalnych szczytach biedna Priscilla będzie narażać życie?

- Co najmniej na dwóch - mruknęła Hiacynta. - Chyba że skosi ją morowa zaraza!

Lady Danbury usiłowała zajrzeć do książki przez ramię swej towarzyszki.

- Myślisz, że to możliwe? Jakaś szalejąca plaga od razu by ożywiła akcję!

Hiacynta roześmiała się.

- Przydałoby się coś takiego w podtytule! *Panna Butterworth i szalony baron*, czyli - tu dramatycznie zniżyła głos - *Tchnienie zarazy!*

- A mnie by się bardziej podobał podtytuł: *Zadziobana na śmierć przez gołębie!*

- Kto wie, czy nie powinniśmy jednak napisać wspólnie książki? - zastanawiała się Hiacynta, gotowa do rozpoczęcia rozdziału osiemnastego.

Lady Danbury robiła takie wrażenie, jakby miała ochotę poklepać ją po głowie.

- Ciągłe ci to powtarzam!

Hiacynta ścisnęła palcami nasadę nosa i pokręciła głową.

- Nie! - zawyrokowała. - Zabawne byłoby tylko wymyślanie tytułów. A któż by kupił zbiór niedorzecznych tytułów powieściowych?

- Niejeden, gdyby na okładce znalazło się moje nazwisko!  
- odparła stara dama z wielką pewnością siebie. - A jeśli już o tym mowa, jakże ci idzie tłumaczenie pamiętnika drugiej babki mojego wnuka?

Głowa Hiacynta to podnosiła się, to opadała, gdy dziewczyna usiłowała przebrnąć przez stylistyczne zawiłości ostatniego zdania lady D.

- Bardzo przepraszam - powiedziała w końcu - ale jaki to ma związek z popytem na książkę autorstwa pani hrabiny?

Lady Danbury machnęła energicznie ręką, jakby chciała odpedzić uwagę Hiacynty, niczym natrętną muchę.

- Nic mi nie mówiłaś o tym tłumaczeniu! - poskarżyła się.

- Przetłumaczyłam niewiele ponad połowę - przyznała Hiacynta. - Okazuje się, że nie pamiętam włoskiego tak dobrze, jak mi się zdawało i to zadanie jest znacznie trudniejsze, niż przewidywałam.

Lady D. pokiwała głową.

- To była urocza kobieta!

Hiacynta zamrugała oczami ze zdumienia.

- Pani znała Isabellę?

- Oczywiście! Przecież jej syn ożenił się z moją córką.

- A tak... Prawda - wymamrotała Hiacynta.

Nie pojmowała, czemu wcześniej nie przyszło jej to do głowy. I zastanawiała się, czy lady Danbury wiedziała coś o niezwykłych okolicznościach, w jakich narodził się Gareth? On był pewien, że babcia nie miała o niczym pojęcia, i nigdy z nią na ten temat nie rozmawiał. Może jednak oboje zachowywali milczenie, wychodząc z błędnego założenia, że to drugie o niczym nie wie?

Hiacynta otworzyła usta i pospiesznie je zamknęła. Nie miała prawa poruszać tego tematu. Żadnego prawa!

Ale...

Nie! Zacisnęła zęby, jakby się obawiała, że coś jej się wymknie. Nie zdradzi tajemnicy Garetha! Nie ma mowy, w żadnym wypadku!

- Zjadłś coś niestrawnego? - spytała bez cienia taktu lady D.  
- Nietęgo mi wyglądasz!

- Czuję się doskonale - odparła Hiacynta, siłąc się na bez troski uśmiech. - Zadumałam się po prostu nad tym pamiętnikiem... Prawdę mówiąc, wzięłam go ze sobą, żeby mieć coś do czytania w powozie.

Pracowała niezmordowanie nad przekładem od chwili, gdy przed kilkoma dniami poznała sekret narzeczonego. Nie miała żadnej pewności, czy się dowiedzą kiedykolwiek, kto był prawdziwym ojcem Garetha, ale pamiętnik Isabelli mógł dostarczyć pewnych informacji, więc czemuż by od niego nie rozpocząć poszukiwań?

- Doprawdy? - Lady Danbury rozsiała się wygodnie w fotelu i przymknęła oczy. Poczytaj więc i mnie trochę po włosku, zamiast tego powieścić, dobrze?

- Przecież nie zna pani włoskiego! - przypomniała jej Hiacynta.

- Wiem, wiem... ale to taki śliczny język, płynny i melodyjny. A drzemka mi się przyda.

- Jest pani pewna? - spytała Hiacynta, sięgając do niewielkiej torebki po pamiętnik.

- Ze drzemka mi się przyda? Tak, niestety! Już od dwóch lat po prostu muszę sobie pospać po południu!

- Chodziło mi o to, czy naprawdę mam czytać na głos ten pamiętnik - mruknęła Hiacynta. - Jeśli chce pani zapaść w sen, milady, znam lepsze metody niż lektura w języku włoskim.

- Ależ, Hiacynto! - W głosie lady D. brzmiał skrywany śmiech.  
- Czyżbyś chciała zanucić mi kołysankę?

Dziewczyna wywróciła oczami.

- Jest pani równie nieznośna jak dziecko!

- Każdy wraca tam, skąd się wywodzi, droga panno Bridgerton. Tam, skąd się wywodzi!

Hiacynta znalazła odpowiednie miejsce w pamiętniku. Przerwała lekturę na wydarzeniach z wiosny 1793 roku, cztery lata przed narodzinami Garetha. Z tego, co wyczytała, jadąc powozem do lady Danbury, wynikało, że matka Garetha spodziewała się dziecka. Domyśliła się, że chodzi o George'a. Przedtem Anne dwukrotnie poroniła, co nie nastawiło do niej życzliwie małżonka.

W tej opowieści zwróciło jej uwagę to, że Isabella mówiła o swoim synu z rozczarowaniem. Kochała go oczywiście, żałowała jednak, że pozwoliła mężowi, by ukształtował go na swój obraz i podobieństwo. Syn - jak pisała Isabella - stał się kropka w kropkę taki jak ojciec. Traktował matkę z lekceważeniem, a sytuacja jego żony nie przedstawiała się lepiej.

Opowieść Isabelli była raczej przygnębiająca. Hiacynta polubiła tę Włoszkę. Zapiski dowodziły inteligencji i poczucia humoru autorki; chociaż nie udało jej się przetłumaczyć wszystkiego, myślała z przyjemnością, że gdyby były w tym samym wieku, z pewnością zaprzyjaźniłyby się ze sobą. Sprawiało jej więc ból, gdy widziała, jak bardzo mąż niszczył osobowość Isabelli i unieszczęśliwiał ją.

Umocniło się również przekonanie Hiacynty, jak ważne jest, kogo poślubiamy. I to nie ze względu na stopień zamożności czy na pozycję społeczną, choć Hiacynta nie była naiwną idealistką, która wmawia sobie, że są to sprawy całkiem bez znaczenia.

Ale człowiek ma tylko jedno życie i, przeważnie, tylko jednego małżonka. Jak to wspaniale, gdy szczerze się lubi człowieka, który ma być naszym towarzyszem do śmierci! Mąż nie bił Isabelli, ani nie pastwił się nad nią fizycznie, ale ignorował ją; nie liczył się z jej zdaniem w żadnej sprawie. Zesłał kobietę na wygnanie do odległej wiejskiej posiadłości, od synów zaś wymagał, by tylko z niego brali przykład. Ojciec Garetha traktował żonę tak samo, jak dziadek. Hiacynta podejrzewała, że stryj Garetha postępowałby podobnie, gdyby nie to, że żył zbyt krótko, by się ożenić.

- No więc, czytasz czy nie czytasz? - spytała dość ostrym tonem lady D.

Hiacynta spojrzała na hrabinę, która nie pofatygowała się nawet otworzyć oczu, zgłaszając pretensje.

- Jeszcze chwileczkę... O, już mam!

Hiacynta odchrząknęła i zaczęła czytać po włosku. *Si awicina il giorno in cui nascera il mio primo nipote. Prego che sia un maschio...*

W myśli tłumaczyła na angielski to, co czytała głośno po włosku:

*Zbliża się dzień, w którym przyjdzie na świat moje pierwsze wnuczátko. Modłę się, żeby to był chłopiec. Ogromnie bym się cieszyła z małej dziewczuszki... Zapewne mogłabym widywać ją częściej i jawniej okazywać jej swą miłość, ale dla nas wszystkich będzie lepiej, jeśli urodzi się chłopiec. Trwożę się na myśl, jak szybko Anne byłaby zmuszona znosić znów uściski mojego syna, gdyby urodziła mu dziewczynkę...*

*Powinnam bardziej kochać własnego syna, a zamiast tego martwię się o jego żonę...*

Hiacynta przerwała czytanie i spojrzała bacznie na lady Danbury. A nuż się zdradzi w jakiś sposób z tym, że rozumie po włosku? W końcu to, co czytała, dotyczyło jej córki! Ciekawe, czy hrabina zdawała sobie sprawę z tego, jak nieudane było małżeństwo Anne? Ale lady D. - o dziwo - zaczęła pochrapywać.

Hiacynta zamruwała oczami, zdumiona i pełna podejrzeń. Nie przypuszczała, że stara dama usnie tak szybko! Milczała przez dłuższą chwilę, spodziewając się, że hrabina zaraz otworzy oczy i gromkim głosem zażąda, by kontynuować czytanie.

Po chwili jednak Hiacynta nabrała pewności, że lady D. naprawdę zasnęła. Czytała więc dalej po cichu, pracowicie przekładając w myśli każde zdanie na angielski. Następny zapis w pamiętniku, sądząc z daty, został dokonany kilka miesięcy później. Isabella wyrażała w nim swoje zadowolenie z tego, że Anne urodziła chłopca, który otrzymał imię George. Baron pękał z dumy i nawet ofiarował żonie złotą bransoletkę!

Hiacynta przerzuciła kilka kartek, starając się odnaleźć zapiski Isabelli z roku 1797, kiedy urodził się Gareth. Jedna kartka, dwie, trzy... Pieczołowicie liczyła strony, dotyczące następnych lat. O, rok 1796! Gareth przyszedł na świat w marcu, a więc, gdyby Isabella miała coś wspomnieć o okolicznościach jego poczęcia, wzmianka o tym znalazłaby się właśnie tutaj, a nie w następnym roku.

Od tego miejsca dzieliło ją dziesięć nieprzeczytanych jeszcze stron, nie więcej.

Przyszło jej nagle do głowy...

Czemu by tych stron nie opuścić? Przecież żadna surowa reguła nie zmuszała jej do tłumaczenia wszystkiego po kolei, w porządku

chronologicznym. Mogła z powodzeniem zerknąć najpierw na zapiski z roku 1796 i 1797. Sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś wzmianki na temat Garetha i jego pochodzenia. Jeśli nic nie znajdzie, cofnie się do pamiętnych kartek i przeczyta od nowa.

Czytać po kolei? Czy wybiec nieco do przodu? Do tyłu, czy. Naprzód!

Zdecydowała się na zapiski z 1796 roku i lewą ręką przycisnęła opuszczone kartki, by już nie zawrócić. Zdecydowanie naprzód!

*24 czerwca 1796 roku - czytała po cichu. - Przyjechałam do wiejskiej rezydencji i dowiedziałam się, że mój syn wyjechał już do Londynu.*

Hiacynta szybko dokonała obliczeń w myśli. Gareth urodził się w marcu 1797 roku. Trzy miesiące wstecz - to grudzień 1796, a kolejne sześć to...

Czerwiec!

A ojciec Garetha przebywał wówczas w Londynie!

*Anne wydaje się zadowolona z jego nieobecności... A mały George to prawdziwy skarb! Czy to nie okropne przyznać, że czuję się o wiele lepiej, kiedy Richarda nie ma w domu? Jaka to radość mieć wokół siebie osoby, które kocham...*

Hiacynta skrzywiła się tylko, kończąc czytać ten fragment. Nie było w nim nic szczególnego. Żadnej wzmianki o tajemniczym nieznanym albo o jakiejś niestosownej zażyłości...

Zerknęła na lady Danbury której głowa opadła do tyłu. Usta miała półotwarte.

Hiacynta pospiesznie wróciła do lektury i zabrała się do następnego wpisu, dokonanego trzy miesiące później.

*Anne spodziewa się dziecka. Wszyscy wiemy, że Richard nie może być jego ojcem. Nie było go w domu ponad dwa miesiące. Obawiam się o moją synową. Richard jest wściekły! A ona z pewnością nie wyjawia mu prawdy.*

- Wyjaw tę prawdę! - syknęła przez zęby Hiacynta. - No, wyjaw mi ją!

- Co? Co takiego?!

Hiacynta zamknęła pamiętnik i podniosła wzrok.

Lady Danbury najwyraźniej budziła się z drzemki.

- Czemu przerwałaś czytanie? - spytała zasnym głosem.

- Nie przerwałam - skłamała Hiacynta, tak mocno ściskając pamiętnik w rękę, że jej rozgorączkowane palce omal nie wypaliły dziur w okładce. - To tylko pani się zdrzemnęła, milady!

- Naprawdę? - wymamrotała lady Danbury. - Chyba się starzej! Hiacynta uśmiechnęła się z przymusem.

- Niech będzie! - Lady D. machnęła ręką. Wierciła się przez chwilę na fotelu, przesuwając się to w prawo, to w lewo. - Całkiem się już rozbudziłam. Wracajmy do panny Butterworth!

Hiacynta była skonsternowana.

- W tej chwili?

- A niby kiedy?

Na to Hiacynta nie miała odpowiedzi.

- Niech będzie. - Zdobywała się z trudem na cierpliwość.

Zmusiła się do odłożenia pamiętnika i zamiast niego wzięła do rąk *Pannę Butterworth i szalonego barona*.

Odchrząknęła głośno raz i drugi, otwierając powieść na początku rozdziału osiemnastego.

- Drapie cię w gardle? - spytała lady Danbury. - W imbryczku jest jeszcze trochę herbaty.

- Nic mi nie dolega - odparła Hiacynta.

Odetchnęła głęboko i zaczęła czytać ze znacznie mniejszymżywieniem niż zazwyczaj. *Baron z pewnością miał jakąś tajemnicę. Priscilla była tego pewna. Pytanie tylko, czy owa tajemnica wyjdzie kiedyś na jaw?*

- No właśnie! - mruknęła Hiacynta.

- Co takiego?

- Mam wrażenie, że niebawem wydarzy się coś znaczącego! - odparła Hiacynta z westchnieniem.

- W każdej chwili może się wydarzyć coś znaczącego, moja droga - odpowiedziała lady Danbury. - A jeśli się nie wydarzy, należy zachowywać się tak, jakby się wydarzyło. Życie wydaje się wtedy barwniejsze!

W ustach lady D. ten komentarz zabrzmiał filozoficznie. Hiacynta milczała przez chwilę, rozważając jej słowa.

- Nie mam cierpliwości do tej najnowszej mody na nudę - ciągnęła lady Danbury, sięgając po laskę i waląc nią w podłogę. - Ha! Cóż to za zbrodnia okazywać zdrową ciekawość?!

- Słucham?

- Wracaj do czytania! - popędzała ją lady D. - Mam wrażenie, że dotarliśmy wreszcie do czegoś interesującego. Najwyższy czas!

Hiacynta skinęła głową. Kłopot polegał na tym, że dotarła do czegoś bardzo interesującego... ale nie w tej książce. Znów odetchnęła głęboko i próbowała skupić uwagę na *Pannie Butterworth*, ale słowa tańczyły jej przed oczyma. W końcu zwróciła się z prośbą do lady Danbury.

- Najmocniej przepraszam... Czy nie obrazi się pani, jeśli dziś wcześniej się pożegnám? Nie najlepiej się czuję...

Stara dama popatrzyła na nią takim wzrokiem, jakby Hiacynta oznajmiła właśnie, że spodziewa się nieślubnego dziecka z Napoleonem.

- Jutro z przyjemnością przyjdę i odrobię wszystkie zaległości - dodała pospiesznie Hiacynta.

Lady D. zamrugała oczami.

- Ale przecież dzisiaj jest wtorek!

- Wiem. - Hiacynta westchnęła. - Jest pani zwolenniczką trzymania się uświęconej tradycji?

- Ustalony porządek to podstawa cywilizacji.

- Tak, rozumiem, ale...

- Ale cechą naprawdę światłego umysłu jest zdolność przystosowania się do zmienionych warunków.

Hiacynta aż otworzyła buzię ze zdumienia. Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie wyobrażała sobie lady Danbury głoszącej takie poglądy!

- Idź już, idź, drogie dziecko - zakończyła lady D., ponaglając ją gestami do wyjścia. - Zajmij się tym, co tak cię intryguje!

Hiacynta przez chwilę wpatrywała się w nią bez słowa. Potem, pełna najcieplejszych i najzycielszych uczuć, pozbierała swoje rzeczy, wstała z miejsca i podbiegła do starej damy.



- Już niedługo będzie pani moją babunią! - powiedziała nachylając się i całując lady Danbury w policzek-

Nigdy dotąd nie pozwoliła sobie na taką poufałość, teraz jednak wydało się jej to czymś całkiem naturalnym.

- Niemądry dzieciaku! - odparła lady D., ocierając oczy, gdy Hiacynta zmierzała już ku drzwiom. - W głębi serca już od lat uważałam cię za swoją wnuczkę. Czekałam tylko, kiedy sama zaaprobujesz taki stan rzeczy!

## 20

*Tego samego dnia, późnym wieczorem. Hiacynta musiała odłożyć -prace nad tłumaczeniem pamiętnika z powodu ciągnącego się w nieskończoność rodzinnego obiadu, po którym bez końca grano w szarady. Dopiero o wpół do dwunastej natrafiła na informację, której szukała. Podniecenie związane z tym odkryciem okazało się silniejsze od względów ostrożności...*

Gdyby zastukano do drzwi dziesięć minut później, Garetha nie byłoby już w domu, nie mógłby więc otworzyć. Naciągnął na siebie długi sweter z szorstkiej wełny, który babka uznaby z pewnością za diablo niezgrabny. Był jednak czarny jak noc. Gareth przysiadł właśnie na kanapie, by włożyć buty na grubej, miękkiej podszewie, gdy nagle usłyszał...

Ktoś stukał do drzwi. Cicho, ale stanowczo.

Jedno spojrzenie na zegar upewniło Garetha, że jest już niemal północ. Phelps dawno już udał się na spoczynek, toteż Gareth sam podszedł do drzwi i przytykając niemal usta do solidnej drewnianej płyty spytał:

- Kto tam?

- To ja! - padła niecierpliwa odpowiedź.

Co takiego?! Nie, to niemożliwe...

Jednym szarpnięciem otworzył drzwi.

- Co ty tu robisz?! - syknął, wciągając Hiacyntę do wnętrza. Wpadła z impetem i potknęła się o krzesło, kiedy Gareth puścił ją, by wyrzeć na korytarz. - Nie -wzięłaś nikogo ze sobą?!

Pokręciła głową.

- Nie miałam czasu...

- Czyś ty do reszty oszalała?! - spytał wściekłym szeptem.

Wydawało mu się, że był zły jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy Hiacynta zrobiła mu podobną sztuczkę, biegnąc samopas po mieście nocą. Wtedy jednak miała przynajmniej jakieś usprawiedliwienie: zbulwersowały ją słowa barona. Ale tym razem... Tym razem...

Ledwie panował nad sobą.

- Muszę cię tu zamknąć! - mówił raczej do siebie niż do niej. -Właśnie tak! To jedyne rozwiązanie. Trzeba cię trzymać pod kluczem i...

- Posłuchaj, muszę...

- Właż tu! - przerwał jej.

Chwycił Hiacyntę za ramię i wciągnął ją do sypialni. Była najdalej od klitki Phelps'a, przylegającej do salonu. Lokaj zazwyczaj spał jak suseł, ale pech mógł sprawić, że tej właśnie nocy się obudzi, żeby coś przekąsić!

- Gareth! - szepnęła znów Hiacynta, drepcząc za nim. - Muszę ci powiedzieć...

Odwrócił się i zmierzył ją wściekłym spojrzeniem.

- Nie zamierzam niczego wysłuchiwać, chyba że przynasz ze skrucą: „Jestem skończoną idiotką!”

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Tego z pewnością ode mnie nie usłyszysz!

Gareth zginał i prostował palce; tylko ten starannie kontrolowany ruch powstrzymywał go od skoczenia narzeczonej do gardła. Świat wokół niego przybrał niepokojąco czerwoną barwę. Był w stanie myśleć tylko o Hiacyncie biegnącej samotnie przez Mayfair, narażonej na napaść, pobicie...

- Chyba cię zamorduję! - syknął przez zaciśnięte zęby.

Ona jednak pokręciła tylko głową, nie zwracając uwagi na to, co mówił.

- Gareth, muszę ci...

- Nie! - sprzeciwił się gwałtownie. - Ani słowa! Nie chcę słyszeć ani słowa! Masz tu siedzieć... - Zamrugał oczami, zdał sobie sprawę z tego, że dziewczyna stoi, i wskazał na łóżko. - Siadaj tam! I zachowuj się spokojnie, póki nie obmyślę, co u diabła mam z tobą zrobić!

Usiadła i po raz pierwszy nie była skora do gadania. Prawdę mówiąc, sprawiała wrażenie bardzo z siebie zadowolonej.

Wzbudziło to natychmiast jego podejrzenia. Nie miał pojęcia, jakim cudem domyśliła się, że akurat tej nocy zamierzał udać się do Clair House, by po raz ostatni poszukać klejnotów. Widocznie coś mu się niechcący wymknęło podczas którejś z ostatnich rozmów. Wolałby wierzyć, że nie jest taki nieostrożny, ale narzeczona odznaczała się diabelskim sprytem. I jeśli ktoś mógł się domyślić jego zamiarów, to tylko ona!

Była to, jego zdaniem, bezsensowna wyprawa: nie miał pojęcia, gdzie te brylanty mogą być, jeśli nie liczyć zwariowanej teorii Hiacynty na temat sypialni baronowej. Obiecał jednak dziewczynie, że tam pójdzie, i miał widocznie bardziej wyczułone poczucie honoru, niż przypuszczał, ponieważ właśnie zamierzał udać się do Clair House - po raz trzeci w tym miesiącu!

Rzucił Hiacyncie mordercze spojrzenie.

Odpowiedziała pogodnym uśmiechem.

To dopełniło miary! Cóż za kompletne...

- W porządku - powiedział cicho, lekko drżącym głosem. - Ustalmy pewne zasady tu i teraz!

Hiacynta się usztywniła.

- Słucham?

- Kiedy się pobierzemy, nie wytkniesz nosa z domu bez mojego pozwolenia...

- Do końca życia?! - przerwała mu.

- Póki nie udowodnisz, że jesteś dorosłą, odpowiedzialną osobą! - odparł, ledwie mogąc uwierzyć, że przemawia takim tonem.

Ale jeśli tylko tak można ocalić tę cholerną małą idiotkę przed nią samą, niech i tak będzie!

Sapnęła niecierpliwie.

- Odkąd się zrobiłeś taki napuszony?

- Odkąd się zakochałem w tobie! - Zabrzmiało to głośno.

wrzasnąłby, ile sił w płucach, gdyby się nie znajdowali w budynku pełnym kawalerskich mieszkań, których samotni mieszkańcy późno kładli się spać i przepadali za plotkami.

- Co? Co takiego?!

Usta Hiacynta otwarły się, przybierając kształt uroczonego owalu, ale Gareth był zbyt wściekły, by podziwiać ten efekt.

- Kocham cię, idiotko! - burknął, machając rękami jak szaleniec.

Zdumiewające, do jakiego stanu zdołała go doprowadzić! Nie przypominał sobie, kiedy do tego stopnia utracił panowanie nad sobą. Kiedy po raz ostatni ktoś wprawił go w taką pasję, że ledwie mógł mówić?

Tylko ona była w stanie tego dokonać, rzecz jasna!

Zgrzytnął zębami.

- Nikt nie potrafi tak doprowadzić człowieka do szału, jak ty!

- Ale...

- I nigdy nie wiesz, kiedy się wreszcie zamkną! Ale - Boże, odpuść! - kocham cię mimo wszystko!

- Ale, Gareth...

- I jeśli będę musiał przykuć cię do tego cholernego łóżka, żeby cię ocalić przed twoją własną głupotą, Bóg mi świadkiem, że to zrobię!

- Ale, Gareth...

- Ani słowa! Ani jednego słowa, do ciężkiej cholery! - Wymachiwał jej palcem przed nosem w wyjątkowo obraźliwy sposób.

Wreszcie jego dłoń znieruchomiała z wytkniętym groźnie palcem. W końcu, po kilku spazmatycznych ruchach zdołał ujarzmić swoje ciało; ręce powróciły na biodra.

Hiacynta wpatrywała się w niego. Jej błękitne oczy były ogromne i pełne zdumienia. Gareth nie mógł oderwać od niej wzroku, gdy powoli wstała i podeszła do niego.

- Naprawdę mnie kochasz? - spytała cichutko.

- Źle się to dla mnie skończy, z całą pewnością... ale kocham cię. - Westchnął ze znużeniem na samą myśl o tym, co go czeka. - Jakoś nie mogę się od tego powstrzymać.

- O! - Wargi jej zaczęły drżeć... i nagle uśmiechnęła się. - To dobrze!

- Dobrze?! To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Podeszła jeszcze bliżej i dotknęła jego policzka.

- Ja też cię kocham. Całym sercem, całą sobą, i w ogóle.

Nigdy się nie dowiedział, co jeszcze zamierzała powiedzieć. Zdusił jej słowa pocałunkiem.

- Gareth... - Zdażyła szepnąć zdławionym głosem w ciągu sekundy, gdy musiał zaczerpnąć powietrza.

- Nie teraz! - Całował ją namiętnie.

Nie było mowy o przerwaniu pocałunku; powiedział jej, że ją kocha, a teraz musiał to udowodnić!

Po prostu ją kochał. To było takie proste!

- Ale, Gareth...

- Ciii...

Ujął jej głowę w obie dłonie i całował bez końca. Póki nie popełnił kardynalnego błędu, oswobodzając jej usta, by pocałować ją w szyję.

- Gareth, muszę ci coś powiedzieć...

- Nie teraz! - mruknął.

Miał inne sprawy na głowie.

- Ale to bardzo ważne i...

Oderwał się od niej.

- Dobry Boże, kobieto! O co chodzi?!

- Musisz mnie wysłuchać - wykrztusiła. Gareth poczuł pewną satysfakcję słysząc, że oddech Hiacynty jest równie gorączkowy jak jego. - Wiem, że to było szaleństwo przychodzić tu o tak późnej porze...

- W dodatku samotnie! - uznał za stosowne dodać.

- W dodatku samotnie - przyznała. - Wargi wygięły się jej żałośnie. - Ale przysięgam ci, że nigdy nie popełniłabym tego szaleństwa, gdybym nie musiała pomówić z tobą natychmiast!

Uśmiechnął się kwaśno.

- Krótki liścik by nie wystarczył?

Pokręciła głową.

- Gareth! - powiedziała z tak poważnym wyrazem twarzy, że zaparło mu dech. - Wiem, kto jest twoim ojcem!

Miał wrażenie, że podłoga ucieka mu spod nóg... a równocześnie nie mógł oderwać wzroku od twarzy Hiacynty. Schwycił ją za ramiona, wpijając palce w skórę i zamarł. W następnych latach, gdyby ktoś spytał go o tę chwilę, przysięgłby, że utrzymał się na nogach jedynie dzięki Hiacyncie.

- Kto to jest? - wykrztusił, lękając się odpowiedzi.

Przez całe dorosłe życie pragnął się tego dowiedzieć, ale w tej chwili czuł tylko strach.

- Brat twojego ojca.

To było jak uderzenie w pierś.

- Stryj Edward?!

- Tak. - Hiacynta wpatrywała się w niego z miłością i niepokojem. - Dowiedziałam się o tym z pamiętnika twojej babki. Z początku nie miała pojęcia, kto to taki. Nikt nie mógł się tego domyślić. Jasne było tylko jedno, że nie mógł to być twój oj... to znaczy baron. Bawił w Londynie przez całą wiosnę i lato. A twoja matka ani razu tam nie wyjeżdżała.

- Jak babka odkryła prawdę? - spytał szeptem. - Czy nie miała wątpliwości?

- Isabella domyśliła się tego później, jak już się urodziłeś - mówiła miękko Hiacynta. - Pisze, że zbyt byłeś podobny do St. Clairów, żeby to mógł być zbieg okoliczności, a Edward przez jakiś czas bawił w wiejskiej rezydencji brata.

Gareth powoli pokręcił głową, rozpaczliwie usiłując zrozumieć to wszystko.

- Czy... on o tym wiedział?  
- Kto? Twój ojciec czy twój stryj?  
- Mój... - Gareth odwrócił się i jakiś dziwny, niewesoły śmiech dobył się z jego gardła. - Sam nie wiem, jak go nazwać. No, jeden i drugi!

- Twój ojciec... lord St. Clair - poprawiła się - nie wiedział. Tak przynajmniej twierdziła Isabella. Nie miał pojęcia, że Edward bawił tamtego lata w wiejskiej rezydencji- Ukończył właśnie studia w Oksfordzie i... nie wiem dokładnie, jak to się stało. Miał początkowo udać się z przyjaciółmi do Szkocji- W końcu jednak, jak się okazało, zmienił plany. Twoja babka pisze, że... - Hiacynta urwała i na jej twarzy odbiło się nagłe olśnienie. - Twoja babka! - szepnęła. - Ona naprawdę była twoją babką!

Gareth poczuł dłoń narzeczonej na swym ramieniu; pragnęła, by się do niej odwrócił. On jednak nie mógł w tej chwili spojrzeć jej w twarz. Trudno mu było dojść do siebie po tym, co się wydarzyło.

- Isabella naprawdę była twoją babcią, Gareth!

Przymknął oczy i usiłował przypomnieć sobie twarz Isabelli. Pojawił się bardzo mglisty obraz. Nazbyt słowiałe wspomnienie z dalekiej przeszłości...

Pamiętał jednak, że go kochała. Naprawdę go kochała!

I znała prawdę o nim.

Czy wyjawiałaby mu ją? Gdyby dożyła dnia dzisiejszego, gdyby znała go takim, jaki jest teraz?

Nigdy się tego nie dowie, ale być może... Gdyby wiedziała, jak, baron go traktuje... i czym się obaj stali.

Wolał myśleć, że babcia wyjawiałaby mu prawdę.

- A twój stryj... - dotarł do niego głos Hiacynty.

- On wiedział - odparł Gareth cicho, lecz z przekonaniem.

- Naprawdę? Skąd wiesz? Powiedział coś?

Pokręcił głową. Nie umiałby wyjaśnić, skąd ta pewność, że Edward znał prawdę. Kiedy po raz ostatni widział stryja, miał osiem lat. Był dość duży, by dostrzec to, co najważniejsze.

Edward kochał go. Okazywał mu miłość tak, jak nigdy nie uczynił tego baron. Stryj nauczył go jeździć konno, on podarował mu szczeniaka na siódme urodziny.

Edward zbyt dobrze znał swoją rodzinę, by wiedzieć, że prawda zniszczyłaby ich wszystkich. Richard i tak nigdy nie wybaczył Anne, że urodziła dziecko innemu mężczyźnie. Gdyby jednak dowiedział się, że tym gachem był jego rodzony brat...

Gareth oparł się o ścianę; potrzebował pewniejszej podpory niż własne nogi. Może i lepiej się stało, że prawda wyszła na jaw dopiero teraz?

- Gareth?

Hiacynta wymówiła szeptem jego imię. Czuł, że podchodzi bliźutko do niego. Wsunęła rękę w jego dłoń z taką delikatnością, że poczuł ból w sercu.

Nie wiedział, co myśleć o tym wszystkim. Odczuwać gniew czy ulgę? Był naprawdę jednym z St. Clairów, choć przez tyle lat sądził, że nie ma prawa do ich nazwiska. Bardzo trudno oswoić się z tym. A biorąc pod uwagę zachowanie barona, czy miał z czego być dumny?

Tak wiele utracił. Tyle czasu zmarnował na zastanawianie się, kim naprawdę jest, skąd pochodzi...

- Gareth!

Znowu miękki szept Hiacynty.

Uścisk jej ręki...

I nagle rozjaśniło mu się w głowie.

Nie chodziło o to, że przeszłość nie ma żadnego znaczenia, bo przecież miała! Wiedział jednak, że nie znaczy dla niego tyle, ile znaćczyła Hiacynta. Przeszłość stała się teraz mniej ważna, a rodzina, którą utracił, nie aż tak droga jak ta, którą będzie miał w przyszłości.

- Kocham cię - powiedział głośniej niż przedtem. Odwrócił się i patrzył na Hiacyntę. W tym spojrzeniu było całe jego serce i cała dusza. - Kocham cię!

Wydawała się zmieszana nagłą zmianą w jego zachowaniu, ale w końcu skwitowała to uśmiechem. Wyglądało nawet na to, że za chwilę się roześmieje. Radość po prostu ją rozpierała.



Gareth zrobiłby wszystko, by widzieć ją tak radosną każdego dnia.

- Ja też ciebie kocham - odparła.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował w usta. Tylko raz, ale na miętnie.

- Ja cię kocham bardziej - zapewnił. - Jak nikt w świecie!

Uniosła brew.

- Cóż to ma być? Jakaś licytacja, a może wyścigi?

- Co tylko zechcesz!

Uśmiechnęła się szeroko tym zachwycającym uśmiechem, jak tylko ona potrafiła.

- Muszę cię ostrzec - przechyliła głowę na bok - że jeśli chodzi o wszelkie zawody i wyścigi, to zawsze w nich wygrywam!

- Zawsze?

Zerknęła na niego chytrze.

- Zawsze, jeśli naprawdę warto!

Poczuł, że się uśmiecha. Na duszy zrobiło mu się lżej, jakby wszystkie troski go opuściły.

- A cóż to właściwie znaczy?

- To znaczy - rozpinająca guziki płaszczą - że to ja kocham cię naj-naj-naj goręcej!

Wyprostował się, skrzyżował ramiona na piersi i obrzucił ją tak-sującym spojrzeniem.

- Udowodnij mi to!

Jej okrycie opadło na ziemię.

- Czy to nie wystarczy?

- Ani trochę!

Próbowała nadrabiać miną, ale policzki jej poczerwieniały.

- Musisz mi pomóc uporać się z resztą. - Zatrzepotała rękami.

W jednej chwili znalazł się obok niej.

- Zawsze do twoich usług!

- Naprawdę?

Wydawała się tak zafascynowana tymi słowami, że Gareth nie omieszkał dodać:

- W sypialni!

Jego palce bez trudu odnalazły bliźniacze wstążeczki na ramionach Hiacynty. Pociągnął za nie z energią i stanik jej sukni rozchylił się niebezpiecznie.

- Pomóc w czymś jeszcze, milady? - szepnął.

Skinęła głową.

- Może by tak.

Przygotował się już do dalszego obluźowania stanika i sięgnięcia w głąb dekoltu, ale Hiacynta go powstrzymała, kładąc rękę na jego ręce. Spojrzał na nią. Pokręciła głową.

- Nie! - powiedziała. - Teraz ty!

Dopiero po sekundzie zrozumiał, co miała na myśli, i uśmiechnął się leniwie, od ucha do ucha.

- Ależ oczywiście, milady. - Ściągnął sweter przez głowę. - Wszystko, co pani rozkaże!

- Wszystko?

- W tej chwili - oświadczył jedwabistym głosem - absolutnie wszystko!

Uśmiechnęła się.

- Guziki!

Zajął się rozpinaniem koszuli.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem.

Po chwili koszula leżała już na podłodze, on był nagi od pasa w górę.

Objął płonącym spojrzeniem jej twarz. Oczy Hiacynty otworzyły się szeroko, wargi miała rozchylone. Oddychała urywanie, piersi jej falowały coraz szybciej.

Była podniecona. Tak bardzo, że z najwyższym trudem powstrzymał się, by nie zanieść ukochanej do łóżka.

Zatrzymała spojrzenie na jego spodniach. Jest zbyt nieśmiała! - uświadomił sobie z zachwytem. Zbyt niewinna, by kazać mu je ściągnąć.

- O to chodzi? - Wsunął kciuk za pasek spodni.

I uśmiechnął się - w tym samym momencie, gdy zrobiła wielkie oczy.

Udawała doświadczoną kobietę... ale nią nie była. Jeszcze nie.

- Masz na sobie stanowczo za dużo fatałaszków! - powiedział cicho, przysuwając się coraz bliżej, aż wreszcie ich twarze znalazły się koło siebie.

Uniósł lekko jej brodę, schylił się, i pocałował Hiacyntę w usta. Drugą ręką pociągnął za dekolt sukni.

Nie czuła najmniejszego skrępowania, gdy przesunął dłonią po rozpalonych plecach i przygarnął ją do siebie tak mocno, że biust jej się spłaszczył w zetknięciu z jego klatką piersiową. Zatrzymał dłoń na przewężeniu w talii, tuż nad fałdami sukni, zwisającej luźno wokół bioder.

- Kocham cię! - Dotknął nosem jej noska.

- Ja ciebie też!

- Co za szczęście - szeptał jej do ucha. - Gdyby nie to, powstałaby bardzo niezręczna sytuacja!

Parsknęła śmiechem, ale wyczuł u niej jakby leciutkie wahanie.

- Chcesz powiedzieć, że te wszystkie inne kobiety też cię kochały?

Odsunął się nieco i objął jej twarz rękami.

- Chcę powiedzieć - odparł, upewniwszy się, że Hiacynta patrzy mu prosto w oczy - że tamtych nigdy nie kochałem. A kochając ciebie tak, jak kocham, nie mógłbym znieść, gdybyś nie odwzajemniała moich uczuć.

Hiacynta wpatrywała się w jego twarz, zatoneła w głębokim błękiecie oczu. Dotknęła czoła Garetha i włosów, odgarnęła z czułością nieposłuszny złoty lok i wetknęła mu go za ucho.

Jakaś cząstka jej istoty pragnęła pozostać tak na zawsze - spoglądając mu w twarz, ucząc się na pamięć wszystkich jej płaszczyzn i każdej krzywizny, począwszy od pełnej dolnej wargi aż po regularne łuki brwi. Zamierzała dzielić życie z tym człowiekiem, darzyć go miłością, rodzić mu dzieci - i pełna była radosnego oczekiwania, jakby stała na brzegu morza, by wyruszyć na najwspanialszą przygodę

Właśnie się rozpoczynała!

Hiacynta przechyliła głowę na bok, przysunęła się do Garetha i stanęła na palcach, by pocałować go w usta.

- Kocham cię!
- Naprawdę?

Spojrzawszy na niego, uświadomiła sobie, że jest równie jak ona zdumiony tym cudownym wydarzeniem.

- Nieraz pewnie doprowadzę cię do szału - ostrzegła.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Poszukam spokoju w moim klubie.
- Czasem i ty mnie rozwścieczysz - uzupełniła.
- Pójdiesz na pociechę do swojej mamy na herbatę. - Ujął jej dłoń, drugą ręką objął w pasie. Stali tak, jakby zaraz mieli odtańczyć walca. - A późnym wieczorem będziemy się całować i nawzajem przepraszać, czy to nie cudowne?

- Gareth! - fuknęła niepewna, czy nie powinni mówić o tym bardziej serio.

- Nikt nam nie każe trzymać się za rączki przez cały dzień, ale pod wieczór... - Pochylił się i ucałował ją w czoło: najpierw w jedną, potem w drugą brew. - Zresztą, zawsze i wszędzie najchętniej będę widział ciebie, słyszał twój głos i z tobą wymieniał myśli.

Pocałował ją znowu. Niespiesznie i żarliwie.

- Kocham cię, Hiacynto. I zawsze będę cię kochał.
- Och, Gareth!

Chętnie powiedziałyby mu coś bardziej oryginalnego, coś piękniejszego, ale jego słowa musiały wystarczyć dla nich obojga, gdyż była w tej chwili zbyt przejęta i nie mogła się zdobyć na nic więcej, prócz powtarzania po cichutku jego imienia.

A gdy wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko, zdołała tylko szepnąć:

- Tak!

Suknia z niej opadła, zanim jeszcze Hiacynta wylądowała na łóżku, a zaraz potem Gareth nakrył ją swoim ciałem, skóra przy skórze. Było coś niesłychanie podniecającego w tym, że leżała pod nim, czuła jego ciężar i siłę. Mógł nad nią dominować, mógł nawet

zadać jej ból... a jednak w jego ramionach czuła się jak bezcenny klejnot.

Ręce Garetha błędziły po jej ciele, znacząc ognisty ślad. Każde jego dotknięcie Hiacynta odbierała całą sobą. Kiedy głaskał ją po ramieniu, czuła tę pieśczętę w dole brzucha, kiedy dotknął pleców, mrowienie w stopach.

A gdy całował ją w usta, serce w niej śpiewało.

Skłonił ją do rozchylenia nóg i ciała ich wtuliły się w siebie. Czuła wyraźnie, jaki jest twardy i natarczywy, ale tym razem nie było w niej żadnego lęku ani niepokoju. Jedynie wszechogarniające pragnienie wchłonięcia go w siebie, otulenia go sobą.

Pożądała Garetha. Jego całego i wszystkiego, co mógł jej dać.

- Proszę! - błagała, unosząc ku niemu biodra. - Proszę...

Nie mówił nic, ale wyczuwała pożądanie w jego przyspieszonym oddechu.

Chwyliła go za ramiona, drapiąc paznokciami. Odezwało się w niej coś nieokiełznanego i zgłodniałego. Pragnęła go. Łaknęła miłości. Teraz, już!

- Gareth! - wymówiła rwącym się głosem.

Zmienił nieco pozycję i zaczął zagłębiać się w niej.

Tego właśnie pragnęła, tego oczekiwała, a jednak pierwsze zetknięcie okazało się nieco szokujące. Odezwał się nawet ból, ale mimo wszystko było jej to miłe, odbierała to jako coś naturalnego. Jej pragnienie rosło.

- Hy! Hy! Hy! - powtarzał Gareth.

Oddech mu się rwał, gdy zagłębiał się w niej coraz to bardziej. Wreszcie ich ciała zespoliły się całkowicie.

- O Boże! - jęknęła, odrzucając głowę do tyłu.

Zaczął poruszać się w niej, co doprowadziło Hiacyntę niemal do utraty przytomności.

- Gareth!

Jej krzyk ucichł, stłumiony pocałunkiem.

Gdy przeżyła się, wygięta w łuk, a ciało jej omal się nie rozprysło pod działaniem niewysłowionej potęgi, poczuła, że i Gareth dał się

ponieść nieokiełznanej żądz. Wtulił twarz w szyję Hiacynty i wydał dziki, gardłowy okrzyk. Potem stoczył się na łóżko i leżał teraz na boku, nadal ją obejmując.

- O Boże! - wyszeptła. To westchnienie wyrażało wszystkie jej uczucia. - O mój Boże!

- Kiedy się pobierzemy? - spytał, przyciągając ją jeszcze bliżej; leżeli wtuleni w siebie jak dwie łyżeczki.

- Za sześć tygodni.

- Za dwa! Powiedz swojej matce, co chcesz. Ślub musi być za dwa tygodnie, inaczej porwę cię do Gretna Green!

Hiacynta pokiwała głową, tuląc się do ukochanego i rozkoszując jego bliskością.

- Za dwa tygodnie - powiedziała, a raczej westchnęła cichutko. - Może nawet za tydzień?...

- Jeszcze lepiej! - zgodził się Gareth.

Leżeli tak razem dobrych kilka minut, radzi z otaczającej ich ciszy. Potem jednak Hiacynta obróciła się i wygięła szyję, by spojrzeć mu w twarz.

- Wybierałeś się dziś wieczorem do Clair House?

- Nie wiedziałas o tym?

Pokręciła głową.

- Nie wierzyłam, że wybierzesz się tam znowu.

- Przecież ci obiecałem.

- Ale myślałam, że mówisz ot tak tylko, żeby mi zrobić przyjemność.

Zaklął pod nosem.

- Doprowadzisz mnie do szału! Niewiarygodne! Więc w gruncie rzeczy nie zależało ci na tym, żebym tam poszedł?

- Pewnie, że mi zależało! - odparowała. - Tylko nie sądziłam, że pójdziesz. - Nagle usiadła tak raptownie, że łóżko się zatrzęsło. Oczy, szeroko otwarte, rzucały niebezpieczne błyski. - No to wybierzmy się tam! Jeszcze dziś!

- Nie.' .

- Proszę, bardzo proszę! Potraktuj to jako ślubny prezent dla mnie!

- Nie!

- Rozumiem twoje opory, ale...

- Nie - powtórzył, usiłując nie zwracać uwagi na dziwne uczucie słabości, które, jak przeczuwał, zmusi go do kapitulacji. - Stawowczo nie powinnaś...

- Ale naprawdę... - przekonywała, wpatrując się w niego błyszczącymi oczami. - Co nam szkodzi? Pobierzemy się za dwa tygodnie...

Uniósł brew.

- W przyszłym tygodniu - poprawiła się. - Słowo daję!

Gareth rozważył sprawę. Pomysł był naprawdę kuszący.

- Bardzo cię proszę! - Nie ustawała. - Dobrze wiesz, że i ty masz na to ochotę!

- Czemu - zastanawiał się głośno - czuję się zupełnie jak na studiach, kiedy najbardziej zdeprawowany z moich przyjaciół przekonywał mnie, że trzy dodatkowe kieliszki ginu jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziły?

- Przyjaźniłeś się z takimi typkami? - zdumiała się i zaraz uśmiechnęła figlarnie z wyraźnym zainteresowaniem. - No i co, wypiełeś te trzy kieliszki?

Gareth nie miał wielkiej ochoty odpowiedzieć na to pytanie. Po co spowiadać się przed narzeczoną ze szczeniackich grzeszków? Ale może odwróci to jej uwagę od tych brylantów i...

- No, wybierzmy się tam! - Zaczęła znów swoje. - Wiem, że masz na to ochotę.

- Dobrze wiem, na *co* mam ochotę - mruknął, gładząc ją po pupie. - I z pewnością nie jest to wyprawa do Clair House.

- Nie zależy ci na tych klejnotach? - dopytywała się.

Nie przerywał głąskania.

- Mm-hm...

- Gareth! - pisnęła, usiłując wywinąć się z jego uścisku.

- „Tak, tak, Gareth!” czy „Gareth...”

- Nie! - dokończyła stanowczo, przenosząc się na drugą stronę łóżka. - Zdecydowanie nie! Żadnych pieszczotek, zanim się nie wybierzemy do Clair House po klejnoty!

- Boże świąty! - mruknął. - Lizystrata\* ożyła na nowo, żeby mnie dręczyć!

Rzuciła mu przez ramię triumfalny uśmiech i pospiesznie się ubrała.

Gareth podniósł się z łóżka widząc, że został pokonany. Zresztą, w wywodach Hiacynty było dużo słuszności. Chodziło mu przede wszystkim o reputację narzeczonej, sądził bowiem, że potrafi jej zapewnić bezpieczeństwo, póki dziewczyna będzie przy nim. Jeśli rzeczywiście pobiorą się za tydzień czy dwa, ich wybryki - choćby nawet zostali przyłapani - skwitowano by pobłażliwym uśmiechem. Mimo wszystko czuł jednak, że powinien stawić opór, choćby symboliczny. Powiedział więc:

- Nie czujesz się zmęczona po tych harcach?

- Wręcz przeciwnie, pełna wigoru!

Westchnął ze znużeniem.

- To będzie nasza ostatnia wyprawa.

- Ostatnia, słowo honoru! - potwierdziła natychmiast.

Ubierając się, perorował dalej.

- Mówię poważnie! Jeśli nie znajdziemy tych klejnotów dziś w nocy, damy spokój poszukiwaniom do chwili, gdy odziedziczę Clair House. Wtedy będziesz mogła rozebrać tę starą budę kamień po kamieniu, jeśli tylko zechcesz.

- Obejdzie się bez tego - odparowała. - Odnajdziemy brylanty jeszcze tej nocy. Czuję to w kościach!

Garethowi przyszło na myśl kilka ciętych ripost, ale żadna z nich nie była odpowiednia dla panieńskich uszu.

Hiacynta oceniła krytycznie swój strój.

\* Tytułowa bohaterka komedii Arystofanesa traktującej o buncie greckich kobiet. Udręczone długą wojną Spartanki i Atenki poprzysięgły sobie, że nie pozwolą swoim mężom ani kochankom na żadne poufałości, póki oba państwa nie zawrą pokoju (przyp. tłum.).



- Nie jestem odpowiednio ubrana - stwierdziła, poprawiając fałdy spódnicy; mimo że z ciemnego materiału, ale nie umywała się do bryczesów, w których Hiacynta paradowała podczas dwóch poprzednich wypraw.

Gareth nawet nie wspomniał, że mogliby przełożyć poszukiwanie skarbu na inny termin. Nie teraz, gdy Hiacynta płonęła wprost z podniecenia!

Na koniec jednak nie omieszkała pochwalić mu się, wysuwając stopę spod sukni:

- Przynajmniej mam na sobie moje najwygodniejsze buty, a to grunt!

- Istotnie.

Nie zwróciła uwagi na jego zrzędlawy ton.

- Jesteś gotów?

- Jak zawsze - odparł z kwaśnym uśmiechem.

W gruncie rzeczy jednak podniecenie Hiacynty i jemu się udzieliło - obmyślał już plan wyprawy. Gdyby naprawdę był temu przeciwny albo miałyby wątpliwości, czy zdoła zapewnić jej bezpieczeństwo, prędzej przykułby ją do łóżka, niż pozwolił na nocną eskapadę!

Podniósł rękę Hiacynta do ust i ucałował.

- Idziemy?

Skinęła głową i wyszła przed nim z sypialni, stąpając na paluszkach.

- Na pewno je znajdziemy- zapewniła szeptem. -Wiem, że tak będzie!

*Pół godziny później.*

Nie odnajdziemy ich.

Hiacynta wzięła się pod boki i rozejrzała po sypialni baronowej. Dotarcie do Clair House zajęło im piętnaście minut, wślizgnięcie się przez niedomykające się okno i dotarcie po cichu do sypialni dalszych pięć; na przeszukanie każdego kąta i zakamarka poświęcili kolejnych dziesięć minut.

Klejnotów nigdzie nie było.

Przyznanie się do porażki? Jakież to niepodobne do Hiacynty! Prawdę mówiąc, tak sprzeczne z jej charakterem, że w wymówionych przez nią słowach: „Nie odnajdziemy ich” pobrzmiwało najszersze zdumienie.

Nawet jej nie przemknęło przez myśl, że mogą doznać porażki. Wyobrażała sobie tę scenę setki razy, planowała ją w najdrobniejszych szczegółach, ale ani razu nie pomyślała, że wróci z pustymi rękami!

Natknęła się jednak na mur nie do przebycia.

Może cechował ją przesadny optymizm? A może była po prostu ślepa? Tak czy inaczej, tym razem się pomyliła!

- Dajesz za wygraną? - spytał Gareth.

Przykucnąwszy obok łóżka, obmacywał właśnie boazerię na ścianie za wezgłowie. Wjego głosie było... nie zadowolenie, ale pogodzenie się z sytuacją, jeśli można tak to określić.

Nic nie znajdują. Miał prawie pewność. Przybył tu dziś, żeby zaspokoić jej zachciankę. Hiacynta poczuła, że kocha go za to jeszcze bardziej.

Teraz jednak jego mina, postawa i ton głosu mówiły wyraźnie: „Próbowaliśmy. Nie udało się. Czy możemy wreszcie wynieść się stąd?”

Żadnego uśmiešku wyższości, żadnego: „A nie mówiłem?” Zdedykowane, rzeczowe spojrzenie, może z odrobiną rozczarowania,

jakby w jakimś zakątku jego duszy tajiła się nadzieja, że może się jednak mylił?

- Hiacynta? - Ponaglił ją, nie otrzymawszy odpowiedzi.

Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Ja...

- Nie mamy wiele czasu - przerwał jej stanowczym tonem. Widać nie pora na zastanawianie się. Wstał i otrzepał ręce z kurzu. Sympialnia baronowej od dawna była zamknięta; rzadko ktoś tu sprzątał.

- Dziś wieczorem baron udał się, jak co miesiąc, na spotkanie klubu hodowców psów myśliwskich.

- Hodowców psów myśliwskich? - powtórzyła ze zdziwieniem Hiacynta. - W Londynie?

- Spotykają się regularnie w ostatni wtorek każdego miesiąca. Od lat! Żeby uzyskać informacje o najnowszych osiągnięciach w tej dziedzinie, mimo że przebywają w mieście.

- A dużo może być tych osiągnięć? - zaciekała się Hiacynta, którą osobliwe ciekawostki tego rodzaju zawsze interesowały.

- Nie mam pojęcia - odparł beztrząsco Gareth. - Całkiem możliwe, że to tylko pretekst do wspólnych spotkań i popijawy. Ich posiedzenia kończą się zwykle o jedenastej, po czym spędzają mniej więcej dwie godziny na pogawędce. A to oznacza, że baron powinien wrócić do domu... - Wyciągnął zegarek z kieszonki i zaklął pod nosem. - Właśnie teraz!

Hiacynta smętnie pokiwała głową.

- Daję za wygraną - stwierdziła. - Nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek wymówię te słowa... I to nie pod presją. Poddaję się.

Gareth połaskotał ją leciutko pod brodą.

- To jeszcze nie koniec świata, Hy! Pomyśl o tym, że będziesz mogła wrócić do poszukiwań, kiedy tylko baron pożegna się z tym światem, a ja odziedziczę Clair House. Do którego mam wszelkie prawa! - Pokręcił głową. - Kto by pomyślał?!

- Jak sądzisz, czy Isabella życzyłaby sobie, żeby ktoś odnalazł te klejnoty? - spytała Hiacynta.

- Bo ja wiem? Prawdę mówiąc, gdyby jej rzeczywiście na tym zależało, podała by chyba ostatnią wskazówkę w bardziej zrozumiałym języku niż słoweński!

- Musimy już iść. - Hiacynta westchnęła. - Przynajmniej ja muszę czym prędzej wrócić do domu. Jeśli mam przypuścić szturm do mojej mamy w sprawie przyspieszenia ślubu, najlepiej to zrobić teraz, kiedy zasypia; łatwiej będzie ją przekonać.

Kładąc rękę na klamce, Gareth zerknął przez ramię na narzeczoną.

- Diablica z ciebie!

- A co? Nie wiedziałeś o tym?

Uśmiechnął się i ruchem głowy dał jej znak, że pora wymknąć się na korytarz. Zeszli po cichu do salonu z niedomykającym się oknem. Szybko i bezszelestnie wymknęli się na zewnątrz i znaleźli się na dole.

Gareth szedł pierwszy. Zatrzymał się u wylotu alejki i ruchem ręki ostrzegł Hiacyntę, by trzymała się w bezpiecznej odległości, podczas gdy on wyjrzy na Dover Street.

- Idziemy! - szepnął po chwili i dał znak głową.

Przybyli tu kabrioletem, gdyż mieszkanie Garetha znajdowało się zbyt daleko, by iść na piechotę, i pozostawili go dwie przecznice dalej. Do domu Hiacynty nie musieli co prawda wracać powozem, gdyż wystarczyło przejść na drugi koniec Mayfair, ale Gareth doszedł do wniosku, że jeśli już mają dwukółkę, powinni z niej skorzystać. Potem najlepiej będzie zatrzymać powozik za rogiem, o dwa kroki od domu pod numerem 5, który stał w cieniu i prawie nie miał okien od tamtej strony.

- Tędy! - zakomenderował Gareth, biorąc Hiacyntę za rękę i pociągnął ją za sobą. - Chodź, możemy już...

Urwał nagle i potknął się. Hiacynta jakby wrosła w ziemię.

- Co się stało? - syknął, oglądając się na nią.

Ona jednak nie patrzyła na niego. Czy miała utkwione w czymś - a może w kimś? - po prawej stronie.

Baron.

Gareth skamieniał. Lord St. Clair -jego ojciec, jego stryj, wszystko jedno, jak go zwać - stał na frontowych schodach Clair House. Trzymał w ręku klucz i widocznie spostrzegł ich w chwili, gdy miał już wejść do domu.

- Ciekawe! - wycedził; oczy mu błysnęły.

Gareth instynktownie wypiął pierś, przybierając wyzywającą postawę. Równocześnie odciągnął Hiacyntę do tyłu, zasłaniając ją częściowo.

- To ty... ojczu?

Zawsze się tak do niego zwracał. Niektóre przyzwyczajenia niezwykle trudno wykorzenić.

- Zdumiewające! - mruknął baron. -Już po raz drugi spotykam cię tu w środku nocy.

Gareth nic nie odpowiedział.

- A tym razem - lord St. Clair wskazał gestem Hiacyntę - zabrałeś nawet ze sobą uroczą narzeczoną! Osobliwe zwyczaje! Czyjej rodzina wie o waszych nocnych przechadzkach?

- Szukasz okazji do zwady? - spytał ostro Gareth.

Baron tylko się roześmiał.

- Chyba raczej należało by spytać, czego ty tu szukasz? A może zaczniesz mnie przekonywać, że chcieliście tylko zaczerpnąć świeżego powietrza?

Gareth wpatrywał się w niego. Nie brakło dowodów rodzinnego podobieństwa: nos, oczy, postawa... Właśnie dlatego Gareth nigdy - aż do rozstrzygającej rozmowy w ojcowskim gabinecie - nie przypuszczał, że mógłby być bękartem. Jako dziecko nie pojmował, czemu ojciec traktuje go z taką pogardą? Gdy podrosł i zaczął się orientować w sprawach męsko-damskich, zastanawiał się niekiedy... Niewierność matki mogłaby być powodem wrogiego stosunku ojca do niego. Zawsze jednak odpędzał od siebie tę myśl. Miał przecież, ogromnie charakterystyczny, ten cholerny nos St. Clairów!

Potem baron patrząc mu prosto w oczy oświadczył, że nie jest, że po prostu nie może być jego synem. A tak zwane podobieństwo to czysty przypadek, ironia losu!

Gareth mu uwierzył. Baron, cokolwiek by o nim mówić, nie był durniem i z pewnością potrafił zliczyć do dziewięciu.

Żadnemu z nich nawet nie przyszło do głowy, że owo podobieństwo mogło nie być bezmyślnym żartem losu, a on sam - mimo wszystko - należał do St. Clairów.

Usiłował przypomnieć sobie, czy baron kochał swojego brata? Czy Richard i Edward St. Clairowie byli sobie bliscy? Nie pamiętał, by widywał ich razem, ale - prawdę mówiąc - bardzo rzadko miał okazję wymknąć się z dzieciennego pokoju.

- No więc? - Baron zmierzył go wzrokiem. - Co masz na swoje usprawiedliwienie?

Odpowiedź sama cisnęła się na usta. Spojrzał prosto w oczy człowiekowi, który przez tyle lat miał dominujący wpływ na jego życie, i mało brakowało, a palnąłby:

- Nic, stryju Richardzie!

Byłby to mistrzowski cios, z zaskoczenia.

Warto byłoby go zadać choćby tylko po to, żeby zobaczyć minę barona!

Ale byłby efekt!

Tylko że Gareth nie miał wcale ochoty zadać tego ciosu. Nie odczuwał takiej potrzeby.

I właśnie to zapierało mu dech w piersi.

Dawniej starałby się odgadnąć uczucia barona. Czy ogarnie go ulga na myśl, że jego tytuł przejdzie na autentycznego St. Claira, czy też będzie wściekły i zdruzgotany tym, że rodzony brat przyprawił mu rogi?

Dawniej Gareth starannie by rozważył swoje atuty, oceniłby je... a potem poszedłby za głosem instynktu, starając się zadać jak najdotkliwszy cios.

Ale teraz...

Teraz po prostu go to nie obchodziło.

Nigdy nie kochał tego człowieka. Do pioruna! Nigdy go nawet nie lubił! Teraz jednak, po raz pierwszy w życiu, stał się mu całkowicie obojętny.

I nie mógł się nadziwić, jakie to wspaniałe uczucie!

Wziął Hiacyntę za rękę, splótł palce z jej palcami.

- Wybraliśmy się po prostu na spacer - powiedział gładko. Niewątpliwie idiotyczne usprawiedliwienie, ale Gareth wygłosił je ze zwykłą mu swobodą, tym samym tonem, jakim zawsze zwracał się do barona. - Chodźmy, panno Bridgerton - dodał i zwrócił się do dziewczyny, chcąc poprowadzić ją dalej przez Dover Street.

Jednak Hiacynta nie poruszyła się. Stała jak wryta, wpatrując się w niego pytającym wzrokiem, jakby nie mogła w to uwierzyć, że postanowił zachować milczenie.

Gareth popatrzył na nią, potem na lorda St. Claira, a wreszcie zajrzał w głąb własnej duszy. I uświadomił sobie, że choć jego niekończąca się wojna z baronem nie miała znaczenia, o prawdzie nie można było tego powiedzieć. Nie dlatego, że mogła zranić przeciwnika, ale dlatego, że należało ją wyjawić.

Ta tajemnica od tak dawna rzucała cień na życie ich obu. Najwyższy czas, by się od niego uwolnili.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwał się wreszcie Gareth, spoglądając baronowi prosto w twarz.

Nie było to łatwe. Nigdy dotąd nie rozmawiali ze sobą obojętnym tonem. Czuł się dziwnie nagi, odarty z nienawiści.

Lord St. Clair nie mówił nic, ale wyraz jego twarzy nieco się zmienił. Stał się bardziej czujny.

- Jestem w posiadaniu pamiątki babki Isabelli St. Clair - oznajmił Gareth. Widząc zdumienie na twarzy barona dodał: - Przeglądając rzeczy George'a, Caroline znalazła go, a wraz z nim notatkę, że tę rodzinną pamiątkę należy przekazać mnie.

- George nie wiedział, że nie byłeś jej wnukiem! - rzucił ostrym tonem baron.

Gareth otworzył już usta, by się odciąć: „Właśnie że nim byłem!”

Opanował się jednak. Postanowił rozegrać sprawę jak należy. Musi postąpić właściwie. Hiacynta stała przy nim... I nagle jego dotychczasowe wybuchy gniewu wydały mu się niedojrzałe, szczeniackie.

Nie chciał, by widziała go takim. Nie chciał dłużej być narwanym młokosem.

- Panna Bridgerton nieźle zna język włoski - mówił dalej, zachowując spokój. - Pomogła mi zapoznać się z treścią pamiętnika.

Baron zmierzył Hiacyntę przenikliwym spojrzeniem, zanim znów zwrócił wzrok na Garetha.

- Babcia Isabella wiedziała, kto jest moim ojcem - powiedział cicho Gareth. - Stryj Edward.

Baron nie wyrzekł ani słowa. Znieruchomiał. Wydawało się nawet, że nie odrycha.

Czyżby wiedział? Domyślał się?

Podczas gdy Gareth i Hiacynta trwali w milczeniu, baron odwrócił się i wbił wzrok w jakiś odległy punkt przy końcu ulicy. Kiedy ponownie zwrócił się twarzą do nich, był błąd jak płótno.

Odkasznął i skinął głową, jakby na znak potwierdzenia.

- Powinieneś koniecznie ożenić się z nią - odezwał się, ruchem głowy wskazując Hiacyntę. - Bóg świadkiem, że przyda ci się jej posąg!

Powiedziawszy to, pokonał resztę schodów, wszedł do wnętrza domu i zamknął drzwi.

- I to wszystko?! - zdumiała się Hiacynta, która przez chwilę stała bez słowa, z otwartą buzią. - Tylko tyle miał ci do powiedzenia?!

Gareth poczuł, że dygocze. Potem zrozumiał, że wstrząsa nim śmiech.

- To niewiarygodne! - Hiacynta pałała oburzeniem. - Wyjaśnij mi największą tajemnicę, dotyczącą was obu, a on tylko... Jak to? Ty się śmiejesz?!

Gareth pokręcił głową, choć nie ulegało wątpliwości, że tak jest w istocie.

- Co cię tak śmieszy? - dopytywała się podejrzliwie Hiacynta.

Ta mina... Tak bardzo w jej stylu! Rozśmieszyło go to jeszcze bardziej.



- Co cię tak śmieszy? - Tym razem wydawało się, że lada chwila mu zawtóruje. - Gareth! - nalegała, ciągnąc go za rękaw. - Odpowiedz wreszcie!

Bezradnie wzruszył ramionami.

- Po prostu czuję się szczęśliwy. - To była szczerza prawda.

Nieraz cieszył się życiem, przeżył sporo miłych chwil, ale od dawna nie odczuwał takiej niezmaconej radości. Prawie już zapomniał, co to za uczucie...

Dotknęła przelotnie dłonią jego czoła.

- Masz gorączkę? - wymamrotała.

- Nic mi nie jest. - Chwycił ją w ramiona. - Czuję się wyśmienicie!

- Gareth! - Aż się zatchnęła, uchylając się przed jego pocałunkami. - Czyś ty zwariował?! Stoimy pośrodku Dover Street i to...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- ... I to w środku nocy! - wykrztusiła.

Uśmiechnął się przekornie.

- Przecież pobieramy się w przyszłym tygodniu! Chyba nie zapomniałaś?

- No tak, ale...

- A prawda, to mi coś przypomina - mruknął.

Hiacynta otworzyła usta ze zdumienia, gdy przyklęknęła na jedno kolano.

- Co ty wyprawiasz?! - pisnęła, rozglądając się niespokojnie na wszystkie strony. Lord St. Clair z pewnością ich obserwował, i Bóg raczy wiedzieć, kto oprócz niego. - Ktoś nas jeszcze zobaczy! - szepnęła.

Gareth nie wydawał się tym zbyt przejęty.

- Powiedzą, że jesteśmy zakochani, i tyle!

Boże święty, co można powiedzieć w takiej sytuacji?

- Hiacynto - spytał, biorąc ją za rękę. - Wyjdiesz za mnie?

Zamrugała oczami, zbita z tropu.

- Przecież już powiedziałam, że tak!

- Owszem, ale - jak sama zauważyłaś - nie oświadczyłem ci się z właściwych powodów. Przeważnie były rozsądne, ale to nie wszystko!

- Ja...ja...

Potykała się o własne słowa, dławiły ją emocje.

Gareth wpatrywał się w nią, oczy pały mu czystym, błękitnym ogniem w mdłym świetle lamp ulicznych.

- Proszę cię, żebyś za mnie wyszła, ponieważ cię kocham - mówił. - I nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Pragnę oglądać twoją buzię każdego ranka, każdej nocy i w ogóle o każdej porze. Chcę się zestarzeć razem z tobą. I pękać ze śmiechu razem z tobą... I utyskiwać w gronie przyjaciół, jaką to mam despotyczną żonę, wiedząc w głębi serca, że nie ma większego szczęściarza ode mnie w całym Londynie!

- Co takiego?!

Oburzyła się na taką przewrotność.

Wzruszył ramionami.

- Mężczyzna musi dbać o pozory. Znienawidzono by mnie, gdyby wszyscy wiedzieli, jakim jesteś skarbem!

- O!

Cóż można powiedzieć na takie dictum?

Spowaźniał nagle.

- Pragnę, żebyś była moją żoną. Całą moją rodziną!

Wpatrywał się w nią z tak jawną miłością i oddaniem, że nie wiedziała, co począć. Jego miłość otaczała ją, obejmowała ją, była jak najczystsza poezja, jak muzyka...

Tak, to była miłość!

Uśmiechnął się do niej, ona zaś odpowiedziała mu tym samym, choć policzki jej zwilgotniały.

- Hiacynto - powtarzał. - Hiacynto...

Skinęła głową, a przynajmniej tak się jej zdawało.

Ucisnął jej ręce i podniósł się z kłęczek.

- Nigdy nie przypuszczałem, że właśnie o to będę musiał cię prosić, ale... Na miłość boską, powiedzże coś, kobieto!

- Tak - odparła i rzuciła mu się w ramiona. - Tak!

## *epilog*

*Kilka niezbędnych informacji, By każdy wiedział, co stało się w tak zwanym międzyczasie-*

Cztery dni po zakończeniu naszej opowieści Gareth odwiedził lorda Wrothama i przekonał się, że hrabia nie uważa jego zaręczyn z Mary za wiążące, tym bardziej, że lady Bridgerton obiecała wziąć pod swe skrzydła jedną z jego młodszych córek podczas najbliższego londyńskiego sezonu.

Cztery dni później przysłała teściowa poinformowała Garetha z całą stanowczością, że absolutnie nie zgodzi się na żaden przyspieszony ślub swojej najmłodszej pociechy. Musiał więc - chcąc nie chcąc - poczekać dwa miesiące na ślub z Hiacyntą. Odbył się on - z wielkim przepychem, ale w dobrym guście - w londyńskim kościele św. Jerzego.

Jedenaście miesięcy po tym wydarzeniu Hiacynta powiła zdrowego chłopca, który otrzymał na chrzcie imię George.

Po dwóch latach niebios obdarzyły ich również córeczką, którą nazwano Isabella.

Cztery lata później lord St. Clair spadł z konia podczas polowania na lisa i zginął na miejscu. Gareth odziedziczył po nim tytuł barona i przeniósł się wraz z rodziną do rezydencji, Clair House.

Minęło sześć lat. Hiacynta nadal uparcie poszukuje ukrytych klejnotów...

- Nie przeszukałaś jeszcze tego pomieszczenia?

Siedząca na podłodze w swojej łazience Hiacynta podniosła wzrok. Gareth stał w drzwiach i spoglądał na żonę pobłaźliwie.

- Nie robiłam tego co najmniej od miesiąca! - odparła, obmacując listwy podłogowe, by sprawdzić, czy nie mają ruchomych elementów. Jakby ich nie sprawdzała, Bóg wie ile razy!

- Kochanie! - powiedział Gareth, ale z jego tonu domyśliła się, co o tym myśli.

Rzuciła mu wymowne spojrzenie.

- Nie zaczynaj znowu!

- Kochanie... -powtórzył.

- Nie! - Wróciła do sprawdzania listew. - Nie chcę tego słuchać! Choćbym to miała robić do sądnego dnia, znajdę te cholerne brylanty!

- Hiacynto!

Zignorowała go kompletnie, badając miejsce, w którym listwa łączy się z podłogą.

Gareth obserwował żonę przez dobrych kilka sekund, nim się odezwał:

- Pewien jestem, że nieraz to już robiłaś!

Spojrzała na niego mimochodem, potem wstała, by zająć się ramą okienną.

- Hiacynto...

Odwróciła się tak raptownie, że omal nie straciła równowagi.

- Ostatnia wskazówka mówi wyraźnie: „Czystość ustępuje miejsca jedynie Pobożności, a Królestwo Niebieskie obfituje w bezmierne bogactwa”.

- Wyraźnie po słoweńsku - stwierdził sucho.

- Trzech Słoweńców - przypomniała mu - niezależnie od siebie zapoznało się z tym tekstem, a ich tłumaczenia pokrywają się ze sobą.

Znalezienie trzech Słoweńców było doprawdy nie lada wyczynem!

- Hiacynto... -powtórzył raz jeszcze Gareth, jakby przed chwilą nie wypowiedział imienia żony dwukrotnie, a przedtem nie potarzał go niezliczoną ilość razy, zawsze tym samym tonem łagodnej rezygnacji.

- To musi tu być! - zapewniała. - Po prostu musi!

Wzruszył ramionami.

- Niech ci będzie - odparł. - Ale Isabella ukończyła swój prze-  
kład z włoskiego i chciałyby, żebyś sprawdziła jej pracę.

Hiacynta milczała przez chwilę. Potem westchnęła i oderwała  
dłoń od parapetu.

W wieku lat ośmiu jej córka oznajmiła, że chce się nauczyć ojczy-  
stego języka swojej imienniczki. Rodzice zatrudnili nauczycielkę, któ-  
ra miała lekcje z dziewczynką trzy razy w tygodniu. Po roku Isabella  
swą biegłością w języku włoskim przewyższyła matkę i Hiacynta była  
zmuszona zatrudnić nauczycielkę jeszcze dwa razy w tygodniu; tym  
razem sama korzystała z jej usług, żeby nie zostać w tyle.

- Czemu ty nigdy nie zająłeś się włoskim? - spytała męża, gdy  
wyprowadził ją z łazienki na korytarz.

- Nie mam głowy do języków - odparł beztrąsko. - A zresztą,  
po coś miałbym się fatygować, mając pod ręką dwie utalentowane  
lingwistki?

Hiacynta wywróciła oczami.

- Nie będę cię więcej uczyć niestosownych wyrażonek po wło-  
sku! - zagroziła.

Roześmiał się.

- Wobec tego przestanę przekupywać signorinę Orsini funto-  
wymi banknotami, żeby specjalnie uczyła cię, hm... niestosownych  
wyrażonek.

Hiacynta odwróciła się do niego z przerażeniem w oczach.

- Nie zniżyłeś się do tego!

- Owszem, zniżyłem się.

Zacisnęła wargi.

- I nawet tego się nie wstydzisz!

- Miałbym się wstydzić?

Zaśmiał się gardłowo i przycisnął wargi do ucha żony. Zdołał  
jednak nauczyć się sporo włoskich słówek. Zaczął je teraz szeptać  
Hiacyntcie, jedno po drugim.

- Gareth! - pisnęła.

- „Tak, tak, Gareth!” czy „Gareth, nie!”?

Westchnęła. Nie mogła się powstrzymać.

- Jeszcze, Gareth, jeszcze!

Isabella St. Clair postukiwała ołówkiem po skroni, spoglądając na dopiero co zapisane słowa. Przekład z jednego języka na drugi to nie lada wyzwanie! Dosłowny przekład nigdy nie wyglądał jak należy, dobierała więc idiomy niezwykle starannie. Ale to tłumaczenie - zerknęła na otwartą stronicę traktatu Galileo Galilei *Discorso intorno alle cose che stanno, in sù l'acqua, b che in quella si muovono* - było doskonałe!

Doskonałe. Bezbłędne. Idealne.

Jej trzy ulubione słowa!

Zerknęła na drzwi w nadziei, że matka zaraz się zjawi. Isabella ubóstwiała tłumaczyć teksty naukowe, bo matka zawsze miała z nimi pewne trudności. Zabawne, mama udawała, że zna włoski lepiej od niej!

Isabella nie wytykała jej tego złośliwie. Ściągnęła usta, rozważając sprawę. Nie mogłaby! Przecież jedyną osobą, którą ubóstwiała bardziej niż mamę, była prababcia, łady Danbury! Choć uwięziona w fotelu inwalidzkim, prababcia nadal wywijała laską równie sprawnie jak swym ciętym językiem.

Isabella uśmiechnęła się. Kiedy dorośnie, będzie najpierw dokładnie taka jak mama. A potem, gdy się jeszcze bardziej zestarzeje, taka samiuteńka jak prababcia!

Westchnęła z zadowoleniem. To będzie wspaniałe życie!

Ale czemu matka tak długo nie przychodzi? Minęły już całe wieki, odkąd posłała po nią tatę... Kochała go równie gorąco jak mamę, ale cóż... Tb mężczyzna. Nie mogła więc marzyć o tym, że upodobni się do niego!

Isabella skrzywiła się. Pewnie mama i tata chichoczą i szepczą ze sobą w jakimś ciemnym kącie... Boże święty! Aż wstyd.

Wstała, przygotowując się na dłuższe czekanie. Może warto by zajrzeć do łazienki? Odłożyła ołówek, raz jeszcze obejrzała się na drzwi i przeszła przez pokój, kierując się do łazienki dla dzieci. Ten położo-

ny na najwyższym piętrze starego domu przybytek stał się - o dziwo - bliski sercu Isabelli jak żadne inne pomieszczenie. W przeszłości ktoś inny też najwidoczniej lubił ten mały pokój, gdyż ozdobił go wesołymi kafelkami w stylu orientalnym. Jedne były niebiesciutkie, inne mieniły się zielonawo jak woda, jeszcze inne miały żółtą barwę słonecznych promieni.

Gdyby Isabella mogła zataszczyć do tej małej łazienki łóżko i zanektować ją na swój wyłączny użytek, z pewnością by to zrobiła. W istniejącej sytuacji uznała za pyszny żart to, że najładniejszy pokój w całym domu, przynajmniej w jej mniemaniu, odgrywał tak podrzędną rolę.

Łazienka dla dzieci! Tylko pokoje dla służby uchodziły za coś gorszego.

Isabella zrobiła, co trzeba, odstawiła nocnik do kąta i skierowała się z powrotem do drzwi. Zanim jednak dotarła do nich, coś przyciągnęło jej uwagę. Rysa pomiędzy dwoma kafelkami.

- Przedtem jej tu nie było! - mruknęła Isabella.

Przykucnęła, a potem przysiadła na ziemi, by dokładniej obejrzieć pęknięcie, które biegło od podłogi aż do górnej krawędzi pierwszego kafla... Może ze sześć cali.

Większość ludzi nie zwróciłaby uwagi na coś takiego, ale Isabella nie przypominała większości ludzi. Dostrzegała każdy drobiazg.

Zła, że nie może się przyjrzeć szparce naprawdę z bliska, dziewczynka opadła najpierw na czworaki, potem przyłgnęła policzkiem do podłogi.

- Hm... - Postukała w kafelek na prawo od rysy, potem w ten z lewej. - Hm...

Skąd pojawiło się nagle pęknięcie na ścianie jej ukochanej łazienki? Z pewnością tak stary dom jak Clair House, który liczył sobie ponad sto lat, nie przemieszczał się ani nie osiadał. A jeśli chodzi o trzęsienia ziemi, to owszem, Isabella słyszała o nich, ale nie zdarzały się w tak cywilizowanych miejscach jak Londyn!

Może sama kopnęła niechcący w ścianę? Albo upuściła na podłogę coś ciężkiego?

Szturchnęła znowu kafel. I jeszcze raz.

Odwinęła się, zamierzając walnąć jeszcze mocniej z rozmachu, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Łazienka matki znajdowała się bezpośrednio pod nią. Gdyby narobiła hałasu, mama zaraz by się zjawiała i chciałaby wiedzieć, co się tu dzieje. A choć Isabella posłała po nią tatę - strasznie dawno, całe wieki temu - mogłaby się założyć, że matka siedzi teraz w swojej łazience!

A gdy mama tam zniknęła, nigdy nie było wiadomo, czy wpadła do łazienki na minutkę, czy przesiedzi w niej całą godzinę. Bardzo dziwne!

Wobec tego Isabella wolała nie robić zbyt wiele hałasu. Rodzice z pewnością mieliby jej za złe, że chce rozwalić dom!

Ale trochę postukać chyba można?...

Za pomocą dziecinnej wyliczniki zdecydowała, który kafelek atakuje. Wypadło na lewy, więc uderzyła weń trochę mocniej. Nic się nie stało.

Wbiła paznokciec w sam koniec rysy i zaczęła nim wiercić. Odrobina tynku uwięzła jej pod paznokciem.

- Hm...

Może udałoby się powiększyć to pęknięcie?

Zerknęła na toaletkę i zdecydowała się wypróbować swój srebrny grzebień. Może się nada? Schwyciła go i ostrożnie umieściła ostatni ząbek przy samym końcu szpary, po czym - precyzyjnym ruchem - przejechała nim po tynku między kafkami.

Rysa wydłużyła się! Rosła dosłownie w oczach!

Isabella powtórzyła całą operację, tym razem umieszczając grzebień nad kaflem po lewej. Nic. Spróbowała nad prawym.

I jeszcze raz, mocniej!

Isabella aż jęknęła, gdy rysa pomknęła po tynku, tuż nad górną krawędzią kafelka.

Jeszcze kilka prób... i pęknięcie zbiegło w dół, wzdłuż drugiej z bocznych krawędzi.

Z zapartym tchem wbiła paznokciec w tynk po obu stronach kafła i pociągnęła z całej siły. Szarpała to w tę, to w tamtą stronę, starając się go podważyć i obluzować.



Wreszcie - z rozpaczliwym skrzypieniem podobnym do tego, jakie wydawał wózek inwalidzki, gdy prababcia przenosiła się z niego na łóżko - kafel ustąpił!

Położyła go ostrożnie na podłodze i zbadła, co znajdowało się pod nim. Tam, gdzie powinna być zwykła ściana, zionął niewielki prostokątny otwór, ot, kilka cali kwadratowych. Dziewczynka sięgnęła do wnętrza, ściskając palce, by ręka stała się długa i wąska.

Poczuła pod palcami coś miękkiego. Jak aksamit. Wydobyła to coś. Niewielki woreczek, ściągnięty jedwabnym sznurkiem.

Isabella wyprostowała się pospiesznie i siadła po turecku, ze skrzyżowanymi nogami. Wetknęła palec do środka, poszerzając za ciśnięty sznurkiem otwór.

Następnie prawą ręką odwróciła woreczek do góry dnem i przesyłała jego zawartość do lewej ręki.

- O mój Boże!

Omal nie wrzasnęła, ale się pohamowała. Do wnętrza jej dłoni spłynął deszcz brylantów. Naszyjnik... I bransoletka... Choć nie należała do dziewczynek, które myślą tylko o błyskotkach i fatałaszkach, mogłaby przysiąc, że są to najcudowniejsze klejnoty, jakie kiedykolwiek widziała!

- Isabello!

Mama! Och, nie! Nie, nie, nie!

- Isabello, gdzie jesteś?

- W... - Przerwała, by odchrząknąć; jej głos był dziwnie piskliwy. - W łazience, mamusiu. Zaraz wychodzę!

Co robić? Co robić?!

Prawdę mówiąc, dobrze wiedziała, co powinna zrobić. Ale czy naprawdę tego chciała?

- Czy twoje tłumaczenie leży na stole? - dotarł znów do niej głos matki.

- No... tak! - Ponownie odchrząknęła. - To z traktatu Galilea Galilei. Książka leży obok.

- A, tak... - Matka zamilkła. Gdy znów się odezwała, jej głos brzmiał jakoś dziwnie. - Dlaczego użyłaś... Zresztą, wszystko jedno...

Dziewczynka spoglądała w popłochu na klejnoty. Miała tylko krótką chwilę na podjęcie decyzji.

- Isabello! - zawołała znów matka. - Czy rozwiązałaś wszystkie zadania rachunkowe? Po południu zaczynają się lekcje tańca. Chyba o nich nie zapomniałaś?

Lekcje tańca? Dziewczynka skrzywiła się, jakby połknęła kawałek mydła.

- Monsieur Larouche zjawi się o drugiej. Punktualnie. Musisz więc...

Isabella wpatrywała się w brylanty. Nie odrywała od nich wzroku. Wpatrywała się z takim natężeniem, że nie widziała nic oprócz nich. Nic też nie słyszała. Ani hałasów dolatujących z ulicy przez otwarte okno. Ani głosu matki, mówiącej coś o lekcjach tańca i cnotce punktualności. Wszystko dokoła zamilkło prócz szumu krwi, szalejącej w żyłach dziewczynki i jej przyspieszonego, rwącego się oddechu.

Isabella wpatrywała się w brylanty.

A potem się uśmiechnęła.

I ukryła je z powrotem.

KONIEC

## ***Podziękowania***

*Autorka pragnie podziękować Eloisie James i Alessandrowi Vettoriemu,  
znawcom wszystkiego, co włoskie.*

## Drzewo genealogiczne Bridgertonów

Violet Ledger (ur. 1766) + Edmund (1764-1803)

Anthony (ur. 1784)  
+ Kate Sheffield  
(ur. 1793)  
— Edmund (ur. 1815)  
— Miles (ur. 1817)  
— Charlotte (ur. 1822)

Colin (ur. 1791)  
+ Penelopa  
Featherington  
(ur. 1796)

Agatha (ur. 1825)

Benedict (ur. 1786)  
+ Sophie Beckett  
(ur. 1794)

-Charles (ur. 1818)  
— Aleksander (ur. 1820)  
-William (ur. 1822)  
-Violet (ur. 1824)

Daphne (ur. 1792)  
+ Simon Basset  
książę Hastings  
(ur. 1784)

-Amelia (ur. 1814)  
-Belinda (ur. 1815)  
— Caroline (ur. 1816)  
-David (ur. 1817)

+ Eloise (druga żona) —  
(ur. 1796)  
Sir Phillip Crane  
(ur. 1794)

+ Marina Thompson  
(pierwsza żona)  
(1794-1823)

- Amanda  
(ur. 1816)

Oliver  
(ur. 1816)

\_ Penelopa  
(ur. 1825)

Gregory  
(ur. 1801)

Francesca (ur. 1797)  
+ John Stirling  
(pierwszy mąż)  
8. hrabia Kilmartin  
(1792-1820)

+ Michael Stirling  
(drugi mąż)  
9. hrabia Kilmartin  
(ur. 1791)

Hiacynta (ur. 1803)  
+ Gareth St. Clair  
(ur. 1797)